

ÅSA
LARSSON



I TYLKO
CZARNA ŚCIEŻKA



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ÅSA
LARSSON

I TYLKO CZARNA
ŚCIEŻKA

przełożyła
Beata Walczak-Larsson

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2013

Spis treści Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział 1. *Fragment dokumentacji medycznej Rebeki Martinsson, 12 września 2003*

Rozdział 2. *Fragment dokumentacji medycznej Rebeki Martinsson, 27 września 2003*

Rozdział 3. *Fragment epikryzy pacjentki Rebeki Martinsson, 30 października 2003*

Rozdział 4. *Sobota, 15 marca 2005*

Rozdział 5. *Listopad 2003*

Rozdział 6. *Grudzień 2003*

Rozdział 7. *Sylwester 2003*

Rozdział 8. *Czerwiec 2004*

Rozdział 9. *Niedziela, 16 marca 2005*

Rozdział 10. *Poniedziałek, 17 marca 2005*

Rozdział 11. *Wtorek, 18 marca 2005*

Rozdział 12. *Środa, 19 marca 2005*

Rozdział 13. *Czwartek, 20 marca 2005*

Rozdział 14. *Piątek, 21 marca 2005*

Podziękowania Autorki

Przypisy

Tytuł oryginału: SVART STIG

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK

Redakcja: ANNA MILEWSKA Korekta: DOROTA TRZCINKA, MAŁGORZATA WÓJCIK

Projekt okładki i stron tytułowych: KATARZYNA BORKOWSKA Fotografie na pierwszej stronie okładki:

© MIKAEL ANDERSSON *Nordicphotos* Corbis / FotoChannels

© Nicole K. Cioe / IStockphoto

© 123rf

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

© Åsa Larsson, 2006

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

© Copyright for the Polish translation by Beata Walczak-Larsson

© Copyright for Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2011

ISBN 978-83-08-05091-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Pamiętasz, jak to było?

Rebeka Martinsson zobaczyła przyjaciela leżącego na zwirowym podjeździe w Poikkijärvi. Kiedy zrozumiała, że chłopiec nie żyje, świat jej się zawalił. Ludzie powstrzymywali ją siłą, by nie weszła do rzeki.

Oto kolejna odsłona.

**FRAGMENT DOKUMENTACJI MEDYCZNEJ REBEKI
MARTINSSON,
12 WRZEŚNIA 2003**

Powód hospitalizacji: pacjentka przyjęta do szpitala w Kirunie w trybie nagłym. Obrażenia twarzy spowodowane upadkiem i urazami głowy. W chwili przyjęcia znajduje się w stanie psychozy. Niezbędne leczenie chirurgiczne pourazowych uszkodzeń twarzy w znieczuleniu ogólnym. Podczas wybudzania nasilone objawy psychozy. Decyzja o przymusowym leczeniu, zgodnie z § 3 LPT^[1]. Pacjentka przeniesiona do kliniki psychiatrycznej szpitala St. Görana w Sztokholmie, oddział zamknięty. Rozpoznanie wstępne: ostre i przemijające zaburzenia psychotyczne, nieokreślone. Leczenie: rysperydon w syropie 8 mg/d i oksazepam w tabletkach 50 mg/d.

To ostatni czas.

Oto nadchodzi z obłokami i ujrzy Go wszelkie oko.

To ostatnia godzina.

To czas konia barwy ognia. To ów siedzący na nim z wielkim mieczem, by się wzajemnie ludzie zabijali.

A tutaj?! Trzymają mnie za ręce! Nie słuchają! Nieustępliwie odmawiają spojrzenia w niebo, które się nad nimi otwiera.

To czas konia trupio bladego.

A on bije ostrym kopytem. Ziemia pryska mu spod nóg.

Stało się wielkie trzęsienie ziemi i słońce stało się czarne jak włosienny wór, a cały księżyc stał się jak krew.

A ja zostałam. Dużo nas tu zostało ocalonych. Padamy na kolana; przed nami podróż w ciemność, i wypróżniamy się ze strachu. W drodze do ognistego jeziora gorejącego siarką, i to jest ta druga śmierć. Zostało tylko parę minut. Człowiek chwytą się pierwszego z brzegu. Trzyma się mocno tego, kto stoi najbliżej.

Słyszę głos siedmiu gromów. Słowa są nareszcie wyraźne.

On mówi. Że czas. Nadszedł.

Ale tutaj nikt nie słucha!

**FRAGMENT DOKUMENTACJI MEDYCZNEJ REBEKI
MARTINSSON,
27 WRZEŚNIA 2003**

Pacjentka nawiązuje kontakt, odpowiada na pytania, potrafi zreferować wydarzenia, które wywołały psychozę reaktywną. Wykazuje objawy depresji: spadek masy ciała, apatię, zaburzenia snu ze wczesnym budzeniem się. Ryzyko suicydalne: duże. Kontynuacja terapii elektrowstrząsowej. Citalopram w tabletkach 40 mg/d.

Jeden z opiekunów (tak, mam opiekunów, już samo to!) to Johan. A może Jonas? Johnny? Wyprowadza mnie na spacer. Nie wolno mi wychodzić samej. Nie idziemy specjalnie daleko. A mimo to ogarnia mnie niepojęte zmęczenie. On to chyba dostrzega w drodze powrotnej. Udaje jednak, że nie widzi. Cały czas mówi. To dobrze, bo wtedy ja nie muszę.

Opowiada o Muhammadzie Alim, o jego walce o odzyskanie tytułu mistrza świata, którą stoczył w Zairze w 1974 roku.

– Jak on się pozwolił łać! Stał oparty o liny i tylko przyjmował ciosy Foremana. A ten to dopiero był rozpierdalator! Mówimy o wadze ciężkiej, wszyscy już o tym zapomnieli, ale ludzie przed meczem normalnie obawiali się o Alego. Bali się, że Foreman zatłucze go na śmierć. No, a Ali stał tam sobie jak jakiś cholerny... głąz! I przez siedem pierwszych odsłon dał się prac. Wykończył Foremana psychicznie. W siódmej rundzie nagle pochylał się nad nim i szepnął mu do ucha: „To wszystko, na co cię stać?”. No i nie mylił się! Bo później, w ósmej rundzie, Foreman był już tak wykończony, że nie mógł utrzymać gardy, co Ali oczywiście wykorzystał. I prask!

(półkolisty ruch ręki w powietrzu). Foreman pada jak ścięta sosna. Trzask!

Idę w milczeniu. Notuję, że drzewa zaczynają pachnieć jesienią. A on gada jak najęty. *Rumble in the Jungle. I am the greatest. Thrilla in Manila.*

Albo opowiada o drugiej wojnie światowej. (Wolno mu?, zastanawiam się w duchu. Czy nie jestem teraz zbyt wrażliwa i krucha? Co powiedziałyby lekarze?) – Z Japończyków to dopiero byli wojownicy! Wie pani, co robili japońscy piloci bojowi, kiedy gdzieś nad Pacyfikiem kończyło im się paliwo? Gdy tylko w pobliżu zauważyli amerykański lotniskowiec, to wlatywali prosto w niego. Łuuu! Albo lądowali elegancko na brzuchu, tylko po to, żeby pokazać swój kunszt pilotażu. A jeśli udało im się przeżyć, to wskakiwali do wody i wbijali sobie sztylet w brzuch. Wróg nie mógł ich wziąć żywcem. To samo podczas walk o Guadalcanal. Kiedy się orientowali, że są pokonani, zeskakiwali z urwisk jak jakieś lemingi. Amerykanie wzywali ich przez megafony, żeby się poddali.

W drodze powrotnej nagle ogarnia mnie przerażenie. A jeśli opiekun zapyta mnie o wrażenia ze spaceru? Czy mi się podobało? Czy jutro też chcę wyjść?

Nie potrafiłabym się przemóc i powiedzieć: „tak” albo „z przyjemnością”. To trochę jak w dzieciństwie. Niektóre kobiety we wsi, gdy tylko poczęstowały mnie oranzadą czy lodami, zaraz musiały zapytać: „Smakuje ci?”. Przecież widziały, z jakim namaszczeniem piję i liżę. Ale od biedactwa ze stukniętą mamą oczekiwały czegoś więcej. Oczekiwały nagrody w postaci słów: „tak, bardzo” i najchętniej jeszcze: „dziękuję”. Teraz nie mam nic do zaoferowania. Ani słówka. Jeśli mnie zapyta, muszę zaprzeczyć. Chociaż tak dobrze było odetchnąć świeżym powietrzem. Na oddziale pachnie wypoconymi lekami, dymem z papierosów, brudem, szpitalem i środkiem do czyszczenia podłóg.

Ale on o nic nie pyta. Następnego dnia też bierze mnie na przechadzkę.

**FRAGMENT EPIKRYZY PACJENTKI REBEKI
MARTINSSON,
30 PAŹDZIERNIKA 2003**

Zastosowane leczenie przyniosło pożądany efekt. Stwierdza się brak zagrożenia suicydalnego. W ciągu ostatnich dwóch tygodni opieka lekarsko-pielęgniarska zgodnie z HSL^[2]. Pacjentka ma obniżony nastrój, nie wykazuje jednak innych objawów depresji. Zostaje wypisana do domu w Kurravaarze pod Kiruną, skąd pochodzi. Planowane rozmowy terapeutyczne w przychodni psychiatrycznej w Kirunie. Kontynuacja leczenia: citalopram w tabletkach 40 mg/d.

Ordynator pyta mnie, jak się czuję. Odpowiadam: „Dobrze”.

Przygląda mi się bez słowa. Na twarzy prawie uśmiech. Wczuwa się. Potrafi milczeć w nieskończoność. Jest specjalistą w tej dziedzinie. Cisza go nie prowokuje. W końcu dodaje: „Wystarczająco dobrze”. To jest prawidłowa odpowiedź. Lekarz kiwa głową.

Nie mogę tu zostać. Dostatecznie długo zajmowałam miejsce w szpitalu. Z pewnością są kobiety, które potrzebują go bardziej. Te, które podpalają sobie włosy. Te, które bez przerwy przychodzą na oddział, w toalecie połykają odłamki rozbitego lustra i w ciągu dwóch czerwonych sekund są odwożone na pogotowie. Ja potrafię w każdym razie odpowiadać na pytania, wstawać rano i myć zęby.

Nienawidzę go, bo nie zmusza mnie, żebym tu została na wieki wieków. Bo nie jest Bogiem.

Później siedzę w pociągu jadącym na północ. Za oknem pospiesznie migają

krajobrazy. Najpierw okazałe drzewa w żółci i czerwieni. Jesienne słońce i mnóstwo domów. W każdym mieszkają ludzie. W jakiś sposób radzą sobie z życiem.

Za Bastuträsk pojawia się śnieg. A potem już tylko las, las, las. Jestem w drodze do domu. Brzozy karłowacieją, czarne i chude na tle bieli.

Przyciskam czoło i nos do szyby.

Czuję się dobrze, mówię do siebie. Tak właśnie wygląda dobre samopoczucie.

SOBOTA, 15 MARCA 2005

PRZEDWIOSENNY WIECZÓR NA TORNETRÅSK. Siedemdziesiąt kilometrów lodu ponadmetrowej grubości, upstrzonego niewielkimi domkami na płozach. To tak zwane arki, o powierzchni czterech metrów kwadratowych. Pod koniec zimy mieszkańcy Kiruny wyruszyli z nimi tłumnie nad jezioro. Przyholowali je skuterami śnieżnymi.

Przez specjalny otwór w podłodze każdy wędkarz wywiercił przerębel. Dziury w domku i łodzi połączył zaś plastikową rurą, żeby do środka nie zawiewał mroźny wiatr.

Leif Pudas siedział w swojej arce i łowił ryby. Było wpół do dziewiątej wieczorem. Wlał w siebie kilka piw, w końcu to sobota. Piecyk gazowy szumił i świszcział. W środku zrobiło się niesamowicie ciepło, temperatura przekroczyła dwadzieścia pięć stopni. Połów był całkiem udany: piętnaście gołców, niewielkich, ale mimo wszystko! I parę miętusów dla kota siostry.

Kiedy nadeszła pora na sikanie, Leif poczuł ulgę. Było mu gorąco, chciał się ochłodzić. Włożył buty i wyszedł w mroźną ciemność tylko w slipach.

Uderzył go podmuch wiatru.

Dzień był bezwietrzny i pełen słońca. Ale w górach pogoda nieustannie się zmienia. Teraz wichura targała drzwiami jak wściekły pies. Najpierw prawie w ogóle nie było jej słyhać, jakby tylko się czała i – lekko warcząc – zbierała w sobie. Po chwili jednak ruszyła do ataku z nieprawdopodobną siłą. Ciekawe, czy wytrzymają zawiasy. Żeby zamknąć drzwi, Leif musiał przytrzymać je obiema rękami. Może powinien coś na siebie włożyć? E, kurde, przecież odleje się raz-dwa.

Z każdym podmuchaem wiatru wzbijały się w górę białe tumany. To nie był świeży, miękki puch, tylko oszlifowane diamenty sypkiego śniegu. Skręcały się w ostry bicz i chłostały skórę mężczyzny bez pośpiechu, lecz boleśnie.

Leif Pudas obiegnął arkę, by osłonić się od wiatru. Stał teraz w zaciszu, ale wciąż na potwornym mrozie. Czuł, jak jego moszna kurczy się do rozmiarów niewielkiej twardej piłeczki. Całe szczęście, że to nie przeszkadza w sikaniu! Wyobraził sobie zamierzający w powietrzu strumień. Jak złocisty łuk.

Właśnie gdy skończył, usłyszał potężny ryk i poczuł, że coś wali mu się na plecy. Ruszająca z miejsca budowla omal go nie wywróciła.

Zrozumiał to dopiero po chwili. Wichura porwała mu arkę. Widział tylko okienko, oddalający się czworokąt ciepłego światła.

Rzucił się za nim, ale teraz, kiedy puściły liny, domek na płozach nabierał prędkości. Nie miał najmniejszych szans go dogonić.

Najpierw pomyślał o arce. Zbudował ją z płyty pilśniowej, ocieplił ściany i pokrył aluminium. Jutro będzie się nadawała tylko na opał. Pozostawało mieć nadzieję, że po drodze nie wyrządzi nikomu szkody. Miałby wtedy nieprzyjemności.

Później nadleciał kolejny gwałtowny podmuch wiatru. Prawie zwałił go z nóg. Leif pojął, że grozi mu niebezpieczeństwo. I te wszystkie wypite piwa... Miał wrażenie, że krew krąży mu pod samą skórą. Musi natychmiast znaleźć schronienie, w przeciwnym razie ani się obejrzy, jak zamarznie na śmierć.

Popatrzył dokoła. Do schroniska turystycznego w Abisko miał co najmniej kilometr, tej odległości by nie podołał; teraz chodziło o minuty. Gdzie jest najbliższa arka? W nieprzejrzanym śnieżnym dymie nie widział żadnych świateł.

Rusz głową!, upomniał się w duchu. Nie waż się, kurwa, dokądkolwiek iść, zanim pomyślisz! W jakim kierunku masz zwróconą twarz?

Pracował głową trzy sekundy, czuł, jak sztywnieją mu dłonie, wcisnął je pod pachy. Po czterech krokach udało mu się dojść do skutera. Kluczyki zostały w umykającej arce, ale pod siodelkiem leżała skrzyneczka z narzędziami. Wyjął ją teraz.

A potem zwrócił się z modlitwą do tego kogoś w górze, prosząc, by poprowadził

go we właściwym kierunku. Ruszył do arki najbliższego sąsiada. Miał do przejścia zaledwie dwadzieścia metrów, ale z każdym krokiem wzbierał w nim płacz. Ze strachu, że zabłądzi. Bo wtedy czekała go jedynie śmierć.

Wyteżał wzrok, szukając budowli z włókna szklanego. Igiełki śniegu kłuły go w oczy, mrużył je więc i co chwila wycierał. Oprócz ciemności i śniegu nie widział nic.

Myślał o siostrze. I o swojej byłej kobiecie. Mimo wszystko nie było im razem tak źle.

Wszedł niemal w arkę Perssona, zanim ją zobaczył. Czarne okna, nikogo w środku. Wyciągnął młotek, chwycił go lewą ręką; prawa nie nadawała się do niczego, skostniała i obolała od trzymania lodowatego uchwytu stalowej skrzyneczki. Po omacku zbliżył się do plastikowego okna i wybił szybę.

Strach dodał mu siłę; bardzo szybko wciągnął do środka swoje sto kilogramów. Zaklął soczyście, gdy ostry metalowy kant zranił mu brzuch. Ale jakie to miało znaczenie! Chyba nigdy śmierć nie dyszała mu w kark tak wyraźnie.

Teraz musiał się rozgrzać. Wprawdzie był osłonięty od wiatru, ale w arce panował potworny ziąb. Przeszukał po omacku szuflady i w końcu znalazł zapalki. Jak utrzymać takie małe pudełko w rękach zgrabiących od mrozu? Włożył palce do ust, by je rozgrzać, i dopiero po chwili mógł zapalić lampę i piecyk na gaz. Trząsał się i drżał na całym ciele. Nigdy wcześniej nie było mu tak zimno. Przemarzał do szpiku kości.

– Ja pierdołę, ale mróz! Kurwa, jak zimno! – przeklinał raz za razem. Mówił głośno; w ten sposób dotrzymywał sobie towarzystwa i nie dopuszczał do świadomości paniki.

Wiatr, niczym gniewny bóg, wtargnął do środka. Leif chwycił materac oparty o ścianę i wcisnął go pod karnisz. Jako tako udało mu się zaklinować okno.

Poszperał trochę i znalazł czerwoną kurtkę puchową, prawdopodobnie należącą do pani Persson. Z pudła z bielizną wyjął dwie pary kalesonów i włożył jedną na nogi, a drugą na głowę.

Ciepło wracało powoli. Leif trzymał ręce nad piecykiem. W całym ciele czuł piekielny, kłujący ból. W jednym policzku i małżowinie stracił czucie, niedobrze.

Na pryczy leżał stos kołder. Pomyślał, że się nimi otuli. Były wprawdzie lodowate, ale mimo wszystko izolowały od zimna.

– Przeżyłem – powiedział. – I co z tego, że może stracę ucho?

Jednym ruchem ściągnął z wierzchu kołdrę. Była w ogromne kwiaty w różnych niebieskich odcieniach – relikwyt lat siedemdziesiątych.

Pod spodem leżała kobieta. Jej otwarte oczy zamieniły się w lód; były zupełnie białe, jak mrożone szkło. Na brodzie i rękach miała coś jak owsianka, a może wymiociny? Ubrana w dres treningowy. Bluzę szpeciła krwawa plama.

Nie krzyczał. Nawet się nie zdziwił. Może dlatego, że czuł się zupełnie wyczerpany tym, co właśnie przeżył.

– Ja pierdolę... – powiedział tylko.

Ogarnął go rodzaj zniechęcenia, jakie czuje człowiek, gdy stwierdza, że jego szczeniak po raz setny zsiakał się w mieszkaniu. Bezsilność wobec prawa o upierdliwości wszystkiego.

Odepchnął pokusę, by po prostu przykryć kobietę kołdrą i zapomnieć o niej.

Usiadł i zaczął się zastanawiać. Co teraz, kurde, powinien zrobić? Musi oczywiście pójść do schroniska. Nie miał szczególnej ochoty na wędrówkę w ciemnościach. Ale nie miał też wyboru. Poza tym nie uśmiechało mu się odmarzanie razem z nieboszczką.

Przez chwilę jeszcze musiał tu zostać. Ciągle było mu piekielnie zimno.

Wytworzyło się między nimi coś w rodzaju poczucia wspólnoty. Kobieta dotrzymywała mu towarzystwa, gdy siedział obolały, czując powracające ciepło. Trzymał ręce nad piecykiem.

Nie odzywał się. Ona też nie.

KOMISARZ ANNA MARIA MELLA i jej kolega Sven Erik Stålnacke przybyli na miejsce za piętnaście dwunasta w nocy z soboty na niedzielę. Ze stacji turystycznej w Abisko pożyczyli dwa skutery śnieżne, jeden z saniami. Któryś z przewodników górskich zaoferował pomoc i zawiózł oboje policjantów na jezioro. Panowała wichura

i ciemność.

Mężczyzna, który znalazł zwłoki, siedział od godziny w schronisku; został wstępnie przesłuchany przez patrol samochodowy – ten przyjechał pierwszy.

Kiedy Leif Pudas dotarł do stacji turystycznej, recepcja była już zamknięta. Minęło trochę czasu, zanim personel w pubie potraktował go serio. To był sobotni wieczór, sporo gości. Wprawdzie nikogo tutaj nie dziwił niekonwencjonalny ubiór – ludzie ścigali kombinezony i pili piwo odziani jedynie w termoaktywną bieliznę lub coś w tym rodzaju – ale nowy przybysz wkroczył do środka w turbanie z kałesonów i w damskiej puchowej kurtce, która sięgała mu zaledwie do pępka.

Dopiero kiedy się rozpląkał, stało się jasne, że wydarzyło się coś poważnego. Wysłuchano go i dyskretnie zaalarmowano policję.

Znalazł zwłoki, mówił. Kilkakrotnie powtarzał, że nie w swojej arce. Mimo to podejrzewano, że to właśnie on zabił tę kobietę, pewnie żonę. Nikt nie chciał mu spojrzeć w oczy. Kiedy przyjechała policja, płakał w samotności.

Nie udawało się ogrodzić terenu wokół arki; każdą próbę niweczył huragan. Obwiązano więc domek, jak paczkę. Końcówki czarno-żółtej taśmy łopotały wściekle na wietrze. Technicy pracowali na minimalnej powierzchni w świetle reflektorów i mdłej lampki gazowej.

W domku mieściły się nie więcej niż dwie osoby. Anna Maria i Sven Erik czekali więc na zewnątrz, drepcząc wkoło.

Prawie zupełnie się nie słyszeli; wiatr i ciepłe czapki nie dopuszczały do nich słów. Nawet Sven Erik założył uszatkę, choć zazwyczaj chodził z gołą głową. Od czasu do czasu wykrzykiwali coś do siebie i w puszystych kombinezonach poruszali się niezgrabnie jak ludzik Michelin.

– Spójrz! – krzyknęła Anna Maria. – Czy to nie zabawne?

Rozłożyła ramiona – wyglądała jak żagiel. Była kobietą dość niklej postury. Śnieg, stopniały w ciągu dnia, wieczorem zamarzył i wygładził lodową powierzchnię, po której policjantka posuwała się teraz bezwolnie, popychana wiatrem.

Roześmiany Sven Erik pospieszył jej na ratunek, udając, że musi ją złapać, zanim

Anna Maria podryfuje na drugi brzeg jeziora.

Technicy wyszli z arki.

– To nie jest, w każdym razie, miejsce zbrodni – krzyknął jeden z nich. – Wygląda na to, że ugodzono ją nożem. Ale, tak jak mówię, raczej nie tutaj. Możecie zabrać ciało. Jutro, gdy tylko się rozwidni, będziemy pracować dalej.

– I jak się trochę ociepli, bo teraz człowiekowi dupa odmarza – ryknął jego kolega, ubrany zdecydowanie za lekko.

Technicy usiedli na sankach i odwieziono ich z powrotem do schroniska.

Policjanci weszli do domku.

W środku było ciasno i zimno.

– Ale przynajmniej tak cholernie nie wieje – powiedział Sven Erik, zamykając drzwi. – No, teraz możemy rozmawiać bez krzyku.

Niewielki blat stołu, przymocowany do ściany, był pokryty ceratą imitującą drewno. Cztery białe krzesła z plastiku stały jedno na drugim. Domek był wyposażony w jednopalnikową kuchenkę i maleńki zlew. Na podłodze pod wybitym plastikowym oknem leżały sztuczne kwiaty w ceramicznym wazonie i zazdrostka w biało-czerwonej kratce. Materac wciśnięty między ścianę a karnisz chronił od wiatru, który niestrudzenie próbował wcisnąć się do środka.

Sven Erik otworzył szafę, spojrzął na stojący w niej aparat do pędzenia bimbru i zaraz ją zamknął.

– Okej, tego nie widzieliśmy – powiedział.

Komisarz Mella przyglądała się kobiecie na pryczy.

– Metr siedemdziesiąt pięć? – spytała.

Sven Erik potwierdził skinieniem głowy i odłamał z wąsów kilka sopelków. Anna Maria wyciągnęła z kieszeni dyktafon. Musiała z nim trochę powalczyć, ponieważ pod wpływem mrozu przestał działać.

– No, sprężajcie się! – zachęcała wychłodzone baterie, trzymając urządzenie nad piecykiem, który mimo rozbitego okna i ciągle otwieranych drzwi dzielnie usiłował

ogrzać pomieszczenie.

W końcu mogła nagrać rysopis zmarłej.

– Kobieta, mniej więcej czterdzieści lat, włosy blond, ostrzyżone na pazia...
Atrakcyjna, prawda?

Sven Erik mruknął coś niezrozumiale.

– W każdym razie ja uważam, że jest atrakcyjna. Mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, szczupła, obfite piersi. Palec serdeczny bez obrączki. Żadnej biżuterii. Kolor oczu... trudno ocenić w obecnej sytuacji, może medyk sądowy... Jasna bluza sportowa, wiatroodporna, poplamiona najprawdopodobniej krwią, wkrótce się przekonamy, spodnie do kompletu, buty do biegania.

Policjantka pochyliła się nad kobietą.

– Na twarzy lekki makijaż: szminka, cienie do powiek i tusz do rzęs – mówiła dalej do mikrofonu. – Czy to nie dziwne, malować się przed treningiem? I dlaczego nie założyła czapki?

– W ciągu dnia, w słońcu, dzisiaj było bardzo ciepło. Wczoraj też – powiedział Sven Erik. – Jeśli tylko nie wieje...

– Ale przecież jest zima! To tylko ty nigdy nie nosisz czapki. Ubrania w każdym razie nie wyglądają na tanie, zresztą ona też nie. Emanuje z niej jakaś... elegancja.

Anna Maria wyłączyła dyktafon.

– Jeszcze dziś wieczorem zaczniemy wypytywać ludzi w okolicy. Stacja turystyczna, Abisko Östra. Zapytamy właściciela sklepu, może ją rozpozna. Ktoś przecież powinien zgłosić jej zaginięcie.

– Mam wrażenie, że skądś ją znam – odezwał się Sven Erik, zamyślony.

– Może jest mieszkanką Kiruny? Zastanów się, gdzie ją mogłeś spotkać.
Dentystka? Ekspedientka? Pracownica banku?

Sven Erik pokręcił głową.

– Przestań! Jak ma mi się przypomnieć, to mi się przypomni.

– Musimy też objechać wszystkie arki w okolicy – dodała Anna Maria.

– No. W tym cholernym huraganie...

– Musimy!

– Jasne.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Sven Erik jest chyba zmęczony, pomyślała Anna Maria. Zmęczony i przybity. Zazwyczaj właśnie tak reagował na widok martwych kobiet, nierzadko zmarłych w tragicznych okolicznościach. Leżały zabite w kuchni, podczas gdy mąż płakał w sypialni, a człowiek się cieszył, jeśli nie były w to wpłątane małe dzieci.

Ona sama nigdy tak bardzo tego nie przeżywała, no, chyba że w grę wchodziły właśnie dzieci. Dzieci i zwierzęta – z tym nie potrafiła się oswoić. Ale zbrodnia taka jak ta... Nie żeby wprawiała ją w dobry nastrój. Albo żeby cieszył ją fakt, że ktoś został zamordowany; nie o to chodziło. Tego typu zbrodnia... to zadanie, z którym trzeba się zmierzyć. A tego akurat potrzebowała.

Uśmiechnęła się w duchu, myśląc o bujnych, mokrych wężach kolegi. Wyglądały jak zwierzątko rozjechane na szosie. Ostatnio były dość kiepsko przystrzyżone. Zastanawiała się, czy bardzo doskwiera mu samotność. Córka mieszkała z rodziną w Luleå. Chyba nie spotykali się zbyt często.

No i półtora roku temu zniknął jego kot. Anna Maria próbowała namówić Svena Erika, żeby sprawił sobie nowego, ale nie chciał. „To tylko kłopot”, mówił. „Człowiek się uwiązuje”. Wiedziała, co to znaczy. Najzwyczajniej w świecie bronił się przed bólem serca. Boże, jak on się niepokoił o Mannego, jak go szukał, zanim w końcu stracił nadzieję i przestał o nim mówić.

Wielka szkoda, uważała Anna Maria. Sven Erik to dobry człowiek. Z pewnością byłby troskliwym mężem dla odpowiedniej kobiety i wspaiałym panem każdego zwierzęcia. Dobrze im się współpracowało, ale ani jej, ani jemu nigdy nie wpadłoby na myśl, żeby spędzać czas wolny razem. Nie chodziło jedynie o to, że Sven Erik jest dużo starszy. Po prostu nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Kiedy spotykali się przypadkowo na ulicy czy w sklepie, zawsze ciężko im się rozmawiało. W pracy zaś mogli paplać do woli; czuli się wyśmienicie w swoim towarzystwie.

Sven Erik spojrział na Annę Marię. Była naprawdę niepokazna, trochę ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, niemal tonęła w swoim ogromnym kombinezonie. Długie blond włosy przyplaszczono czapką. Nie przejmowała się takimi rzeczami. Nie przepadała za szminką i takimi tam. Prawdopodobnie nie miała też czasu. Czwooro dzieci i facet, który niespecjalnie wysiła się w domu. Ale poza tym to chyba całkiem porządny gość, wyglądało na to, że dobrze im się układa. Może po prostu Robert był tylko trochę leniwy.

Chociaż... na ile on zajmował się domem jako mąż Hjordis? Szczegóły zatarły mu się w pamięci, ale na pewno nie potrafił gotować, kiedy po rozwodzie zamieszkał sam.

– No to jak? – odezwała się Anna Maria. – Weźmiemy na siebie wietrzną wyprawę do ark, a wieś i schronisko zostawimy kolegom?

Sven Erik się zaśmiał.

– Mogą być arki, wieczór i tak już zepsuty.

Tak naprawdę nie było co psuć. Bo cóż Sven Erik robiłby w domu? Oglądałby telewizję. Może wpadłby do sąsiada, posiedzieć w saunie. Ciągle ta sama śpiewka.

– No – potwierdziła.

Chociaż ona odbierała to zupełnie inaczej. Ten sobotni wieczór wcale nie był zepsuty. Rycerz nie może spędzać całych dni na łonie rodziny, bo prędzej czy później zwariuje. Musi od czasu do czasu wyjść i przewietrzyć miecz, by później – zmęczony i syty przygód – wrócić do domu, do dzieci, które z pewnością zostawiły w salonie górę kartonów po pizzy i butelek po oranżadzie. Ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Bo właśnie tu i teraz życie było piękne. Przesłuchiwanie ewentualnych świadków w ciemności i na lodzie!

– Miejmy nadzieję, że była bezdzietna – odezwała się Anna Maria, zanim wyszli na wiatr.

Sven Erik nie odpowiedział. Trochę się zawstydził. O dzieciach nawet nie pomyślał. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to życzenie, by na tę martwą kobietę nie czekał nigdzie żaden kot.

LISTOPAD 2003

REBEKA MARTINSSON ZOSTAJE wypisana z kliniki psychiatrycznej szpitala St. Görana. Jedzie pociągiem do Kiruny. Teraz siedzi w taksówce, która zatrzymuje się przed babcinym domem w Kurravaarze.

Po śmierci babci jego właścicielami zostali Rebeka i wujek Affe. Szara eternitowa bryła tuż nad rzeką. Zniszczone linoleum pod nogami i róża wilgoci na ścianach.

Kiedyś dom pachniał starością, ale był zamieszkały. Nieustannie przeplatały się tu wonie mokrych gumowców, obory, jedzenia, pieczonego chleba i ciast. Zapach babci, dający poczucie bezpieczeństwa. I taty, oczywiście, kiedy tutaj mieszkał. Dzisiaj pokoje są opustoszałe i zatęchłe, a piwnica – wypełniona po brzegi szklaną watą, żeby nie ciągnęło od podłogi.

Taksówkarz wnosi do środka walizkę. Pyta, czy postawić ją na dole, czy na piętrze.

– Na górze – odpowiada Rebeka.

Właśnie na górze mieszkała z babcią.

Tato zajmował parter. Teraz, w osobliwie cichym i beczasowym śnie, spoczywają tu meble przykryte prześcieradłami. Wujek Affe i jego żona Inga Britt zrobili z parteru magazyn. Gromadzi się tu coraz więcej kartonów pełnych książek i ubrań. Stoją stare krzesła, które Inga Britt kupiła okazjnie jakiś czas temu i które kiedyś ma zamiar odnowić. Meble ojca ścieśniają się i przysuwają coraz bliżej do ścian.

Nie szkodzi, że teraz jest tu inaczej. Dla Rebeki mieszkanie na parterze wcale się nie zmieniło.

Tato nie żyje od wielu lat, ale przekraczając próg kuchni, Rebeka widzi go wyraźnie, siedzącego na ławie. Pora na śniadanie u babci. Usłyszawszy kroki

na schodach, ojciec błyskawicznie się podnosi. Ma na sobie flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę i granatowy polar marki Helly Hansen. Nogawki niebieskich ocieplanych spodni roboczych wpuścił w wysokie, grube skarpety, zrobione przez babcię na drutach. Na widok córki przesuwa szybko ręką po kilkudniowym zarostcie. Uśmiecha się. Powieki ma odrobinę zapuchnięte.

Teraz Rebeka dostrzega rzeczy, których wtedy nie widziała. A może widziała? Dłoń na zarosniętej brodzie to przecież gest zażenowania. Ale jakie to ma dla niej znaczenie? Że tato się nie goli? Że znów spał w ubraniu? Żadnego! On jest piękny, piękny, piękny.

I ta puszka na stole. Zużyta i zniszczona, od dawna nie zawiera piwa. Ojciec sączy z niej coś innego, woli jednak, by sąsiedzi myśleli, że to napój niskoalkoholowy.

Nigdy mnie to nie obchodziło, chce teraz powiedzieć Rebeka. To mama awanturowała się o takie rzeczy. Ja cię naprawdę kochałam, naprawdę!

Taksówkarz odjeżdża. Rebeka pali w kominku i podkręca termostaty przy kaloryferach.

Leży na plecach w kuchni na jednym z gałgankowych dywaników utkanych przez babcię. Podąża wzrokiem za muchą. Owad brzęczy głośno i z udręką. Leci jakby na oślep i obją się ciężko o sufit. Tak właśnie zachowują się muchy obudzone nagłym ciepłem. Te wydawane przez nie irytujące, przenikliwe dźwięki. Kiepski i ospały lot. Mucha ląduje na ścianie; wędruje niespiesznie i bez celu. Na nic nie reaguje. Rebeka prawdopodobnie mogłaby ją zabić dłonią. Żeby pozbyć się tego brzęczenia. Ale nie ma siły. Leży tylko i patrzy. Wkrótce mucha i tak umrze. Wtedy Rebeka zmiecie ją z podłogi.

GRUDZIEŃ 2003

DZISIAJ JEST WTOREK. W każdy wtorek Rebeka jedzie do miasta. Spotyka terapeutkę i wykupuje tygodniową dawkę citalopramu. Terapeutka ma mniej więcej czterdzieści lat. Rebeka stara się nią nie pogardzać. Nie potrafi – patrząc na jej buty – nie pomyśleć w duchu: tanie. Nie potrafi nie skomentować bezgłośnie jej źle leżącego żakietu.

Pogarda to jednak dość podstępny sprzymierzeniec. Nagle obraca się przeciw niej: a ty? Przecież nawet nie chodzisz do pracy!

Terapeutka prosi ją, by opowiedziała o swoim dzieciństwie.

– Po co? – pyta Rebeka. – Chyba nie dlatego tutaj jestem?

– A jak pani myśli, dlaczego pani tu jest?

Rebeka ma serdecznie dosyć tych fachowo zadawanych pytań. Patrzy na dywan, by ukryć wzrok.

Co mogłaby jej opowiedzieć? Najbliższe wydarzenie jest jak czerwony guzik. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, gdy ów guzik naciśniesz. Pamiętasz tylko, jak piłaś mleko, a później ni stąd, ni zowąd pojawia się cała reszta.

Nie mam zamiaru w tym grzęznąć, myśli, spoglądając ze wstrętem na paczuszkę chusteczek higienicznych, która zawsze leży w pogotowiu na stoliku obok.

Widzi siebie z zewnątrz. Nie potrafię pracować. Siedzę rano na zimnym sedesie i wyłuskuję tabletki z opakowania, w obawie przed tym, co mogłoby się stać, gdybym ich nie wzięła.

Wiele jest epitetów. Żenująca, śmieszna, żalosna, ohydna, obrzydliwa, obciążona, stuknięta, chora. Morderczyni.

Musi okazać terapeutce życzliwość. Przychyłność. Pokazać, że ma się coraz lepiej.

Nie chce wciąż być uciążliwą pacjentką.

Opowiem jej o czymś, postanawia. Następnym razem.

Mogłaby skłamać. Przecież nieraz mijała się z prawdą.

Mogłaby powiedzieć: moja mama. Myślę, że mama mnie nie kochała. W zasadzie to może wcale nie jest kłamstwo. Raczej część prawdy. Tylko że ta prawda kryje w sobie inną wielką prawdę.

Nie płakałam, kiedy umarła, przyznaje Rebeka w duchu. Miałam jedenaście lat, a w środku lód. To chyba jakaś wrodzona ułomność.

SYLWESTER 2003

REBEKA SPĘDZA SYLWESTRA w towarzystwie Belli, należącej do Sivvinga Fjällborga. Sivving to jej sąsiad. Przyjaźnił się z babcią, kiedy Rebeka była dzieckiem.

Zapytał Rebekę, czy nie chce z nim pojechać do rodziny jego córki Leny. Wykręciła się, on zaś nie nalegał. Zostawił jej za to psa. Zazwyczaj podróżuje z Bellą, ale tym razem stwierdził, że potrzebuje dla niej opiekunki na miejscu, choć tak naprawdę opieki wymaga bardziej Rebeka. To nie gra roli. Obie są zadowolone ze swojego towarzystwa.

Bella jest wyżlicą pełną werwy. Tak jak wszystkie wyżły uwielbia jeść i gdyby nie to, że bardzo dużo się rusza, niechybnie przypominałaby tłusty salceson. Sivving spuszcza ją ze smyczy, by wybiegała swoją nadpobudliwość po zamrożonej rzece. Czasami namawia też kilku mieszkańców wsi, żeby zabrali ją na polowanie. W domu suka bowiem drepcze tam i z powrotem, kręci się wokół człowieka, zwariować można! Na najmniejszy szmer zrywa się z posłania i zaczyna szczekać. Ale ten nieustanny ruch sprawia, że jest chuda jak patyk. Pod skórą wyraźnie widać żebra.

Leżenie to dla niej największa kara. Teraz jednak leży i chrapie na łóżku opiekunki. Rebeka spędziła ładnych parę godzin na nartach. Początkowo jechała wzdłuż rzeki, ciągnięta przez wyżlicę. Później puściła ją wolno. Bella biegała tam i z powrotem jak szalona, wzbijając tumany śniegu. Przez ostatnie kilometry, szczęśliwa, podążała śladami swojej tymczasowej pani.

Koło dziesiątej dzwoni telefon.

Słyszac głos Månsa Wenngrena, Rebeka odruchowo przeczesuje ręką włosy. Jak gdyby mógł ją zobaczyć.

Myślała o nim. Często. Prawdopodobnie dopytywał się o nią, kiedy leżała w szpitalu. Nie jest jednak pewna. Słabo to wszystko pamięta. Chyba powiedziała

wówczas pielęgniarsce oddziałowej, że nie chce z nim rozmawiać. Elektrowstrząsy sprawiły, że była trochę zdezorientowana. Szwankowała jej pamięć. Zachowywała się jak staruszka, która w ciągu pięciu minut wielokrotnie powtarza jedno i to samo. Nie chciała się wtedy z nikim kontaktować. A już na pewno nie ze swoim szefem. Nie mógł jej zobaczyć w takim stanie.

– Jak się masz? – pyta Måns.

– Dobrze – odpowiada Rebeka i czuje, jakby w środku miała jakieś pieprzone samogrające pianino. – A ty?

– Dobrze, kurde. Świetnie.

Teraz jej kolej. Usiłuje wymyślić coś sensownego, najlepiej do śmiechu, ale nic nie przychodzi jej do głowy.

– Siedzę w pokoju hotelowym w Barcelonie – odzywa się w końcu Måns.

– A ja siedzę z psem sąsiada i oglądam telewizję. Sąsiad pojechał na sylwestra do córki.

Måns nie odpowiada od razu. Mija sekunda. Rebeka nasłuchuje. Później będzie analizowała tę sekundę milczenia jak nastolatka. Czy coś się za tym kryło? Jeżeli tak, to co? Smuga zazdrości o nieznanomego sąsiada z psem?

– A co to za facet? – pyta Måns.

– Ee, to Sivving. Emeryt mieszkający w domu po drugiej stronie drogi.

Opowiada o nim. O tym, że mieszka z psem w kotłowni. Ponieważ tak jest prościej. Ma tam wszystko, czego potrzebuje: lodówkę, prysznic i kuchenkę elektryczną. I mniej kłopotu ze sprzątaniami, bo nie rozkłada rzeczy po całym domu. Opowiada też historię jego przezwiska. Tak naprawdę ma na imię Erik, tylko że kiedyś jego matka – w przypływie dumy – poleciła wpisać go do książki telefonicznej z tytułem magistra inżyniera: *civ. ing.* We wsi, w której nikt nie mógł się wyróżnić, oczywiście nie puszczono mu tego płazem. „Aha, to sam jaśniepan *civ.ing*”^[3] przychodzi z wizytą?”

Måns wybucha śmiechem. Rebeka mu wtóruje. Śmieją się trochę dłużej, niżby chcieli, chyba głównie dlatego, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. On pyta,

czy jest mroźno. Ona wstaje z ławy i patrzy na termometr.

– Trzydzieści dwa stopnie.

– O, kurwa!

Znów cisza. Odrobinę za długa. Później Måns odzywa się pospiesznie:

– Chciałem tylko życzyć ci szczęśliwego nowego roku i... W końcu ciągle jestem twoim szefem.

O co mu chodzi?, zastanawia się Rebeka. Dzwoni do wszystkich swoich podwładnych? Czy tylko do tych, o których wie, że nie mają własnego życia? A może naprawdę się o mnie troszczy?

– Nawzajem! Wszystkiego najlepszego w nowym roku! – odpowiada, a ponieważ te słowa brzmią jak formułka grzecznościowa, próbuje je wypowiedzieć szczególnie miękko.

– No, tak... Teraz chyba będę musiał popatrzeć trochę na fajerwerki...

– A ja powinnam wyjść z psem...

Gdy się rozłączają, Rebeka siedzi jeszcze jakiś czas z telefonem w ręce. Czy Måns pojechał do Barcelony sam? Mało prawdopodobne. Pod koniec jakby mu się spieszyło. Czy w tle nie słychać było trzasku drzwi? Czy ktoś nie wszedł do pokoju? Czy dlatego skończył tak niespodziewanie?

CZERWIEC 2004

CAŁE SZCZĘŚCIE, że Rebeka nigdy nie widziała, jak prokurator rejonowy Alf Björnfort żebrze o to, by ją zatrudnić. Powodowana dumą, prawdopodobnie odmówiłaby.

Po pracy Björnfort umawia się ze swoją szefową, Margaretą Huuvą, na wczesną kolację. Wybiera lokal, w którym na stolikach leżą prawdziwe lniane serwetki, a w wazonikach stoją świeże kwiaty.

Margaretę ogarnia pogodny nastrój; młody kelner nie dość, że wysuwa jej krzesło, to jeszcze obdarza ją komplementem.

Można by pomyśleć, że umówili się na randkę. Że spotkali się późno w życiu – oboje przekroczyli sześćdziesiątkę.

Margareta Huuva jest niewysoka i przy kości. Do twarzy jej w srebrnych, krótko przyciętych włosach. Kolor szminki współgra z różowym golfem, który założyła pod niebieski żakiet.

Siadając, Alf zauważa, że jego sztruksowe spodnie są potwornie wytarte na kolanach, a klapki nad kieszeniami marynarki – jak zwykle do połowy wciśnięte do wewnątrz. Tylko zawadzają, gdy wkłada się coś do środka.

– Nie pakuj tam tyle rupieci! – zwykła upominać go córka, próbując wygładzić wymięte klapki.

Margareta Huuva prosi Alfa, by jej wytłumaczył, dlaczego chce zatrudnić Rebekeę Martinsson.

– Potrzebuję w rejonie kogoś, kto zna się na przestępczości gospodarczej – zaczyna mężczyzna. – LKAB^[4] zleca coraz więcej prac podwykonawcom, powstaje tu coraz więcej firm, i z całą pewnością będziemy też mieli więcej afer gospodarczych.

Jeżeli uda się nam zwabić Martinsson, za przystępną cenę dostaniemy naprawdę zdolną prawniczkę. Zanim się tu przeprowadziła, pracowała w jednej z najlepszych firm adwokackich w kraju.

– Chcesz powiedzieć: zanim zachorowała psychicznie? – odparła szorstko Margareta. – Co jej się tak naprawdę przydarzyło?

– Nie było mnie tu wtedy, ale wiem, że zabiła trzech mężczyzn w Jiekajärvi, ponad dwa lata temu. To była bezspornie obrona konieczna, oskarżenie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Taa... i kiedy w końcu zaczęła dochodzić do siebie, wydarzyła się ta tragedia w Poikkijärvi. Lars Gunnar Vinsa zamknął ją w piwnicy, a później zastrzelił syna i siebie. Kiedy zobaczyła chłopca, coś w niej pękło.

– Leczone ją na oddziale zamkniętym?

– Tak. Wtedy nie wiedziała, gdzie góra, a gdzie dół.

Alf milknie i przypomina sobie, co opowiedzieli mu komisarze Mella i Stålnacke. Rebeka Martinsson krzyczała jak opętana. Widziała nieistniejące zjawiska i ludzi, których nie było. Policjanci musieli ją trzymać, żeby nie weszła do rzeki.

– I właśnie jej – według ciebie – mam powierzyć stanowisko asesora prokuratury?

– Przecież wyzdrowiała. Taka okazja już nigdy się nie powtórzy. Gdyby jej się to nie przydarzyło, siedziałaby w Sztokholmie i zarabiała bajonńskie sumy. Tylko że teraz przeprowadziła się w rodzinne strony. Mam wrażenie, że nie chce wrócić do firmy adwokackiej.

– Calle von Post twierdzi, że jako obrońca Sanny Strandgård nieszczególnie się popisała.

– Ależ ona zamiała nim podłogę, to dlatego! Nie słuchaj go! Przecież ten cholerny bubek myśli, że każdego ranka słońce wschodzi spod jego dupy!

Margareta spogląda z uśmiechem w talerz. Ona nie ma problemów z Carlem von Postem, ponieważ to typ człowieka, który zawsze jest miły wobec przełożonych. Choć, oczywiście, w gruncie rzeczy to nadęty i zarozumiały gnojek; nie jest głupia, rozumie to.

– Sześć miesięcy. A później zobaczymy.

Prokurator Björnfort jęczy.

– Nie, nie. Ona jest adwokatką i zarabia ponad dwa razy więcej niż ja. Nie mogę jej zaproponować zatrudnienia na okres próbny.

– Adwokatka czy nie, teraz być może nie poradziłaby sobie nawet z sortowaniem owoców w supermarkecie. Zatrudnienie na okres próbny i basta!

Decyzja została podjęta. Alf i Margareta przechodzą do miłszych tematów. Wymieniają plotki o kolegach, policjantach, sędziach i lokalnych politykach.

Tydzień później prokurator rejonowy Alf Björnfort siedzi z Rebeką na schodach domu w Kurravaarze.

Jaskółki przecinają niebo jak noże rzucane w powietrze. Furkocząc, nurkują pod dachem stodoły. I znów w górę. Słysząc nawołujące piski ich młodych.

Rebeka spogląda na gościa. Mężczyzna koło sześćdziesiątki, brzydkie spodnie, na szyi okulary do czytania na rzemyku. Sprawia sympatyczne wrażenie. Ciekawe, czy jest dobry w swoim zawodzie.

Piją kawę z kubków i jedzą herbatniki Digestive prosto z opakowania. Björnfort przyszedł tutaj, żeby zaproponować jej stanowisko asesora prokuratury.

– Potrzebuję kogoś zdolnego – mówi po prostu. – Kogoś, kto tu zostanie.

Słuchając jej odpowiedzi, przymyka oczy i zwraca twarz ku słońcu. Przez resztki włosów na czaszce prześwitują plamy wątrobowe.

– Nie wiem, czy poradzę sobie z tego typu pracą. Nie ufam swojej głowie.

– Ale przecież grzechem byłoby nie spróbować! – przekonuje Alf, nie otwierając oczu. – Niech pani weźmie tę pracę na próbę, na sześć miesięcy. Jeżeli nie wypali, to trudno.

– Wie pan, że zwariowałam?

– Tak, znam policjantów, którzy panią znaleźli.

Znów jej przypomniano, że bywa tematem rozmów.

Björnfort ciągle ma zamknięte oczy. Myśli o tym, co właśnie powiedział. Powinien

był wyrazić się inaczej? Nie, z tą dziewczyną trzeba prosto z mostu, to się wyraźnie czuje.

– To oni powiedzieli panu, że się tu przeprowadziłam?

– Tak, jeden z policjantów ma kuzyna, który mieszka w Kurravaarze.

Rebeka zanosi się suchym, smutnym śmiechem.

– Wygląda na to, że tylko ja o nikim nic nie wiem. Wtedy... Wtedy przepełniła się miara – dodaje po chwili. – Nalle leżał martwy na ziemi. Zdążyłam go naprawdę polubić. A jego ojciec... Myślałam, że mnie zabije.

Björmfot mruczy coś w odpowiedzi. Ciągłe z zamkniętymi oczyma. Rebeka wykorzystuje okazję i obserwuje go bez skrępowania. Łatwiej się rozmawia, kiedy on na nią nie patrzy.

– To taka rzecz, o jakiej myślimy, że nigdy nam się nie przytrafi. Na początku się bałam, że to się może powtórzyć. I że już nigdy z tego nie wyjdę, że do końca życia będę żyła w jakimś potwornym śnie.

– Ciągłe jeszcze pani się boi? Że to może wrócić?

– W każdej chwili? O to panu chodzi? Człowiek przechodzi przez ulicę i wtem... siuuff!

Zaciska dłoń i rozcapierza ją gwałtownie, jakby ilustrując fajerwerki szaleństwa.

– Nie. Szaleństwo było mi wtedy niezbędne, bo rzeczywistość okazała się nie do zniesienia.

– W każdym razie mnie to nie przeszkadza – odpowiada prokurator, spoglądając w końcu na Rebeke. – Potrzebuję zdolnych pracowników.

Milknie. Po chwili znów zaczyna mówić. Dużo później, przypominając sobie jego słowa, Rebeka pomyśli, że Björmfot doskonale wiedział, co robi i jak ma ją traktować. Odkryje, że ten mężczyzna zna się na ludziach.

– Chociaż, oczywiście, rozumiem pani wahanie. Obejmując stanowisko w Kirunie, człowiek skazuje się na pracę w pojedynkę. Pozostali prokuratorzy siedzą w Gällivare i Luleå, pojawiają się tu tylko na posiedzeniach sądu. Chcielibyśmy, żeby pani wzięła

prawie wszystkie wokandy. Raz w tygodniu przyjdzie do pani sekretarka, żeby ekspediować pozwą i pozostałą pocztę. To zrozumiałe, że może się pani poczuć wyizolowana.

Rebeka obiecuje rozważyć propozycję. Decydująca jest jednak praca w pojedynkę. Nie mieć wokół siebie ludzi! Właśnie to oraz fakt, że tydzień wcześniej zadzwoniła do niej urzędniczka z kasy ubezpieczeniowej i opowiedziała o formach wsparcia dla osób powracających do pracy po długiej nieobecności. Na samą myśl, że razem z grupą chronicznie zmęczonych, wypalonych nieszczęśliwców będzie musiała zaliczyć szkolenie z obsługi komputera albo ukończyć kurs pozytywnego myślenia, Rebeka poczuła się chora ze strachu.

– Koniec taryfy ulgowej – mówi wieczorem Sivvingowi. – Równie dobrze mogę spróbować sił w prokuraturze.

Sivving stoi przy piecu i przewraca plasterki kiszki na patelni.

– Nie dawaj psu chleba pod stołem – upomina. – Przecież widzę. A co z adwokaturą?

– Nigdy więcej.

Rebeka myśli o Månsie. Będzie musiała złożyć wypowiedzenie. W pewnym sensie odetchnie z ulgą. Od dłuższego czasu czuła się ciężarem dla biura. Tylko że wtedy Måns zniknie już na zawsze.

Dobrze na tym wyjdę, przekonuje samą siebie. Już widzę, jak by wyglądało nasze wspólne życie. Kiedy śpi, przeszukuję mu kieszenie w pogoni za kwitkami, żeby sprawdzić, czy znów nie balował w knajpie. Jak to się mówi? Odstraszają mnie ślady... No i czy można mieć jeszcze bardziej spaprane relacje z bliskimi? Kiepski kontakt z dorosłymi dziećmi. Rozwiedziony. Wyłącznie krótkie, niezobowiązujące flirty.

Rebeka wymienia jego wady. Ale to nic nie pomaga.

Kiedy u niego pracowała, zdarzało się, że jej dotykał. „Dobra robota, Martinsson!” – i dotyk. Dłoń obejmująca ramię. Raz nawet musnął jej włosy.

Muszę przestać o nim myśleć, napomina siebie. Przecież to cholernie ogłupiające.

Całą głowę okupuje jeden facet, jego ręce, usta i przód, i tył, i tak dalej. Miesiącami człowiek nie pomyśli o niczym sensownym.

NIEDZIELA, 16 MARCA 2005

MARTWA KOBIETA przyplłynęła w ciemności do komisarz Melli. Żeglowała w powietrzu, jakby uniesiona w górę za pomocą pałeczki czarnoksiężnika, na plecach, z rękami wzdłuż tułowia.

Kim jesteś?, zapytała w duchu Anna Maria.

Biała cera i oczy z mrożonego szkła nadawały zmarłej wygląd rzeźby. Rysy przywodziły na myśl antyczną marmurową postać. Czoło wraz z nosem osadzonym wysoko między brwiami tworzyły w profilu nieprzerwaną linię.

Gustav, trzyletni syn policjantki, poruszył się we śnie i wymierzył mamie serię kopniaków. Anna Maria chwyciła niewielkie, choć umięśnione ciało i zręcznie położyła je na drugi bok. Chłopiec leżał teraz zwrócony do niej plecami i pupą. Zaczęła gładzić go po brzuchu, wcisnęła nos w spocone włosy i pocałowała w główkę. Małuch westchnął przez sen, zadowolony.

Małe szkraby dostarczają tylu cudownych doznań! Tylko że strasznie szybko wyrastają z przytulanki i pieszczoty. Anna Maria pomyślała z niepokojem o niedalekiej przyszłości. Jak to będzie, kiedy w domu zabraknie dzieci? Najprawdopodobniej urodzą jej się wnuki. Zawsze można mieć nadzieję, że Marcus, najstarszy syn, założy rodzinę dość wcześnie.

A w razie potrzeby jest przecież Robert, pomyślała, uśmiechając się do śpiącego męża. Dobrze mieć ciągle tego samego faceta. Niezależnie od tego, jak bardzo się pomarszcze i zwiotczeje, on ciągle będzie we mnie widział dziewczynę, którą poznał u zarania dziejów.

Albo sprawię sobie gromadkę psów, ciągnęła swoje rozważania. Będą spały w łóżku z brudnymi łapami, kapiącymi siusiakami i Bóg wie czym jeszcze.

Zostawiła Gustava w spokoju, sięgnęła po komórkę, spojrzała na zegarek – wpół do piątej.

Palił ją policzek, chyba go trochę odmroziła poprzedniego wieczoru, kiedy ze Svenem Erikiem szukali świadków zdarzeń na lodzie. Żaden z mężczyzn łowiących w pobliżu ryby nic nie zauważył. Jej koledzy przepytali osoby przebywające w stacji turystycznej; obudzili śpiących już narciarzy, przetrzymali gości w pubie. Nikt nie potrafił nic powiedzieć o zmarłej. Odnaleziono właścicieli arki, w której leżała zamordowana. Szczerze wstrząśnięci, nie rozpoznali jej na zdjęciu.

Anna Maria rozpatrywała hipotetyczne scenariusze. Jasne, zawsze można wyskoczyć z domu z makijażem na twarzy i pobiegać sobie po lodzie wzdłuż śladów skutera. Tylko... A może biegła szosą prowadzącą do Norwegii? Zatrzymuje się jakiś samochód. Za kierownicą siedzi ktoś znajomy. Pyta, czy jej nie podwieźć. Co później? Kobieta wsiada do środka i obrywa w głowę? A może przystaje na wspólną kąpiel w saunie, broni się przed gwałtem, sprawca godzi w nią nożem?

Albo spotyka nieznanego. Biegnie szosą norweską. Wyprzedza ją mężczyzna w samochodzie. Zawraca trochę dalej. Może nawet umyślnie ją potrąca i wciąga do środka, wtedy łatwiej mu zdominować ofiarę. Na horyzoncie ani żywej duszy. Sprawca zawozi ją do domku...

Anna Maria odwróciła poduszkę na drugą stronę, z nadzieją, że zdoła ponownie zasnąć.

A może nikt jej nie zgwałcił?, pomyślała po chwili. Biegła śladem skutera. Natknęła się na jakiegoś oszołoma naszpikowanego dragami i z nożem w kieszeni. Wszędzie takich pełno. Na zamrzniętych jeziorach też. Zmora wszystkich kobiet: stanąć na drodze niewłaściwego człowieka właśnie wtedy, gdy wybucha w nim szaleństwo.

Przestań!, skarciła się w myślach. Żadnych gotowców pod czaszką, zanim nie zdobędziesz choć minimum informacji.

Musi porozmawiać z lekarzem sądowym, Larsem Pohjanenem. Wczoraj wieczorem przyjechał z Luleå. Ciekawe, czy dało się coś zrobić z tym przemrożonym ciałem.

Bez sensu tak leżeć w łóżku. Po co właściwie miała zasypiać? Przecież nawet nie

była zmęczona. Jej komórki mózgowy pompowały adrenalinę, namawiając do intelektualnej zabawy.

Była przyzwyczajona do wstawania po ciemku. Ubrała się szybko i bezgłośnie.

PIĘĆ MINUT PO PIĄTEJ Anna Maria Mella zaparkowała czerwonego forda escorta przed szpitalem. Strażnik wpuścił ją do podziemnego korytarza. Szumiące przewody wentylacyjne pod sufitem. Opustoszałe przejścia. Zniszczona plastikowa podłoga i odgłos otwierających się automatycznie drzwi. Ze świstem przemknął na hulajnodze mężczyzna z działu transportu. Poza tym cisza i spokój.

W sali sekcyjnej światła były zgaszone, ale w palarni, na wyskubanej sofie pamiętającej lata siedemdziesiąte, spał ordynator Lars Pohjanen. Anna Maria właśnie tam miała nadzieję go znaleźć. Leżał odwrócony do niej plecami; jego wątłe ciało wznosiło się i opadało z mozołem, jak gdyby każdy oddech sprawiał mu trudność. Kilka lat temu przeszedł operację z powodu raka płuc. Technik Anna Granlund brała na siebie coraz więcej jego obowiązków. Otwierała dla Larsa klatki piersiowe, wyjmowała organy, zaszywała brzuchy, nosiła mu teczkę, odbierała telefony, dopuszczała do niego tylko najważniejszych rozmówców (czyli w zasadzie wyłącznie panią Pohjanen), utrzymywała salę sekcyjną w perfekcyjnym porządku, dbała o czystość fartucha lekarskiego swego szefa i przepisywała większość jego raportów.

Przy sofie stały żałośnie schodzone drewniaki, równiutko, jeden obok drugiego. Kiedyś były białe. W wyobraźni policjantki Anna Granlund przed pójściem do domu przykrywa ordynatora polarowym kocem w kratkę, wyjmując mu papierosa z ust, ustawia buty i w końcu gasi lampę.

Anna Maria ściągnęła wierzchnie okrycie i usiadła w fotelu równie starym jak sofa. Trzydziestoletni brud i smród papierosów, pomyślała, przykrywając się kurtką jak koldrą. Milutko!

Zasnęła natychmiast.

Pół godziny później obudził ją kaszel Pohjanena. Lekarz siedział na skraju kanapy, pochylony do przodu, i sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał wypluć na kolana

połowę płuca.

Nagle Anna Maria poczuła się potwornie głupio. Wkradła się do środka i spała w tym samym pomieszczeniu co Lars. To prawie tak, jakby cichaczem weszła do jego sypialni i położyła się obok niego w łóżku.

A on, podtrzymywany przez kostuchę za ramiona, odprawiał właśnie rytuał porannego odkasływania. Widok przeznaczony nie dla wszystkich. Z pewnością będzie na mnie zły, pomyślała. Po jakiego grzyba tu przyszłam? Atak kaszlu zakończył się męczącym pochrząkiwaniem. Ręka automatycznie poklepała kieszonkę fartucha, by się upewnić, że spoczywa tam paczka papierosów.

– O co ci chodzi? Nawet jeszcze nie ruszyłem tej kobiety. Kiedy ją tu przywieźli wczoraj wieczorem, była zamrożona na kość.

– Musiałam znaleźć jakieś legowisko. W domu pełno dzieci, które rozwalają się w poprzek łóżka, kopią i nie dają spać.

Pohjanen rzucił jej krótkie spojrzenie, mimo wszystko rozbawiony.

– A Robert puszcza bąki przez sen – dodała.

Lekarz prychnął; nie przyznał się, że zdołała go oblaskawić. Wstał i skinął na nią głową.

Technik Anna Granlund właśnie przyszła do pracy. Stała w brudowniku i opróżniała zmywarkę jak pierwsza lepsza gospodyni domowa, z tą różnicą, że zamiast sztućców i talerzy wyjmowała noże, cęgi, pęsety, skalpele i miski z nierdzewnej stali.

– Z niej to takie *hätähouso* – zwrócił się do asystentki Pohjanen, wskazując na policjantkę.

– Zestresowane spodnie, czyli w gorącej wodzie kąpana – wyjaśnił, widząc, że Anna nie rozumie.

Technik obdarzyła komisarz Mellę powściągliwym uśmiechem. Lubiała ją, ale nikt, cholera jasna, nie powinien stresować jej szefa.

– Odtajała? – zapytał Pohjanen.

– Nie całkiem – odparła Granlund.

– Wpadnij po południu, to dostaniesz wstępny raport – zaproponował policjantce lekarz. – Jedne analizy potrważą trochę dłużej, drugie krócej, jak zawsze.

– Nie możesz czegoś powiedzieć już teraz? – spytała Anna Maria, starając się, by nie zabrzmieć jak jakieś *hätähou*.

Pohjanen pokręcił głową. Wyglądało na to, że jeśli chodzi o komisarz Mellę, już dawno się poddał.

– No to chodź, zobaczmy.

Kobieta leżała na sekcyjnym stole. Anna Maria zanotowała, że ciecz wydobywająca się z ciała spływa do kratki ściekowej w podłodze. I tak razem z wodą pitną...?, pomyślała.

Pohjanen dostrzegł jej spojrzenie.

– Rozmraża się – wyjaśnił – Trudno ją będzie zbadać, to oczywiste. Ściany komórkowe pękają, tkanka mięśniowa ulega zniszczeniu.

Wskazał na klatkę piersiową kobiety.

– Tutaj mamy wejście rany. Zgaduję, że właśnie to ją uśmierciło.

– Nóż?

– Nie, nie. Coś okrągłego, najprawdopodobniej ze szpicem.

– Jakieś narzędzie? Szydło?

Pohjanen wzruszył ramionami.

– Musisz poczekać – powiedział – Ale wygląda na to, że morderca wycelował perfekcyjnie. Widzisz, jak stosunkowo mało krwawiła? Narzędzie prawdopodobnie przebiło część chrzęstną żeber i trafiło prosto w serce, gdzie doszło do tamponady.

– Tamponady?

Pohjanen znów był szorstki.

– No chyba przecież czegoś się nauczyłaś przez te wszystkie lata? Jeśli krew nie wypłynęła z ciała, to gdzieś musiała się podziać, prawda? No, najprawdopodobniej wypełniła worek osierdziowy i w końcu uniemożliwiła sercu pracę. To idzie piorunem. Dość szybko spada ciśnienie, co sprawia, że nie krwawisz szczególnie obficie. Ale

możemy też mieć do czynienia z krwiakiem opłucnej. Litr krwi w nieodpowiednim miejscu, i dobranoc! Poza tym użyto jednak dłuższego narzędzia niż sztychło, wyjście rany znajduje się na plecach.

– A więc coś ją przeszło na wylot! Kurza dupa!

– Dalej. Żadnych śladów gwałtu, popatrz.

Lekarz oświetlił latarką nogi i krocze zmarłej.

– Żadnych zasinień, żadnych zadrapań. Ale uderzono ją w twarz, tu i... zobacz, krew w jamie nosowej i nieznaczna opuchlizna nosa; ktoś wytarł krew z górnej wargi. Nikt jej nie próbował dusić, nie widać też żadnych oznak zniewolenia wokół nadgarstków. Za to te ślady są bardzo dziwne...

Lekarz wskazał zgrubienie kości nad stopą.

– Co to jest? – spytała Anna Maria. – Oparzelina?

– Tak, skóra jest najwyraźniej poparzona. Rana opasuje całą kostkę. I jeszcze jedna rzecz warta uwagi.

– Tak?

– Język. Jest kompletnie pogryziony. To dość częste na przykład w poważnych wypadkach samochodowych. Przy tego typu wstrząsie... Ale jeśli chodzi o broń sieczną, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Jeżeli faktycznie doszło do tamponady i kobieta zmarła dość szybko... to tym bardziej zagadkowe.

– Mogę zobaczyć? – poprosiła Anna Maria.

– Normalnie miazga, jak mięso mielone – skomentowała Anna Granlund, wieszając czyste ręczniki przy umywalce. – Idę zaparzyć kawy, napijcie się?

Anna Maria i Lars odpowiedzieli jednocześnie: „tak”, zaglądając zmarłej w usta. Lekarz przyświecał latarką.

– Faj! – wzdrygnęła się Anna Maria. – Więc może jednak nie umarła od tego pchnięcia w serce? Ale w takim razie: od czego?

– Być może będę umiał na to odpowiedzieć już po południu. Śmiem twierdzić, że ukłucie było śmiertelne. Ale gdy próbowałem ustalić przebieg wydarzeń, popadłem w

zakłopotanie. Popatrz tutaj.

Odwrócił rękę kobiety.

– To też może być oznaka wstrząsu. Widzisz te ślady? Widocznie zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę.

Pohjanen stał z ręką zmarłej w dłoni i uśmiechał się do siebie.

Dlatego lubię z nim pracować, pomyślała Anna Maria. Ponieważ on ciągle uważa tę robotę za cholernie ciekawą. Im trudniejsza i bardziej skomplikowana zagadka, tym lepiej.

Uświadomiła sobie, nie bez poczucia winy, że porównuje go ze Svenem Erikiem. Tylko że Sven Erik naprawdę zgnuśniał, broniła się. Cóż mogę na to poradzić? Wystarczy, że muszę wzbudzać entuzjazm w swoich dzieciach.

Pili kawę w palarni. Pohjanen wyjął papierosa, udając, że nie widzi spojrzenia asystentki.

– Dziwne to z tym językiem – odezwała się Anna Maria. – Często dochodzi do tego na skutek szoku, mówisz? No i ta niejasna oparzelina wokół kostki... Ale pchnięcie spowodowało przebicie ubrania, więc miała je na sobie, kiedy ją zamordowano?

– Chociaż nie sądzę, żeby w nim trenowała na dworze – wtrąciła Anna Granlund. – Widziałś jej biustonosz?

– Nie.

– Maksymalny luksus. Koronki i fiszbiny. Aubade to piekielnie droga marka.

– Skąd wiesz?

– Kiedyś człowiek pozwalał sobie od czasu do czasu na takie ekstrawagancje, gdy jeszcze miał nadzieję...

– Czyli to raczej nie do końca sportowy biustonosz?

– Zdecydowanie nie!

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, kim ona jest! – westchnęła policjantka.

– Twarz wydaje mi się w jakiś sposób znajoma – odparła Anna.

Komisarz Mella wyprostowała się.

– Sven Erik powiedział to samo! Spróbuj sobie przypomnieć! Konsum? Dentysta? Big Brother?

Anna Granlund w zamyśleniu pokręciła głową.

Lars Pohjanen zgasił papierosa.

– Teraz możesz sobie iść i poprzekadzać komuś innemu – powiedział. – Otworzę ją dzisiaj, trochę później. Zobaczymy, czy coś nam się wyjaśni w sprawie tej obrączki wokół kostki.

– A komu mam przekadzać? – spytała Anna Maria ze skargą w głosie. – Jest za dwadzieścia siódma rano, niedziela. Przecież tylko wy jesteście na nogach.

– No to wspaniale – zauważył sucho Pohjanen. – Będiesz miała przyjemność ich wszystkich obudzić.

– Jasne – odparła Anna Maria z powagą. – Obudzę ich wszystkich.

PROKURATOR REJONOWY ALF BJÖRNFOT otrzepał śnieg z butów i dokładnie wytarł podeszwy, zanim wszedł do komendy policji. Trzy lata temu mu się spieszyło, poślizgnął się w korytarzu na oblodzonych obcasach i dotkliwie stłukł biodro. Później przez tydzień zażywał środki przeciwbólowe.

Oznaka starości, pomyślał. Człowiek się boi, że upadnie.

Nie miał zwyczaju pracować w weekendy. A już na pewno nie w tak wczesne niedzielne poranki. Ale kiedy komisarz Mella zadzwoniła poprzedniego wieczoru z informacją o martwej kobiecie w arce, poprosił ją, by już następnego dnia zdała mu dłuższy raport.

Prokuratura mieściła się na pierwszym piętrze komendy policji. Prokurator spojrział na schody i z poczuciem winy wcisnął guzik windy.

Mijając pokój Rebeki Martinsson, odniósł wrażenie, że ktoś tam jest. Zamiast pójść dalej do swojego gabinetu, zawrócił, zapukał do jej drzwi i nacisnął klamkę.

Rebeka spojrzała na niego zza biurka.

Musiała mnie słyszeć w windzie i na korytarzu, pomyślał. Ale nie przyznała się, że tu jest. Siedzi cicho jak myszka, z nadzieją, że pozostanie niezauważona.

Nie sądził, że Rebeka go nie lubi. Potrafiła być towarzyska, choć uchodziła raczej za samotniczkę. Przypuszczał, że nie chciała się afiszować z tym, jak dużo pracuje.

– Jest siódma – oznajmił, wchodząc do środka.

Zdjął stos akt leżących na krześle dla petentów i usiadł.

– Hej! Wejdz, proszę, rozgość się.

– Jasne, jasne. Wiesz... tutaj pracujemy przy otwartych drzwiach. Jest niedziela rano. Zamieszkałaś w tym budynku?

– Owszem. Napijesz się kawy? Mam własną, w termosie, zamiast tych ścieków z rudy żelaza, które dają w automacie.

Nalała mu trochę do kubka.

Kiedy zatrudnił Reбекę na stanowisku asesora prokuratury, bez wątpienia rzucił ją na głęboką wodę. Ta kobieta nie należała do osób, które zaczynają niespiesznie, tygodniami wdrażając się pod czyimś okiem; zrozumiał to już pierwszego dnia. Pojechali do Gällivare, sto kilometrów na południe, gdzie pracują pozostali prokuratorzy w rejonie. Obeszła grzecznie całą siedzibę prokuratury i przywitała się ze wszystkimi; sprawiała jednak wrażenie osoby, która czuje się nieswojo i nie może sobie znaleźć miejsca.

Na drugi dzień zasypał ją stosem akt.

– Drobne sprawy – powiedział. – Pisz akty oskarżenia, a resztę formalności zostaw dziewczynom z sekretariatu. Jeśli coś będzie niejasne, pytaj.

Myślał, że dostarczył jej roboty na tydzień.

Następnego dnia poprosiła go o kolejne zadania.

Tempo pracy asesor wzbudziło niepokój w urzędzie.

Koledzy pytali ją żartem, czy zamierza zrobić z nich bezrobotnych. Później za plecami komentowali jej przypuszczalnie nędzne życie, zwłaszcza seksualne.

Panie w sekretariacie poczuły się zestresowane. Wyjaśniły szefowi, że ta nowa nie

może liczyć na błyskawiczne ekspediowanie takiej liczby pozwów. Mają przecież jeszcze inne zajęcia.

– Jakie zajęcia? – spytała Rebeka, kiedy Björnfort tak delikatnie, jak potrafił, wyłuszczył jej sprawę. – Surfowanie po sieci? Układanie pasjansów na komputerze?

Podniosła rękę, zanim prokurator rejonowy zdążył otworzyć usta, by odpowiedzieć.

– Okej. Zrobię porządek w aktach i sama wyślę to, co trzeba.

Björnfort nie protestował. Rebeka została własną sekretarką.

– Może to i dobrze – powiedział kierownicze sekretariatu. – Nie będziecie musiały jeździć tak często do Kiruny.

Kierowniczka była innego zdania. Trudno było bowiem uchodzić za niezastąpioną, skoro wyszło na jaw, że tak łatwo obyć się bez sekretarki. Zrewanżowała się, przydzielając Rebecę trzy rozprawy tygodniowo. Już dwie były poważnym obciążeniem.

Rebeka się nie użalała.

Alf Björnfort nie lubił konfliktów. Wiedział, że rejonem rządzą kobiety pod wodzą kierowniczkę sekretariatu. Doceniał to, że Rebeka nie narzeka i że coraz częściej wynajduje powody, by pracować w Kirunie, a nie w Gällivare.

Muskał kubek. Rzeczywiście bardzo smaczna kawa.

Jednocześnie nie chciał, żeby Martinsson zapracowała się na śmierć. Chciał, żeby dobrze się tu czuła. Żeby została.

– Dużo pracujesz – powiedział.

Rebeka westchnęła i odsunęła krzesło. Zrzuciła buty z nóg.

– Jestem do tego przyzwyczajona. Nie musisz się obawiać. To nie nadmiar pracy był moim problemem.

– Wiem, ale...

– Nie mam dzieci. Nie mam rodziny. Nie mam w domu nawet kwiatów. Lubię dużo pracować. Pozwól mi to robić.

Björnfot wzruszył ramionami. Poczł ulgę. W każdym razie podjął próbę.

Rebeka wypila łyk kawy i pomyślała o Månsie Wenngrenie. W jego biurze harowała jak wół. Nie przeszkadzało jej to, bo przecież nie miała nic innego do roboty.

Na dobrą sprawę zachowywałam się niezbyt mądrze, uświadomiła sobie. Mogłam pracować całą noc za jego skąpe: „dobra robota” albo choćby za jedno skinienie głowy.

Przestań o nim myśleć!, upomniała się natychmiast.

– A co ty tu dzisiaj robisz? – zapytała.

Alf Björnfot opowiedział o kobiecie znalezionej w arce.

– Mnie się to wcale nie wydaje dziwne, że nie zgłoszono jej zaginięcia – odparła. – Jeżeli jakiś facet zabił swoją kobietę, to teraz pije na umór, użala się nad sobą i płacze. A nikt inny jeszcze nie zauważył jej nieobecności.

– Oczywiście, to też możliwe.

Ktoś zapukał do drzwi i sekundę później komisarz Anna Maria Mella wetknęła głowę do środka.

– A, tutaj jesteście! – zwróciła się radośnie do prokuratora. – Zaraz będziemy omawiać sprawę. Wszyscy są na miejscu. Posłuchasz?

To pytanie skierowała do Rebeki, która tylko pokręciła głową. Od czasu do czasu wpadały na siebie, mówiły: „cześć – cześć”, ale rzadko coś więcej. To właśnie Anna Maria i Sven Erik Stålnacke byli świadkami obłądu Rebeki. On trzymał ją, dopóki nie przyjechała karetka pogotowia. Czasami o tym myślała. Że ktoś ją trzymał i nie pozwolił odejść. Bardzo miłe uczucie.

Ale trudno jej się z nimi rozmawiało. Co miała powiedzieć? Zawsze gdy zbierała się do domu, patrzyła przez okno na parking. Widząc tam znajomych komisarzy, zwlekała z wyjściem i czekała, aż znikną.

– Coś nowego? – zapytał prokurator.

– Nic od czasu naszej ostatniej rozmowy – odrzekła Anna Maria. – Nikt nic nie

widział. Ciągłe nie wiemy, kim ona jest.

– Czy mogę jej się przyjrzeć?

Alf Björnfort wyciągnął rękę, komisarz Mella podała mu fotografię zmarłej kobiety.

– Mam wrażenie, że skądś ją znam – powiedział.

– Mogę? – spytała Rebeka.

Prokurator przekazał jej zdjęcie, nie odrywając od niej wzroku.

Miała na sobie dzinsy i sweter. Nigdy nie widział jej tak ubranej, odkąd zaczęła tu pracować. Dlatego że była niedziela. Na co dzień spinała włosy i wkładała doskonale skrojone garsonki. W myślach nazywał ją obcym ptakiem. Niektórzy jego koledzy i koleżanki ubierali się elegancko na rozprawy, on pod tym względem już dawno dał za wygraną. Zadowalał się dyżurną marynarką, prasował tylko kołnierzyk, a resztę koszuli ukrywał pod swetrem.

Rebeka w jakiś niewytłumaczalny sposób zawsze wyglądała drogo. Drogo, a jednocześnie bardzo prosto, w tych swoich szarych czy czarnych żakietach i białych bluzkach.

Coś w nim drgnęło. Zmarła kobieta. Nagle zobaczył ją w eleganckiej garsonce.

– Nie, nie znam jej – powiedziała Rebeka.

Takiej, jaką nosiła Rebeka. Biała koszulowa bluzka i wykwinny żakiet. Zamordowana też była obcym ptakiem.

Wyróżniała się wśród innych.

Jakich innych?

W głowie wyświetlił mu się obraz działaczki politycznej. Garsonka i wyłożony kołnierzyk bluzki. Jasny paż. Otoczona mężczyznami w garniturach.

Myśl czaiła się jak szczupak w szuwarach. Wyczuwała wibracje czegoś, co się zbliża. Unia Europejska? ONZ?

Nie. Nie zajmowała się polityką.

– Teraz sobie przypominam – odezwał się w końcu. – Widziałem ją, gdy mignęła w wiadomościach. Filmowano grupkę facetów w garniturach, ustawionych jak

do zbiorowego zdjęcia, w śniegu, w Kirunie. O co tam, kurde, chodziło? Pamiętam, że mnie rozśmieszyli, bo wszyscy byli stanowczo za lekko ubrani. Żadnych płaszczy. Lekkie, czarne buty. Stali w tym śniegu i co chwila podnosili nogi, jak stado bocianów. Wyglądali naprawdę zabawnie. Ta kobieta też tam była...

Stuknął się kilka razy w czoło, jakby z nadzieją, że niewidzialna moneta wpadnie w odpowiedni rowek maszynerii i przyniesie wygraną.

Rebeka i Anna Maria czekały cierpliwie.

– Już wiem! – wykrzyknął, prztykając palcami. – Chodziło o jakiegoś byłego mieszkańca Kiruny, który jest właścicielem jednej z tych nowych spółek wydobywczych. Mieli tu walne zebranie czy coś takiego... No nie, mózgownica kompletnie mi się zatkała.

– Przypomnijcie mi, proszę! – zwrócił się o pomoc do kobiet. – To było w wiadomościach przed świętami.

– Ja zasypiam przed telewizorem w czasie dobranocki – przyznała się Anna Maria.

– Eh! – westchnął prokurator. – Zapytam Freda. On powinien wiedzieć.

Komisarz Fred Olsson miał trzydzieści pięć lat i był uznawany za niezastąpionego, acz nieformalnego eksperta komputerowego w całym budynku. To do niego dzwonili, kiedy zawieszał się komputer albo kiedy chcieli ściągnąć muzykę z sieci. Ponieważ nie miał rodziny, chętnie wpadał wieczorami do kolegów i pomagał im w obsłudze domowego sprzętu elektronicznego, jeśli zachodziła taka potrzeba.

Wiedział też sporo o ludziach w mieście. Orientował się, gdzie mieszkają łobuzy i czym się akurat zajmują. Czasami zapraszał ich na kawę i ciastko, by zdobyć świeże informacje. Miał rozeznanie w subtelnych powiązaniach władzy. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto komu udziela poparcia i czy te mocne plecy mają związek z rodzinnymi koneksjami, tajemnymi hakami, czy zwykłym oddawaniem sobie przysług.

Alf Björmfot podniósł się z krzesła i ruszył korytarzem ku schodom. Zszedł na parter, do komendy policji.

Anna Maria dała znak Rebecce i obie pobiegły za prokuratorem.

W drodze do pokoju Freda Olssona mężczyzna odwrócił się nagle i krzyknął

do podążających za nim kobiet:

– Kallis. Ten facet nazywa się Mauri Kallis. Wprawdzie urodził się w Kirunie, ale od dawna tu nie mieszka.

Powiedziawszy to, ruszył dalej.

– No i co z tego, że Mauri Kallis – wymamrotała Anna Maria. – Przecież znaleźliśmy kobietę.

Teraz wszyscy troje stali w drzwiach Olssona.

– Fredde! – wysapał prokurator. – Mauri Kallis! Prawda, że miał tu w grudniu spotkanie z masą waśniaków?

– Zgadza się – przytaknął Fred. – Kallis Mining ma w mieście spółkę wydobywczą, Northern Explore AB, zresztą notowaną na giełdzie. Pewna kanadyjska spółka inwestycyjna pod koniec roku sprzedała wszystkie udziały, wymieniono więc wielu członków zarządu...

– Mógłbyś poszukać jakiegoś zdjęcia z tego zebrania? – zapytał prokurator.

Fred odwrócił się plecami do całej trójki, ciągle stojącej w drzwiach, i włączył komputer. Goście czekali cierpliwie.

– Wybrali wtedy do zarządu mieszkańca Kiruny, Svena Israelssona; wpiszę jego nazwisko. Jeśli wrzucę do wyszukiwarki Mauriego Kallisa, to wyskoczą nam tysiące wyników.

– Zapamiętałem grupkę garniturów stojących w śniegu – powiedział Björnfort. – Wśród fotografowanych mężczyzn była prawdopodobnie nasza kobieta z arki.

Olsson stukał przez chwilę w klawiaturę. Po chwili się odezwał:

– Tutaj. No jasne, że to ona.

W środku grupy mężczyzn odzianych w garnitury stała kobieta.

– No – potwierdziła Anna Maria. – Ten jej antyczny nos zaczyna się jakby już między brwiami.

– Inna Wattrang, szefowa do spraw informacji – przeczytał Björnfort.

– Więc tak! Identyfikacja zwłok. Powiadomienie rodziny... Ciekawe, jak się

znalazła na jeziorze.

– Kallis Mining ma domek wypoczynkowy w Abisko – powiedział Fred.

– No nie mów! – wybuchnęła Anna Maria.

– Naprawdę! Wiem, bo były chłopak mojej siostry pracuje w firmie hydraulicznej, instalował tam rury, sanitariaty i tak dalej. Właściwie to nie jest domek rekreacyjny, tylko raczej solidna willa dla amatorów sportów zimowych.

Anna Maria odwróciła się do prokuratora.

– Oczywiście – odpowiedział, zanim zdążyła go zapytać. – Zaraz napiszę nakaz rewizji. Zadzwoń do ślusarza w Bennys Lås & Larm?

– Zadzwoń, proszę. A teraz migiem! – krzyknęła, biegnąc do pokoju po kurtkę. – Naradę zwołamy po południu.

Z dała dobiegło jeszcze jej gromkie:

– Chodź z nami, Fredde! Svenie Eriku!

Minutę później już ich nie było. Znów zapanowała niedzielna cisza. W korytarzu zostali tylko Alf Björmfot i Rebeka Martinsson.

– No tak... – odezwał się prokurator. – Na czym to stanęliśmy?

– Na picciu kawy – odparła z uśmiechem. – Właśnie pora na dolewkę.

– Popatrzcie, jak ślicznie! – zawołała Anna Maria. – Jak w prospekcie reklamowym.

Jechali szosą prowadzącą do Norwegii. Po prawej stronie ciągnęło się jezioro Torneträsk. Błękitne niebo. Słońce i mieniący się śnieg. Mnóstwo ark we wszystkich możliwych modelach i kolorach. Po drugiej stronie drogi przesuwał się górski krajobraz.

Wiatr ucichł, lecz ciągle jeszcze było zimno. Wpatrując się w brzozy, Anna Maria pomyślała, że śnieżna skorupa jest już chyba wystarczająco twarda. Może pora na przejazdkę fińskimi sankami^[5] po szreni?

– Skoncentruj się raczej na drodze, dobrze? – zaproponował siedzący obok Sven Erik.

Dom rekreacyjny należący do Kallis Mining był okazałą konstrukcją z bali, położoną malowniczo nad samym jeziorem. Z tyłu wznosił się masyw Nuolji.

– Były chłopak siostry opowiadał trochę o tym miejscu – odezwał się Fred Olsson.
– A jego ojciec pracował tu na budowie. Przytransportowali dwie chaty pasterskie z Hälsingland. Te bierwiona mają po dwieście lat. A tam, przy brzegu, stoi sauna.

Ślusarz Benny czekał przed wejściem w firmowym samochodzie. Na widok policjantów opuścił szybę i zawołał:

– Otworzyłem, ale teraz muszę lecieć!

Odjeżdżając, uniósł rękę w pożegnalnym geście.

Policjanci weszli do środka. Anna Maria uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Na ścianach z ociosanych ręcznie, srebrnoszarych bali wisiało kilka niewielkich obrazów olejnych przedstawiających górskie pejzaże i parę lustek w ciężkich, złożonych ramach. Ogromne indyjskie szafy w kolorze turkusu i różu kontrastowały z prostotą niemalowanego wnętrza. Wysoki strop z widocznymi belkami. We wszystkich pokojach, z jednym wyjątkiem, na podłodze z szerokich desek leżały gałgankowe dywaniki. Przed kominkiem w salonie rzucono skórę niedźwiedzia polarnego z rozwartą paszczą.

– Jezusieńku! – wykrzyknęła Anna Maria.

Przedpokój, kuchnia i salon tworzyły jedno przestronne pomieszczenie. Pokażne okna wychodziły na jezioro, mieniające się w przedwiosennym słońcu. Po przeciwnej stronie światło wpadało do wnętrza przez niewielkie barwne witraże z dmuchanego szkła.

Na stole kuchennym stały: karton mleka, opakowanie mąsli i brudny talerz z łyżką. Na blacie obok zlewu piętrzył się przekładaniec nieumytych talerzy i sztućców.

– Fuj! – wzdrygnęła się komisarz Mella, potrząsając kartonem, w którym zachlupotała resztką skwaśniałego płynu.

Nie chodziło o to, że w domu Anny Marii panował perfekcyjny ład, bo nigdy nie panował. Ale żeby przebywać w tak pięknym wnętrzu i nie poznywać po sobie? Gdyby kiedyś przyszło jej tu mieszkać, na pewno dbałaby o porządek. O, gdyby tak

mogła przypiąć narty i ruszyć na przejażdżkę po zamrzniętym jeziorze. Wrócić i ugotować obiad. Słuchać radia w trakcie zmywania albo – nie przerywając ciszy – wsłuchiwać się we własne myśli, z rękami zanurzonymi w ciepłej wodzie. Napalić solidnie w kominku i rozłożyć się wygodnie na kanapie w salonie.

– Może ci ludzie nie mają w zwyczaju zmywać – skomentował Sven Erik. – Z pewnością ktoś tu po nich sprząta, kiedy wyjeżdżają.

– W takim razie powinniśmy odszukać tę osobę – dorzuciła szybko Anna Maria.

Otworzyła drzwi do wszystkich czterech sypialni. Ogromne łoża małżeńskie przykryte patchworkami. Na ścianie u węzłowiec – skóry reniferów; srebrnoszare pasma sierści na tle srebrnoszarych belek ścian.

– Ładnie tu – odezwała się Anna Maria. – Dlaczego mój dom nie wygląda właśnie tak?

Zamiast szaf na podłodze stały wiekowe kufry i skrzynie. Na pięknych indyjskich parawanach i na eleganckich hakach lub rogach przytwierdzonych do ścian kołysały się wieszaki. W budynku nie zabrakło pralni z suszarnią oraz sauny. Do tej ostatniej przylegała przebieralnia z miejscem na kombinezony i buty narciarskie.

W jednej z sypialni policjanci dostrzegli otwartą walizkę. Jej zawartość leżała w nieładzie. Łóżko było niepościelone.

Anna Maria przejrzała pobieżnie porozrzucone części garderoby.

– Lekki bałagan, ale żadnych śladów walki ani włamania – stwierdził Fred Olsson.
– Nigdzie żadnej krwi, żadnych dziwnych rzeczy. Sprawdzę toalety.

– Nie, tutaj nic się nie mogło zdarzyć – zgodził się Sven Erik.

Anna Maria przeklinała w duchu. Przydałoby im się miejsce zbrodni.

– Ciekawa jestem, co ta kobieta tutaj robiła – powiedziała, przyglądając się eleganckiej i z pewnością drogiej spódnicy oraz parze jedwabistych pończoch samonośnych. To nie są raczej ubrania na narty...

Spojrzała na kolegę i wykrzywiła twarz w grymasie rozczarowania.

Za ich plecami pojawił się Fred. Trzymał w ręce czarną torebkę na złotym

łańcuszku.

- Leżała w toalecie – wyjaśnił – Prada. Dziesięć, piętnaście tysięcy.
- W środku? – spytał Sven Erik.
- Nie, tyle takie cacko kosztuje.

Fred wysypał zawartość na nieposłane łóżko. Otworzył portfel i pokazał koleżance prawo jazdy należące do Inny Wattrang.

Komisarz Mella potwierdziła skinieniem. Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że to ona.

Spojrzała na resztę rzeczy, które wypadły z torebki. Tampony, pilnik do paznokci, pomadka do ust, okulary przeciwsłoneczne, puder, masa kwitków, tubka tabletek od bólu głowy.

- Brakuje telefonu – stwierdziła.

Koledzy kiwnęli głowami. Nigdzie go nie znaleźli. To mogło znaczyć, że kobieta знаła mordercę, że jego numer był zapisany w pamięci komórki.

– Weźmiemy te rzeczy na komendę – zarządziła komisarz Mella. – I tak czy owak, ogrodzimy cały budynek.

Znów rzuciła okiem na torebkę.

- Jest mokra – zauważyła.

– Właśnie miałem ci o tym powiedzieć – wyjaśnił Fred. – Leżała w umywalce. Widocznie nakapało trochę z kranu.

Popatrzyli na siebie skonsternowani.

- Podejrzane – powiedziała Anna Maria.

Suty wąs Svena Erika ożywił się nagle i zaczął się poruszać to w górę, to w dół, to na boki.

– Możecie obejść dom dookoła? – zapytała Mella. – A ja jeszcze raz rozejrzę się po mieszkaniu.

Mężczyźni wyszli na dwór. Anna Maria niespiesznie ruszyła na obchód wnętrza.

Nawet jeśli sprawca jej tu nie zabił, na pewno tutaj był. Jeżeli to on zabrał telefon.

Chociaż oczywiście kobieta mogła wziąć komórkę ze sobą, kiedy wyszła, żeby pobiegać, czy co ona tam robiła. Włożyła ją do kieszeni.

Policjantka popatrzyła na umywalkę. Dlaczego leżała w niej torebka? Otworzyła szafkę. Zupełnie pusta. To normalne, w domkach do wynajęcia nie zostawia się rzeczy osobistych.

Można więc wyjść z założenia, że wszystko, co tu zobaczyliśmy, należało do niej, pomyślała.

W lodówce znalazła kilka gotowych obiadów do podgrzania w mikrofalówce. Trzy z czterech sypialni były nienaruszone.

Nie ma tu już nic więcej do oglądania, powiedziała w duchu komisarz Mella, przechodząc do przedpokoju.

Na białej komódce stała stara lampa. Umieszczona gdzie indziej wyglądałaby kiczowato, tutaj jednak była jak najbardziej na miejscu. Podstawa wykonana z ręcznie malowanej porcelany przedstawiała górski pejzaż, najprawdopodobniej inspirowany niemieckimi Alpami. Na pierwszym planie widniały okazałe jeleń. Abażur w kolorze koniaku wykończono frędzlami.

Anna Maria przekręciła włącznik znajdujący się zaraz poniżej oprawki żarówki, ale lampa się nie zapaliła. Nie zapaliła się, ponieważ nie miała przewodu elektrycznego.

W porcelanowej podstawie policjantka dostrzegła jedynie otwór po sznurze.

Ciekawe, co się z nim stało, pomyślała.

Może właściciel domu kupił lampę na pchlim targu albo w sklepie z antykami i od początku taka była. A może postawił ją tutaj z myślą, że wkrótce weźmie się do naprawy?

Anna Maria miała w domu tysiące takich rzeczy. Sprzętów, którymi człowiek zamierzał się zająć lada rok. W końcu jednak przyzwyczajał się do ich usterek. Taki front zmywarki na przykład, dopasowany do pozostałych mebli w kuchni. Odpadł sto lat temu i dlatego drzwiczki urządzenia były za lekkie, by działał mechanizm sprężynowy. Cała rodzina Mellów opanowała technikę wypełniania i opróżniania zmywarki ze stopą na odchylonych drzwiczkach, tak żeby automatycznie się nie

zatrzasnęły. Anna Maria przytrzymała stopą klapę zmywarki również u innych osób, zupełnie bezwiednie. Siostra Roberta śmiała się serdecznie, gdy szwagierka pomagała jej w kuchni.

A może tylko przestawiali lampę, zahaczyli o coś sznurem, a ten utknął między meblem a ścianą? W każdym razie, jeżeli ciągle był włączony do kontaktu, stanowił poważne zagrożenie.

Anna Maria pomyślała najpierw o ryzyku pożaru, a zaraz potem o Gustavie, swoim trzyletnim synu, i o wszystkich plastikowych zatyczkach, które w domu chroniły malucha przed dostępem do gniazdek elektrycznych.

Nagle w jej głowie pojawił się obraz ośmiomiesięcznego Gustava pełzającego po całym mieszkaniu. O zgrozo! Wetknięta w gniazdko wtyczka z oderwanym przewodem elektrycznym. Splot miedzianych drucików wystający spod plastikowej osłony. I Gustav, którego najważniejszym sposobem odkrywania świata jest wkładanie wszystkiego do buzi. Anna Maria szybko odsunęła od siebie tę myśl.

Wtedy uderzyła ją następna. To musiało być porażenie prądem elektrycznym. Widziała kilka takich ofiar. Boże, ten chłopak, który zmarł pięć lat temu. Przyjechała na miejsce, żeby stwierdzić, że chodziło o nieszczęśliwy wypadek. Młody mężczyzna stał bosy na blacie obok zlewu i majsterkował przy lampie u sufitu. Skóra stóp była ciężko poparzona.

Inna Wattrang miała ranę oparzeniową wokół kostki.

Możliwe, że ktoś wrywa zwykły sznur z lampy, mówiła do siebie w duchu komisarz Mella. Takiej lampy z jeleniem na przykład. Rozdwaja kabel, ściąga plastikową osłonkę i owija miedziany drut wokół kostki innej osoby.

Otworzyła gwałtownie drzwi i zawołała kolegów. Przybiegli w kilku susach, pokonując głęboki śnieg.

– Do cholery! – wykrzyknęła. – Ona zmarła w tym domu! Jestem pewna! Dzwonście po Tintin i Kristera!

Komisarz i przewodnik psa w jednym, Krister Eriksson, przybył na miejsce godzinę

po wezwaniu. Mieli szczęście, Eriksson często był z Tintin w rozjazdach służbowych.

Tintin była czarnym owczarkiem niemieckim, zdolnym psem tropiącym, wyszkolonym w poszukiwaniu zwłok. Półtora roku wcześniej znalazła ciało zamordowanego pastora, spętane łańcuchem i zatopione w jeziorze Nedre Vuolusjärvi.

Krister wyglądał jak kosmita. W młodości uległ wypadkowi i doznał ciężkich poparzeń. Nie miał nosa, jedynie dwa podłużne otwory w twarzy. Cienkie małżowiny przypominały mysie uszy. Nie miał włosów, brwi ani rzęs. Oczy też wyglądały dziwnie, ponieważ powieki były produktem chirurgii plastycznej.

Przeglądając się jego pergaminowej, różowej skórze, Anna Maria ponownie wróciła myślą do Inny Watrang i jej poparzonej kostki.

Muszę zadzwonić do Pohjanena, postanowiła.

Krister założył Tintin smycz. Podekscytowana suka okręciła się wokół jego nóg, popiskując radośnie.

– Cały czas narwana – wyjaśnił Eriksson, wyplątując się ze smyczy. – Ciągłe muszę ją powstrzymywać, w przeciwnym razie może pójść za szybko i coś przeoczyć.

Krister i Tintin weszli do domu sami. Sven Erik i Fred, znów pokonując zaspę, zaglądali do środka przez okna.

Anna Maria wsiadła do samochodu i zadzwoniła do Pohjanena. Opowiedziała o lampie bez sznura.

– No i co ty na to? – zakończyła pytaniem.

– Tak, to możliwe. Rana wokół kostki może być po sznurze, przez który przepłynął prąd elektryczny.

– Rozdwojona końcówka kabla owinięta wokół nogi?

– Oczywiście. Drugą częścią puszcza się prąd.

– Myślisz, że Watrang była torturowana?

– Niewykluczone. Choć to mogła być też zabawa, która przerodziła się w tragedię. Nieczęsto, ale takie rzeczy się zdarzają. Jest jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Przy kostkach i przegubach dłoni znalazłem resztki kleju. Powiedz technikom, żeby sprawdzili meble. Była do czegoś przywiązana taśmą klejącą. Możliwe, że spętano jej tylko ręce i nogi, ale być może uwięziono ją przy jakimś meblu: łóżku, krześle albo... Poczekaj chwileczkę...

Minęła minuta, po czym Anna Maria ponownie usłyszała zachrypnięty głos lekarza:

– Przepraszam, musiałem założyć rękawiczki. Tak, teraz widzę: niewielki, lecz wystarczająco wyraźny ślad na szyi.

– Ślad po drugiej części kabla – stwierdziła komisarz Mella.

– Przewód od lampy, tak?

– Mhm.

– A więc w warstwie rogowej powinny znajdować się resztki stopionej miedzi. Zrobimy badanie histologiczne i będziesz wiedziała na pewno. Ale wygląda na to, że było tak, jak mówisz. W każdym razie musiało dojść do zaburzenia rytmu serca i do czegoś w rodzaju wstrząsu. To by wyjaśniało pogryziony język i ślady paznokci we wnętrzu dłoni.

Sven Erik zapukał w szybę i wskazał na dom.

– Słuchaj, muszę kończyć – oznajmiła Anna Maria lekarzowi. – Zadzwoń później.

Wysiadła z samochodu.

– Tintin coś znalazła – powiedział Sven Erik.

Krister stał z psem w kuchni. Tintin szarpała się na smyczy, szczekała i drapała bez opamiętania w podłogę.

– Ona znaczy to miejsce – wyjaśnił Krister, wskazując punkt między zlewem a piecem. – Nic tu nie widzę, ale ona coś wyczuła.

Anna Maria patrzyła na sukę, która wyła, zawiedziona, że nie może się dostać do znaleziska.

Stali na turkusowym linoleum w orientalne wzory. Komisarz Mella podeszła bliżej, towarzyszyli jej koledzy.

- Nic nie widzę – przyznała.
- Ja też nie – potwierdził Fred, kręcąc głową.
- A więc może coś kryje się pod wykładziną? – zastanawiała się głośno Anna Maria.
- Coś tu musi być – podsumował Krister, próbując utrzymać Tintin w ryzach.
- No dobrze – rzekła Anna Maria, spoglądając na zegarek. – Czekaając na techników, zdążymy zjeść lunch w schronisku.

O wpół do trzeciej po południu wezwani technicy wykroili linoleum w kuchni. Kiedy policjanci wrócili ze schroniska, wykładzina, zrolowana i owinięta w papier, leżała w przedpokoju.

– Popatrz tutaj – zwrócił się do Anny Marii jeden z techników, wskazując na niewielkie nacięcie w drewnianej płycie.

Małeńki rowek wypełniony był czymś brązowym.

– To zwierzę musi mieć piekielnie dobry węch!

– No! – przyznała komisarz. – Tintin to zuch dziewczyna!

– Sądząc po reakcji psa, to musi być zaschnięta krew – powiedział technik. – A linoleum to fantastyczny materiał. To, które miała moja mama, trzymało się świetnie ponad trzydzieści lat. No i samo się regeneruje.

– Co przez to rozumiesz?

– Jeśli uszkodzisz linoleum przez nacięcie czy coś w tym rodzaju, to po jakimś czasie ono się schodzi i nic nie widać. Tutaj najprawdopodobniej jakaś ostra broń albo szpiczaste narzędzie przebiło wykładzinę. W drewnianej płycie pod spodem powstało niewielkie zagłębienie, do którego spłynęła krew. Później krawędzie nacięcia się zbiegły, podłogę umyto i po uszkodzeniu nie ma śladu. Wyślemy to do analizy i jeżeli to faktycznie jest krew, zobaczymy, czy należała do Inny Wattrang.

– Stawiam stówę, że zmarła właśnie tutaj – powiedziała komisarz Mella.

Był niedzielny wieczór. Dochodziła ósma, kiedy Anna Maria włożyła kurtkę i zadzwoniła do domu z informacją, że właśnie kończy pracę. Robert nie był zły ani zmęczony, zapytał tylko, czy coś jadła, i obiecał odgrzewany obiad na kolację. Gustav śpi, zmęczony jazdą na sankach. Petter też był z nimi na dworze, choć zazwyczaj siedzi w domu. Jenny wybyła do koleżanki, relacjonował dalej Robert i – zanim Anna Maria zdążyła pomyśleć: „jutro ma na rano do szkoły” – dodał szybko, że córka już się zbiera do domu.

Nagle Anna Maria poczuła się śmiesznie zadowolona z życia. Dzieci zażyły ruchu i świeżego powietrza, dobrze się bawiły. Robert jest świetnym ojcem. Nie szkodzi więc, że ich ubrania walają się po podłodze, a w kuchni panuje chaos. Posprząta po nich z radością.

– Marcus jest w domu? – spytała.

Marcus był ich najstarszym synem. Chodził do ostatniej klasy liceum.

– Nie. Myślę, że przenocuje u Hanny. Jak wam poszło?

– Dobrze. Naprawdę dobrze. Minęły dwadzieścia cztery godziny, a już wiemy, kim ona jest. Inna Watrang, szycha w Kallis Mining. Jutro napiszą o tym w gazetach. Znaleźliśmy miejsce zbrodni, choć sprawca po sobie posprzątał i próbował zatrzeć ślady. Nawet jeśli wkrótce przejmie to biuro kryminalne w Sztokholmie, to nikt nam nie zarzuci, że spapraliśmy robotę.

– Ta kobieta... została czymś zadźgana?

– Tak, ale nie tylko. Morderca przepuścił przez nią prąd. Technicy znaleźli resztki kleju na jednym z krzeseł w kuchni, na poręczach i nogach. Ten sam klej kobieta ma na przegubach dłoni i wokół kostek. Ktoś przymocował ją taśmą klejącą do krzesła i potraktował prądem.

– Ożeż! A jak?

– Myślę, że użył zwykłego sznura od lampy. Ściągnął koszulkę z końcówki, rozdzielił kable, jeden obwiązał wokół kostki, a drugi przyłożył do szyi.

– A potem zakłął ją na śmierć?

– Tak.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem. Może mamy do czynienia z jakimś szaleńcem albo kimś, kto jej nienawidził. A może to były erotyczne igraszki... które skończyły się tragicznie, chociaż z tego, co wiem, nie znaleziono śladów spermy ani w niej, ani na niej. Wokół ust miała coś białego, śluzowatego, ale to raczej wymiociny.

Robert wydał z siebie odgłos obrzydzenia.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz – powiedział. – Pomyśl, najpierw to przesiadywanie w knajpie i szukanie kolejnej kobiety... Później człowiek wraca do domu, a ona chce, żeby ją pomiziać prądem elektrycznym.

– Ze mną masz lepiej, nie? Zadowolam się zwykłym misjonarzem.

– Jasne! Uczciwy, klasyczny, nudny seks.

Anna Maria zaśmiała się głucho.

– No, ale ja naprawdę lubię klasyczny, nudny seks – zapewniła. – Kiedy wrócę do domu, a dzieci będą już spały...

– Nawet mi nie mów; najpierw zjesz, a później zaśniesz na kanapie, oglądając *Sześć stóp pod ziemią*. Może powinniśmy wprowadzić jakieś zmiany?

– Możemy kupić *Kamasutrę*.

Anna Maria usłyszała po drugiej stronie, jak Robert się śmieje. Znowu poczuła radość. Doprowadziła go do śmiechu. No i rozmawiali o seksie.

Powinnam częściej z nim flirtować, pomyślała.

– Jasne – odparł Robert. – Pozycje takie jak lot żurawia po nieboskłonie albo coś w tym rodzaju... robię mostek, a ty nade mną w szpagacie.

– No to mamy ustalone. Biegnę więc w te pędy.

Ledwie się rozłączyła, usłyszała znajomy sygnał. Dzwonił prokurator Alf Björnfort.

– Hej, hop! – zaczął. – Chciałem cię tylko poinformować, że jutro przyjedzie tu Mauri Kallis.

Anna Maria zaniemówiła na moment. Myślała, że to Robert z prośbą, by w drodze do domu zrobiła jeszcze jakieś zakupy.

– Mauri Kallis, ten od Kallis Mining?

– Właśnie ten. Przed chwilą zadzwoniła do mnie jego sekretarka. Poza tym odezwali się koledzy ze Sztokholmu. Powiadomili rodziców Inny Wattrang, ci oczywiście przeżyli szok. Nawet nie wiedzieli, że córka pojechała do Abisko. W firmie Kallisa pracuje też brat Inny, Diddi. Mauri Kallis ma sporą posiadłość nad Melarem, mieszkało tam również rodzeństwo Wattrangowie. W każdym razie rodzice obiecali, że poinformują syna i poproszą Mauriego, żeby do nas przyjechał i zidentyfikował Innę.

– Jutro! – jęknęła Anna Maria. – Właśnie miałam jechać do domu...

– No to jedź.

– No jak to: jedź? Przecież muszę wykorzystać okazję, żeby z nim porozmawiać. O Innie Wattrang, o jej roli w spółce i tak dalej. Nie mam zielonego pojęcia o Kallis Mining. Facet pomyśli, że jesteśmy idiotami.

– Rebeka Martinsson ma jutro wokandę, więc na pewno siedzi teraz w gabinecie. Poproś ją, żeby poczytała trochę o firmie. Jutro rano zda ci półgodzinną relację.

– Nie mogę jej o to poprosić. Ona...

Anna Maria przerwała w pół słowa. Chciała powiedzieć, że Rebeka przecież też ma życie prywatne – pytanie tylko, czy naprawdę ma. Komisarz słyszała od kolegów, że prawniczka mieszka sama za miastem i nie utrzymuje z nikim kontaktów.

– Potrzebuje się wypaść, tak jak wszyscy – wymyśliła na poczekaniu. – Nie mam sumienia jej prosić.

– Okej.

Anna Maria pomyślała o Robercie czekającym na nią w domu.

– A zresztą... może mam?

Alf Björnfot się roześmiał.

– Ja w każdym razie planuję posiedzieć przed telewizorem i obejrzeć *Sześć stóp pod ziemią*.

– Też bym chciała – odparła naburmuszona.

Zakończyła rozmowę z prokuratorem i wyjrzała przez okno. Tak, samochód Rebeki stał na parkingu.

Trzy minuty później komisarz Mella zapukała do drzwi gabinetu Martinsson.

– No, więc tak... Wiem, że się nie nudzisz – zaczęła. – A to, z czym przychodzę, w zasadzie nie należy do twoich obowiązków, więc... możesz oczywiście odmówić.

Spojrzała na stos akt na biurku.

– Nie, to nie ma sensu – zreflektowała się. – Widzę, że masz pełne ręce roboty.

– A co? – zapytała Rebeka. – Jeżeli to ma związek z Inną Wattrang, pytaj śmiało. Mo...

Zamilkła.

– Właśnie miałam powiedzieć: morderstwo to fajna rzecz, ale przecież nie o to mi chodziło...

– Nie przejmuj się – odparła Anna Maria. – Doskonale rozumiem, co masz na myśli. Dochodzenie w sprawie morderstwa jest czymś szczególnym. Oczywiście nikomu nie życzę, żeby został zamordowany. Ale jeżeli ktoś już został pozbawiony życia, to chcę mieć udział w odnalezieniu sprawcy.

Wyglądało na to, że Rebeka odetchnęła z ulgą.

– Właśnie o tym marzyłam swego czasu, kiedy postanowiłam zdawać do szkoły policyjnej. Może ty też, gdy zdecydowałaś się na studia prawnicze?

– Nie. Zresztą nie wiem... Wyjechałam do Uppsali, bo weszłam w konflikt z tutejszym zbrodniarstwem. A że zaczęłam tam studiować prawo? Kwestia przypadku. Byłam sumienna i zdolna, a później... ot, tak dostałam pracę. Wszystko odbywało się jakby bez mojego udziału. Myślę, że decyzja o powrocie do Kiruny to tak naprawdę mój pierwszy świadomy wybór w życiu.

Niebezpiecznie szybko poruszyły poważny temat. Znały się jednak zbyt słabo, by go kontynuować. Dlatego na chwilę ucichły.

Rebeka stwierdziła z ulgą, że nie było to kłopotliwe milczenie.

– A więc? – odezwała się w końcu, uśmiechając się lekko. – O co chciałaś mnie poprosić?

Anna Maria odpowiedziała uśmiechem. Z jakiegoś powodu między nią a Rebeką zawsze panowało specyficzne napięcie. Nie przejmowała się tym specjalnie; widocznie ludzie nie stają się sobie bliscy tylko dlatego, że jeden drugiemu uratował życie. Ale teraz niemal czuła, jak owo napięcie ulatuje przez okno.

– Jutro przyjedzie tutaj Mauri Kallis, szef Inny Watrang.

Rebeka gwizdnęła.

– No właśnie! – mówiła dalej policjantka. – Muszę z nim porozmawiać, a nie mam zielonego pojęcia ani o jego spółce, ani o tym, czym zajmowała się Inna.

– W sieci na pewno jest masa informacji.

– No właśnie – powtórzyła Anna Maria, robiąc cierpiętniczą minę.

Nienawidziła czytania. Język szwedzki i matematyka były dla niej najgorszymi przedmiotami w liceum. Ledwie dostała z nich trójki, czyli minimum, żeby dostać się do wyższej szkoły policyjnej.

– Rozumiem – podsumowała Rebeka. – Jutro rano dostaniesz streszczenie. Umówmy się na wpół do ósmej, bo później cały dzień będę w sądzie, zaczynamy o dziewiątej.

– Jesteś pewna? – zapytała Anna Maria. – To przecież wymaga sporego nakładu pracy.

– Ale wiesz, ja to naprawdę lubię. Przedzierać się przez górę śmieci i koncentrować ją do formatu A4.

– Tylko że oprócz tego masz jutrzejszą rozprawę. Zdążyłaś się do niej przygotować?

Rebeka się zaśmiała.

– Czyżby dopadło cię poczucie winy? – spytała złośliwie. – Najpierw prosisz o przysługę, a potem chcesz, żebym cię rozgrzeszyła.

– Okej – przyznała Anna Maria. – Wolę mieć wyrzuty sumienia, niż zacząć się

dokształcać w dziedzinie fikuśnych spółek...

– Mhm. Kallis Mining jest międzynarodową grupą spółek; nie koncernem, raczej siecią spółek powiązanych. Wyjaśnię ci oczywiście tę strukturę, to nie jest specjalnie skomplikowane.

– Nie, jasne, że nie jest! Ale jak tylko słyszę: struktura, koncern, sieć spółek powiązanych, dostaję wysypki. Chociaż naprawdę doceniam, że podjęłaś się tego zadania. I będę o tobie myślała ciepło, kiedy w końcu klapnę na sofie przed telewizorem. A tak poważnie: nie chcesz, żebym ci przywiozła pizzę albo coś? Bo przecież jeszcze trochę tutaj posiedzisz?

– Nie, dzięki. Zaraz jadę do domu. Też mam zamiar spędzić wieczór przed telewizorem. A jednocześnie trochę poszperam w sieci.

– Kim ty naprawdę jesteś? Superwoman?

– Zgadłaś! A teraz uciekaj do domu. Czy nie czeka na ciebie mnóstwo dzieci, które musisz pocałować na dobranoc?

– Dwoje najstarszych wyrosło już z całowania mamy, a córka daje buziaki tylko tatusiowi.

– Ale najmłodszy...

– Gustav. Trzylatek. Tak, on chętnie całuje starą mamę.

Rebeka się uśmiechnęła. Ciepły uśmiech z przelotną nutą smutku złagodził rysy jej twarzy.

Żał mi kobiety, pomyślała Anna Maria, gdy siedziała już w samochodzie. Sporo w życiu przeszła.

Znów poczuła wyrzuty sumienia, bo opowiadała o synach i córce, a Rebeka nie ma dzieci.

No, ale co mam robić?, usprawiedliwiła się od razu. Dzieci to przecież ogromna część mojego życia. Jeśli staną się tematem tabu, to już w ogóle nie będzie można o niczym pogadać.

Robert posprzątał w kuchni i nawet wytarł stół. Anna Maria odgrzała w

mikrofalówce paluszki rybne z purée. Nalała sobie kieliszek czerwonego wina. Szczególnie ucieszyło ją purée domowej roboty, z prawdziwych ziemniaków. Życie jest piękne, pomyślała.

W RZECZY SAMEJ, pomyślała Rebeka, wysiadając z samochodu przed domem w Kuravaarze. Naprawdę jestem superwoman. Należałam do grupy najlepszych prawników w Szwecji. W każdym razie bardzo dobrze się zapowiadałam. Choć oczywiście nie można tego o sobie głośno powiedzieć, ba, nawet pomyśleć.

Zapisała w laptopie materiały o Kallis Mining, które znalazła w sieci. Czuliła przez skórę, że to może być naprawdę fajna zabawa. W każdym razie coś zupełnie innego niż te odwieczne wykroczenia drogowe, kradzieże i pobicia.

Światło księżycy spływało srebrnymi smugami na gładką skorupę śniegu. Na srebrze kładły się niebieskie cienie drzew. Rzeka spała pod lodem.

Rebeka przykryła przednią szybę wełnianym kocem, a jego końce przytrzasnęła drzwiami. Rano nie będzie musiała zdrapywać szronu.

W oknach szarego eternitowego domu, który kiedyś należał do jej babci, paliły się lampy. Można było niemal ulec złudzeniu, że ktoś na nią czeka, ale to ona sama nie zgasiła ich rano.

Kiedyś tutaj mieszkali, powiedziała w duchu. Tato i babcia. Wtedy miałam wszystko. A to przecież więcej, niż wielu ludziom jest dane. Niektórzy nigdy tego nie doświadczą.

Oparła się o samochód, przytłoczona nagłym żalem. Smutek dopadł ją niczym żywe stworzenie, które czeka na odpowiedni moment. Zawsze tak samo. Nigdy nie była przygotowana.

Dlaczego nie potrafię się cieszyć?, myślała. Cieszyć się z tego, że miałam ich tak długo, jak żyli. Nic nie trwa wiecznie. Boże drogi, minęło tyle lat. Nie mogę opłakiwać bliskich w nieskończoność. Najwyraźniej coś jest ze mną nie tak.

I te słowa terapeuty w uszach: może pani tak naprawdę nigdy nie pogrzyżyła się w żalobie? Może właśnie nadszedł czas, żeby ją przeżyć?

Cieszyła się w każdym razie z tego, że zakończyła terapię. Brakowało jej jednak citalopramu, może nie powinna była go odstawiać? Łatwiej radziła sobie z tego typu myślami, kiedy zażywała leki. Wtedy te najcięższe emocje jakby nigdy nie wypływały na powierzchnię. Dobrze jej było z poczuciem, że nie jest krucha jak skorupka jajka.

Ściągnęła rękawiczkę i dotknęła twarzy pod oczami; nie, nie płakała. Tylko ten oddech. Jak po szybkim marszu. Przejmująco zimne powietrze w płucach.

Spokojnie, upomniała się. Nie biegnij do Sivvinga i Belli, bo oni nie mogą ci pomóc.

Miała zamiar wejść do domu, ale ciągle stała przy samochodzie i nie wiedziała, czy go zamknęła, gdzie leży jej torba i do czego służy klucz, który trzyma w ręku.

To przejdzie, powiedziała. Nie kładź się na śniegu. Przecież zawsze przechodzi.

Ale nie tym razem, odezwał się głos gdzieś z wnętrza. Teraz nadejdzie ciemność.

Kluczyk był od samochodu. Zamknęła auto. Podniosła torbę z laptopem i aktówkę Mulberry; leżały u jej stóp. Ruszyła przed siebie.

Wchodząc na ganek, zgarnęła trochę śniegu z poręczy i przyłożyła do twarzy. Klucz od mieszkania jest w torebce. Włóż go w zamek. Przekręć. Wyjmij. Otwórz.

Udało się.

Pół godziny później czuła się o wiele lepiej. Rozpaliła w piecu; słyszała, jak zajmują się szczapy, słyszała ciąg powietrza w kominie i ogień trzaskający pod blachą.

Filizanka herbaty z mlekiem. Rozkładana sofa. Komputer na kolanach.

Próbowała powrócić do myśli sprzed ataku. Nie miała z tym najmniejszego kłopotu. Nie potrafiła natomiast wywołać najtrudniejszych emocji.

A przecież podjęła próbę. Zagrała najmocniejszą kartą. W głowie pojawiła się postać mamy.

Nie wydarzyło się nic szczególnego. Rebeka zobaczyła ją przed sobą. Jasnoszare oczy, ładnie pachnąca szminka, ułożone włosy, białe, równe zęby.

A kiedy mama sprawiła sobie kozuch... Rebeka uśmiechnęła się krzywo na samo wspomnienie. Mieszkańcy wsi zgrzytali zębami, zastanawiając się, dlaczego jej się wydaje, że jest taka ważna. Kozuch, coś takiego!

Co mama właściwie widziała w ojcu? Może tęskniła za przystanią życiową? Tylko że przecież nie była do tego stworzona! Powinna była podnieść postrzępiony żagiel i z rozwianym włosiem wyruszyć na wzburzone wody. Życie w porcie to nie jej bajka.

Rebeka usiłowała sobie przypomnieć, jak to było, kiedy mama odeszła.

Tato wrócił do rodzinnego domu w Kurravaarze. Zajmował parter, a my z babcią mieszkaliśmy na piętrze; biegałam między dołem a górą. I Jussi. To był sprytny pies. Gdy tylko się tu przeniosłam, dostrzegł szansę na lepsze legowisko. Położył się w nogach mojego łóżka. Babcia nie tolerowała zwierząt na meblach. Ale co miała począć? Wnuczka spała ufnie z psem albo leżała i paplała z nim radośnie, ona wieczorem mogła więc spokojnie doić krowy.

Mama najpierw ścieliła łóżka w nocnych pociągach, później awansowała na stanowisko w wagonie restauracyjnym. Zamieniła nasze trzy pokoje z kuchnią na coś mniejszego. Z pewnością czasami u niej mieszkałam, jeszcze zanim zmarł tato, ale nic z tego okresu nie pamiętam.

A nawet jeśli zachowały się jakieś wspomnienia, myślała Rebeka, czy mogą w jakiś sposób pomóc? Przecież to tylko kilka zdjęć z albumu w głowie. Między tymi zapamiętanymi obrazami znajdują się setki, tysiące scen, które zapomnieliśmy. Czy w takim razie pamiętamy, jak było naprawdę?

Babcia w dwupokojowym mieszkaniu mamy. Ma na sobie swój najlepszy płaszcz, a mimo to mama się za nią wstydzi; uważa, że babcia powinna kupić nowy, tak powiedziała Rebecce. W każdym razie teraz mama powinna się wstydzić za siebie. Babcia rozgląda się dokoła. Jedno łóżko jest niezaścielone. Na drugim w ogóle nie ma pościeli. Mama ciągle skarży się na potworne zmęczenie. Zadzwoniła do pracy i powiedziała, że jest chora. Wcześniej zdarzało się, że babcia wpadała do niej czasami i robiła porządki. Zmywała, prała, gotowała obiad. Ale nie tym razem.

– Biorę dziewczuskę do siebie – mówi babcia.

Ton głosu jest życzliwy, ale nie znoszący sprzeciwu.

Mama nie protestuje i niemal odpycha Rebece, która przytula się do niej

na pożegnanie.

– No, pospiesz się – mówi, nie patrząc na córkę. – Babcia nie będzie na ciebie czekała cały dzień.

Rebeka widzi swoje stopy na schodach; schodzą na dół. Bum, bum. Ciężkie i ogromne, jak z kamienia. Powinna była szepnąć mamie do ucha: „Kocham cię najbardziej”. Czasami to pomaga. Ma całą kolekcję dobrych rzeczy do powiedzenia. „Jesteś właśnie taka, jaka powinna być mama”. „Mama Kattis śmierdzi potem”. Długie spojrzenie, a później: „Jesteś taka piękna”.

Poproszę Sivvinga, żeby mi o nich opowiedział, obiecała sobie Rebeka. Znał je obie. Ani się obejrzą, a on też odejdzie i nie będzie kogo zapytać.

Otworzyła laptopa. Inna Watrang na jeszcze jednym grupowym zdjęciu. Tym razem w kasku na głowie, przed kopalnią cynku w Chile.

Dziwne zajęcie, pomyślała Rebeka, poznawać zmarłe osoby.

PONIEDZIAŁEK, 17 MARCA 2005

O WPÓŁ DO ÓSMEJ RANO Rebeka Martinsson spotkała się w sali konferencyjnej z Anną Marią Mellą i Svenem Erikiem Stålnackem.

– Jak się masz? – spytała na powitanie policjantka. – Obejrzałaś coś wczoraj w telewizji?

– Nie. A ty?

– Też nie, zasnęłam – odpowiedziała Anna Maria.

W rzeczywistości byli z Robertem zajęci zupełnie czym innym, ale to nie miało nic do rzeczy.

– Mnie też zmógł sen – skłamała Rebeka.

Siedziała przed komputerem i przeglądała materiały o Kallis Mining oraz Innie Wattrang do wpół do trzeciej w nocy. Kiedy budzik w telefonie komórkowym zadzwonił o szóstej rano, poczuła znajome lekkie mdłości. Znowś spała zbyt krótko.

Nie szkodzi, pomyślała. Naprawdę nie szkodzi. Zarwana noc to przecież pestka. Dzisiaj miała napięty grafik: najpierw referat dla policjantów, później wokanda. Lubiała mieć dużo roboty.

– Mauri Kallis zaczynał z pustymi rękami – zaczęła Rebeka. – Ten mężczyzna jest spełnieniem amerykańskiego snu, choć po szwedzku. Naprawdę. Urodził się w 1964 roku, w Kirunie. Kiedy ty się urodziłaś?

– W sześćdziesiątym drugim – odparła Anna Maria. – Musiał chyba chodzić do innego gimnazjum. A w liceum człowiek nie interesuje się ludźmi z młodszych klas.

– Kiedy był małym chłopcem, podjęto wobec niego przymusowe środki zaradcze, znalazł się w rodzinie zastępczej. Pierwsze zgłoszenie na policji – gdy miał dwanaście lat, za włamanie. Nie można było wnieść oskarżenia, ale wówczas nastąpił przełom w

jego życiu. Pracownica opieki społecznej namówiła go do nauki. W 1984 roku został studentem Wyższej Szkoły Handlowej w Sztokholmie i już w czasie studiów zaczął spekulować na giełdzie. Wtedy też poznał Innę Wattrang i jej brata Diddiego, z którym był na roku. Po uzyskaniu dyplomu dwa lata pracował w firmie Optionsmäklarna, w tym czasie wzrosła wartość jego portfela akcyjnego; H&M kupił wystarczająco wcześnie, Fermentę sprzedał przed krachem, cały czas o krok do przodu. Później odszedł z firmy, żeby zająć się wyłącznie własnymi interesami. To był projekt najwyższego ryzyka, najpierw handel surowcami, później coraz częściej kupno i sprzedaż koncesji w branży wydobywczej.

– Koncesji? – zapytała Anna Maria.

– Tak, kupujesz zezwolenie na poszukiwanie złóż ropy, gazu, minerałów. Nawet jeżeli coś znajdujesz, nie otwierasz kopalni, tylko sprzedajesz koncesję.

– Można więc dużo zarobić, ale też dużo stracić? – chciał się upewnić Sven Erik.

– Tak, można stracić wszystko. Żeby się czymś takim zajmować, trzeba być prawdziwym graczem. Czasami Mauri Kallis rzeczywiście znajdował się pod kreską. Tylko że wtedy pracowali już dla niego Inna i Diddi Wattrangowie. Wygląda na to, że to oni wyszukiwali chętnych do finansowania projektów kolegi.

– Chodzi o przekonanie kogoś, żeby zainwestował kapitał – powiedziała Anna Maria.

– Właśnie! Banki nie udzielają pożyczek na takie przedsięwzięcia, trzeba znaleźć inwestorów skłonnych do ryzyka. Rodzeństwo Wattrangowie miało do tego smykałkę.

Rebeka mówiła dalej:

– W ciągu ostatnich trzech lat pozostawiono jednak w spółce parę koncesji, a oprócz tego kupiono kilka kopalni i rozpoczęto prace wydobywcze. Szwedzka prasa komentowała owo przejście od papierów wartościowych do branży wydobywczej jako wielki krok naprzód. A ja uważam, że przeskok od spekulacji koncesjami do produkcji we własnej kopalni to coś zdecydowanie większego.

– Może Kallis zapragnął spokojniejszego życia? – zaproponowała Anna Maria. – Może nie chciał tak dużo ryzykować?

– Nie sędę – odparła Rebeka. – Nie otworzył kopalni na łatwych terytoriach. W Indonezji na przykład. Albo w Ugandzie. Jakiś czas temu media zrobiły nagonkę na prawie wszystkie spółki wydobywcze, które ulokowały kapitał w krajach rozwijających się.

– Z powodu...?

– Z powodu... wszystkiego! Ponieważ biedne kraje nie mają odwagi zaostrzyć przepisów prawnych dotyczących ochrony środowiska, żeby nie odstraszyć zagranicznych inwestorów. Kopalnie zatrują więc wodę, ludzie chorują na raka, nabawiają się nieuleczalnych schorzeń wątroby i tak dalej. Ponieważ cudzoziemskie spółki współpracują ze skorumpowanymi reżimami. Ponieważ owe reżimy nierzadko biorą udział w wojnach domowych i wykorzystują potencjał militarny przeciwko własnym obywatelom.

– Czy te oskarżenia mają podstawy? – spytał Sven Erik, z policyjnej natury podejrzliwy wobec mediów.

– Z pewnością. Część spółek w grupie Kallisa znalazła się na różnych czarnych listach sporządzonych przez takie organizacje, jak Greenpeace czy Human Rights Watch. Przez kilka lat Mauri Kallis był pariasem, w ogóle nie prowadził w Szwecji interesów. Żaden inwestor nie chciał ryzykować, by go z nim kojarono. Ale mniej więcej rok temu sytuacja się zmieniła. Mauri Kallis pojawił się na okładce „Business Weeka”, w środku zamieszczono obszerny artykuł o branży wydobywczej. Zaraz potem sportretowano go w „Dagens Nyheter”.

– Dlaczego sytuacja zmieniła się tak radykalnie? – zdziwiła się Anna Maria. – Poprawili się czy co?

– Nie sędę. Myślę, że... Taa, istnieje zbyt wielu właścicieli spółek, którzy mają interesy w tych krajach. Wszyscy postępują podobnie. A jeżeli wszyscy są łajdakami, to w końcu żaden z nich nie jest traktowany jak łajdak. Poza tym ten jednolity obraz mógł się po prostu znudzić. Nagle trzeba było opisać rzutkiego przedsiębiorcę i jego oszałamiające sukcesy.

– Czyli mniej więcej tak, jak w wypadku pierwszego lepszego reality show –

skomentowała Anna Maria. – Najpierw wszyscy pasjami nie cierpią jakiejś osoby, gazety rozpisują się o tym, jak Olinda doprowadza współzawodniczki do płaczu, tabloidy wykrzykują wielkimi literami: „Szokujący atak nienawiści!”. Ale po jakimś czasie ludziom odechciewa się tej wrogości i dziewczyna nagle przeradza się w Madonnę. Okazuje się, że nie jest żadną heterą, tylko reprezentantką girl power...

– Poza tym sukcesy Mauriego Kallisa są takim wdzięcznym tematem, bo przecież on jest jak z bajki – kontynuowała Rebeka. – Dorobił się majątku, startując od zera. Dzieciństwo miał najgorsze z możliwych. A teraz jest właścicielem posiadłości w Södermanlandii i mężem arystokratki Ebby von Uhr. No, gwoli ścisłości już nie arystokratki, ponieważ wyszła za mąż za Kallisa.

– Aha – wtrąciła cierpko Anna Maria. – Gen arystokracji jest genem dominującym wyłącznie w linii męskiej? Dzieci?

– Dwoje, dziesięć i dwanaście lat.

Anna Maria nagle się ożywiła.

– Sprawdźmy w rejestrze pojazdów. Jestem ciekawa, jakim jeździ samochodem. Albo samochodami.

– Teraz nie czas na zabawę – odparował Sven Erik i z zainteresowaniem zwrócił się do Rebeki. – To, co powiedziałaś o prowadzeniu kopalni... Co masz na myśli, mówiąc, że prowadzenie kopalni to coś zupełnie innego niż koncesje i próbne odwierty?

– Prowadzenie kopalni ma zupełnie inny ciężar gatunkowy. Musisz mieć pojęcie o przepisach prawnych danego kraju. Chodzi o prawo ochrony środowiska, prawo spółek, prawo pracy, prawo administracyjne, prawo podatkowe...

– Okej – przerwała jej Anna Maria, podnosząc rękę w wymownym geście.

– W niektórych krajach napotykasz trudności, ponieważ systemy nie są wystarczająco elastyczne albo po prostu nie funkcjonują tak, jak na Zachodzie. Masz kłopoty ze związkami zawodowymi, z przedsiębiorcami i ze zdobyciem wszystkich pozwoleń w urzędach. Nie radzisz sobie z korupcją, brakuje ci odpowiednich kontaktów...

– Pozwolenia? Na co?

– Na wszystko! Pozwolenie na eksploatację złóż, na zanieczyszczanie wody, na budowę dróg, na budowę czegokolwiek... Na wszystko, dosłownie wszystko! Musisz stworzyć zupełnie inny rodzaj organizacji. No i spoczywa na tobie odpowiedzialność pracodawcy. Stajesz się... Jak by to powiedzieć... Stajesz się częścią społeczeństwa, częścią kraju, w którym rozpoczynasz działalność. A jednocześnie wokół kopalni tworzysz nowe społeczeństwo. Zazwyczaj na początku nic tam nie ma, jest tylko kamienna pustynia albo dżungla. Powoli w sąsiedztwie kopalni powstaje miasteczko. Rodziny. Dzieci, które powinny chodzić do szkoły. To ciekawe, że Mauri Kallis nagle przeobraża się w przedsiębiorcę...

– Czym zajmowała się w spółce Inna Wattrang? – ponownie przerwała Rebecce Anna Maria.

– Była zatrudniona w głównej spółce, Kallis Mining, ale pracowała w całej grupie przedsiębiorstw. Zasiadała w niejednym zarządzie. Skończyła prawo, studiowała też ekonomię przedsiębiorstwa, wygląda jednak na to, że nie zajmowała się kwestiami prawnymi, w tym zakresie obsługuje ich kanadyjski specjalista od prawa spółek z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem w branży wydobywczej i naftowej.

– Była prawniczką. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałaś?

– Nie, nie, była starsza ode mnie, a każdego roku na prawie przybywa kilkuset nowych studentów. Poza tym studiowała w Sztokholmie, a ja w Uppsali.

– No więc czym konkretnie się zajmowała? – zapytała Anna Maria.

– Informowaniem o przedsiębiorstwach i finansowaniem.

– Czyli co robiła?

– Powiedzmy tak: Mauri Kallis wyszukuje teren, na którym może kupić kilka koncesji, to znaczy prawa do odwiertów w poszukiwaniu złota, diamentów czy czegoś innego. Próbné odwierty mogą być bardzo kosztowne. Ponieważ tutaj chodzi o projekty wysokiego ryzyka, jednego dnia Kallis może mieć masę pieniędzy, a następnego już o wiele mniej. Być może sam nie jest w stanie zdobyć wszystkich niezbędnych środków. Tak jak powiedziałam, w zasadzie żaden bank na świecie nie

udziela pożyczek na tego typu działalność. Dlatego Kallis potrzebuje kogoś, kto tę działalność sfinansuje. Potrzebuje konkretnych osób lub spółek inwestycyjnych, które kupią udziały w planowanym projekcie. Od czasu do czasu niezbędne są wyjazdy, ba, prawdziwe trasy promujące jego pomysły. Wtedy nadzwyczaj ważne jest to, żeby mieć dobrą sławę w branży. Inna Wattrang pomagała Mauriemu zdobyć reputację, pracowała nad pozytywnym wizerunkiem firmy, no i najwyraźniej świetnie sobie radziła z pozyskiwaniem inwestorów. Tą ostatnią dziedziną zajmuje się również jej brat Diddi. Kallis koncentruje się raczej na sednie działalności: wyszukuje interesujące projekty, negocjuje, zawiera umowy. Ostatnio jest również przemysłowcem, prowadzi kilka kopalni.

– Zastanawiam się, co to za jeden – powiedziała Anna Maria, nagle odrobinę niespokojna przed spotkaniem z mężczyzną, o którym właśnie rozmawiali.

Przezań!, upomniała się. Przecież on jest tylko człowiekiem.

– Znalazłam w sieci wywiad, obejrzyjcie go – zwróciła się do policjantów Rebeka.
– Naprawdę ciekawy. Usłyszycie tam między innymi Innę Wattrang. Bo tak w ogóle to nie ma o niej dużo informacji. Najwyraźniej w kręgach ekonomicznych nie była sławą równą Kallisowi.

PROGRAM Z WRZEŚNIA 2004 roku trwa godzinę. „Malou von Sivers rozmawia z...” Dziennikarka ma powód do satysfakcji. Przed spotkaniem z Kallisem sama udziela wywiadu i podkreśla, jak bardzo czuje się zadowolona. To oczywiście część kampanii reklamowej. Widzowie dowiadują się, że TV4 sprzedała program nie mniej niż dwunastu zagranicznym spółkom medialnym. Wielu było chętnych do przeprowadzenia wywiadu z Maurim Kallisem, on jednak – od 1995 roku – konsekwentnie odmawiał.

Malou odpowiada na pytanie, dlaczego przedsiębiorca zgodził się porozmawiać właśnie z nią. Z kilku przyczyn, wyjaśnia dziennikarka. W pewnej mierze czuł się zmuszony, wymagała tego jego rosnąca popularność. Nawet jeśli pracuje się wedle zasady: „Działać, nie będąc widocznym”, to czasami trzeba się ujawnić. W

przeciwym razie ludzie pomyślą, że ma się coś do ukrycia. Poza tym zaś Mauri Kallis chciał udzielić wywiadu właśnie w Szwecji. W poczuciu solidarności z krajem ojczystym. W końcu – co chyba również miało dla niego znaczenie – Malou von Sivers okazuje szacunek osobom, z którymi się spotyka.

– Wiem, że Mauri Kallis uważa mnie za poważną dziennikarkę, która solidnie się przygotowuje do każdej rozmowy – mówi bez ogródek.

Sprokowany jej pewnością siebie reporter pyta, czy Malou nie sądzi, że ważną rolę odegrała jej płęć. Może to było posunięćie taktyczne? Może chodziło o złagodzenie twardego wizerunku spółki? Branża wydobywcza jest przecież zdominowana przez mężczyzn i trochę... jak by to powiedzieć... surowa. Malou von Sivers milknie na chwilę. Jej uśmiech gaśnie.

– A może chodziło o to, że po prostu jestem zdolna? – mówi w końcu.

Kiedy program się zaczyna, Malou von Sivers, Inna Watrang i jej brat, Jacob „Diddi” Watrang, siedzą w salonie dworu Regła, będącego od trzynastu lat w posiadaniu rodziny Kallisów.

Mauri Kallis się spóźnia; należący do spółki Beech B200 nie mógł wystartować o czasie z Amsterdamu. Dziennikarka postanowiła zacząć rozmowę z rodzeństwem, z nadzieją, że to nada programowi dynamikę.

Inna i Diddi siedzą wygodnie w fotelach. Obydwoje mają na sobie białe koszule z podwiniętymi rękawami i duże, męskie zegarki. Ich podobieństwo jest uderzające: ten sam wysoko osadzony, wydatny nos i jasne włosy, ostrzyżone na pazia. Nawet w ruchach są do siebie podobni. W identyczny sposób, bezwiednie, odgarniają z oczu grzywkę.

Patrząc na rodzeństwo, Rebeka uświadomiła sobie, że w tych roztargnionych ruchach kryje się słaby, lecz uchwytny, zmysłowy sygnał. Palce, przesuujące się po pasemku włosów do samego końca, w drodze powrotnej na kolano czy oparcie fotela muskały

pospiesznie brodę lub usta.

Anna Maria, obserwując te same gesty, pomyślała: Oż, kurde, jak oni się skubią po twarzy, jak ćpuny!

– Przynieść wam kawy, zanim pójdę? – spytała Rebeka.

Policjanci skinęli potakująco głowami, wpatrzeni w ekran komputera.

Powinam się podszkolić w mowie ciała, pomyślała Rebeka, kierując się w stronę automatu z kawą. Ja przecież nie wysyłam żadnych zmysłowych sygnałów. To jest mój feler.

Po chwili się uśmiechnęła. Gdyby tak dotykała czoła i brody w obecności Månsa, pewnie by pomyślał, że sprawdza pryszcze na twarzy.

Dłonie Malou von Sivers nie biegają tam i z powrotem. Malou jest profesjonalistką. Jej wzmocniona lakierem grzywka w kolorze miedzi też trzyma się na miejscu.

Malou von Sivers: Państwo także mieszkają w tej posiadłości.

Didi Wattrang (śmieje się): No, coś okropnego! Można by pomyśleć, że mieszkamy w domu kolektywnym albo czymś podobnym.

Inna Wattrang (śmiejąc się, kładzie przyjacielsko dłoń na dłoni dziennikarki): Może się pani do nas wprowadzi? Zapraszam do drużyny odpowiedzialnej za gotowanie obiadów!

Malou von Sivers: Ale tak poważnie – czy to czasami nie jest męczące? Pracują państwo w tej samej firmie. Mieszkają w tym samym domu.

Didi Wattrang: No, nie do końca w tym samym. Posiadłość jest dość rozległa. Razem z rodziną zajmują stare domostwo nadzorcy, nawet go stąd nie widać.

Inna Wattrang: A ja rezyduję w byłej pralni.

Malou von Sivers: Proszę opowiedzieć, jak się państwo spotkali z Maurim Kallisem?

Didi Wattrang: W latach osiemdziesiątych Mauri i ja studiowaliśmy w Wyższej Szkole Handlowej. Mauri był jednym z niewielu studentów, którzy zaczęli spekulować

na giełdzie i którzy – gdy tylko ruszała sprzedaż akcji – stawali pod pubem, wpatrzeni w monitory z notowaniami.

Inna Wattrang: W tamtych czasach handel papierami wartościowymi nie był tak rozpowszechniony jak dzisiaj.

Didi Wattrang: Mauri miał wybitne zdolności.

Inna Wattrang (pochyliła się do przodu i uśmiecha złośliwie): A Diddi przygadał go sobie...

Didi Wattrang (trąca lekko siostrę): Co za: przygadał sobie?! Zostaliśmy przyjaciółmi.

Inna Wattrang (z udawaną powagą): Zostali przyjaciółmi.

Didi Wattrang: Wniosłem też trochę kapitału...

Malou von Sivers: Stał się pan bogatym człowiekiem?

Zapada półsekundowa cisza.

Oj, pomyślała Anna Maria, próbując upić łyk stanowczo za gorącej kawy, którą bez słowa przyniosła im Rebeka. O pieniądzech się nie rozmawia. To przecież zbyt wulgarne.

Didi Wattrang: Jak na studenta – tak, oczywiście. Mauri już wtedy miał fenomenalną intuicję. Wszedł w Hennes & Mauritz w 1984 roku, wstrzelił się w szczyty Skanskiej, Sandviku, SEB... Prawie cały czas mieliśmy perfekcyjny timing. Pod koniec lat osiemdziesiątych chodziło o tak zwaną wycenę substancji materialnej i Mauri miał do tego cholernie dobrego nosa. Bezbłędnie wyczuwał, gdzie nastąpi kolejny wzrost wartości. Nieruchomości znalazły się w centrum uwagi mniej więcej w połowie studiów. Pamiętam, jak Anders Wall przyjechał do nas z gościnnym wykładem i radził, żebyśmy kupowali mieszkania w centrum Sztokholmu. Mauri już o wiele wcześniej wyprowadził się z akademika, nabył lokatorskie prawo do mieszkania, przekształcił je we własnościowe i koniec końców objął w posiadanie dwupokojowe gniazdko na własne potrzeby oraz dwie kawalerki, które wynajmował. Z tego żył.

Malou von Sivers: Prasa nazywa go *the wiz-kid*, dziecko dmuchawiec, finansowy geniusz znikąd...

Inna Wattrang: W dalszym ciągu taki jest. Mauri miał w planach wydobycie oliwinów na Grenlandii na długo przed tym, jak Chiny ruszyły z miejsca. Później zarówno LKAB, jak i Chiny żebrały na kolanach, żeby kupić od niego surowiec.

Malou von Sivers: Ci, którzy nie pracują w tej branży, chyba potrzebują wyjaśnienia...

Inna Wattrang: Oliwiny są potrzebne do produkcji stali z rudy żelaza. Mauri przewidział, że będziemy mieli do czynienia z nieprawdopodobnym rozwojem przemysłu stalowego, gdy tylko Chiny ruszą do przodu.

Didi Wattrang: Był całkowicie pewien, jeśli chodzi o Chiny. Na długo przed wszystkimi innymi.

Luty 1985 roku. Diddi studiuje na pierwszym roku w Wyższej Szkole Handlowej. Nigdy nie był orłem w nauce. Mimo silnej presji wywieranej przez rodziców zarówno na niego, jak i na nauczycieli. Pamięta, jak latem mama zaprosiła okoliczne damy na tradycyjny koncert, który odbywa się na początku sierpnia, oczywiście na dworze – do domu nie wpuszcza się byle kogo. Tak czy owak, dla zaproszonych gości koncert należy do najważniejszych wydarzeń w roku. Chętnie płacą za bilet, świadomi, że dochód z imprezy zostanie przeznaczony na utrzymanie posiadłości o znaczeniu historycznym i kulturalnym. W zasadzie więc oddają się działalności dobroczynnej. Zawsze znajdzie się jakiś dach do reperacji i ściany do otynkowania. Przy pokoncertowej lampce wina mama nie omieszka przypomnieć nauczycielce, która uczy syna francuskiego: „W rodzinie jesteśmy zdania, że Diddi ma zdolności do nauki”. Ojciec zbratał się z dyrektorem szkoły i jest z nim na ty, dyrektor wie jednak, że chodzi o zasadę „coś za coś”. Miło jest być w poufałych stosunkach z baronem, lecz to oczywiście kosztuje.

Didi przebrnął jakoś przez liceum; trochę pożyczał, trochę ściągał. Nietrudno o zdolne, choć nieciekawe osoby, które za odrobinę uwagi pomogą w pisaniu

wypracowań i klasówek. Taki *win-win deal*.

Diddi ma przynajmniej jeden niewątpliwy talent. Niezmiernie łatwo daje się lubić. Prowadząc z kimś rozmowę, przechyla głowę w bok, żeby odsłonić oczy, ukryte pod długą, jasną grzywką. Obdarza sympatią wszystkich, a szczególnie osobę, z którą właśnie rozmawia. Śmieje się ustami i oczyma. Lekko i ostrożnie wyciąga rękę po ludzkie serca.

Dziś właśnie Kallis ma prawo czuć się wybrańcem. Jest środowe popołudnie, Mauri i Diddi spędzają je w studenckim pubie, jak starzy przyjaciele. Diddi ignoruje słodką blondynkę, która siedzi trochę dalej w towarzystwie znajomych i śmiejąc się odrobinę za głośno, zerka raz po raz w jego kierunku. Odpowiada na powitania ludzi, podchodzących do niego co chwila: serwus, cześć, siemka. Nie wdaje się jednak w żadne pogawędki; wieczór zarezerwował dla kogoś innego.

Mauri pije trochę za dużo, tak jak się pije na samym początku, by zamaskować zdenerwowanie. Diddi dotrzymuje mu kroku, tylko że lepiej to znosi. Stawiają sobie na zmianę. Diddi ma trochę koki w kieszeni. Gdyby nadszedł odpowiedni moment. Lubi grać ze słuchu.

Właściwie ten nowy znajomy nie jest do końca nieciekawym. Diddi opowiada mu wybrane fragmenty swego dzieciństwa. Mówi o presji wywieranej przez rodziców, żeby lepiej się uczył. O wybuchach wściekłości i upokarzających słowach, kiedy przynosił do domu kolejną pałę. Przyznaje bez ogródek i ze śmiechem, że – niestety – jest tylko głupią blondynką i nic tu po nim.

Chociaż po chwili bierze ojca w obronę. Stary miał to i owo w bagażu, mówi. Wychowany według tradycyjnej szkoły, zatrzymywał się na progu, kłaniał własnemu tacie, dziadkowi Diddiego, i czekał, aż ten pozwoli mu wejść do środka. Z pewnością nie siadywał mu na kolanach i nie zaznał wiele czułości.

Po tym intymnym otwarciu Diddi bierze chłopaka na spytki, choć ostrożnie. Przygląda mu się z zainteresowaniem. Mauri jest szczupły, ma na sobie obszerne, flanelowe spodnie, tanie buty i starannie wyprasowaną koszulę z tak cienkiej bawełny, że widać przez nią owłosione piersi. Nosi podręczniki w reklamówce ze sklepu

spożywczego. Nie wydaje pieniędzy na ciuchy i gadżety, to widać wyraźnie.

Mauri zaczyna opowiadać o sobie. O tym, jak w wieku dwunastu lat zrobił włamanie, i go złapano. O kobiecie z opieki społecznej, która sprawiła, że się wziął w garść i do nauki.

– Ładna była? – pyta Diddi.

Mauri kłamie, że tak. Nie wie dlaczego. Diddi się śmieje.

– Kto by pomyślał! Nie wyglądasz na kryminalistę.

Mauri, który opiera swoją wybiórczą opowieść na półprawdach, nie wyjaśnia, że do tej czarnej roboty wysłał go brat z rodziny zastępczej i jego starsi kumple.

– A jak wygląda kryminalista?

Diddi nie ukrywa zachwytu.

– A teraz jesteś gwiazdą w handlowce – mówi.

– Tak, gwiazdą, która ledwo zaliczyła ekonomię przedsiębiorstwa – odparowuje Mauri.

– To dlatego, że studiujesz notowania giełdy, a nie zagadnienia ekonomiczne. Wszyscy to wiedzą.

Mauri milczy. Usiłuje zwrócić na siebie uwagę barmana, by zamówić kolejne dwa piwa. Czuje się jak ignorowany karzeł, którego ledwie widać zza kontuaru. Wykorzystując okazję, Diddi uśmiecha się do blondynki i zagląda jej w oczy. Ot, taka drobna inwestycja na przyszłość.

Później Mauri i Diddi zmieniają lokal i w przepelnionym barze Grodan płacą za piwo trzy razy więcej.

– Mam trochę kasy – mówi Watrang. – Powinieneś ją zainwestować. Poważnie. Jestem gotów podjąć ryzyko.

Diddi nawet nie próbuje zrozumieć, co widzi. W ułamku sekundy Mauri jakby sztywnieje, włącza trzeźwą część mózgu, dokonuje inwentaryzacji, analizuje i podejmuje decyzję. Dużo później Diddi się nauczy, że Mauri nigdy nie traci rozeznania w sytuacji. Strach budzi w nim czujność. To wszystko trwa zaledwie moment. Mauri

wzrusza po pijacku ramionami.

– Nie ma sprawy – mówi. – Biorę dwadzieścia pięć procent i jak tylko mi się znudzi, przejmujesz interes. Albo sprzedajesz, wybór należy do ciebie.

– Dwadzieścia pięć! – Diddi nie kryje wzburzenia. – To przecież czysty wyzysk! Ile biorą banki?

– No to idź do banku, podobno mają zdolnych maklerów.

Diddi przystaje na propozycję.

Wybuchają śmiechem, jak gdyby wszystko było tylko żartem.

Podczas montażu programu nie wycięto sceny, w której Mauri wkracza do salonu. W prawym dolnym rogu obrazu widać, jak Malou von Sivers kręci przez chwilę ręką, sygnalizując kamerzyście: „filmuj dalej!”. Szczupły i niewysoki mężczyzna przychodzi na myśl wyprężonego na baczność ucznia. Garnitur leży na nim jak ulał. Buty błyszczą. Koszula biała, jedna z tych szytych na miarę z gatunkowej, nieprzejrzystej bawełny.

Kallis przeprosza dziennikarkę za spóźnienie, ściska jej dłoń, odwraca się do Inny Watrang i całuje ją w policzek. Inna wita go radosnym: „Nasz pan!”. Mężczyźni podają sobie ręce. Ktoś wyczarowuje krzesło, teraz wszyscy troje siedzą z Malou von Sivers przed kamerą.

Dziennikarka zaczyna łagodnie. Trudne pytania zostawia na później, najpierw chce rozmówcę oblaskawić. A gdyby coś nie wypaliło, lepiej żeby to się stało pod koniec wywiadu.

Trzyma w ręce wiosenny numer „Business Weeka” z Kallisem na okładce i rozkładówkę działu gospodarczego „Dagens Nyheter”. Artykuł w „DN” nosi tytuł *Chłopiec w złotych spodniach*.

Inna patrzy na gazety i myśli: to prawdziwy cud, że te teksty zostały napisane. Mauri konsekwentnie odmawiał udzielania wywiadów. W końcu przekonała go do krótkiej sesji zdjęciowej. Do „Business Weeka” wybrano twarz w zbliżeniu, ze spuszczonego wzrokiem. W trakcie fotografowania asystentowi wypadł z ręki długopis i potoczył się

po podłodze. Mauri podążył za nim spojrzeniem. Fotograf pstrykał raz za razem. Mauri wygląda na zamyślonego. Niemal pogrążonego w modlitwie.

Malou von Sivers: Od sprawiającego problemy dziecka do właściciela tego wszystkiego (czyni ruch głową, obejmujący posiadłość Regła, świetnie prosperującą firmę, piękną żonę i całą resztę). Pańskie życie to w dużej mierze historia jak z bajki. Jak pan to odbiera?

Mauri przygląda się zdjęciom i walczy z wywoływanym przez nie obrzydzeniem do siebie.

Czuje, że jest własnością publiczną. Używają go jako dowodu na prawdziwość swoich ideologii. Konfederacja Szwedzkich Przedsiębiorców prosi Kallisa o cykl wykładów. Wskazując na niego, mówią: „Popatrzcie. Każdy może odnieść sukces, jeśli tylko zechce”. Göran Persson^[6] wymienia jego nazwisko w telewizyjnej debacie o przestępczości nieletnich. Ze złej drogi zawróciła go przecież pracownica opieki socjalnej. System funkcjonuje. Dom ludowy istnieje. Słabi mają szansę.

To wszystko napęnia Mauriego odrazą. Chciałby, żeby ludzie się od niego odczepili, żeby w końcu zostawili go w spokoju.

Nie daje jednak nic po sobie poznać. Cały czas mówi spokojnym i łagodnym tonem. Może odrobinę monotonnym. Ale przecież nie siedzi tutaj z powodu charyzmatycznej osobowości; tę reprezentuje rodzeństwo Wattrangowie.

Mauri Kallis: Czuję się... Na pewno nie jak postać z bajki.

Cisza.

Malou von Sivers (niezrażona): W zagranicznej prasie nazywa się pana szwedzkim cudem i porównuje z Ingvarem Kampradem^[7].

Mauri Kallis: Obaj mamy nos i dwoje oczu...

Malou von Sivers: Nie przyzna pan dziennikarzom odrobiny racji? Obaj zaczęli panowie od zera. Udało się panom stworzyć ogromne międzynarodowe firmy w Szwecji, kraju, który uchodzi za... niezbyt przyjazny dla nowych przedsiębiorców.

Mauri Kallis: Bo nie jest przyjazny. Przepisy podatkowe faworyzują stary kapitał, ale na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nadarzyła się okazja

do zbitcia majątku, więc z niej skorzystałem.

Malou von Sivers: Proszę, niech pan opowie więcej! W jakimś wywiadzie kolega z pana roku zdradził, że czuł pan niechęć do zwykłego wydawania pieniędzy pożyczonych od państwa^[8]. Nie chciał ich pan „przejąć i wysrać”.

Mauri Kallis: To bardzo dosadnie powiedziane. Nie chciałbym używać takiego języka. Ale to prawda. Nigdy wcześniej nie dostałem naraz takiej góry pieniędzy. Odezwał się we mnie przedsiębiorca. Pieniądz powinien pracować, służyć inwestycjom. (Teraz po jego twarzy przemija lekki uśmiech). Byłem prawdziwym maniakiem giełdy. W portfelu ciągle nosiłem kopie wskaźników dla lokat inwestycyjnych.

Didi Watrang: Czytałeś „Affärsvärlden”...

Mauri Kallis: W tamtych czasach ta gazeta była *on top*.

Malou von Sivers: A później?

Mauri Kallis: Później...

W akademiku na osiem jednoosobowych pokoi przypadają dwa prysznice i kuchnia. Raz na tydzień dochodząca sprzątaczką zaprowadza tu porządek, na co dzień jednak lepiej nie chodzić bez butów. Człowiek czuje przez skarpety okruszki i inne śmieci, a od czasu do czasu wdeptuje w coś lepkiego, co nie zostało wytarte lub jeszcze nie wyschło. Krzesła i stoły są z poźółkłego drewna sosnowego. Toporne i ciężkie. Z niewiadomego powodu człowiek ciągle się o nie uderza. Kaleczy palce u nóg, nabija sobie siniaki na udach.

Na piętrze mieszka kilka studentek. Przebywają głównie w swoim towarzystwie i chodzą na imprezy, na które Mauri nigdy nie jest zapraszany. Mieszkający naprzeciwko Anders ma modne okulary i studiuje prawo; czasami można go spotkać w kuchni, choć najwięcej czasu spędza u swojej dziewczyny.

Håkan jest wysoki i pochodzi z Kramfors. Mattias – duży i otyły. I w końcu on sam, Mauri – chudziutki jak komar. Co za zbieranina! Nie chodzą na imprezy ani też ich nie organizują, bo kogo mieliby zapraszać? Wieczorami siedzą u Håkana przed

telewizorem i – z poduszkami na kolanach, jak nastoletni chłopcy – wpatrują się apatycznie w jakiegoś pornosa.

Tak było wcześniej. Ale teraz Mauri zamienił się w giełdowego nerda i przynajmniej jest kimś. Co nie znaczy, że od razu zaprzyjaźnił się z ludźmi wystającymi pod monitorem przy Kopparporten.

Stał się zagorzałym graczem. Opuszcza wykłady; wieczorami, zamiast się uczyć, ślęczy nad kolejnym numerem „Dagens Industri”; pieką go zmęczone oczy.

To gorączka i młodzieńcze zakochanie. Oszalającym wejście w system po każdym najmniejszym sukcesie.

Pierwszy udany strzał. Ciągłe pamięta to uczucie i nigdy go nie zapomni; to chyba tak, jak z pierwszą dziewczyną. Kupił pięćset akcji Cura Novej przed fuzją z Artemisem. I nagle kurs podskoczył. Pierwsze drgnięcie, później nieustanna zwyżka; ludzie ciągle kupowali, ale byli za nim daleko w tyle, on bowiem zaczynał już myśleć o sprzedaży. Nie powiedział nikomu, ile właśnie zarobił. Wyszedł. Zatrzymał się na ulicy pod latarnią, wystawił twarz na śnieg. Ta pewność. To uczucie. Będę bogaty! To mój żywioł!

Zakolegował się poza tym z Diddim, który teraz też przystaje przed monitorem, sprawdza kursy, wdaje się z Maurim w pogawędkę, siada obok niego na wykładach.

Czasami bawią się razem w mieście. Mauri ściąga dwadzieścia pięć procent z zysków kolegi, w końcu nie jest niczyją dupcią.

Nie jest też głupcem. Wie, że pieniądze dają mu bilet wstępu do innego świata. I co z tego, mówi do siebie, że w moim przypadku chodzi o forszę. Dla jednego wejściówką jest twarz, dla drugiego – wdzięk, trzeci ma nazwisko. Jakiś bilet trzeba mieć i zawsze można go stracić. Ważne więc, żeby trzymać go mocno w garści.

Istnieją reguły. Niewypowiedziane. Na przykład: to Diddi inicjuje kontakt. To on dzwoni i pyta, czy Mauri chce się zabawić. Odwrotna sytuacja nie wchodzi w rachubę. Mauriemu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby pozwolić sobie wyjść z propozycją.

Czeka zatem na telefon. A kiedy tak czeka, odzywają się w nim głosy. Opowiadają

o życiu Diddiego, do którego on, Mauri, nie ma dostępu. Piękni przyjaciele, cool imprezy. Diddi dzwoni tylko wtedy, kiedy nie ma nic ciekawego w planach. Duszę Mauriego zaczyna trawić coś w rodzaju zazdrości. Czasami chciałby przestać obracać pieniędzmi kolegi. Po chwili jednak się usprawiedliwia: przecież na nim zarabia. Wykorzystują się nawzajem.

Próbuje się uczyć. A kiedy nie znajduje w sobie dość siły, żeby studiować albo spekulować na giełdzie, gra w karty z Håkanem i Mattiasem. Ciągłe czeka na wiadomość od Diddiego. Biegnie do swojego pokoju na każdy dźwięk dzwonka, ale prawie zawsze telefon brzęczy u koleżanki mieszkającej obok.

A kiedy w końcu odzywa się Diddi, Mauri przystaje na jego propozycję. Postanawiając, że następnym razem odmówi. Uda zajętego.

Inna reguła: tylko Diddi ma prawo doboru towarzystwa. Mauri nie może przyjść na przykład z Håkanem czy Mattiasem, to wykluczone. Nie żeby chciał ich ze sobą zabierać. Nie łączy ich przecież ani przyjaźń, ani solidarność, ani, kurwa, nic innego. Tyle ich wiąże, że są tą całą resztą. Chociaż teraz już nie.

Mauri i Diddi. Ich umysły mętnieją od alkoholu. Jaśniej na kokainowym haju. Czasami Mauri budzi się rano i nie ma pojęcia, jak i kiedy dotarł do domu. W kieszeniach ma bilety i rachunki, na rękach stemple – rozpoznawalne ślady podróży. Z pubu przez Caféet do klubu i afterparty u jakichś dziewczyn.

Bzyka się z mniej ładnymi koleżankami tych najładniejszych. To mu wystarcza, bo to, kurde, i tak o wiele więcej, niż kiedykolwiek przypadnie w udziale Håkanowi i Mattiasowi.

Mija pół roku. Mauri wie, że Diddi ma siostrę, ale jeszcze nigdy jej nie spotkał.

Nikt nie potrafi wzruszać ramionami tak, jak Diddi. Oblewają egzamin, obaj. Mauri kieruje wściekłość do wewnątrz, czuje, jak ona go ciśnie i zżera. Jakiś głos w środku potwierdza to, co Mauri już wie: że jest beznadziejny, że blefuje i że – gdy wkrótce powinie mu się noga – znów znajdzie się w świetle, z którego wyszedł.

Diddi przeklina: ożeż, kurwa! Zaraz potem kieruje porażkę na zewnątrz.

To pilnujący w trakcie egzaminu, to egzaminator, to chłopak, który siedział przed nim i puszczał ciche bąki... wszyscy są winni, tylko nie Diddi. Martwi się nie dłużej niż kilka sekund; po chwili w jego serce znów spływa beztroska.

Trochę potrwa, zanim Mauri się zorientuje, że Diddi nie jest zamożny. Zawsze myślał, że młodzieńcy z klasy wyższej, zwłaszcza ci o arystokratycznych korzeniach, mają kupę szmału. Ale to nieprawda. Kiedy się spotykają, Diddi żyje z zasiłku studenckiego i ledwie wiąże koniec z końcem. Wprawdzie ma östermalmski adres, mieszkanie należy jednak do jakiegoś krewnego. Prawie wszystkie koszule, które – niedbale pozapinane – nosi na T-shirtach, należały kiedyś do jego ojca. Ma tylko jedną parę dżinsów i jedną parę butów. Zimą marznie, ale wygląda ślicznie. Może nawet najładniejszy jest wtedy, kiedy mu zimno. Kiedy unosi ramiona, przyciskając ręce do ciała. Doprawdy, trudno się powstrzymać, żeby go nie objąć.

Mauri nie wie, skąd pochodzi forsa, którą Diddi zainwestował na giełdzie. Powtarza sobie, że to nie jego problem. O wiele później, kiedy zrozumie, dlaczego kumpel, pijany w sztok, po kilku minutach spędzonych w knajpianej toalecie wychodzi z niej świeżutki i rześki, będzie się zastanawiał, skąd Diddi bierze kasę na te rzeczy. Ma podejrzenia. Kiedyś w barze podszedł do nich starszy mężczyzna. Ledwie zdążył się przywitać, Diddi wstał i zginął im z oczu. Mauri czuł, że nie powinien pytać o tego człowieka.

Diddi lubi forszę. Całe życie widział pieniądze, przebywał w towarzystwie osób mających pieniądze, sam zaś nigdy ich nie posiadał. Zaostrza mu się więc apetyt. Zaczyna wybierać coraz większe sumy z konta, na które wpływają zyski z handlu. Tylko że teraz kolej Mauriego, żeby wzruszyć ramionami. To przecież nie jego ból głowy. Udział kolegi w ich prostej spółce po prostu maleje.

Od czasu do czasu Diddi znika z horyzontu na dłużej. Z kieszeniami pełnymi banknotów jedzie na Riwierę i do Paryża.

Każdy ponosi kiedyś życiową klęskę. Wkrótce nadejdzie pora Diddiego. Niebawem też Mauri spotka jego siostrę.

Malou von Sivers: Nazywa go pani „naszym panem”.

Inna Wattrang: Przecież jesteście jego kundlami.

Mauri Kallis (uśmiecha się i lekko kręci głową): Podpatrzyli to u Stenbecka^[9]. Nie wiem, czy powinienem czuć się zaszczycony, czy raczej się obrazić.

Malou von Sivers: A są pana kundlami?

Mauri Kallis: Jeżeli już musimy rozmawiać o zwierzętach, to... najchętniej pracuję z głodnymi kotami.

Didi Wattrang: A my jesteśmy tłuści...

Inna Wattrang: I leniwi.

Malou von Sivers: Proszę, niech pan to rozwinie. Między państwem powstała przecież niecodzienna przyjaźń. Rodzeństwo Wattrangowie urodziło się w czepku, pan zaś był dzieckiem po przejściach, można tak powiedzieć?

Mauri Kallis: Tak.

Malou von Sivers: A więc to pan jest tym głodnym kotem. Co sprawia, że tworzą państwo we troje taki wspaniały zespół?

Mauri Kallis: Inna i Diddi mnie uzupełniają. Nasza działalność w znacznym stopniu polega na wyszukiwaniu ludzi, którzy chcą grać i są skłonni podjąć duże ryzyko, by zdobyć ogromną wygraną. I których na to stać. Chodzi o osoby, które nie muszą sprzedawać akcji, gdy te osiągną *rock bottom*, i mogą sobie pozwolić na udział w deficytowej spółce, dopóki nie pojawi się kolejny zyskowny projekt. Bo taki pojawi się zawsze. Prędzej czy później. Ale trzeba umieć czekać. Dlatego też z reguły nie wprowadzamy naszych spółek na giełdę, wolimy *private placements*, żeby mieć choć jakieś takie pojęcie o kupujących. To samo dotyczy na przykład prowadzenia kopalni w Ugandzie. Od pewnego czasu jest tam na tyle niespokojnie, że nie możemy prowadzić żadnej działalności. Ale to jest długofalowe przedsięwzięcie, w które po prostu wierzę. I naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest grupka akcjonariuszy depreczających mi po piętach i żądających zysków w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Wattrangowie wyszukują właściwych inwestorów. I świetnie sobie radzą ze sprzedażą. Znajdują śmiałych graczy, lokujących kapitał w niepewnych

projektach, ale też cierpliwych długodystansowców, którzy nie mają problemów z wypłacalnością i którzy wolą dalekosiężne inwestycje. Inna i Diddi mają lepsze kompetencje społeczne niż ja. Mają również tę nieokreśloną finansową siłę przyciągania. A teraz, kiedy prowadzimy kilka kopalni, doskonale sprawdzają się w kontaktach z miejscowymi i z pozostałymi współpracownikami. Poruszają się zreźnie na wielu poziomach, nie wchodząc z nikim w konflikt.

Malou von Sivers (zwracając się do Inny): Co jest mocną stroną Mauriego Kallisa?

Inna Wattrang: Mauri ma niesamowitego nosa do korzystnych interesów. To coś w rodzaju wewnętrznej różdżki. Jest też bardzo zdolnym negocjatorem.

Malou von Sivers: Jakim jest pracodawcą?

Inna Wattrang: Cechuje go nieustanny spokój. To jest najbardziej fascynujące. Zdarzało się, że naprawdę znajdował się w groźnej sytuacji, na przykład w tych pierwszych latach, kiedy kupował koncesje, nie mając finansowego pokrycia. Nigdy nie okazywał niepokoju ani oznak stresu. To sprawia, że ludzie w jego otoczeniu mają ogromne poczucie bezpieczeństwa.

Malou von Sivers: Ale ostatnio zagrzmiął pan w prasie. Uzewnętrznił emocje.

Mauri Kallis: Ma pani na myśli kopalnię w Ruwenzori? Tę sprawę z SIDA^[10]?

Malou von Sivers: Powiedział pan między innymi, że działania SIDA zakrawają na żart.

Mauri Kallis: Ten cytat wyrwano z kontekstu. Nie grzmiąłem w prasie, tylko pewien dziennikarz w taki sposób zrelacjonował mój wykład. Choć to oczywiście prawda, w końcu mogłem się zdenerwować. Cały czas atakują mnie szwedzcy reporterzy, nie do końca zorientowani w temacie. „Kallis Mining buduje drogi dla oddziałów milicji!” Ktoś zobaczył, jak podaję rękę generałowi milicji Lendu i napisał o krwawej działalności owej milicji w Kongu. Nagle moja kopalnia w północno-zachodniej Ugandzie stała się synonimem szatana. Ja zresztą też. Niesamowicie łatwo wyznawać piękne wartości moralne, kiedy nie ma się bezpośredniego kontaktu z krajami w kryzysie. Przesłać pomoc i trzymać się z daleka. A przecież ludzie w tych krajach potrzebują przedsiębiorstw, miejsc pracy, możliwości rozwoju. Rząd natomiast woli

dofinansowanie budżetu bez żadnej kontroli. Wystarczy popatrzeć, jak wygląda Kampala, i nietrudno pojąć, gdzie znika duża część tych darowanych pieniędzy. Niewyobrażalnie luksusowe wille na zboczach gór. Mieszkają w nich członkowie rządu i wysoko postawieni urzędnicy administracji. A ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że pieniądze z SIDA idą na oddziały militarne, nie tylko terroryzujące ludność cywilną, ale również plądrujące kopalnie w północnym Kongu, uważam za naiwnych. Każdego roku miliardy koron pompuje się w akcje zwalczania AIDS w Afryce. Proszę jednak zapytać jakąkolwiek kobietę w jakimkolwiek afrykańskim kraju, każda odpowie: nie widzę różnicy. Gdzie się podziewają te wszystkie pieniądze?

Malou von Sivers: No, właśnie. Gdzie?

Mauri Kallis: Ładują w kieszeniach członków rządu, ale to jeszcze nie jest najgorsze. Lepsze luksusowe wille niż broń. Personel urzędu SIDA ma chwalebne zadania, lubi swoją pracę, i to jest oczywiście dobre. Próbuje tylko wytłumaczyć, że gdy człowiek stąd prowadzi tam interes, to miewa do czynienia z ludźmi, którzy w taki czy inny sposób są moralnie wątpliwi. Oczywiście, że maczam palce w tym brudzie, ale przynajmniej coś robię. Jeżeli buduję drogę do swojej kopalni, nie mogę zabronić korzystania z niej walczącym oddziałom.

Malou von Sivers: A więc może pan spać spokojnie?

Mauri Kallis: Nigdy dobrze nie sypiałem, ale nie z tego powodu.

Malou von Sivers (czując, że rozmówca przyjmuje postawę obronną, zmienia temat): Wygląda na to, że znów wracamy do pańskiego dzieciństwa. Może pan nam trochę o nim opowie? Urodził się pan w 1964 roku w Kirunie. Mieszkał z samotną matką, która nie umiała się panem zająć.

Mauri Kallis: Tak, mama naprawdę nie potrafiła się opiekować dziećmi. Moje młodsze przyrodnie rodzeństwo zostało jej odebrane w zasadzie zaraz po urodzeniu, ale ja byłem jej pierworodnym, więc mieszkałem z nią, dopóki nie skończyłem jedenastu lat.

Malou von Sivers: Jak pan wspomina ten czas?

Mauri Kallis (szuka słów, czasami przymyka oczy, jakby w jego głowie rozgrywały

się jakieś sceny z dzieciństwa): Musiałem radzić sobie sam... Bardzo często. Mama spała, kiedy szedłem do szkoły. Bardzo się złościła... gdy mówiłem, że jestem głodny. Czasami znikwała na parę dni, a ja nie miałem pojęcia, gdzie się podziewa.

Malou von Sivers: Trudno panu o tym mówić?

Mauri Kallis: Tak, bardzo trudno.

Malou von Sivers: Teraz ma pan własną rodzinę. Żonę i dwóch synów, jeden ma dziesięć, drugi – dwanaście lat. W jaki sposób pańskie dzieciństwo wpłynęło na rolę męża i ojca?

Mauri Kallis: Trudno powiedzieć, ale nie mam wewnętrznego obrazu normalnego życia w rodzinie. W szkole widywałem... jak to powiedzieć... normalne mamy. Miały czyste i ładnie ułożone włosy... I ojców. Zdarzało się, że odwiedzałem jakiegoś kolegę z klasy, choć niespecjalnie często. Wtedy widziałem prawdziwy dom. Meble, dywany, ozdoby, rybki w akwarium. W naszym mieszkaniu nie było prawie nic. Pamiętam, jak kiedyś opieka socjalna kupiła nam używaną sofę. W oparciu miała specjalną klapę, którą można było otworzyć i wysunąć dodatkowe posłanie. W moich oczach ta sofa była czymś niezmiernie luksusowym. Po dwóch dniach zniknęła.

Malou von Sivers: Co się z nią stało?

Mauri Kallis: Pewnie ktoś ją sprzedał. Przez dom przewijali się różni ludzie. Odkąd pamiętam, drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz.

Malou von Sivers: W końcu umieszczono pana w rodzinie zastępczej.

Mauri Kallis: Mama cierpiała na coraz cięższe zaburzenia paranoiczne, wygrażała sąsiadom i nieznanym na ulicy. W końcu poddano ją przymusowemu leczeniu w zakładzie psychiatrycznym. A kiedy ją tam zabrano...

Malou von Sivers: To pana też zabrano. Miał pan wtedy jedenaście lat.

Mauri Kallis: Tak. Zawsze można pomyśleć i pomarzyć... że to wszystko mogło wyglądać inaczej, że mogłem znaleźć się u zastępczych rodziców o wiele wcześniej i tak dalej... Ale było właśnie tak.

Malou von Sivers: Czy pan jest dobrym ojcem?

Mauri Kallis: Trudno powiedzieć. Staram się jak mogę, chociaż oczywiście zbyt często jestem w rozjazdach, z dala od rodziny. To moja ułomność.

Anna Maria Mella poprawiła się na krześle.

– To mnie doprowadza do szaleństwa – zwróciła się do Svena Erika. – Jakby wyznany grzech przestawał być grzechem. Wystarczy, że facet oznajmi: „Powiniennem przebywać więcej ze swoimi dziećmi”, i od razu staje się lepszym człowiekiem. A co powie synom, kiedy dorosną? „Przyznaję, że nigdy nie było mnie w domu, ale musicie wiedzieć, że cały czas miałem z tego powodu wyrzuty sumienia”. „Wiemy, tatusiu. Dziękujemy! Kochamy cię, tatusiu!”

Mauri Kallis: Ale mam wspaniałą żonę, na której zawsze mogę polegać. Bez niej nie mógłbym ani prowadzić przedsiębiorstwa, ani mieć dzieci. Wiele mnie nauczyła.

Malou von Sivers (najwyraźniej oczarowana wdzięcznością okazaną żonie): Czego na przykład?

Mauri Kallis (zastanawia się): Najprostszych spraw. Że w rodzinie razem się jada posiłki. Chodzi o tego rodzaju rzeczy.

Malou von Sivers: Myśli pan, że docenia to normalne życie bardziej niż na przykład ja, która miałam całkiem zwyczajne dzieciństwo?

Mauri Kallis: Proszę mi wybaczyć, ale myślę, że tak. Czuję się jak uchodźca, który znalazł się w normalnym świecie.

Na drugim roku studiów Diddi nareszcie może opuścić ów normalny świat. Nigdy nie brakowało mu wdzięku i urody, a teraz ma jeszcze pieniądze. Przejeżdża Sztokholm. Udaje się dalej niż do restauracji Riche. W towarzystwie dwóch modelek o długich i chwiejnych nogach zatacza się wzdłuż kanału Saint Martin, gdy słońce wschodzi nad Paryżem. Nie, nie są aż tak pijani, by z trudem utrzymać równowagę; chodzi raczej o dziecinne przepychanki, o bez troski powrót do domu. Drzewa stoją cierpliwie nad

wodą jak opuszczone kobiety i niczym miłosne wyznania rozrzucają wokół liście w kolorze krwi, parujące. Z piekarni dochodzi zapach świeżego chleba. Samochody dostawcze mkną w kierunku centrum, koła tłuką się po bruku. Świat nigdy już nie będzie piękniejszy.

Podczas jakiegoś pool party Diddi poznaje aktorkę i dostaje zaproszenie na pokład prywatnego odrzutowca, który zabiera go na dwutygodniową sesję filmową na Ukrainie. Diddi umie się zdobyć na szeroki gest, jakże niezbędny w tym towarzystwie. Na pokład samolotu wnosi dziesięć butelek Dom Pérignon.

Wreszcie zawiera znajomość z Sofią Fuensantą Cuervo. Jest od niego jedenaście lat starsza, ze strony matki odlegle spokrewniona z hiszpańską rodziną królewską, ze strony ojca zaś – z Janem od Krzyża.

Przypadła mi w rodzinie rola czarnej owcy, mówi. Zdążyła się rozwieść, ma dwoje dzieci, które umieściła w szkole z internatem.

Diddi nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która mogłaby się z nią mierzyć.

Czuje się wędrowcem, który w końcu dotarł do morza, zanurza się w nim i tonie. Jej ramiona są lekiem na wszystko. Patrząc, jak Sofia się uśmiecha czy choćby tylko drapie po nosie, Diddi traci poczucie rzeczywistości. Przepędzają go nawet myśli o wspólnych zabawach z jej dziećmi. W mglistych wyobrażeniach puszczają razem latawce na plaży, później on czyta im do poduszki. Sofia nie mówi dużo o dzieciach i nie życzy sobie, by Diddi je poznał. Nie pozwala mu towarzyszyć sobie w podróży, gdy od czasu do czasu wybiera się do nich w odwiedziny. Nie chce, żeby przywiązały się do kogoś, kto wkrótce zniknie, mówi. Ale on przecież nigdy nie zniknie! Chciałby w nieskończoność siedzieć z rękami wplątanymi w jej kruczoczarne włosy.

Przyjaciele Sofii mają ogromne łodzie. Diddi zabiera się z nimi na polowanie do znajomych w północno-zachodniej Anglii. W pożyczonym stroju łowieckim i filcowej czapeczce robi prawdziwą furorę. Dla mężczyzn jest uosobieniem młodszego brata, dla kobiet – nieokreślonej tęsknoty.

– Odmawiam zabijania – oznajmia w ostatniej chwili z powagą dziecka.

Znajduje miejsce w nagonce obok trzynastolatki, z którą długo rozmawia o jej

koniach. Wieczorem dziewczynce udaje się przekonać panią domu, by usadowiła ich razem przy stole. Sofia ze śmiechem wypożycza kochanka. Została pokonana.

Diddi zaprasza Sofię do restauracji, kupuje jej obłąkańczo drogie buty i biżuterię. Jadą na tydzień do Zanzibaru. To wszystko jest jak kulisy w teatrze: podupadające piękno miasta, kunsztowna snycerka zdobiąca drzwi, wychudzone koty polujące na niewielkie kraby wzdłuż ciągnących się kilometrami białych plaż, ciężki zapach goździków, które – usypane w stosy – suszą się na czerwonych matach. A na tle tego piękna, które wkrótce wyda ostatnie tchnienie – drzwi i fasady się rozpadną, wyspa zostanie brutalnie wyeksploatowana, plaże zaludnią się głośnymi Niemcami i otyłymi Szwedami – na tym tle: ich miłość.

Ludzie odwracają się i patrzą za nimi, kiedy spacerują ze splecionymi dłońmi. Jego włosy spłwiały na słońcu do białości, jej – błyszczą czernią jak grzywa andaluzyjskiej klaczy.

Pod koniec listopada Diddi dzwoni z Barcelony; chce sprzedać część akcji. Mauri wyjaśnia, że nie zostało nic do sprzedania.

– Po prostu zużyłeś swój kapitał.

Diddi opowiada o tym, jak prześladowuje go narwany właściciel hotelu, żądając pieniędzy za pokój.

– Facet jest wściekły jak cholera, muszę się skradać, żeby mnie nie dorwał na schodach.

Najpierw następuje długie, kłopotliwe milczenie: Diddi czeka, aż Mauri zaproponuje mu pożyczkę, ten zaś zaciska zęby. Potem Diddi pyta wprost. Mauri odmawia.

Później wybiera się na spacer po zaśnieżonym Sztokholmie. Gniew opuszczonego podąża za nim jak pies. A cóż, kurwa, Diddi sobie wyobrażał? Że wystarczy zadzwonić, a Mauri pokłoni się w pas, z opuszczonymi gaciami?

Nie. Następne trzy tygodnie Mauri spędza u swojej nowej dziewczyny. Wiele lat później, podczas wywiadu z Malou von Sivers, nie będzie mógł przypomnieć sobie jej imienia, nawet gdyby ktoś przyłożył mu pistolet do głowy.

Trzy tygodnie po rozmowie telefonicznej Diddi pojawia się w kuchni akademika. Jest sobotni wieczór. Sympatia Mauriego poszła na dziewczynskie przyjęcie u koleżanki. Håkan ogląda Diddiego, jakby oglądał telewizję. Zapomina oderwać od niego wzrok, jak na człowieka przystało. Wpatruje się w niego nieprzerwanie, z otwartymi ustami. Mauri czuje nieodpartą chęć, by mu przyłożyć. Żeby przynajmniej zamknął tę rozdziawioną gębę!

Oczy Diddiego są jak biały spękany lód, który ściał krwawe morze. Mokry śnieg topnieje mu we włosach i spływa strużkami po twarzy.

Miłość Sofii zniknęła razem z pieniędzmi, ale o tym Mauri jeszcze nie wie.

Dopiero po chwili w pokoju wybucha awantura. Mauri to cholerny oszust. Dwadzieścia pięć procent, co? Lichwiarz jebany! Tak skąpy, że nawet własnego gówna mu szkoda! Diddi może się zgodzić na dziesięć procent, a teraz żąda zwrotu pieniędzy. I to JUŻ!

– Jesteś pijany – mówi Mauri.

W jego głosie pobrzmiwa troska. Chodził do szkoły życia wystarczająco długo, by się nauczyć, jak opanowywać takie sytuacje. Swobodnie przyjmuje ojcowską postawę i ton. Łagodne na powierzchni, w istocie zaś twarde jak gład. Mauri nosi bowiem w sobie przybranego ojca. W środku przybranego ojca czeka przybrany brat. To trochę tak, jak z rosyjskimi matroszkami. Wewnątrz przybranego brata tkwi Mauri. Upłynie wiele lat, zanim ta najmniejsza lalka ujrzy światło dzienne.

Diddi nie wie nic o rosyjskich matroszkach. Albo po prostu nie bierze ich pod uwagę. Przepelniony gniewem, odkręca lalkę przybranego ojca; wrzeszczy i wywołuje burdy. Sam będzie sobie winien, jeżeli do głosu dojdzie przybrany brat Mauriego.

Malou von Sivers: A więc kiedy miał pan jedenaście lat, umieszczono pana w rodzinie zastępczej. Jak się panu w niej żyło?

Mauri Kallis: W porównaniu z tym, jak moje życie wyglądało wcześniej, nastąpiła oczywiście znaczna poprawa. Tylko że dla moich rodziców zastępczych przyjmowanie dzieci pod swój dach stanowiło sposób na zarabianie pieniędzy. Imali się różnych

zajęć, byli dość obrotni. Mama pracowała jednocześnie w trzech różnych miejscach. Nazywała męża starym, mój przybrany brat też tak ojca nazywał, ja także. Zresztą on sam również tak o sobie mówił.

Malou von Sivers: Proszę nam o nim opowiedzieć.

Mauri Kallis: Był zwykłym mataczem, który wprawdzie poruszał się w granicach prawa, ale zupełnie bez skrupułów. Taki biznesmen ze zdecydowanie najniższej półki. (Uśmiecha się i kręci głową na jego wspomnienie). Na przykład kupował i sprzedawał samochody; całe podwórze było zavalone starymi wrakami. Czasami jeździł w interesach do innych miast. Wtedy zakładał koszulę z koloratką, bo przecież ludzie mają zaufanie do duchownych. „Przeczytałem kodeks prawa kościelnego od deski do deski”, powiedział. „Nigdzie nie było napisane, że trzeba być wyświęconym na księdza, żeby nosić taki kołnierzyk”.

Zdarza się, że do starego przychodzą oszukani ludzie z poczuciem krzywdy. Często są rozgniewani, czasami płaczą. Stary ubolewa, jest mu przykro. Częstoje ich wódką albo kawą, ale interes to sprawa honoru. Umowa stoi. Nie oddaje się raz zarobionych pieniędzy.

Pewnego dnia pojawia się kobieta, która kupiła od starego używany samochód. Jest z nią były mąż. Stary rozszyfrowuje mężczyznę w mgnieniu oka.

– Przyrowadź Jockego – mówi, widząc parę wysiadającą z samochodu, który właśnie zatrzymał się przed domem.

Mauri biegnie po przybranego brata.

Kiedy po chwili chłopcy zjawiają się na podwórzu, mężczyzna zdążył oberwać kilka kuksańców. Jocke trzyma w ręku podbijak. Kobieta robi wielkie oczy.

– Wracamy – mówi, ciągnąc byłego męża za rękę.

On nie ma nic przeciwko temu. W ten sposób wycofuje się z honorem. Jocke wygląda na szaleńca, choć ma zaledwie trzynaście lat. Ciągłe jest przecież tylko chłopcem, któremu figle w głowie. Jak ten splełany psu. Sąsiad ze wsi spuszcza swojego burka z łańcucha. Starego to denerwuje, bo pies sika na ich podwórzu.

Kiedyś Jocke z kolegami łapie kundla, oblewa go naftą i podpala. Śmieją się do rozpuku, kiedy zwierzę pędzi przez łąkę niczym pochodnia. Jak gdyby prześcigali się w śmiechu i szampańskim nastroju. Zerkają na siebie zachęcająco.

Jocke uczy Mauriego, jak się bić. Przez pierwsze miesiące w nowej rodzinie Mauri nie chodzi do szkoły, jesienią ma powtarzać czwartą klasę. Wałęsa się zatem po wsi. W Kaalasjärvi nie ma zbyt wielu atrakcji, ale Mauri się nie nudzi. Jeździ ze starym w interesach. Milczący mały chłopiec to bardzo dobry dodatek. Przybrany ojciec sprzedaje starszkom filtry do wody i wicherzy chłopcu włosy. Kobiety częstują ich kawą i ciasteczkami.

W domu nie ma mowy o żadnym wicherzeniu. Jocke nazywa go głąbem, śmierdzielem i debilem. Gdy tylko mama się odwróci, wylewa mu mleko. Mauri nie idzie na skargę. Zresztą nawet się tymi złośliwościami nie przejmuje. Dokuczliwość otoczenia to dla niego chleb powszedni. Oddaje się za to jedzeniu! Paluszki rybne. Pizza. Kiełbasa z ziemniakami purée. Smażona kiszka ze słodką brusznicą. Przybrana mama przygląda mu się, zafascynowana.

– Gdzie ci się to wszystko mieści? – pyta.

Mija lato. Później zaczyna się szkoła. Mauri trzyma się na uboczu, ale zawsze znajdują się dzieci, które potrafią wyczuć uległą ofiarę.

Wciskają mu głowę do sedesu i spuszcza ją wodę. Chociaż Mauri nikomu o tym nie opowiada, w jakiś sposób wiadomość dociera do rodziny zastępczej.

– Musisz im oddać! – mówi Jocke.

Nie powoduje nim jakaś szczególna troska o przybranego brata. Po prostu lubi, kiedy coś się dzieje.

Jocke ma plan. Mauri usiłuje mu wytłumaczyć, że nie jest zainteresowany. To nie tak, że boi się lania. Lanie od rówieśników to... naprawdę nic. To coś nieprzyjemnego, ale nic więcej. Mauri próbuje unikać nieprzyjemności na tyle, na ile potrafi. Ale dla Jockego takie rozwiązanie nie istnieje.

– W takim razie ja też ci złoję skórę, kapujesz?! – krzyczy Jocke. – Zgotuję ci tu

takie piekło, że jeszcze cię odeślą do twojej matki!

Wówczas Mauri przystaje na propozycję.

Najwięksi dręczyciele to trzech chłopcy z równoległej klasy. Odszukują Mauriego niedaleko holu i zaczynają go szturchać. Ale wtedy pojawia się Jocke z dwoma kolegami i oznajmia, że nadeszła pora na wyrównanie rachunków. Nawet jeżeli prześladowcy Mauriego w jego oczach są ogromni i przerażający, w porównaniu z kumplami Jockego z siódmej klasy sprawiają wrażenie kurdupli.

Przywódca dręczycieli mówi:

– Jasne. Okej!

Udaje nieporuszonego, ale podobnie jak koledzy ma rozbiegane oczy. Odruchowo szuka wzrokiem drogi ucieczki.

Jocke odwodzi ich z wielkiego holu, w którym roi się od dyżurnych oraz nauczycieli, i prowadzi w kierunku szkolnych pracowni. Zaprasza Mauriego i przywódcę dręczycieli do ślepego korytarzyka, w którym po obu stronach stoją metalowe szafki. Zatrzymuje kolegów podążających za wodzem. To sprawa między Maurim a przywódcą.

Zaczyna się walka. Dręczyciel szturcha Mauriego w pierś, ten się zatacza i uderza w szafkę plecami i głową. Oblatuje go strach.

– Dawaj Mauri! Dowal mu! – dopingują koledzy Jockego.

Jocke milczy. Patrzy przed siebie wzrokiem bez wyrazu, niemal tępo. Młodszy koledzy nie mają odwagi krzyczeć, nie tracą jednak rezonu. Zaczynają rozumieć, że jedyną osobą, która tu porządnie oberwie, jest Mauri. Nie mają nic przeciwko temu.

Nagle w Maurim coś pęka. W jego mózgu włącza się inny system. Nie ten, który nakazuje uniki, cofanie się i obronne gesty podniesionych rąk. W głowie panuje pustka, ciało porusza się bezwiednie. Mauri przygląda się sobie z boku.

Robi wszystko, czego nauczył go Jocke. A nawet trochę więcej.

W jednym ruchu: stopy jak w tańcu suną do przodu, ręka oparta o szafkę umożliwia wysokie i mocne kopnięcie. Prawdziwe końskie kopnięcie, które trafia

przeciwnika w skroń. Zaraz potem uderzenie nogą w brzuch i pięścią w twarz.

Świadomość: właśnie tak trzeba się bić. Dystans, cios, dystans. Nie można się mocować i walczyć wręcz z kimś, kto jest o wiele większy. Mauri wraca do swojego ciała, ale teraz już wie, o co chodzi. Rozgląda się za bronią. Jego wzrok pada na wyrwane z szafki drzwi, które woźny od lat obiecuje naprawić i przymocować lada dzień; ma jednak tyle roboty we własnym domu, że rzadko bywa w szkole.

Drzwi są z metalu, pomarańczowe; Mauri ujmuje je obiema dłońmi i wali na oślep. Pang! Pang! Teraz przeciwnik podnosi ręce. Teraz on chroni głowę.

Jocke chwytą Mauriego za ramię i krzyczą: „dość!”. Mauri zapędził przeciwnika w ślepe uliczkę i powalił na podłogę. Nie boi się, że go zabił. Ma nadzieję, że go zabił. Chce go zabić! Ociągając się, wypuszcza drzwi z rąk.

Odchodzi. Jocke i jego kumple zdążyli już zniknąć. Mauri czuje, jak z wysiłku drżą mu ramiona.

Trzech chłopców z równoległej klasy nikomu nic nie mówi. Może nawet chcieliby się zemścić, gdyby nie Jocke z kumplami. Jockemu prawdopodobnie zupełnie na tym nie zależy, ale dręczyciele są przekonani, że stoi po stronie przybranego brata.

Mauri nie zostaje okrzyknięty królem. Nie wzbudza nagle respektu. Nie wspina się na wyższy szczebel drabiny społecznej. Ale prześladowcy dają mu spokój. Czekać na szkolny autobus, Mauri może teraz pogрузić się w myślach, nie musi ciągle mieć się na baczności, być w każdej chwili gotowy wymknąć się z rąk oprawców.

W nocy śni mu się, że morduje własną matkę. Zabija ją żelazną rurą. Budzi się i nasłuchuje, ponieważ jest pewien, że krzyczał. A może to ona krzyczała we śnie? Siada w łóżku, jest na granicy marzenia i jawy. Boi się zasnąć.

Didi stoi w pokoju studenckim Mauriego. Ma mokre włosy, głośno się zachowuje i żąda pieniędzy. Swoich pieniędzy, jak twierdzi. Mauri odpowiada uprzejmie głosem przybranego ojca, że przykro mu z powodu zaistniałej sytuacji, ale zawarł umowę, która przecież ciągle obowiązuje.

Didi mówi coś z pogardą, a później szturcha Mauriego w pierś.

– Przestań – ostrzega Mauri.

Diddi trąca go ponownie. Najwyraźniej chce, żeby Mauri mu oddał, żeby zaczęli się szturchać coraz mocniej, dopóki nie nadejdzie pora, by pójść do domu i wytrzeźwieć.

Uderzenie nadchodzi jednak od razu. Jocke, przybrany brat, nie daje czasu do namysłu. Prosto w nos. Diddi nigdy wcześniej nie dostał w twarz; zanim podniesie rękę do nozdrzy, zanim tryśnie krew, padnie kolejny cios. Mauri wykręca mu ramię, wyprowadza go na korytarz, spycha ze schodów i w końcu wyrzuca w śnieżną breję.

Wraca do pokoju, przeskakując po trzy stopnie naraz. Myśli o swoich pieniądzach. Jeżeli zechce, może je podjąć już jutro. Ponad dwa miliony. Tylko po co?

Doświadcza osobliwego poczucia wolności. Nie będzie już musiał wyczekiwać na telefon od Diddiego.

Komisarz Tommy Rantakyrö wsunął głowę do sali konferencyjnej.

– Przyjechał pan Kallis z asystą – powiedział.

Anna Maria wyłączyła komputer i zeszła z kolegami do dyżurki.

Mauri Kallis był w towarzystwie Diddiego Wattranga i szefa ochrony, Mikaela Wiika. Trzech mężczyzn w długich czarnych płaszczach. Wyróżniali się już samym ubiorem. Mieszkańcy Kiruny nosili kurtki.

Diddi Wattrang przestępował nieustannie z nogi na nogę i błędził wzrokiem dookoła. Witając się z Anną Marią, uściśnął jej mocno dłoń.

– Jestem cały w nerwach – odezwał się. – Jak przyjdzie co do czego, żaden ze mnie bohater.

Rozbroił ją szczerością. Nie była przyzwyczajona do mężczyzn, którzy przyznają się do słabości. Nagle zapragnęła powiedzieć coś wzniosłego, ale mruknęła tylko niewyraźnie, że rozumie, jak mu ciężko.

Mauri Kallis był niższy, niż myślała. Oczywiście nie aż tak niski, jak ona, ale mimo wszystko. Uderzyła ją powściągliwość jego gestów, tak krańcowo różna od niespokojnej mowy ciała Diddiego. Mówił opanowanym i dość cichym głosem.

Nie zachował nic z kiruńskiego dialektu.

– Chcemy ją zobaczyć – powiedział.

– Oczywiście – odparła Anna Maria. – Później chciałabym zadać panom kilka pytań, jeśli to możliwe...

Jeśli to możliwe, pomyślała ze złością. Przestań się płaszczyć!

Szef ochrony przywitał się z policjantami i dość szybko wyszło na jaw, że on też pracował kiedyś w policji.

Wręczył każdemu wizytówkę. Tommy włożył swoją do portfela. Anna Maria powstrzymała odruch, by od razu wyrzucić ją do kosza.

Technik Anna Granlund wwozła Innę Wattrang do kaplicy. W pomieszczeniu znajdowało się jedynie kilka krzeseł i pusty ołtarz. Żadnych symboli religijnych.

Ciało było przykryte białą narzutą, najbliżsi zmarłej nie musieli oglądać śladów po ukłuciu czy oparzeniu. Anna Maria odsłoniła rąbek tkaniny, żeby mogli zobaczyć twarz.

Didi Wattrang skinął głową i przełknął ślinę. Anna Maria dostrzegła kątem oka, że Sven Erik cofnął się nieznacznie, gotów złapać mężczyznę, gdyby ten nagle osunął się na podłogę.

– To ona – odezwał się Mauri Kallis ze smutkiem w głosie, po czym westchnął głęboko.

Didi wyłuskał paczkę papierosów z kieszeni marynarki. Zapalił. Nikt nie zwrócił mu uwagi. Troska o przestrzeganie zakazu palenia nie należała do ich obowiązków.

Szef ochrony obszedł marylę i uniosł białą narzutę. Patrzył na ramiona i stopy zmarłej, zatrzymał się przez sekundę przy ranie oparzeniowej opasującej kostkę.

Mauri Kallis i Didi Wattrang śledzili jego ruchy, ale kiedy zajrzał pod narzutę na wysokości bioder i łona Inny, odwrócili oczy. Żaden z nich nic nie powiedział.

– Nie sądzę, żeby to się podobało lekarzowi sądowemu – przerwała milczenie Anna Maria.

– Nie dotykam jej – odparł mężczyzna, pochylony nad twarzą zmarłej. – Spokojnie, jesteśmy po tej samej stronie barykady.

– Może będzie lepiej, jeśli pan poczeka na zewnątrz.

– Oczywiście. Skończyłem to, co miałem zrobić.

Wyszedł.

Na znak Anny Marii Sven Erik podążył za nim. Komisarz nie chciała, żeby obcy człowiek szwendał się po prosektorium.

Didi zdmuchnęła grzywkę zasłaniającą twarz i zaczął drapać się w nos dłonią, w której trzymał papierosa. Co za nieostrożny gest, pomyślała Anna Maria, bojąc się, że od żaru Watrangowi zapalą się włosy.

– Ja też poczekam na zewnątrz – zwrócił się do Mauriego. – Dłużej nie dam rady.

Wyszedł. Anna Maria miała właśnie zasłonić twarz zmarłej, kiedy odezwał się Mauri Kallis.

– Niech pani chwilkę poczeka – poprosił. – Jej mama chce poddać zwłoki kremacji, więc to ostatni raz, kiedy...

Komisarz Mella zrobiła krok do tyłu.

– Czy mogę ją dotknąć?

– Nie.

Byli teraz tylko we dwoje.

Mauri się uśmiechnął. Po chwili jednak wyglądał tak, jak gdyby lada moment miał się rozpłakać.

Mijają dwa tygodnie. Didi, wyrzucony na śnieg, przepadł bez wieści. Mauri wmawia sobie, że się tym nie przejmuje.

„O czym myślisz?“, pyta jego dziewczyna. Jest tak nieskomplikowana, że Mauri ledwie z nią wytrzyma. „Myślę o tym, jak się spotkaliśmy“, odpowiada. Albo: „O tym, jaka jesteś słodka, gdy się śmiejesz. Wolno ci się śmiać tylko z moich dowcipów, wiesz o tym?“. Albo: „O twojej pupie! Chodź do tatusia“. Prosty sposób, by uniknąć

jej: „Kochasz mnie?”. Mauri nie przekracza pewnych granic kłamstwa, choć potrafi przecież łąć i udawać. To dziwne, jak trudno odpowiedzieć twierdząco właśnie na to pytanie, jak trudno spojrzeć jej w oczy i być szczerym, wyznając nieszczera miłość.

Aż pewnego wieczoru przychodzi do niego z wizytą Inna Wattrang.

Jest ładną podobną do brata – ten sam wyrazisty nos, ten sam jasny paż. On wygląda prawie jak dziewczyna, ona – prawie jak chłopak. Młodzieniec w spódnicy i białej koszuli.

Jej buty są z pewnością bardzo drogie. Nie zdjęła ich przed wejściem. W uszach nosi pięknie oprawione perły.

Właśnie skończyła studia prawnicze, opowiada, siedząc na krawędzi łóżka Mauriego. On sam zajmuje krzesło przy biurku i stara się zachować zimną krew.

– Diddi – mówi dalej Inna – to zwykły idiota. Spotkał kobietę, jaką los przeznacza każdemu młodemu mężczyźnie. I jaka później staje się pretekstem, żeby ów mężczyzna zachowywał się jak świnia wobec innych kobiet.

Uśmiechając się, pyta, czy może zapalić. Mauri dostrzega, że Inna ma dołeczek tylko na jednym policzku.

– Wiem, jestem okropna – dodaje po chwili.

Brzmienie jej głosu przywodzi na myśl Sickan Carlsson^[11]. Wydychuje dym jak mała lokomotywa. Cała jest jakby wyjęta z innej epoki. Mauri wyobraża ją sobie w otoczeniu służących, ubranych w czarne sukienki i białe fartuszki; niemal widzi ją, jak prowadzi automobil w rękawiczkach z mięciutkiej skóry, jak pije absynt.

– Nie chcę umniejszać jego cierpienia – mówi Inna. – Ta Sofia rzeczywiście go zdruzgotała. Nie mam pojęcia, co zaszło między wami, ale Diddi nie może dojść do siebie. Nie wiem, co robić. Naprawdę się niepokoję, rozumiesz? Wiem, że on widzi w tobie przyjaciela. Opowiadał o tobie wiele razy.

Mauri chce w to wierzyć. Naprawdę. Boże, wierzę, zaradz memu niedowiarstwu!

– Wiem, że Diddi chce się z tobą pogodzić. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do niego. Chce cię przeprosić. Niszczenie sensownych relacji z ludźmi to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

Mauri nie tak to sobie wyobrażał. Ale wsiada do autobusu numer 540, a później do metra jadącego do centrum i z Inną u boku brnie przez mokry śnieg do restauracji Strix.

Dziewczyna idzie dość blisko niego, od czasu do czasu dotyka go ramieniem. Chciałby wziąć ją pod rękę, jak w starym filmie. Rozmowa z nią nie sprawia mu trudności. Inna często się śmieje, niespecjalnie głośno, łagodnie. Zanim przyjdzie Diddi, zdążą wypić kilka drinków.

Inna upiera się, że zapłaci. Właśnie skończyła zlecenie dla krewnego, który jest właścicielem spółki deweloperskiej, i dostała pieniądze. Mauri, zainteresowany, zadaje jej pytania, ona przecież wyciągnęła z niego już tyle informacji, Inna jednak wymiguje się zgrabnie od odpowiedzi, choć akurat wtedy Mauri tego nie dostrzega. Nagle rozmowa schodzi na zupełnie inne tory. Przyjemnie odurzony, Mauri się zapomina; zaczyna mówić trochę za dużo, a jego wzrok ześlizguje się nieposłusznie na ciężkie piersi dziewczyny, ukryte pod męską koszulą.

I kiedy w końcu przychodzi Diddi, wszystko wygląda naprawdę jak w jakimś starym filmie, w którym troje przyjaciół podaje sobie ręce na zgodę. Na zewnątrz, w ciemnym Sztokholmie, pada śnieg. Niepozorni ludzie, niczym statyści, przechodzą Drottninggatan albo wznoszą toasty, rozmawiają, śmieją się przy sąsiednich stolikach i wszyscy są tak potwornie przeciętni.

A Diddi, najpiękniejszy duch i wrak człowieka, płacze otwarcie w restauracji, wylewając przed słuchaczami swój ból po stracie Sofii.

– Nie miała kłopotów z przebalowaniem moich pieniędzy, dopóki je miałem.

Inna głaszcze pospiesznie dłoń brata, podczas gdy jej kolano cały czas ma kontakt z kolanem Mauriego, choć to może w ogóle nic nie znaczy.

O wiele później, kiedy stoją pod latarnią przed sklepem nocnym i kiedy nadchodzi czas rozstania, Diddi wyznaje, że chciałby dalej grać na giełdzie razem z Maurim.

Mauri nie prostuje nieścisłości – nigdy przecież razem nie grali na giełdzie, to on zajmuje się handlem. Odzywa się w nim stanowczość, której nie zdoła uspić ani Inna, ani Diddi, ani żadna magia w świecie.

– Nie ma problemu – odpowiada, uśmiechając się dyskretnie. – Skombinuj trochę kasy i wracaj do interesu. Tylko że teraz biorę trzydzieści procent.

Miły nastrój momentalnie pryska. Mauri potężnymi haustami wypija kwasy i niesmaki. Musi się do tego przyzwyczać. Jeżeli chce robić interesy, dobre interesy, będzie zmuszony niejedno wytrzymać. Nieprzyjemności, płacz i zgrzytanie zębów, nienawiść.

A tego bepańskiego kundla, który siedzi gdzieś tam w piersi, trzeba będzie uwiązać na smyczy.

Inna wybucha perlistym śmiechem.

– Jesteś cudowny! – wykrzykuje. – Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Komisarz Mella przykryła narzutą twarz zmarłej.

– Teraz pojedziemy na komendę – zarządziła. – Chciałabym, żeby pan nam trochę opowiedział o Innie Wattrang.

Tylko co ja mam powiedzieć?, pomyślał Mauri Kallis. Że była kurwą i ćpunką? Że upodobniła się do Boga tak bardzo, jak to tylko możliwe?

Później zaś kłamał tyle, ile potrafił. A kłamać umiał dość dobrze.

REBEKA MARTINSSON skończyła rozprawę o godzinie pierwszej. Odgrzała jakieś nieciekawe danie w mikrofalówce i korzystając z chwili przerwy, przeglądała poranną pocztę. Właśnie gdy usiadła przy biurku, komputer wydał charakterystyczny brzdęk. E-mail od Månsa Wennarena.

Już samo jego imię na ekranie wystarczyło, by poczuła się jak rażona prądem. Kliknęła, żeby otworzyć wiadomość, jak gdyby chodziło o test na czas reakcji.

Przypuszczam, że teraz tam na północy pracujecie na pełnych obrotach. Czytałem rano o Innie Wattrang. A tak przy okazji: w najbliższy weekend całe biuro wybiera się na narty do Riksgränsen. Trzy dni, pt.–niedz. Przyjeżdż i wypij z

nami drinka, co?

Tylko tyle. Przeczytała e-mail kilka razy. Nacisnęła „wyślij/odbierz”, jakby ów guzik mógł wyczarować więcej, może jeszcze jedną wiadomość.

On by mnie unieszczęśliwił, pomyślała. Przecież to wiem.

Ponieważ była u Månsa aplikantką, siedziała w pokoju obok i słyszała, jak szef rozmawia przez telefon. To jego: „Teraz nie mogę, zaraz mam zebranie”, choć Rebeka wiedziała, że na żadne zebranie się nie wybiera. „Zadzwoń do ciebie... Tak, ależ na pewno... Zadzwoń wieczorem”. Potem rozmowa się skończyła. A jeżeli osoba po drugiej stronie nie poddawała się tak łatwo, pogawędka trwała dłużej, tylko już przy zamkniętych drzwiach.

Nigdy nie mówił o swoich dorosłych dzieciach, może dlatego że nie miał z nimi kontaktu, a może aby nie przypominać ludziom, że faktycznie jest już po pięćdziesiątce.

Za dużo pił.

Sypiał z nowo zatrudnionymi prawniczkami; czasem zaciągał do łóżka nawet klientki.

Kiedys na firmowym przyjęciu wigilijnym zaczął się do niej przystawiać. Był już solidnie podchmielony i wszystkie inne kobiety zdążyły go splawić. Tych pijackich zalotów Rebeka nie potrafiła potraktować nawet jako komplementu. Czuła się wyłącznie upokorzona.

Mimo to ciągle myślała o dłoni, którą wtedy położył jej na karku. O wszystkich rozprawach sądowych, na których siedzieli razem. O wszystkich wspólnych lunchach. Zawsze trochę zbyt blisko siebie, więc od czasu do czasu musieli się dotknąć. A może jej się tylko wydawało?

Kiedy leżała w szpitalu, zraniona nożem, siedział przy niej i czuwał godzinami.

Tylko że tego, myślała, właśnie tego mam po dziurki w nosie. Tego nieustannego analizowania – z jednej strony to, z drugiej tamto. Z jednej strony wygląda na to, że mu na mnie zależy, z drugiej – że niekoniecznie. Z jednej strony powinnam o nim

zapomnieć. Z drugiej strony, jak tonący brzytwy, powinnam chwytać się każdego źdźbła miłości, które mam w zasięgu ręki. Z jednej strony to może okazać się bardzo skomplikowane. Z drugiej – to nigdy nie jest proste. Jeżeli chodzi o miłość.

Zakochany człowiek jest jak opętany demonem. Jego wola mięknie jak masło. Mózg coraz bardziej przypomina sito. Nie sposób poradzić sobie z samym sobą.

Kiedy pracowała u Månsa, starała się jak mogła. Każdego ranka zakładała kaftan bezpieczeństwa, kaganiec i kolczatkę. Zawsze uważna, byle tylko się nie zdradzić. Przybierała sztywną postawę i ukrywała się w niej. Nie rozmawiała z Månsem więcej, niż to było konieczne. Komunikowała się z nim, korzystając z żółtych karteczek samoprzylepnych i poczty elektronicznej, choć siedziała przecież w sąsiednim pokoju. Wyglądała przez okno, kiedy z nią rozmawiał.

Ale pracowała dla niego jak szalona. Była najlepszą aplikantką, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia.

Jak żalony pies, pomyślała teraz.

Powinna wysłać mu jakąś odpowiedź. Napisała e-mail, ale zaraz go skasowała. I od razu wszystko stało się o wiele trudniejsze. Każda litera była kolejnym etapem górskiej wspinaczki. Każde słowo wymagało długich przemyśleń. Żadne nie było wystarczająco dobre.

Ciekawe, co powiedziałyby o nim babcia? Pewnie pomyślałyby, że z niego jest taki duży chłopiec. Chyba miałyby rację. Måns przypomina jednego z psów myśliwskich taty. Tamten zwierzak nigdy nie przestał się bawić. Nigdy nie wydorósł. Uciekał do lasu i wracał z patykami w pysku. W końcu ojciec go zastrzelił.

W domu nie było miejsca dla psa, który do niczego się nie nadaje.

Babcia bez wątplenia zauważyłaby jego białe, miękkie dłonie. Z pewnością nic by nie powiedziała, ale zdążyłaby o wielu rzeczach pomyśleć. Szczeniące zabawy zamiast prawdziwej roboty. Żeglowanie i stepper w siłowni. Rebeka ciągle pamiętała dwudniowe negocjacje, które Måns w całości przejął, poturbowany w niefortunnej wywrotce bojera.

Tak bardzo niepodobny do taty i innych mężczyzn we wsi.

Rebeka niemal widzi tatę i wujka Affego. Siedzą w kuchni u babci i piją piwo. Wujek odkrawa gruby kawał kielbasy dla swojej suczki Frei. Trzymając plaster przed jej oczami, pyta: „No, to jak robią dziewczyny w Sztokholmie?”. Freja kładzie się na plecach z rozwartymi nogami.

Rebecce podobają się ich dłonie. Zwinne i zręczne. Koniuszki palców najczęściej trochę szorstkie i czarne od czegoś, czemu nie podoła żadne mydło; zawsze znajdzie się maszyna, w której trzeba podkładać.

Rebeka może siedzieć na kolanach u taty tak długo, jak zechce. U mamy szanse są fifty-fifty. „O, jaka ty jesteś ciężka!”, narzeka. Albo: „Pozwól mi w spokoju wypić kawę”.

Tato pachnie potem, ciepłą bawełną i olejem silnikowym. Rebeka wciska nos w jego zarośniętą szyję. Tato ma zawsze ogorzałą twarz, szyję i ręce. Reszta ciała jest biała jak kreda. Nigdy nie wystawia się na słońce, zresztą żaden mężczyzna we wsi tego nie robi. Opalają się natomiast ich żony. Zażywają kąpiele słonecznych na leżakach. Pracują w ogrodzie w bikini.

Czasami tato kładzie się na trawie, żeby przyjść do siebie; z jedną ręką pod głową i kaszkietem na twarzy. Gospodarz Martinsson. To prawo i przywilej każdego mężczyzny – poleżeć na trawie we własnej zagrodzie, pozbierać siły, odpocząć. Tato ciężko haruje. Po nocach obsługuje kombajn leśny, żeby zwróciła mu się droga inwestycja. Robi wszystko, co do niego należy w gospodarstwie. Dorabia u hydraulika w mieście, kiedy pracy w lesie jest trochę mniej.

Ale czasami na chwilę się kładzie. W zimie na kuchennej ławie. W lecie – w zagrodzie. Najstarszy pies, Jussi, wyciąga się obok. Wkrótce dołącza do nich Rebeka. Słońce przygrzewa. Na nieurodzajnej piaszczystej ziemi rośnie chwast o silnym zapachu rumianku. Nie ma tu dużo wonnych roślin. Trzeba podejść naprawdę blisko, żeby coś poczuć.

Rebeka nigdy nie widziała, żeby babcia leżała w ten sposób. Babcia nigdy nie odpoczywa. A już na pewno nie przed domem, na oczach ludzi. Jeszcze by pomyśleli,

że straciła rozum. A może nawet umarła.

Nie, Måns w oczach babci byłby z pewnością obcym ptakiem. Sztokholmczyk, który nie potrafi rozebrać silnika, zapuścić niewodu ani nawet zagrabić siana. W dodatku bogaty. Podekscytowana żona wujka, Inga Britt, podałyby do stołu najładniejsze serwetki. I wszyscy myśleliby o Rebecce: do kogo teraz należy?

Nad czym zresztą już się zastanawiali. Rebeka zawsze musiała udowadniać, że nic a nic się nie zmienia. Ciągle słyszała: to przecież nic specjalnego... Na pewno przyzwyczałaś się do lepszych rzeczy. Wtedy szczególnie mocno musiała chwalić jedzenie, podkreślać, że od lat nie jadła okonia, że naprawdę jest wspaniały! Pozostali spożywali posiłek w milczeniu. Wtedy jeszcze wyraźniej było widać, że nabrała wielkomięjskich przyzwyczajzeń, że ciągle musi coś chwalić.

Tato miał w sobie jakąś brzemienność, której brakowało Månsowi. Nie, nie chodziło o głębię; Måns z pewnością nie był powierzchowny. Tylko że on nigdy nie musiał kłopotać się o byt i niepokoić, czy będzie miał wystarczająco dużo roboty, żeby spłacić kombajn leśny. Różniło ich coś jeszcze. Coś, co nie ma związku z kłopotami. Delikatne tchnienie melancholii.

Czy właśnie ten łagodny smutek pchnął tatę w kierunku mamy z tak ogromną siłą?, zastanawiała się Rebeka. Myślę, że mama weszła w jego życie ze śmiechem i lekkością, ponieważ wtedy była zwiewna niczym wiatr. Myślę, że złapał ją za ramiona obiema rękami. Trzymał mocno i żarliwie. Myślę, że jej się to podobało, przynajmniej przez jakiś czas. Potrzebowała tych objęć, spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Wkrótce jednak wyslizgnęła się jak niecierpliwa kotka.

A ja?, pomyślała, wpatrzona w e-mail od Månsa. Może powinnam znaleźć kogoś takiego jak tato i – w odróżnieniu od mamy – nie wypuszczać go z rąk?

Zakochane serce ma w sobie coś z niezłomnego bojownika. Możesz ukrywać uczucia, a ono gdzieś tam w środku i tak robi swoje. Rozum przestaje działać, argumentować i podejmować ważne decyzje. Zaczyna malować obrazy: żalosalne, romantyczne, sentymentalne, pornograficzne. Całe cholerne spektrum.

Rebeka zwraca się do Boga z próżną modlitwą: Panie, broń mnie przed namiętnością!

Ale jest już za późno. Rebeka pisze:

Fajnie macie. Pozostaje mi żywić nadzieję, że niezbyt wielu z was połamie sobie nogi na stokach. Sprawę mojego ewentualnego przyjazdu i drinka pozostawiam otwartą, trochę to zależy od pogody, pracy i tak dalej. Ale na pewno się usłyszymy. R.

Po chwili zmienia „R” na „Rebeka”. Zaraz jednak powraca do pierwotnej wersji. Mimo że e-mail jest śmiesznie krótki i prosty, Rebeka pisze go czterdzieści minut. W końcu naciska „wyślij”. Później otwiera wiadomość jeszcze dwukrotnie, by sprawdzić jej zawartość. A potem nie potrafi się już na niczym skupić. Przekłada tylko papiery.

– Czy pozwoli pan, że włączę magnetofon? – zapytała Anna Maria.

Siedziała w pokoju przesłuchań z Maurim Kallisem.

Ponieważ Kallis uprzedził, że nie ma zbyt wiele czasu – wkrótce odlatywał ich samolot – policjanci zdecydowali się na dwie równoległe rozmowy. Sven Erik zadawał pytania Diddiemu Wattrangowi.

Szef ochrony wałęsał się po korytarzu w towarzystwie Freda Olssona i Tommy’ego Rantakyrö, zachwyconego gościem.

– Oczywiście – odpowiedział Mauri Kallis. – Jak umarła?

– Jeszcze za wcześnie na ujawnianie szczegółów morderstwa.

– Ale została zamordowana?

– Tak, chodzi o morderstwo albo zabójstwo... W każdym razie ktoś inny... Inna Wattrang pracowała na stanowisku szefa do spraw informacji. Co to oznacza?

– To tylko tytuł. W rzeczywistości Inna zajmowała się mnóstwem spraw w naszej grupie spółek. Choć oczywiście była świetna, jeśli chodzi o kontakty z mediami czy

tworzenie firmowej marki. W ogóle wspaniale sprawdzała się we wszystkim, co miało coś wspólnego z ludźmi. Pracownicy urzędów, właściciele gruntów, inwestorzy, *you name it*, do wyboru, do koloru.

– Dlaczego? W czym była taka dobra?

– Była osobą, o której sympatię wszyscy zabiegali. Więc starali się jej dogodzić. Jej brat jest taki sam, chociaż teraz zbyt...

Mauri Kallis lekko machnął ręką.

– Musiała być panu bliska. Można chyba powiedzieć, że u pana mieszkała?

– No... Regła to duża posiadłość, znajduje się tam wiele zagród i domów. Sporo nas tam mieszka: ja z rodziną, Diddi z żoną i dzieckiem, moja przyrodnia siostra, kilkoro pracowników.

– Inna nie miała dzieci?

– Nie.

– Kto, oprócz pana, był jej najbliższy?

– Podkreślam: to pani twierdzi, że byłem jej bliski. Powiem więc: jej brat. Żyją też przecież jej rodzice.

– Nikt inny?

Mauri Kallis pokręcił głową.

– No, śmiało! – zachęciła go Anna Maria. – Przyjaciółki? Partner?

– To nie takie proste – odparł Kallis. – Inna i ja pracowaliśmy razem. Była moją dobrą... towarzyszką. Ale nie miała przyjaciół, takich prawdziwych, na całe życie. Była na to zbyt niespokojnym duchem. Nie rozmawiała godzinami przez telefon, nie walczyła z koleżankami różnych tematów, po prostu nie miała takiej potrzeby. A mężczyźni... Mówiąc szczerze, przychodzili i odchodzili. Nie spotykałem ich. Ta praca była dla niej idealnym zajęciem. Inna jechała ze mną na jakąś konferencję albo międzynarodową imprezę i w trakcie wieczornego party werbowała dziesięciu nowych inwestorów.

– Czym się zajmowała w czasie wolnym od pracy? Z kim się spotykała?

– Nie wiem.

– Jak spędziła, na przykład, ostatni urlop?

– Tego też nie wiem.

– To dziwne. Przecież był pan jej szefem. Ja dość dobrze się orientuję w tym, co moi podwładni robią w wolnym czasie.

– Aha.

Anna Maria umilkła. Niekiedy cisza wywoływała zamierzony skutek. Ale widocznie nie w przypadku tego mężczyzny. Nic nie mówił i czekał, na pozór zupełnie nieporuszony.

Milczenie przerwała Anna Maria. Szkoda jej było czasu, zważywszy na to, że wkrótce Kallis miał wracać na lotnisko. Na razie rozmowa przyniosła wyjątkowo mierny rezultat.

– A może pan wie, czy Inna ostatnio czuła się w jakiś sposób zagrożona?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Listy z pogroźkami? Rozmowy telefoniczne? Nic z tych rzeczy?

Mauri Kallis pokręcił głową.

– Miała jakichś wrogów?

– Nie sądzę.

– Nie przychodzi panu na myśl nikt, kto mógł zamordować Innę, bo żywi urazę do firmy?

– A dlaczego miałyby to zrobić?

– No, nie wiem. Zemsta? Ostrzeżenie?

– I kto niby miałyby być tą osobą?

– O to właśnie pana pytam – odparła Anna Maria. – Robią państwo ryzykowne interesy. Z powodu tych interesów wiele osób straciło na pewno mnóstwo pieniędzy. Może ktoś czuje się oszukany?

– Nikogo nie oszukaliśmy.

– W porządku, zmieniam temat.

Na twarzy Kallisa na moment pojawiła się dobrze zagrana wdzięczność.

– Kto wiedział o tym, że Inna Watrang znajdowała się w ośrodku wypoczynkowym firmy w Abisko?

– Nie wiem.

– A pan wiedział?

– Nie. Wiedziałem tylko, że wzięła parę dni wolnego.

– Więc tak – podsumowała komisarz Mella. – Nie wie pan, z kim przebywała, co robiła w czasie wolnym od pracy, czy czuła się zagrożona, czy istnieje ktoś, kto mógłby czuć urazę do całej waszej grupy spółek... Może chciałby pan dodać coś od siebie?

– Nic na to nie wskazuje.

Mężczyzna spojrzął na zegarek.

Anna Maria zapragnęła nagle mocno nim potrząsnąć.

– Rozmawiali państwo kiedyś o seksie? – zapytała. – Wie pan, czy... Inna miała jakieś szczególne preferencje, jeżeli chodzi o te sprawy?

Mauri Kallis zamrugnął oczami.

– Co pani ma na myśli? Dlaczego pani o to pyta?

– Rozmawiali państwo kiedyś na ten temat?

– A co? Czy została... Są jakieś... Padła ofiarą przemocy seksualnej?

– Jak już wspomniałam, jest stanowczo za wcześnie...

Mężczyzna podniósł się z krzesła.

– Proszę mi wybaczyć. Muszę już iść.

Z tymi słowami opuścił pokój, uściśnawszy najpierw pospiesznie rękę Anny Marii. Policjantka nie zdążyła nawet wyłączyć magnetofonu, zanim za Kallisem zatrzęsnęły się drzwi.

Wstała i wyjrzała przez okno. Kiruna w każdym razie pokazała się z najlepszej

strony. Gruba czapa śniegu i promienne słońce.

Mauri Kallis, Diddi Wattrang i Mikael Wiik wyszli właśnie z komendy i ruszyli w kierunku wynajętego samochodu, stojącego na parkingu.

Kallis szedł dwa metry przed Wattrangiem; wyglądało na to, że nie zamienili ze sobą ani słowa. Szef ochrony otworzył Mauriemu tylne drzwi, ten jednak obszedł samochód i usiadł na miejscu pasażera. Diddi miał siedzieć z tyłu sam.

Ach, tak, pomyślała Anna Maria. Kiedy oglądało się ich w telewizji, można było ulec złudzeniu, że są dobrymi kumplami.

– Jak ci poszło? – zapytał Sven Erik pięć minut później.

Razem z Tommym Rantakyrö siedzieli w jej gabinecie i pili kawę.

– Jak by to powiedzieć... – zwlekała z odpowiedzią Anna Maria. – To było najgorsze przesłuchanie w mojej dotychczasowej karierze.

– Może jednak nie aż tak... – próbował ją pocieszyć Sven Erik.

– Byłoby lepiej, gdyby w ogóle do niego nie doszło, naprawdę! A jak tobie się gawędziło z Diddim Wattrangiem?

– Tak sobie. Może powinniśmy byli się zamienić? Chyba chętniej porozmawiałby z tobą. Co powiedział? Że Inna była jego najlepszą przyjaciółką. A później się rozplakał. Nie miał pojęcia, że pojechała do Abisko, ale podobno taka właśnie była. Nie zwracała się z tego, co robiła. Miała kilku partnerów, ale ostatnio – z tego, co wiedział brat – żyła samotnie.

– Szef ochrony, Mikael Wiik, był za to bardzo w porządku – odezwał się Tommy. – Zdążyliśmy trochę pogadać. Wojsko zaliczył w oddziale powietrznodesantowym, później zrobił studia oficerskie.

– Ale był policjantem? – dopytywał się Sven Erik.

– Myślę, że ktoś tutaj ściemnia i próbuje skryć jakieś tajemnice – powiedziała Anna Maria, która ciągle była myślami przy rozmowie z Maurim Kallisem. – Albo ona, albo oni.

– Tak, był policjantem – odparł Tommy. – Tylko że dość szybko zaczął się ubiegać o posadę oficera rezerwy w SSG^[12]. Ech, człowiek powinien był trochę bardziej się wysilać jako szwejk, a nie tylko zbijać baki. Chociaż, oczywiście, zawsze można dostać pracę w Iraku albo w prywatnej firmie ochroniarskiej i tak dalej. To znaczy po szkole policyjnej. Nie trzeba być żołnierzem zawodowym. Kiedy Micke Wiik odszedł z SSG do sektora prywatnego, wyciągał miesięcznie piętnaście tysięcy euro.

– U Kallisa? – spytał Sven Erik.

– Nie, w Iraku. Ale później chciał żyć trochę spokojniej i wrócił do Szwecji. Ten facet był wszędzie... Choć oczywiście nie w tych miejscach, w które jeździsz z dziećmi na wakacje.

Dopiero teraz Anna Maria uchwyciła sens rozmowy kolegów. Odniosła wrażenie, że ostatnie zdanie było wiernym przekazaniem wypowiedzi Mikaela Wiika.

– Zostań ty lepiej u nas, nie pchaj się tam, gdzie terroryści prędzej czy później przestrzelą ci głowę – powiedział Sven Erik do Tommy'ego, któremu z oczu wyczytał marzenia o życiu pełnym przygód i kieszeniach pełnych pieniędzy.

Mikael Wiik zjechał z E10 i skręcił w kierunku lotniska.

Mauri i Diddi siedzieli w milczeniu przez całą drogę. Żaden ani słowem nie wspomniał o Innie. Mikael nie widział, żeby któryś z nich płakał, a gdy zostali sami, nawet na siebie nie spojrzeli. Uświadomił sobie, że nie zapytali go o spostrzeżenia. Co o tym myśli. Czego dowiedział się z rozmowy z Tommym Rantakyrö.

Jedno było pewne: to początek ery bez Inny Watrang. Za jej czasów wszystko wydawało się przyjemniejsze.

Po okresie służby w SSG Mikaelowi trudno było wytrzymać w Szwecji. Kiedy wybierał się na rozmowę kwalifikacyjną do Mauriego Kallisa, był mężczyzną, który budzi się o trzeciej rano i walczy z rosnącym poczuciem bezsensu życia we własnym kraju.

Inna pomogła mu przetrwać pierwszy rok w Kallis Mining. Jak gdyby wyczuwała, co mu gra w duszy. Zawsze znajdowała chwilę na pogawędkę o interesach szefa, o

tym, kogo mieli spotkać i dlaczego. Z wolna rosło jego zaangażowanie w sprawę firmy. My przeciwko nim.

Ciągle źle sypiał. Budził się wcześniej, ale już nie tak niehumanie wcześnie. Przestał też tęsknić za powrotem do Konga, Iraku czy Afganistanu.

Nagle Mauri przerwał ciszę.

– Jeżeli faktycznie chodzi o morderstwo na tle seksualnym, to ten skurwiel zapłaci za to głową – powiedział z zaciętością w głosie.

Mikael zerknął na Diddiego we wstecznym lusterku. Tyle w nim było życia, ile w jego siostrze: czarne obwódki pod oczami, trupioblada twarz, spierzchnięte usta i przeżarte nozdrza. Ręce trzymał pod pachami. Może mu było zimno, a może chciał ukryć ich drżenie. Powinien się chyba w końcu zabrać za siebie.

– Na którym lotnisku wylądujemy? – spytał Diddi. – W Skavście czy na Arlandzie?

– W Skavście – odpowiedział Mikael po chwili, gdy zrozumiał, że Mauri nie kwapi się do rozmowy.

– Jedziesz później do domu? – zwrócił się do Mikaela Diddi.

Wiik skinął głową. Mieszkał z dziewczyną na Kungsholmen. Wprawdzie w posiadłości Regla miał pokój z kuchenką i toaletą, ale rzadko z niego korzystał.

– To zabiorę się z tobą do Sztokholmu – powiedział Diddi i zamknął oczy, udając, że próbuje zasnąć.

Mikael ponownie skinął głową. To nie jego sprawa, żeby przypominać Diddiemu, co powinien zrobić: wrócić do Ulriki i siedmiomiesięcznego syna.

Kłopoty, pomyślał. Lepiej od razu się na nie przygotować.

Mauri Kallis wyglądał przez okno.

Chciałem jej dotknąć, myślał.

Usiłował sobie przypomnieć chwilę, kiedy faktycznie to zrobił. Kiedy naprawdę jej dotknął.

Pamiętał tylko jeden raz.

Jest czerwiec albo lipiec 1994 roku. Jego starszy syn ma dwa lata, młodszy – kilka miesięcy. Mauri, od trzech lat żonaty, stoi przy oknie w mniejszym salonie i sącząc whisky, przygląda się domowi Inny – byłej pralni, którą w końcu udało im się odnowić.

Wie, że Inna dopiero co wróciła z Chile, gdzie na pustyni Atakama odwiedziła zakład pozyskiwania jodu.

Właśnie zjadł kolację w towarzystwie żony. Opiekunka do dziecka usypia Magnusa, Mauri dostaje Carla do potrzymania. Bierze chłopca na ręce, ale nie ma pojęcia, czego się od niego oczekuje. Nie spuszcza więc oczu z niemowlęcia i milczy. Ebba wygląda na zadowoloną. Już po kilku minutach drętwieją mu ramiona i kark; chciałby jak najszybciej oddać syna, wytrzymuje jednak jeszcze chwilę. Przekazuje go żonie z poczuciem, że minęła wieczność.

– Pójdę go położyć – mówi Ebba. – Wrócę za jakąś godzinę. Poczekasz?

Mauri obiecuje, że poczeka.

Stoi przy oknie i czuje ogarniającą go gwałtownie tęsknotę za Inną.

To nie zajmie mi dużo czasu, okłamuje się. Dowiem się tylko, jak jej poszło w Chile. Wrócę, zanim Carl uśnie.

Inna zdążyła rozpakować walizki. Chyba szczerze ucieszyła się na widok Mauriego. On też odczuwa radość. Cieszy się, że Inna u niego pracuje. Że mieszka w Regli. Mauri zapewnia jej wysoką pensję i niski czynsz, co czasami – gdy ma gorsze dni – napawa go gniewem i niepewnością. Męczy go świadomość, że ją sobie kupił.

Lecz kiedy przebywa w jej towarzystwie, nigdy nie odnosi takiego wrażenia.

Najpierw piją whisky, którą przyniósł ze sobą. Później trochę palą, zaczynają się wygłupiać i wpadają na pomysł, żeby popływać. Ale nad wodą przechodzi im ochota na kąpiel, padają na trawę przy starym pomoście. Tarcza słońca wibruje tuż nad horyzontem, potem znika. Niebo czernieje, w oczach tylko nikiel światło gwiazd, a w głowie oszalałymi myślami o nieskończoności.

Właśnie tak powinno być zawsze, myśli Mauri. Zawsze kiedy mam wolne. Po co w

ogóle się ożeniłem? W każdym razie nie dla bezpłatnego seksu. Seks z własną żoną to najdroższy seks, na jaki można sobie pozwolić. Człowiek płaci całym życiem.

Związując się z Ebbą, Mauri ustalił swoją pozycję względem Inny. Na jakiś czas siostra Diddiego nawet przestała być dla niego taka ważna. Właściwie trudno wyjaśnić dlaczego. Faktem jest, że zmienił się układ sił między nim a rodzeństwem Watrangami. Kallis coraz bardziej się od nich uniezależniał. Nie musiał już podkreślać, jak bardzo jest zajęty pracą w weekendy, żeby przypadkiem nie pomyśleli, że sprawiają mu przykrość, nie zapraszając go na imprezy.

Teraz ma okazję oddać Innie to, czego ją wtedy pozbawił. Akurat w tym momencie uważa, że nie musi niczego bronić.

Odwraca się na bok i wpatrzony w nią, pyta:

– Wiesz, dlaczego ożeniłem się z Ebbą?

Inna właśnie zaciągnęła się papierosem, więc nie może odpowiedzieć.

– Albo raczej: dlaczego się w niej zakochałem? – nie daje za wygraną Mauri. – Ponieważ kiedy była dziewczynką, miała kilometr do przystanku, z którego odjeżdżał autobus dowożący dzieci do szkoły.

Inna parska śmiechem.

– Nie zmyślam. W dzieciństwie mieszkała z rodziną w posiadłości Vikstaholm. Później musieli ją sprzedać, ale tak czy owak... Dla mnie... W każdym razie dla parweniusza... W każdym razie!

Tak trudno mu przejść do sedna sprawy, że leżąca obok Inna nie może powstrzymać się od śmiechu.

– Do szkoły podwoził ją gminny autobus. Kiedyś mi opowiedziała, jak pokonywała ten kilometr od pałacu do głównej szosy. Mówiła, że pamięta, jak w zaroślach gruchały i pohukiwały siniaki, kiedy tak szła wcześniej rano żwirową alejką. Oczarowała mnie tym obrazem. Mała dziewczynka ze zbyt dużą torbą przerzuconą przez ramię w drodze do szosy. Poranna cisza przerywana pohukiwaniem gołębi.

Mauri zachowuje się jak świnia i słysząc słowa wydobywające się ze swych ust, doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ścina głowę żony i podaje ją Innie na srebrnej

tacy. Obraz małej Ebby o poranku był dla niego czymś świętym. Teraz, zszargany, traci wartość.

Ale myśli kobiety będą zupełnie innym torem. Przestaje się śmiać i pokazuje Mauriemu kilka znanych jej konstelacji, które coraz wyraźniej widać na niebie.

Po chwili oznajmia:

– Moim zdaniem to znakomity powód do zawarcia małżeństwa. Może nawet najlepszy z tych, o których słyszałam.

Przewraca się na bok i patrzy na Mauriego. Nigdy nie uprawiali seksu. W jakiś sposób zawsze dawała mu do zrozumienia, że to, co ich łączy, jest czymś większym. Są przyjaciółmi. Jej partnerzy, czy jak ich nazwać, przychodzą i odchodzą. Mauri nigdy nie będzie jej byłym mężczyzną.

Leżą tak twarzą w twarz. Mauri chwytą Innę za rękę. To pod wpływem jointów czuje, że miłość nie czyni go wrażliwym na ból. Że nie rani i nic nie kosztuje. Człowiek może być Gandhim, Jezusem i niebem pełnym gwiazd.

– Wiesz... – zwraca się do Inny.

Jego myśli kołują bezradnie w poszukiwaniu słów, których nigdy nie wypowiedział.

– Ciesz się, że tutaj mieszkasz – mówi w końcu.

Inna się uśmiecha. Mauriemu podoba się zarówno jej uśmiech, jak i jej milczenie. Podoba mu się, że nie usłyszał „Ja też się cieszę” albo: „Jesteś rozkoszny”. Doskonale wie, jak łatwo jej przychodzi tego typu wyznania. Zwalnia uścisk ręki, zanim Inna zdąży coś powiedzieć.

ANNA MARIA MELLA padła na fotel u Rebeki Martinsson. Minął kwadrans po drugiej.

– Jak ci idzie? – zapytała.

– Niezbyt dobrze – odparła Rebeka z lekkim uśmiechem. – Nic mi nie wychodzi.

A Måns nie odpowiada, pomyślała, zerkając na ekran komputera.

– Rozumiem, taki dzień. Człowiek przegląda stos papierów i robi z niego trzy nowe.

Ale przecież przed południem miałaś rozprawę?

– Tak, miałam, i poszło mi całkiem dobrze. Tylko że to wszystko... – Rebeka wskazała gestem biurko zasłane aktami.

Anna Maria uśmiechnęła się szelmowsko.

– Kurde! Rozmowa schodzi na zupełnie inne tory. Przyszłam, żeby cię poprosić o dalszą pomoc w sprawie Inny Wattrang.

Słowa komisarz sprawiły Rebecie radość.

– W porządku. Proś!

– Chciałabym, żebyś ją sprawdziła. To znaczy przejrzała wszystko, co jest w bazach danych. Nie wiem dokładnie, czego szukam...

– Może czegoś, co wykracza poza normalność? – podpowiedziała Rebeka. – Przepływy pieniężne. Dochody albo straty. Nagła sprzedaż własności. Mam też sprawdzić jej finansowe zaangażowanie w Kallis Mining? Czy była prywatnym akcjonariuszem? Czy sprzedała albo kupiła udziały w jakiś osobliwy sposób? Na czym straciła lub zyskała?

– Tak, sprawdź, proszę – potwierdziła Anna Maria, wstając. – Ale teraz muszę lecieć. Chcę obejrzeć dom, w którym została zamordowana, najchętniej zanim zapadnie zmrok.

– Mogę z tobą pojechać? – spytała Rebeka. – To z pewnością interesujące.

Anna Maria zacisnęła zęby i błyskawicznie podjęła decyzję. Oczywiście powinna odmówić, Rebeka nie miała tam nic do roboty. Poza tym istniało przecież ryzyko, że znów się załame psychicznie. Wiadomo, jak na nią podziała kolejne miejsce zbrodni? Tego nie da się przewidzieć. Anna Maria nie jest psychologiem. Z drugiej strony Rebeka to równa babka, pomaga im w śledztwie. Jeśli chodzi o wiedzę z zakresu ekonomii, członkowie grupy dochodzeniowej nie dorastają jej do pięt. Anna Maria może sobie tylko pomarzyć, żeby wydział do walki z przestępczością gospodarczą oddelegował kogoś do poszukiwań w ciemno, skoro nawet ona sama nie wie, czego ma szukać. A poza tym Rebeka jest dorosłą osobą i powinna wiedzieć, co robi.

– Dobrze, ale migiem – odparła.

Podróż do Abisko sprawiła Annie Marii dużą przyjemność.

Piękniej już być nie może, pomyślała. Śnieg, słońce i ci wszyscy ludzie sunący po jeziorze na skuterach albo nartach.

Rebeka siedziała obok i przeglądała dokumenty dotyczące postępowania przygotowawczego. Czytając, rozmawiała z komisarz Mellą.

– A jak tam twoja czwórka szkrabów?

– Dobrze – odparła Anna Maria i od razu przystąpiła do relacji o dzieciach.

Przecież zadała mi pytanie, usprawiedliwiła się w duchu. Więc odpowiadam.

Zacęła od Marcusa, który chodził do klasy maturalnej. Nie widywała go szczególnie często.

– Chociaż czasami, oczywiście, potrzebuje pieniędzy. Albo wpada do domu tylko po to, żeby się przebrać. Moim zdaniem jego ciuchy nawet nie zdążyły się przybrudzić, ale on cały czas albo stoi pod prysznicem, albo zmienia koszulę, albo czymś się spryskuje. Jenny ma trzynaście lat i pod wieloma względami przypomina brata. Peter w przyszłym tygodniu kończy dziewięć; nieustannie gra w bionicle i jest prawdziwym maminsynkiem. W przeciwieństwie do starszego rodzeństwa nigdy nie chodzi do kolegów, tylko siedzi sam w domu. A to przecież też niedobrze. Człowiek zaczyna się niepokoić, że wyrośnie z niego odludek.

– No i Gustav.

– Mhm – potwierdziła Anna Maria i w ostatniej chwili powstrzymała się przed opowiedzeniem anegdoty o tym, jak Robert odprowadzał syna do przedszkola. Gdzieś muszą być granice. Tego typu historyjki bawią prawdopodobnie tylko inne matki.

Zapadła cisza. Właśnie tej nocy, kiedy urodził się Gustav, Rebeka w obronie własnej zabiła trzech mężczyzn w chatce myśliwskiej w Jiekajärvi. Wcześniej została poważnie zraniona nożem i gdyby koledzy Anny Marii nie dotarli tam na czas, prawdopodobnie by nie przeżyła.

– Ten, który lubi całować swoją starą mamę – dodała Rebeka.

– Ale w rzeczywistości Gustav jest największym fanem taty. Parę dni temu Robert stał w łazience i sikał, no wiesz, żyję z facetem, który myśli, że zamieni się w homo, jak zacznie sikać na siedząco, a kto sprząta po chłopakach, kórzy biorą z niego przykład... W każdym razie sikał na stojąco i nagle obok niego wyrósł Gustav, z niekłamanym podziwem w oczach. „Tatusiu”, powiedział nabożnym tonem. „Jakiego ty masz OLBRZYMIEGO siusiaka! Masz siusiaka jak słoń”. Szkoda, że nie mogłaś wtedy zobaczyć Roberta. Facet po prostu...

Zakończyła zdanie trzepotem ramienia i dumnym pianiem koguta.

Rebeka się roześmiała.

– Ale twoim faworytem jest Marcus, prawda?

– E, człowiek dzieli uczucia równo, choć w różny sposób – powiedziała Anna Maria, patrząc przed siebie.

Kurza dupa, jakim cudem ona to zgadła? Anna Maria chciałaby cofnąć ostatnie zdanie. To prawda. Marcusa kochała w szczególny sposób. Zawsze byli czymś więcej niż matką i synem. Byli też przyjaciółmi. Chociaż nigdy tego nie okazywała, nigdy o tym nie mówiła, ba, nie przyznawała się do tego nawet przed sobą.

Kiedy wysiadły z samochodu przy domu wypoczynkowym należącym do Kallis Mining, Anna Maria poczuła się niemal oszukana. Sprowokowana przez towarzyszkę podróży, przez całą drogę opowiadała o sobie i swoich sprawach. O pracy i rodzinie. Rebeka zaś nic nie wyjawiała.

Komisarz włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i pokazała Rebecce kuchnię, w której zerwano podłogę.

– Ciągłe czekamy na wyniki z laboratorium, ale wychodzimy z założenia, że krew, która znajduje się w tym nacięciu, pochodzi od Inny Wattrang. Sądzimy więc, że właśnie tutaj ją zamordowano. Znaleźliśmy też ślady przylepca na przegubach rąk, na kostkach i na krześle, jednym z tych.

Wskazała na meble z ciemnej dębiny.

– Mam nadzieję, że się dowiemy, co to za taśma klejąca. Poza tym czekam

na protokół od lekarza medycyny sądowej, chociaż wstępnie stwierdził, że zmarła nie została zgwałcona... Ale wiesz, dobrze byłoby wiedzieć, czy nie odbyła stosunku. Bo wtedy to by jeszcze bardziej wskazywało na coś w rodzaju erotycznych igraszek....

Rebeka skinęła głową, potwierdzając, że słucha, i zaczęła rozglądać się dookoła.

Jeżeli na kogoś czekam, myślała, podczas gdy ów ktoś przybierał postać Månsa Wenngrena... to wkładam ładną bieliznę. Co robię oprócz tego? Sprzątam, to jasne, odgruzowuję mieszkanie, żeby było ładnie i przytulnie.

Spojrzała na niepozmywane naczynia. Pusty karton po mleku.

– W kuchni panuje pewien nieład – odezwała się nieśmiało.

– Gdybyś zobaczyła, jak w porywach wygląda moja kuchnia... – mruknęła Anna Maria.

Kupuję coś dobrego do jedzenia, myślała dalej Rebeka. I coś do picia.

Otworzyła lodówkę. Parę gotowych dań do odgrzania w kuchence mikrofalowej.

– Nie było tu nic więcej?

– Nie.

W takim razie to nie mogła być nowa znajomość, doszła do wniosku Rebeka. Inna nie musiała się szczególnie wysilać. Ale skąd ten dres do biegania?

Coś się tutaj nie zgadzało. Rebeka zamknęła oczy i zaczęła od początku.

On jest w drodze, powiedziała w duchu. Z jakiejś niejasnej przyczyny nie muszę sprzątać ani robić zakupów. Dzwoni do mnie z Arlandy.

Niemal usłyszała nosowy głos Månsa w słuchawce.

– Telefon – zwróciła się do Anny Marii, nie otwierając oczu. – Macie jej telefon komórkowy?

– Nie, nie znaleźliśmy go. Ale szukamy Inny Wattrang u operatorów.

– Komputer?

– Ani śladu.

Rebeka otworzyła oczy i popatrzyła przez okno na jezioro Torneträsk.

– Tego typu kobieta, z tego typu pracą... – zaczęła. – To oczywiste, że miała laptopa i telefon. Znalaziono ją w arce. Czy nie uważasz, że dobrze byłoby wezwać specjalistów od nurkowania pod lodem i sprawdzić, czy osoba, która ukryła zmarłą w arce, nie wrzuciła jej telefonu do przerębli?

– Jasne, że byłoby dobrze – odpowiedziała Anna Maria bez wahania.

Powinna, rzecz jasna, czuć wdzięczność. Albo przynajmniej przekazać Rebecę słowa uznania. Ale nie potrafiła. Zamiast wdzięczności czuła narastający gniew. Że też sama od razu o tym nie pomyślała. I od czego, do jasnej cholery, ma kolegów?!

Spojrzała na zegarek. Nurkowie powinni zdążyć przed zmrokiem, pod warunkiem że przyjadą natychmiast.

Kwadrans po czwartej w poniedziałkowe popołudnie na miejscu zjawił się Sven Erik Stålnacke z trzyosobowym zespołem nurków. Posługując się elektryczną wiertarką i pilarkami łańcuchowymi, wypylowali w lodzie otwór o metrowej średnicy. Wydobycie bloków lodowych z przerębli wymagało nie lada wysiłku. W ich podnoszeniu i wyciąganiu pomagali nurkom Anna Maria, Sven Erik i Rebeka. Skąpani w słońcu, pod przepoconymi ubraniami czuli ból w plecach.

Kiedy słońce zginęło za horyzontem, zrobiło się chłodno i wszyscy zaczęli marznąć.

– Musimy później tę dziurę porządnie ogrodzić i oznaczyć, żeby nikt do niej nie wjechał – przypomniał Sven Erik.

– Całe szczęście, że to właśnie tutaj – powiedział asekurant trzymający linę. – Bo tu nie powinno być szczególnie głęboko, zobaczymy.

Trzeci płetwonurek siedział na karimacie na krawędzi przerębli. Podniesioną ręką pozdrowił kolegę wsuwającego się do wody z latarką o mocy siedemdziesięciu pięciu watów. Asekurant popuszczał linę, kilka bąbli powietrza wypłynęło na powierzchnię, nurek płynął pod lodem w kierunku arki, w której znalaziono zwłoki.

Anna Maria trzęsa się z zimna. Mokre ubranie nie trzymało ciepła. Pomyślała, że powinna się przebiec dla rozgrzewki, ale zabrakło jej sił.

Rebeka widocznie miała ich więcej, bo ruszyła truchtem wzdłuż śladów skutera. Wkrótce miał zapaść zmrok.

– Ona oczywiście uważa nas za skończone oferty – odezwała się Anna Maria do Svena Erika. – Najpierw musi nam wyjaśniać te wszystkie fizje i fuzje oraz wymiany udziałów kapitałowych, a później uczy nas, jak powinniśmy wykonywać swoją robotę.

– Nie sądzę – odparł Sven Erik. – Rebeka po prostu wpadła na pewien pomysł szybciej niż ty. Tak trudno ci się z tym pogodzić?

– Żebyś wiedział – wykrzyknęła Anna Maria pół żartem, pół serio.

Po dwunastu minutach pletwonurek wyłonił się z wody. Wyjął z ust automat.

– Na dnie nie zobaczyłem nic ciekawego – oznajmił. – Ale znalazłem ten ciuch, nie wiem, czy wam się do czegoś przyda. Pływał sobie pod lodem, jakieś piętnaście metrów od arki.

Wyrzucił na lód mokre zawiniątko. Asekurant i nurek rezerwowi pomogli koledze wyjść z wody, policjanci zaś rozwinęli materiał.

Przed nimi leżał męski płaszcz z beżowej popeliny. Wiatrochronny, z paskiem i cienką podpinką.

– To jeszcze nie musi nic znaczyć – odezwał się znów nurek.

Trzymał w ręce kubek z gorącą kawą.

– Ludzie wrzucają do wody najprzeróżniejsze rzeczy. Gdybyście, kurde, widzieli, jak to tam na dole wygląda! Stare opakowania po klopsikach, worki foliowe...

– Myślę, że to może być jakiś ślad – powiedziała Anna Maria z wahaniem.

Na lewym ramieniu i na plecach płaszcz widać było blade, różowawe plamy.

– Krew? – zastanawiał się głośno Sven Erik.

– Boże, nakłoń ucha na słowa ust jego – odparła Anna Maria, wznosząc ręce w udawanej modlitwie do sił niebieskich. – Niech to będzie krew.

WTOREK, 18 MARCA 2005

ALEJA LIPOWA PROWADZĄCA do dworu Regla ciągnęła się od szosy przez półtora kilometra. Lipowe damy liczyły ponad dwieście lat, sękaty acz delikatny, kilka z nich było wydrążonych w środku jak dęby. Stały wytwornie parami i przypominały gościom o kilkusetletnim porządku panującym w posiadłości Mauriego Kallisa. Tutaj człowiek siedział grzecznie przy stole i obserwował manieri świadczące o starannym wychowaniu wyniesionym z domu.

Mniej więcej kilometr od szosy aleję przegradzała żelazna brama. Czterysta metrów dalej znajdowała się jeszcze jedna brama, osadzona w pobielonym murze z cegły, który opasywał teren majątku. Żelazne wrota, wykonane z wielkim kunsztem, miały dwa metry wysokości. Otwierano je za pomocą pilotów znajdujących się w samochodach właścicieli. Odwiedzający zaś musieli zatrzymać się przy zewnętrznej bramie i obwieścić swoje przybycie przez domofon.

Główną budowlą dworu był biały, dwuskrzydłowy dom z czarnym dachem łupkowym, kolumnami po obu stronach wejścia i witrażami w oknach. Wyposażenie wnętrza pochodziło z drugiej połowy osiemnastego wieku. Zasadę jednorodnego stylu złamano tylko w łazienkach, urządzonej według projektu Philippe'a Starcka.

Regla okazała się posiadłością tak piękną, że początkowo Mauriemu trudno było w niej wytrzymać – może zimą nie tak bardzo, ale latem na pewno. Gdy przejeżdżał albo spacerował lipową aleją, ogarniało go poczucie nierzeczywistości. Światło, przesączone przez korony drzew, opadało melodyjnie na ziemię. Świadomość, że przyszło mu żyć w tak idyllicznym miejscu, napełniała go niemal odrazą.

Mauri Kallis leżał w sypialni na drugim piętrze. Nie chciał patrzeć na zegarek, bo jeżeli się okaże, że jest za kwadrans szósta, to za kwadrans będzie musiał wstać, a wtedy będzie już za późno, by ponownie zasnąć. Z drugiej strony mogło być też tak,

że do pobudki została mu jeszcze godzina. Spojrzał więc na zegarek, zawsze w końcu to robił. Kwadrans po czwartej. Spał zaledwie trzy godziny.

Potrzebował więcej snu, w przeciwnym razie wszystko wkrótce trafi szlag, każdy głupi by to zrozumiał. Próbował oddychać głęboko i spokojnie, by choć trochę się rozluźnić. Odwrócił poduszkę na drugą stronę.

Kiedy nareszcie udało mu się zapaść w lekką drzemkę, powróciło to samo marzenie senne.

We śnie siedział na krawędzi łóżka. Sypialnia wyglądała dokładnie tak samo jak w rzeczywistości. Oszczędnie umeblowana niewielkim, intarsjowanym biurkiem i pięknie postarzałym gustawiańskim krzesłem z wyściełanymi poręczami. Wykonana na zamówienie w orzechu i szkle mrożonym garderoba, w której garnitury i wyprasowane koszule wisiały w równych rzędach. Osobna szafa, w której na cedrowych prawidłach odpoczywały buty, szyte na miarę. Ściany powleczone farbą na bazie oleju lnianego, bladoniebieskie, patynowane; kiedy żona planowała remont domu, Mauri zdecydowanie sprzeciwił się bortom i innym dekoracjom.

We śnie na ścianie zobaczył cień Inny. Odwrócił głowę – siedziała we wnęce okiennej. Ale za oknem nie mienił się Melar. Widać było za to kontury punktowców w Terrassen, dzielnicy, w której spędził dzieciństwo.

Inna rozdrapywała wodnistą ranę wokół kostki. Za paznokciami zbierało się żywe mięso.

Obudził się po raz kolejny. Słyszał, jak wali mu serce. Spokojnie, tylko spokojnie. Nie, nie mógł tego dłużej wytrzymać, musiał wstać.

Zapałił lampę i odrzucił koldrę, jakby była wrogiem. Przełożył nogi przez krawędź łóżka, wyprostował się.

Żadnych myśli o Innie! Nie ma jej i już. Istnieje tylko Regla. Ebba i dzieci. Kallis Mining.

Coś z nim musiało być nie tak. Usiłował myśleć o synach, ale nie potrafił. Ich królewskie imiona wydały mu się nagle śmieszne i obce. Carl i Magnus.

Kiedy byli mali, leżeli w drogich dziecięcych wózkach. A on zawsze był w podróży.

Nigdy za nimi nie tęsknił. W każdym razie tak to zapamiętał.

Wtem z poddasza doszedł gwałtowny, głuchy odgłos. Po chwili znowu.

Ester, pomyślał. Znowu zaczyna z tymi swoimi ciężarami.

Boże drogi, można by pomyśleć, że za chwilę runie sufit.

To Inna wprowadziła Ester w jego życie.

– Masz siostrę – mówi.

Siedzą w salonie SAS-u na lotnisku w Kopenhadze, w drodze do Vancouver. Za oknem mogłoby w zasadzie być lato, gdyby nie to, że ciągle wieją bardzo zimne wiatry. Za niespełna rok Inna będzie martwa.

– Mam nawet trzy – odpowiada Mauri chłodno, dając do zrozumienia, że nie interesuje go rozmowa na ten temat.

O siostrach myśli niechętnie. Najstarsza się urodziła, kiedy miał dziesięć lat. Gmina zajęła się nią, gdy tylko wyrosła z niemowlęctwa. Syna odebrano matce rok później.

Mauri stara się nie wracać myślami do czasów dzieciństwa w Terrassen, gdzie opieka społeczna dysponowała mieszkaniami dla tych, którzy nie mogli samodzielnie zdobyć umowy najmu. Krzykliwe rozmowy, odgłosy kłótni i wrzaski przenikały nieustannie przez ściany, a mimo to nikt nigdy nie dzwonił na policję. Nikt nigdy nie zamalowywał gryzmołów na klatce schodowej. Jak gdyby uczucie beznadziei już na zawsze przywarło do brył budynków.

Są też myśli, których nigdy do siebie nie dopuszcza. Wspomnienie płaczącej dziewczynki, która stoi w łóżeczku, uczepiona drewnianych szczebelków. Dziesięcioletni Mauri bierze kurtkę i zatrząskuje za sobą drzwi. Ma dość krzyku siostry. Słyszy jej wrzask, gdy stoi za drzwiami i zbiega po schodach. Odgłos kroków objaja się o betonowe ściany. Sąsiad słucha Roda Stewarta. Ze zsypanych dochodzi słodkawy, stęchły zapach. Mauri nie widział matki od dwóch dni, nie jest w stanie dłużej opiekować się brzdącem. Poza tym w domu skończył się kleik.

Kolejna siostra jest od niego piętnaście lat młodsza. Przyszła na świat, kiedy Mauri

mieszkał już u rodziny zastępczej. Z pomocą opieki społecznej matce udało się zatrzymać córkę u siebie półtora roku. Później jednak jej stan tak bardzo się pogorszył, że znów znalazła się w szpitalu, a drugą siostrą Mauriego zaopiekowała się komisja do spraw socjalnych.

Mauri spotkał siostry na pogrzebie matki. Przyleciał do Kiruny sam, nie wziął ze sobą ani Ebby, ani dzieci. Inna i Diddi nie zaoferowali swego towarzystwa. Ostatnią posługę, oprócz Mauriego i dwóch sióstr, oddali zmarłej pastor oraz ordynator ze szpitala.

Pogoda jak znalazł, pomyślał Mauri, stojąc przy trumnie. Z nieba spływały zimne, szare łańcuchy deszczu. Woda wyżłobiła w ziemi bruzdy, stworzyła deltę strumieni, naniósł do grobu błota i żwiru. Na samym dole pieniała się jak brązowa, rzadka zalewajka. Siostry marżyły w przemoczonych, oszczędnie dobranych strojach żałobnych. Czarne bluzki i czarne spódnice. Płaszcz był widocznie zbyt dużą inwestycją. Jedna z kobiet miała na sobie granatowy trencz, druga nie włożyła żadnego okrycia. Mauri podał im parasol, spisując na straty swój garnitur Zegny. Pastor trząsł się z zimna, trzymając śpiewnik w jednej ręce, a parasol w drugiej. Ale wygłosił naprawdę piękne kazanie; mówił dość szczerze o trudnościach wynikających z tego, że czasami człowiek nie radzi sobie z najważniejszym obowiązkiem w życiu, że czasem po prostu nie potrafi opiekować się własnymi dziećmi. Później nastąpiły rytualne słowa o „nieuniknionym końcu” i „drodze do pojednania”.

Siostry łały łzy w strugach deszczu; Mauri się zastanawiał, co tak naprawdę oplakują.

W drodze na parking zostali zaskoczeni przez grad. Pastor biegł ze śpiewnikiem przy piersi. Siostry się objęły, by zmieścić się pod parasolem. Grad targał liście drzew.

To z pewnością mama, pomyślał Mauri, próbując poskromić narastającą w nim panikę. Ona nigdy nie umrze. Spływa i leje. Tylko co ja mogę zrobić? Pogrozić niebu pięścią?

Po pogrzebie zaprosił siostry na lunch. Pokazały mu zdjęcia swoich dzieci, pochwały kwiaty zamówione przez niego na pogrzeb. Czuł się ogromnie zakłopotany.

Na pytania o swoją rodzinę odpowiadał bardziej niż zwięźle.

Cały czas męczyło go wszystko, co w wyglądzie tych kobiet przypominało mu ich wspólną matkę. Nawet sposób, w jaki się poruszały. Charakterystyczny ruch głowy. Kiedy starsza siostra, patrząc na niego, nagle mrużyła oczy, przesywał go niewytłumaczalny strach.

W końcu poruszyli temat Ester.

– Wiesz, że mamy jeszcze jedną siostrę? – zapytała go młodsza.

Opowiedziały mu o niej. Miała teraz jedenaście lat. Mama zaszła w ciążę i urodziła Ester w 1988 roku. Ojcem był pacjent z tego samego oddziału. Dziewczynkę od razu oddano w ręce innych rodziców, którzy mieszkali w Rensjön. „Biedactwo!”, wzdychały siostry. Mauri zapytał uprzejmie, czy mają ochotę na coś słodkiego do kawy, ale pod stołem zaciskał pięści. Jakie biedactwo? Przecież jej się upiekło!

Żegnali się z poczuciem ulgi. Żadne z nich nie powiedziało czegoś głupiego w stylu: „Powinniśmy się częściej spotykać”.

Inna przygląda się Mauriemu. Samoloty za oknem wyglądają jak ładne zabawki, które to wznoszą się, to lądują.

– Twoja najmłodsza siostra Ester – mówi – ma tylko szesnaście lat. Potrzebuje jakiegoś kąta, teraz gdy jej przybrana mama...

Mauri podnosi ręce do twarzy, jak gdyby chciał ochlapać się wodą, i wydaje z siebie jęk.

– Nie, nie!

– Może mieszkać u mnie w Regli. Chodzi przecież o coś tymczasowego. Jesienią zacznie studia w Szkole Plastycznej Idun Lovén...

Mauri nie ma w zwyczaju przerywać Innie, teraz jednak mówi zdecydowanie: „Absolutnie nie!”. Nie może i nie chce mieć w swojej posiadłości osoby, która w jakiś sposób przypominałaby mu matkę. Proponuje kupno mieszkania w Sztokholmie, inną pomoc, cokolwiek.

– Przecież ona ma tylko szesnaście lat! – apeluje Inna.

I uśmiecha się prosząco. Po chwili poważnieje.

– Jesteś jej jedynym krewnym, który...

Mauri otwiera usta, żeby wspomnieć o starszych siostrach, ale tym razem Inna nie daje sobie przerwać.

– ...który może się nią zaopiekować. Akurat teraz twoje nazwisko jest na topie... Właśnie, zapomniałam ci powiedzieć, „Business Week” chce zrobić o tobie dużą rzecz...

– Żadnych wywiadów!

– Powinieneś przynajmniej pozwolić na sesję zdjęciową. W każdym razie, kiedy się wyda, że masz siostrę, która nie ma się gdzie podziać...

Inna wygrywa, a Mauri, wchodząc na pokład samolotu do Vancouver, uświadamia sobie, że to w zasadzie nie ma znaczenia. Regla nie jest domem, który można zająć. W Regli mieszkają: Ebba, synowie, Diddi z ciężarną żoną i Inna. W Regli odbywają się niektóre imprezy reprezentacyjne firmy. Można tam polować, pływać żaglówką, organizować bankiety.

Mauri czuje, że całe to zainteresowanie, jakim ostatnio obdarzają go media, i wynikające z tego zainteresowania intensywne życie towarzyskie, wszystko to go wyniszcza. O wiele bardziej niż sama praca. Wszyscy ci ludzie, którzy chcą mu ucisnąć dłoń i z nim porozmawiać. Skąd oni się biorą? Mauri wkłada wiele wysiłku w to, żeby zachować spokój i życzliwość. Inna, nieustannie stojąca u jego boku, podpowiada nazwiska i konteksty. Bez niej nigdy by sobie nie poradził. Powinien chyba odpocząć. Bywa, że czuje się potwornie wyczerpany; jak gdyby każdy spotkany człowiek pozbawiał go części istnienia. Czasami się niepokoi, że nagle straci orientację i uczestnicząc w jakimś spotkaniu, zapomni, z kim ono się odbywa i czego dotyczy. Czasami, przepełniony gniewem, chciałby tylko – tak jak zwierzę – warczeć, bronić się, rzucić do ataku. Irytują go drobiazgi. Gdy ktoś zapina marynarkę, by ukryć nieświeżość koszuli. Gdy ktoś inny, podłubawszy w zębach wykałaczką, zostawia ją na skraju talerza. Gdy ktoś ma zbyt wielkie mniemanie o

sobie, a ktoś inny za bardzo się płaszczy.

Mauri cieszy się na długą podróż przez Atlantyk. Kiedy jest w drodze, łatwo znajduje sobie miejsce. Siedzi spokojnie, czyta, śpi, ogląda film, wypija drinka. Razem z Inną.

Mauri Kallis spoglądał na swoje odbicie w lustrze. Głuche odgłosy z poddasza nie ustawały.

Zawsze kochał grać. Robić wielkie interesy. W ten sposób mierzył się z innymi. Wygrywał ten, kto umierał najbogatszy.

Tylko że teraz to wszystko jak gdyby przestało mieć znaczenie. Coś go w końcu dosięgło. Coś ciężkiego i niepokojącego, co zawsze znajdowało się w pobliżu, gdzieś za plecami. Powrót do przeszłości, do punktowców w Terrassen.

Tracę kontrolę, pomyślał. Wypuszczam ją z rąk.

Inna potrafiła powstrzymać tę niezwykłą zasysającą siłę.

Mauri nagle zatęsknił za towarzystwem. Dzień pracy zaczynał dopiero za dwie godziny. Wzniósł oczy ku sufitowi, jeszcze raz usłyszał dźwięk obciążników toczących się po podłodze.

Pomyślał, że wpadnie na chwilę na górę, porozmawia. Albo po prostu tylko tam pobędzie.

Włożył szlafrok i poszedł do siostry.

ESTER KALLIS zostaje powołana na świat na oddziale zamkniętym. Informuje o tym na zebraniu kliniki psychiatrycznej w Umeå szefowa oddziału P12. Britta Kallis jest w piętnastym tygodniu ciąży.

Szefowie innych oddziałów się ożywiają. Sączą kawę małymi łyżkami. Najlepiej pić, póki parzy, wtedy bowiem nie czuć smaku. No, no, zapowiada się ciekawa historia w odcinkach, która – na szczęście – nie będzie ich problemem.

Kiedy szefowa kończy mówić, ordynator Nils Gunnarsson splata ręce na głowie.

Marszczy usta w chomiczym grymasie.

– Aha, więc tak, no dobrze... – odpowiada zamyślony.

Jak kurczak w skorupce, przelatuje przez myśl jednemu z kolegów w nagłym przypływie czułości.

Gunnarsson to zjawiskowa postać. Jego białe włosy są stanowczo za długie, a soczewki w przerażająco niemodnych oprawkach – grube jak dna butelek i niezbyt przejrzyste, ponieważ ordynator co chwila poprawia okulary na nosie, przykładając palce do szkieł. Zdarza się, że nowi pracownicy szpitala usiłują zatrzymać go na oddziale, przekonani, że mają do czynienia z pacjentem.

– Kto jest ojcem?

– Britta twierdzi, że Ajay Rani.

Szybka wymiana spojrzeń. Britta ma czterdzieści sześć lat, ale wygląda na sześćdziesiąt. Prawdopodobnie dlatego, że pali od dwunastego roku życia i zażywa mnóstwo leków. Jej obrzmiałe ciało wciśnięte w kanapę przed telewizorem. Zręczliwe i powolne myśli. Bezwiedne ruchy ust, język wysuwający się z nich raz po raz, szczęka poruszająca się to w prawo, to w lewo.

Ajay Rani ma lat trzydzieści parę. Szczupłe dłonie i białe zęby. Lekarze ciągle wiążą z nim nadzieje. Bierze udział w treningach przygotowujących do podjęcia pracy zawodowej i szlifuje szwedzki na kursie dla emigrantów.

Ordynator Gunnarsson pyta, co na to domniemany ojciec. Szefowa kręci głową i uśmiecha się z politowaniem. To oczywiste. Kto chciałby się do niej przyznać? W rankingu pacjentów Britta zajmuje najniższą lokatę.

– A co ona mówi? Chce urodzić dziecko?

– Zapewnia, że to owoc miłości.

Lekarzowi wyrywa się z ust: „rany boskie!”. Po chwili wraca do wertowania historii choroby Britty. Zapada milczenie. Myśli osób obecnych w pokoju ocierają się wstydliwie o środki wczesnoporonne i stosowaną w dawnych czasach przymusową sterylizację.

– Musimy odstawić u niej lit. Zadbamy o to, żeby maleństwo urodziło się w jak najlepszym stanie.

Kto wie, myślą. Może Britta zmieni zdanie, kiedy poczuje się gorzej, może będzie chciała usunąć ciężę? To byłoby dla wszystkich najlepsze rozwiązanie.

Nils Gunnarsson zamierza zamknąć teczkę i zakończyć temat, ale szefowa oddziału nie pozwala mu się tak łatwo wywinąć. Popada w afekt, zanim otworzy usta.

– Nie ma mowy, żeby Britta była u nas na oddziale bez leków, jeżeli nie zwiększymy liczby personelu – zaczyna popędliwie. – Przecież ta kobieta zgotuje nam piekło na ziemi!

Ordynator obiecuje zrobić wszystko, co w jego mocy.

Szefowa nie zadowala się obietnicami.

– Mówię poważnie, Nisse. Jeżeli Britta przestanie brać leki sedatywne, to ja zrzeknę się odpowiedzialności za oddział. Po prostu się zwolnię.

Nils Gunnarsson notuje sucho w pamięci, że Britta wznieci niemały pożar na oddziale. A pierwszą ofiarą będzie szefowa oddziału.

Sześć miesięcy później, miotając przekleństwa, Britta wjeżdża na porodówkę. Położne, asystentki i lekarz patrzą na nią z przerażeniem. To ona tak ma rodzić? Przypasana do łóżka? Z uwiązanymi rękami i nogami?

To chyba jedyne wyjście, wyjaśnia ordynator Gunnarsson i bez pośpiechu wkłada snus^[13] pod wargę.

Personel przygląda mu się ze zdziwieniem, gdy chodzi tam i z powrotem po korytarzu. Wygląda jak karykatura patriarchy, jak w starych dobrych czasach, kiedy ojcom nie wolno było uczestniczyć w porodach.

W izbie porodowej jest dwoje opiekunów z oddziału psychiatrycznego. Chłopak i dziewczyna; spokojni, zdecydowani, ubrani w T-shirty. On ma wytatuowane ramiona, ona – kolczyk w brwi i sztyft w języku. Nie przekażą Britty byle komu. I pomyśleć, że personel oddziału porodowego został zdegradowany do roli „byle kogo”.

Britta nie posiada się z gniewu. W czasie ciąży jej stan stopniowo się pogarszał, ponieważ przestała dostawać leki, które mogły zaszkodzić płodowi. Nasiliły się u niej urojenia i wybuchy agresji.

Teraz między skurczami ciska wokół gromy. Na wszystkich obecnych zsyła przekleństwa, szatana oraz jego owłosionych aniołów. Kobiety to kurwy, zasuszone pizdy i pojebana, pojebane... zacina się, szukając kolejnego wyzwiska. Od czasu do czasu gubi się w niezrozumiałych dialogach z istotami widzianymi jedynie przez nią samą.

Lecz gdy tylko znajdzie się we władaniu kolejnego skurczu, krzyczy przerażona: „Nie! Nie!” i biją na nią siódme poty. Wtedy łagodnieją nawet opiekunowie z jej oddziału. Dziewczyna próbuje z nią rozmawiać. Britta! Halo! Słyszysz mnie? Ból się nasila. Ona teraz umrze, umrze!

Obecni w sali patrzą po sobie. Umrze? Może sobie tak po prostu umrzeć?

Skurcz wygasa i powraca gniew.

Ordynator Gunnarsson słucha Britty pod drzwiami. Jest z niej dumny. Z tego, jak posługuje się wściekłością. To przecież jedyna dostępna jej w tej chwili broń. Sprzymierzeniec w walce z bólem, bezsilnością, chorobą i strachem. Nie wypuszcza jej z rąk. To ona pomaga jej przejść przez to piekło. Britta krzyczy, że to wszystko ich wina. Pojebanej lekarki i zasuszonych cip. Widziała, jak jedna z nich się śmieje. Tak, śmiała się, bez wątpienia. I z czego się tak śmieje, co? No, cooo? Dlaczego nie odpowiada? Pierdolona despotka! Powinna odpowiedzieć na pytanie! Pojebana, pojebana... Zasuszona cipa czuje się zmuszona udzielić odpowiedzi i wyjaśnia, że naprawdę się nie śmiała, po czym słyszy od Britty, że powinna wziąć kij od szczotki i wsadzić sobie w... Kolejny skurcz przerywa zdanie.

Potem nadchodzą bóle partu. Położna i lekarka dopingują: śmiało, przyj, Britta! A ona odwrzaskuje, żeby się od niej odpierdoliły. Niezrażone, mówią, że idzie świetnie, że już za chwilę! Britta pluje, próbując trafić do celu tak dobrze, jak tylko potrafi.

W końcu pojawia się dziecko. Zgodnie z § 2 LVU^[14] bezzwłocznie zostaje objęte

opieką i wyniesione z izby porodowej. Na zlecenie ordynatora Britta dostaje środki uspokajające i uśmierzające ból. Dzielna! Przebrnęła zwycięsko przez poród, tak jak klinika przebrnęła przez jej ciążę.

Można odnieść wrażenie, że Britta nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co się stało. Leży przypasana do łóżka, podczas gdy położna i lekarka zszywają jej krocze. Spokojna i potwornie zmęczona.

W innym pomieszczeniu położne przyglądają się nowo narodzonej. Biedne, biedne maleństwo. Ależ ma start życiowy! Wszystkie są ogromnie wyczerpane.

Widać wyraźnie, że ojciec nie pochodzi ze Szwecji. W porównaniu z innymi niemowlętami dziewczynka jest wyjątkowo słodka, ba, piękna! Ma oliwkową cerę, niesamowicie gęste włosy i ciemne, poważne oczy. Położne powstrzymują się od płaczu. Ta mała wygląda, jakby już rozumiała. Wszystko.

Nikt się nad tym nie zastanawia, ale osoby obecne przy narodzinach Ester przez cały następny tydzień padają ofiarą mniejszych lub większych nieszczęść. Na ich głowy posypał się przecież grad przekleństw i klątw Britty. Większość spłynęła jak po skale, niektóre jednak zdążyły się zakorzenić w ich życiu.

Jedna z pielęgniarek nabawia się ropnego zakażenia zęba. Lekarka, cofając auto, tłucze tylną lampę. Jakby tego było mało, do domu włamują jej się złodzieje. Ktoś inny gubi portfel. Chłopak z wytatuowanymi ramionami traci dziewczynę w pożarze mieszkania.

Britta Kallis ma bowiem szczególny dar. Mimo że sama jest ledwie odpryskiem człowieka, którym mogłaby być, mimo że nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni. Kiedy – targana emocjami – przestaje być sobą, jej słowa nabierają mocy. Przodkinie po kądzieli wykazywały różne niezwykle umiejętności, tylko że od pokoleń nikt nie był tego świadomy.

Mała Ester Kallis także otrzymała wyjątkowe dary. Poza tym będzie miała jeszcze jedną matkę, po której również wiele odziedziczy.

NAZYWAM SIĘ ESTER KALLIS. Mam dwie matki i nie mam żadnej.

Ta, którą w myślach nazywam mamą, poślubiła tatę w 1981 roku. Wniosła w posagu pięćdziesiąt reniferów, głównie samic, z nadzieją, że wkrótce razem z mężem będzie mogła utrzymać się z hodowli zwierząt. Ale ojciec ciągle miał coś innego do roboty. Czasami prowadził samochód pocztowy, czasami dorabiał na kolei. Zawsze dorywczo. Nigdy nie był wolny.

Kupili budynek starej stacji kolejowej w Rensjön. W dawnej poczekalni mama urządziła atelier. Dom leżał wciśnięty między szosę do Norwegii a tory kolejowe; za każdym razem, gdy przejeżdżał pociąg z rudą żelaza, w oknach drżały szyby.

W pracowni panował potworny ziąb. Ale zimą mimo to mama stała przy sztalugach w czapce i rękawiczkach bez palców. Uwielbiała to wątle światło. Tato wymalował całe pomieszczenie na biało. To było jeszcze przed tym, zanim się u nich pojawiłam. To było w czasach, kiedy chciał mu się coś dla niej zrobić.

W 1984 roku urodził się Antte. Właściwie nie potrzebowali więcej dzieci, wystarczyłby im tylko ten chłopak. Potrafił przejechać skuterem przez szczelinę w lodzie, nie wpadając do wody; świetnie obchodził się z psami, miał w sobie tę niezbędną mieszankę czułości i chłodu mobilizującą czworonogi do wysiłku i pracy, na przykład kiedy trzeba było przebiec dwadzieścia kilometrów w pogoni za reniferem, który odłączył się od stada. Nie skarżył się na zimno, niezależnie od pogody towarzyszył ojcu w pracy. Nigdy nie narzekał, że wolałby zostać w domu i grać w gry telewizyjne, tak jak wielu jego kolegów.

Podczas gdy tato i Antte zajmowali się w górach oporządzaniem zwierząt, matka malowała na zamówienie dla Mattarahkki^[15]: ceramiczne lisy, pardwy, łosie i renifery. Nie odpowiadała na telefony. Zapominała o jedzeniu.

Tato i Antte nieraz wracali do wychłodzonego domu i pustej lodówki. Oczywiście nie byli zachwyceni. Zmęczeni i utyłani, wsiadali do samochodu i jechali na zakupy. Pod tym względem mama była beznadziejna. Na przykład kiedy Antte i ja chodziliśmy do szkoły. Długo przed czasem mówiliśmy jej, że w czwartek jedziemy na całodniową

wycieczkę, tam albo tam, i że musimy mieć ze sobą prowiant. Nic nam nie przygotowała na drogę. W czwartek rano, kiedy przed domem czekał już szkolny bus, zaczynała przeszukiwać lodówkę. Dostawaliśmy to, co akurat znalazła. To mogły być kanapki z pokrojonymi klopsikami rybnymi. W szkole dzieci udawały, że rzygają, kiedy wyciągaliśmy wałkówkę. Antte się wstydził. Widziałam to po jego zarumienionych policzkach, plamach karmazynu na niemal białej twarzy. Po rozgrzanych uszach, oglądanych pod światło: prześwietlone naczynia krwionośne, niewielkie drzewka czerwieni kadmowej. Czasami demonstracyjnie wyrzucał to, co zapakowała. Przez cały dzień chodził głodny i zły. Ja jadłam. Pod tym względem byłam do niej podobna. Nie przejmowałam się za bardzo tym, co połykam. Nie przejmowałam się też rówieśnikami w szkole. Większość z nich pozwalała mi żyć w spokoju.

Ten najbardziej dokuczliwy sam był wyobcowany. Miał na imię Bengt i zero kolegów. To właśnie on czasami krzyczał, bił mnie po głowie i zaczynał widowisko:

– Wiesz, dlaczego jesteś taka głupia? Wiesz, Kallis? Bo twoja stara siedziała w psychiatryku. I brała masę leków dla schizoli, a one uszkodziły ci mózg. Kapujesz? I posuwał ją jakiś chamowaty Hindus. Tak, chamowaty Hindus!

Rechocząc, spoglądał na pozostałych chłopaków. Tymi wodnistymi niebieskimi oczami. Rozbiegane spojrzenie, wyraźna źrenica, akwarela, rozcieńczony kobalt. I tak nic mu to nie pomogło. Już na zawsze pozostał na samym dnie, razem ze mną. Chociaż jemu było gorzej, bo on się tym wszystkim przejmował.

Ja nie. Upodobiłam się do mamy, którą w języku Samów nazywam *eatnázan*, swoją mamusią.

Całkowicie zajęta patrzeniem. Wszystko wokół mnie, wszyscy ludzie, którzy w zasadzie są żywi i wypełnieni krwią, wszystkie zwierzęta i ich duszyczki, wszystkie rzeczy i rośliny, wszystkie relacje zachodzące między nimi, wszystko razem to tylko linie, kolory, kontrasty i kompozycje. Wszystko mieści się w granicach prostokąta, traci smak, zapach i wymiar. Te ostatnie mogą wrócić z nawiązką, jeśli się postaram. Obraz powstaje między mną a tym, co widzę. Nawet wówczas, gdy patrzę na siebie.

Ona też taka była. Zawsze o krok z tyłu, by móc obserwować. Gdzieś dalej. Mniej

lub bardziej czymś zaabsorbowana. Pamiętam wiele obiadów. Tato w pracy. Mama przez cały posiłek – przygotowany naprędce – siedziała w milczeniu. Antte i ja byliśmy dziećmi, prędzej czy później wszczynaliśmy kłótnię przy stole. Może w końcu wylewaliśmy mleko ze szklanki czy coś w tym rodzaju. Wtedy ni stąd, ni zowąd mama głośno wdychała. Jakby z żalu, że zmusiliśmy ją do powrotu. Wówczas milkliśmy, wpatrzeni w nią jak w nieboszczkę, która nagle zaczęła się ruszać. Wycierała rozlane mleko. Marudna i nie w humorze. Czasami nie chciało jej się sprzątać, więc przywoływała któregoś psa, by wylizał stół do czysta.

Robiła wszystko, co do niej należało: sprzątała, gotowała, prała. Ale pracowały tylko jej ręce. Myślami była bardzo daleko. Od czasu do czasu tato próbował stroić fochy.

– Ta zupa jest za słona – mówił, odsuwając od siebie talerz.

Ale mama nie czuła się dotknięta. Jak gdyby sprawcą niejadalnego obiadu był ktoś zupełnie obcy.

– To może zrobię ci kanapkę? – pytała.

Kiedy tato narzekał, że w domu panuje bałagan, zaczynała robić porządki. Może dlatego postanowił, że wezmą mnie do siebie? Jej powiedział na pewno, że potrzebują pieniędzy. Niewykluczone, że nawet tak sądził. Ale kiedy teraz o tym myślę, jestem przekonana, że podświadomie miał nadzieję na powrót starych dobrych czasów, kiedy Antte był ty-ci-tyci. Bo wtedy mama była przy nim całą sobą. Chciał wierzyć, że jeszcze jedno dziecko sprawi, iż znów stanie się prawdziwą żoną.

Pragnął otworzyć drzwi do jej wnętrza, ale nie wiedział jak. Myślał, że będę pomostem, który połączy ją z nim i z Anttem, stało się jednak na odwrót. Ona malowała w atelier. Ja leżałam na brzuchu obok i rysowałam.

– A tobie, kurde, co znów dolega? Marsz na dwór, pooddychać świeżym powietrzem! – rozkazywał mi i wychodził, trzaskając drzwiami.

Nie rozumiałam, dlaczego tak się złości, przecież nic nie zrobiłam.

Dzisiaj rozumiem jego gniew. Może zresztą rozumiałam już wtedy, tylko brakowało mi słów. Próbowałam przedstawić go na papierze. W pokoju na poddaszu, w domu

Mauriego, przechowuję prawie wszystkie swoje obrazy i rysunki. Między innymi pastisz Elsy Beskow^[16]. Kiedy go malowałam, nie miałam pojęcia, co to jest pastisz.

Obraz przedstawia mamę i córkę zrywające jagody. Trochę dalej, między brzozami, na dwóch łapach stoi niedźwiedź. Przechylił niezdarnie głowę i przygląda się zbierającym. Trudno zinterpretować jego minę. Kiedy przykrywam część twarzy zwierzęcia, dostrzegam różnicę. Jedna połowa jest zagniewana. Druga – zasmucona.

Boże drogi, niedźwiedź jest tak bardzo podobny do ojca, że nie potrafię się nie uśmiechnąć. Niedźwiedź przypomina też Anttego. Teraz widzę to wyraźnie.

Pamiętam go w drzwiach atelier. Ma jedenaście lat, ja – siedem. Mama przegląda swoje prace. Dostała propozycję wystawienia pięciu obrazów w pewnej galerii w Umeå i trudno jej wybrać. Pyta mnie o zdanie.

Po namyśle wskazuję moje ulubione płótna. Mama kiwa głową, zastanawia się.

– A ja uważam, że powinnaś wziąć te – podpowiada Antte, który nagle pojawił się w drzwiach.

Wskazuje zupełnie inne obrazy, spoglądając zaczepnie i przekornie to na mnie, to na mamę.

Mama w końcu decyduje się na prace wytypowane przeze mnie. A w drzwiach ciągle stoi Antte z tą swoją niedźwiedziową głową.

Biedny chłopak! Musiał być przekonany, że mama wybiera między nim a mną. W istocie wybierała sztukę. Nigdy nie zdecydowałyby się powiesić w galerii czegoś gorszego tylko dlatego, by sprawić mu radość. To było oczywiste. A jednocześnie takie skomplikowane.

Podobnie rzecz się miała z ojcem. W głębi duszy chyba wiedział. Czuł się osamotniony w rzeczywistości, która traktowała o domu, dzieciach, łóżku, sąsiadach, reniferach, parlamencie Samów.

Pamiętam, jak kiedyś, zanim zaczęłam chodzić do szkoły, zostałam z nią w domu. Antte i tato wyjechali wcześniej rano. Pamiętam, jak pomagałam jej szukać w łóżku ślubnej obrączki. Zdejmowała ją na noc.

A teraz mamy już nie ma. Najgorzej było chyba pod koniec, kiedy chore ciało

odmawiało jej posłuszeństwa.

Zanim jednak przyszedł ten czas, stała w atelier i malowała do późna w nocy. Poświęcała się zupełnie nieopłacalnej działalności, przynajmniej w porównaniu z zamówieniami dla Mattarahkki i sklepiku w Luleå, który sprzedawał jej srebrną biżuterię i ceramiczne zwierzątka.

Staralam się być niewidoczna. Siedziałam na schodach prowadzących do naszego dwupokojowego mieszkania na piętrze, wpatrzona w dawną poczekalnię. Nasz dom był pełen zapachów. Starych i nowych. W zimie, kiedy na dworze jest trzydzieści stopni mrozu, nie otwiera się okien. W środku pachnie stęchlizną i mokrymi psami. Powietrze przesycone jest wonią gotowanego mięsa i ostrym zapachem starej skóry z renifera, na której trochę już zjełczał tłuszcz. Mama miała w pracowni mnóstwo rzeczy z reniferowej skóry, jeszcze z czasów dzieciństwa. Nosidełka dla niemowląt i zimowe buty, plecaczki i futrzaki. Wieczorami w kompletnej ciszy unosił się zapach terpentyny i farb olejnych, a czasami wilgotnej glinki, jeśli mama zajmowała się ceramiką. Znałam schody jak własną kieszeń, posuwałam się nimi w dół stopień po stopniu, unikałam tych najbardziej trzeszczących miejsc. Naciskałam kłamkę tak ostrożnie, jak tylko umiałam. Przykucalam w przedsionku i patrzyłam na mamę przez szparę w drzwiach. Obserwowałam jej rękę poruszającą się po płótnie. Zamaszyste, długie pociągnięcia szerokim szczeciniakiem. Wyrażne maźnięcia szpachelką. Subtelny taniec pędzelka z włosia kuny, kiedy malarka, wychylona do przodu, wykańczała szczegóły – źdźbło trawy wystające spod śniegu, rzęsy okalające oko renifera.

Zazwyczaj nie zauważała mojej obecności albo udawała, że mnie nie widzi. Czasami mówiła:

– Od dawna powinnaś leżeć w łóżku.

Wtedy odpowiadałam, że nie mogę zasnąć.

– To chodź i połóż się tutaj – proponowała.

W atelier stała wysłużona kanapa z sosnową ramą i różowo nakrapianym obiciem. Rozłożone na niej, zachodzące na siebie koce chroniły tapicerkę przed psami. Przykrywałam się jednym z owłosionych pledów.

Musta i Sampo witały mnie, uderzając ogonami o podłogę. Wciskałam nogi między ich ciepłe ciała, nie musiały się nawet przesuwać.

W kącie pracowni, w kartonowym pudle, leżały moje rysunki ołówkiem, piórkiem i kredą.

Tęskniłam do malowania farbą olejną. Ale to było za drogie.

– Kiedy zaczniesz pracować w wakacje i zarabiać własne pieniądze – powiedziała.

Chciałam powlekać płaszczyzny warstwami. Moja tęsknota była wręcz fizyczna. Kiedy smarowałam chleb masłem, robiłam to w nieskończoność. Trudziłam się, by osiągnąć nieskazitelność pierwszej bieli albo pokłady śniegu nawianego wśród zamieci.

Czasami uciekałam się do żebraniny, ale mama była nieprzejednana.

Kiedyś pracowała nad białym pejzażem. Zapytałam:

– Pozwolisz mi coś tu namalować? Na samym dole, w rogu? Później możesz to po prostu pokryć. Nic nie będzie widać.

To ją zainteresowało.

– A dlaczego chcesz to zrobić?

– W ten sposób powstanie tajemnica. Twoja, moja i obrazu.

– Nie, będzie widać grubszą warstwę farby i inną strukturę.

Nie dawałam za wygraną.

– To nawet lepiej – odparłam. – To jeszcze bardziej zaciekawi oglądających.

Uśmiechnęła się.

– Świetny pomysł, przyznaję. Ale zrobimy to w trochę inny sposób, dobrze?

Podala mi kilka białych arkuszy papieru.

– Namaluj swoje tajemnice – powiedziała. – A później zaklej je czystą kartką i namaluj na niej coś innego.

Posłuchałam jej rady. Do dziś mam ten obrazek w swoim pokoju, tutaj, w domu przyrodniego brata.

Mauri. Przegląda moje rysunki i obrazy. Teraz, po śmierci Inny, jest jakby bezdomny. Posiada całą Regłę i jeszcze więcej, ale w ogóle mu to nie pomaga. Przychodzi do mnie na górę, ogląda moje prace. Zadaje mnóstwo pytań.

Silę się na obojętność i odpowiadam. Cały czas trenuję. Gdy tylko poczuję gulę w gardle, zmieniam obciążenie sztangi albo ustawienie ławki.

Wykonałam obrazek zgodnie z propozycją mamy. To oczywiście nic szczególnego, byłam przecież dzieckiem. Zimowy krajobraz z brzozą. Tory kolejowe wijące się między górami ku Narvikowi. Pejzaż jest naklejony na inny zamalowany arkusz, ale dolny prawy róg wyraźnie od niego odstaje. Nawinęłam ten kawałek papieru na ołówek, żeby nie przylegał do podłoża. Chciałam wzbudzić w oglądającym chęć, by rozerwać kartki i zobaczyć ukryty malunek. Pod zagiętym rogiem widać jedynie fragment psiej łapy i cień kogoś lub czegoś. Ja wiem, że to kobieta z psem, stojąca plecami do słońca.

Podwójny obrazek bardzo się mamie spodobał. Pokazała go tacie i Anttemu.

– Jakie to pomysłowe! – powiedziała z uznaniem, bawiąc się odwiniętym rogiem.

Wypełniło mnie wtedy potężne, wspaniałe uczucie. Gdybym była domem, uniósłby się mój dach.

PORANNA NARADA W KIRUŃSKIEJ komendzie policji. Minęła siódma, nikt jednak nie okazywał zmęczenia ani niechęci. Ślady były ciągle ciepłe, dochodzenie nie zdążyło utknąć w miejscu.

Anna Maria Mella podsumowywała dotychczasowe wyniki, wskazując fotografie wiszące na ścianie.

– Inna Watrang. Czterdzieści cztery lata. Przybywa do domu wypoczynkowego należącego do Kallis Mining...

– ...w czwartek wieczorem, według danych z SAS-u – uzupełnił Fred Olsson. – Do Abisko przyjechała taksówką. To droga podróż. Rozmawiałem z kierowcą. Była sama. Zapytałem go, czy rozmawiali. Powiedział, że sprawiała wrażenie małomówniej i przygnębionej.

Tommy Rantakyrö uniósł rękę.

– Dotarłem do kobiety, która tam sprząta. Powiedziała mi, że jeśli ktoś ma przyjechać, zawsze jest o tym informowana zawczasu. Przed przyjazdem gości podkreca ogrzewanie, a później sprząta w czasie ich pobytu. Tym razem nikt jej nie powiadomił. Nie miała pojęcia, że ktoś tam przebywa.

– Wygląda na to, że nikt nie wiedział o wypadzie Wattrang na północ... – skomentowała Anna Maria. – W każdym razie sprawca za pomocą taśmy klejącej przytwierdził ją do krzesła w kuchni i przepuścił przez nią prąd elektryczny. Ofiara dostała czegoś w rodzaju ataku epilepsji: targały ją konwulsje, pogryzła sobie język na miazgę...

Komisarz Mella wskazała ręką zdjęcia z protokołu sekcji zwłok, przedstawiające dłonie z sinymi śladami po paznokciach.

– Ale przyczyną śmierci jest najprawdopodobniej rana kłuta, zadana w serce długim, ostrym narzędziem. Według Pohjanena to nie mógł być nóż. Sprawca przekłuł ciało na wylot. A kiedy je przekłuwał – i to też jest dość podejrzane – Inna Wattrang nie siedziała na krześle, tylko leżała na podłodze. W linoleum powstało nacięcie, a pod nim jest ślad, który wykryła Tintin. SKL^[17] twierdzi, że krew znaleziona w tym zagłębieniu to krew zamordowanej.

– Może krzesło się przewróciło – zaproponował Fred.

– Niewykluczone. A może ktoś ją uwolnił i położył na podłodze.

– Żeby uprawiać z nią seks? – zapytał Tommy.

– Może. Wprawdzie nie znaleziono w niej spermy... Ale przecież nie możemy wykluczyć seksu, dobrowolnego albo niedobrowolnego. Później sprawca przetransportował ją do arki.

– Arka była zamknięta na klucz, prawda? – chciał się upewnić Fred.

Anna Maria skinęła głową.

– To nie był szczególnie solidny zamek – wtrącił Sven Erik. – Pierwszy lepszy opryszek poradziłby sobie z nim bez trudności.

– Torebka zamordowanej leżała w umywalce, w łazience – kontynuowała Anna Maria. – Zniknęły natomiast jej telefon komórkowy i komputer. Poprosiliśmy kolegów ze Strängnäs, żeby sprawdzili w jej mieszkaniu, w Regli, ale tam też nic nie znaleźli.

– Bardzo to wszystko dziwne! – wybuchnął Tommy.

Przez chwilę panowało milczenie. Tommy miał rację. Trudno było odtworzyć przebieg wypadków. Co tak naprawdę wydarzyło się w tamtym domu?

– No cóż – przerwała milczenie komisarz Mella – musimy brać pod uwagę każdą ewentualność. To mogło być cokolwiek. Motyw nienawiści, zbrodnia na tle seksualnym, szaleniec, szantaż albo uprowadzenie, które wymknęło się sprawcom spod kontroli. Jedno jest pewne: ani Mauri Kallis, ani Diddi Watrang nie mówią całej prawdy o Innie. To ludzie, którzy raczej nie angażują policji w wypadku porwania... Nie znaleźliśmy też narzędzia zbrodni. Przeszukaliśmy teren wokół domu, pomagała nam Tintin, i nic. W każdym razie chcę mieć wydruk billingu od operatora telekomunikacyjnego. Dobrze byłoby też przejrzeć jej książkę adresową, tylko że ta oczywiście zniknęła razem z laptopem i komórką. Zaczniemy więc od billingu. Załatwisz to, Tommy?

Tommy Rantakyrö skinął głową.

– A wczoraj nurkowie znaleźli ten płaszcz pod lodem.

Wskazała na fotografię męskiego okrycia z jasnej popeliny.

– Na zdjęciu nie widać tego wyraźnie, ale tutaj, na ramieniu, jest plama. Myślę, że to krew Inny Watrang. Wysłaliśmy płaszcz do Linköping, zobaczymy. Mam nadzieję, że na wewnętrznej stronie kołnierza znajdą jakiś włos, pot czy coś w tym rodzaju. Może w ten sposób uda się nam dotrzeć do DNA mordercy.

– Naprawdę myślisz, że to płaszcz mordercy? Przecież to płaszcz na lato – powątpiewał Tommy.

Anna Maria uciskała palcami głowę, sygnalizując, że myśli.

– Jasne! – wybuchła. – To jest letni płaszcz. Więc jeśli należy do sprawcy, to znaczy, że sprawca przyjechał z lata.

Koledzy patrzyli na nią bez słowa. O co jej chodzi?

– Tutaj ciągle mamy zimę – mówiła dalej komisarz Mella. – Ale w Skanii i w pozostałych częściach Europy panuje wiosna. Ciepło i przyjemnie; kuzynka Roberta i jej chłopak byli w ubiegły weekend w Paryżu. Siedzieli w ogródku i pili kawę. Chodzi mi o to: jeżeli morderca przyjechał z cieplejszych krajów, to nie był stąd, tylko raczej z daleka. W takim razie musiał przylecieć samolotem, prawda? Może wynajął samochód? Warto to sprawdzić. Pojadę ze Svenem Erikiem na lotnisko; zobaczymy, czy ktoś zapamiętał mężczyznę w takim płaszczu.

MAURI KALLIS SIEDZIAŁ w kucki na poddaszu u Ester. Przeglądał jej obrazy i rysunki, leżące w dwóch kartonowych pudłach. Farby, płótna, sztalugi, pędzle i bloki akwarelowe załatwiła Inna. Wszystko najlepszej jakości.

– Życzysz sobie czegoś jeszcze? – zapytała młodziutką Ester, stojącą w swojej znikomości z walizkami, pierwszy raz w Regli.

– Obciążników – odpowiedziała Ester. – Obciążników i sztangi.

Teraz wyciskała sztangę, leżąc na ławce, podczas gdy Mauri grzebał w pudłach.

W dniu jej przyjazdu byłem przerażony, przypomniał sobie.

Pamiętał, jak zadzwoniła wtedy Inna z informacją, że Ester i jej ciotka są w drodze. Mauri chodził tam i z powrotem po gabinecie i wracał myślą do pogrzebu matki. Jego siostry były do niej takie podobne! A teraz dobrowolnie narażał się na kontakt z nią o każdej porze dnia i nocy! Każde wyściubienie nosa z sypialni miało być czymś w rodzaju rosyjskiej ruletki.

– Jestem zajęty – odpowiedział Innie. – Oprowadź je po domu. Zadzwonię, kiedy będę mógł was przyjąć.

W końcu zebrał się w sobie i oddzwonił.

Na widok najmłodszej siostry zamienił się w jedno wielkie westchnienie ulgi. Ester była Hinduską. Wyglądała jak mieszkanka Indii. Nie miała w sobie nic z matki.

Ciotka dziewczyny wydukała:

– Dziękuję, że zechciał się nią pan zaopiekować. Wielka szkoda, że nie mogę

sama...

Mauri, niemal w oszołomieniu, ujął Ester za przegub dłoni.

– To przecież oczywiste – powiedział wówczas. – Najzupełniej oczywiste.

Ester zerknęła w jego stronę. Znów zaczął wertować jej prace. Gdyby jeszcze rysowała, stworzyłaby autoportret: ona podnosi sztangę oraz siedzącego na niej Mauriego z pudłem w objęciach. Unosiła w górę brata i jego ciekawość. Trzymała ich w powietrzu bez widocznego wysiłku. Przenosiła ból do *pectoralis maior* i *triceps brachii*. Wyciskała: dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście.

Mimo wszystko chcę go tutaj mieć, pomyślała. To jego miejsce wytchnienia. Właśnie tak.

Przeglądając rysunki Ester, Mauri zobaczył inne życie. Zastanawiał się, kim byłby dzisiaj, gdyby to jemu przyszło dorastać w tamtej rodzinie na dalekiej północy. Odbywał podróż do alternatywnego istnienia.

Motywy prac miały źródło prawie wyłącznie w domu jej dzieciństwa, byleż stacji kolejowej w Rensjön. Kilka rysunków ołówkiem przedstawiało rodzinę zastępczą. Mama krzątająca się po domu lub zajęta lepieniem ceramicznych zwierząt. Brat majstrujący przy skuterze śnieżnym w środku lata, obydwoj obramowani delikatnym dzikim kwieciami; chłopak ma na sobie niebieski kombinezon i reklamową bejsbolówkę. Ojciec naprawiający ogrodzenie, za którym stoją renifery juczne – po drugiej stronie torów kolejowych, bliżej jeziora. I niemal na każdym rysunku – wytrzymałe, choć niepozorne szpice lapońskie; ich błyszcząca sierść i zakręcone ogony.

Ester z trudem odłożyła sztangę na stojak; ramiona, omdlałe ze zmęczenia, odmawiały posłuszeństwa. Nie poświęcała Mauriemu uwagi, niemal zapomniała o jego obecności. Chwila zbawiennej ciszy.

Wyciągnął z pudła szkice przedstawiające Nastiego w klatce.

– Podoba mi się ten chomik – powiedział.

– Nie chomik, tylko leming górski – sprostowała Ester, nie patrząc na niego.

Mauri przyglądał się zwierzątku. Szeroka głowa, oczy jak czarne guziczki. Drobne

łapki. Świadomie albo nie, Ester uczłowieczyła je tak bardzo, że wyglądały jak niewielkie dłonie.

Nasti na tylnych łapkach, z przednimi opartymi o pręty klatki. Nasti od tyłu, pochyłony nad miseczką z jedzeniem. Nasti na plecach w trocinach, z łapkami w górze. Żywy i martwy. I charakterystyczna dla jej prac obecność rzeczy, które nie mają związku z głównym motywem. Jakiś cień. Fragment gazety.

Ester położyła się na brzuchu i zaczęła unosić tułowia. To tato przyniósł Nastiego do domu. Znalazł go na mokradłach, przemoczonego i bliskiego śmierci. Wkładając gryzonia do kieszeni, uratował jego maciupkie życie. Nasti był u nich osiem miesięcy. Człowiek potrafi pokochać kogoś znacznie szybciej.

Wtedy płakałam, uświadomiła sobie Ester. Ale mama nauczyła mnie, do czego może służyć obraz.

– Odmaluj go – namawia mama.

Tato i Antte jeszcze nie wrócili. Biegnę po papier i ołówek. Przemoczony smutek w piersi łagodnie już po kilku kreskach. Żal się wycisza i traci na sile. Ręka wykorzystuje zarówno umysł, jak i uczucie. Płacz odsuwa się na bok.

Kiedy wraca tato, pochlipuję jeszcze trochę, ale już chyba tylko po to, żeby skupić na sobie jego uwagę. Rysunek z martwym Nastim leży na samym dnie pudła w atelier. Tato mnie pociesza, bierze na kolana. Antte się nie przejmuję. Jest zbyt dużym chłopcem, by opłakiwać leminga.

– Wiesz – wyjaśnia tato – one są takie delikatne. Nie mają wystarczającej odporności na wszystkie nasze bakterie. Położymy go w drewnitni i pochowamy latem, dobrze?

W ciągu kolejnych paru tygodni trzy razy rysuję drewnitnię. Potężna czapa śniegu na dachu. Czarna ciemność po drugiej stronie szczeblinowych okien, kwiaty szronu na pojedynczych szybach. Tylko mama i ja wiemy, że tak naprawdę rysunki przedstawiają Nastiego. Leży tam w środku w niewielkim pudełku.

– Powinnaś wrócić do malowania – powiedział Mauri.

Ester zmieniła obciążenie na sztandze. Spojrzała na swoje nogi. Uda wyraźnie pogrubiały. *Quadriceps femoris*. Powinna jeść więcej białka.

Mauri znalazł kilka rysunków przedstawiających ciotkę dziewczyny. Siostrę jej przybranej mamy. Na pierwszym siedzi przy stole w kuchni, wpatrzona zrezygnowanym wzrokiem w telefon. Na innym leży zadowolona na sofie i czyta książkę. W drugiej ręce trzyma finkę z kawałkiem suszonego mięsa nabitym na ostrze.

Właśnie miał zapytać, czy ciotka dała ostatnio jakiś znak życia, ale zrezygnował. Przecież ci ludzie to cholerni popaprańcy. I ona, i jej szwagier.

Dziewczyna ugięła kolana pod sztangą. Popatrzyła na Mauriego. Na przelotną zmarszczkę między brwiami. Nie powinien się złościć na ciotkę. Gdzież ona miała się teraz podziąć? Była przecież równie bezdomna, jak Ester.

Co jakiś czas ciotka przyjeżdża z wizytą do Rensjön. Zazwyczaj wszystko zaczyna się od telefonów do mamy.

Jej siostra dzwoni przez cały tydzień. Mama chodzi ze słuchawką przyciśniętą do ucha i podtrzymując ją barkiem, pilnuje, by starczyło sznura.

– Mhm – mówi i próbuje dosięgnąć zlewu, wiadra na odpadki i miski dla psa. Nie potrafi siedzieć beczynn timer w trakcie rozmowy, to niemożliwe.

Czasami wrywa się jej:

– Przecież to idiota!

Najczęściej jednak milczy. Słucha. Słyszę, jak po drugiej stronie ciotka płacze, zrezygnowana. Od czasu do czasu przeklina.

Przynoszę mamie przedłużacz. Tato zaczyna się złościć. Odczuwa te nie kończące się rozmowy jak atak na dom. Na dźwięk telefonu podnosi się z krzesła i opuszcza kuchnię.

W końcu pewnego dnia mama oznajmia:

– Przyjedzie do nas Marit.

– No tak, dawno tu nie była – komentuje tato.

Wkłada ocieplany kombinezon i wychodzi, nie mówiąc dokąd. Wraca późnym wieczorem. Mama odgrzewa mu kolację w kuchence mikrofalowej. Panuje potworna cisza. Gdyby nie było tak zimno w pozostałych częściach domu, Antte i ja ucieklibyśmy do atelier albo na nieurządzony strych, gdzie wisi zamrożone pranie, a szron na szybach wije się jak liście paproci.

Ale teraz siedzimy w kuchni. Mama zmywa. Patrzą na jej plecy i na ścienny zegar. W końcu Antte wstaje i włącza radio. Po chwili idzie do dużego pokoju, włącza telewizor oraz komputer i zaczyna grać w wirtualną piłkę nożną. Cisza zagłusza jednak wszystkie dźwięki. Tato wpatruje się tępo w telefon.

A ja się cieszę. Ciotka to piękny, egzotyczny ptak. Ma całą torbę kosmetyków i perfum, które – jeśli jestem ostrożna – mogę wypróbować. Mama się zmienia, kiedy przyjeżdża jej siostra. Częściej się śmieje i wygłupia.

Gdybym ciągle umiała rysować, poprawiłabym wszystkie jej portrety. Wyglądałaby tak, jak chciała wyglądać. Miałaby twarz dziewczynki o miękkich wargach i nielicznych rysach między brwiami, bez bruzdek łączących skrzydełka nosa z kącikami ust. Nie odtworzyłabym siatki delikatnych zmarszczek, które rozchodzą się promieniście od oczu do wysokich kości policzkowych. Delty łez.

Przyjeżdża ze Sztokholmu pociągiem. Podróż trwa jedno popołudnie, jeden wieczór, jedną noc i połowę kolejnego dnia.

Stoję na piętrze w dużym pokoju, który na noc zamienia się w sypialnię rodziców. Antte sypia na ławie kuchennej. Tylko ja mam swój pokój. Niewielki schowek z miejscem na łóżko i krzesło. Małe okienko jest tak wysoko, że muszę stawać na krześle, żeby móc przez nie wyjrzeć. Czasami patrzę na pracowników kolei, którzy – odziani w żółte kombinezony robocze – majstrują przy zwrotnicach. Mam własny pokój, dlatego że jestem przybrany dzieckiem.

Ale teraz stoję w dużym pokoju i przyciskam nos do szyby. Kiedy zamknę oczy,

potrafię zobaczyć ciotkę.

Jest środek zimy. Sztokholm wylania się z mokrego papieru akwarelowego w sepii i ochrze. Czarne pnie drzew, zmoczone deszczem – cieniutkie tuszowe linie.

Widzę ją w pociągu. Czasami pali po kryjomu w toalecie. Przede wszystkim jednak siedzi i wygląda przez okno. Dom za domem, za domem. Las za lasem, za lasem. W duszy nastroj powrotu w rodzinne strony.

Od czasu do czasu spogląda na telefon komórkowy. Brak zasięgu. Może mimo wszystko próbował zadzwonić? Dzwonki sygnalizacyjne na przejazdach kolejowych i sznur samochodów czekających przed szlabanem.

Nie stać jej na kuszetkę. Naciąga więc na siebie płaszcz jak kołdrę i zasypia, oparta o szybę. Elektryczne grzejniki rozgrzewają się do czerwoności. Czuć spalonym kurzem. Wystające spod przykrycia stopy i szczupłe kostki w nylonowych rajstopach opierają się o siedzenie naprzeciw; świadczą o kruchości i delikatności. Pociąg się kołysze, szumi i stuka. W jakimś sensie bardzo przypomina życie przed narodzeniem.

Mama i ja czekamy na peronie w Rensjön. Ciotka jest jedyną pasażerką, która tu wysiada. Brniemy nieodśnieżoną drogą. Zapada ciemnoniebieski popołudniowy zmierzch. Płaty śniegu przyklejają się do walizek.

Ciotka ma ciut za ostry makijaż i chyba zbyt radosny głos. Drepcze z mozołem, ale nie zamykają jej się usta. Zdąży solidnie zmarznąć w tym swoim sztokholmskim płaszczu i eleganckich butach. Nie ma czapki. Ciągnę jej walizkę. Zostawiam w śniegu głęboki ślad.

Na widok domu ciotka śmieje się radośnie. Przy jednej ścianie szczytowej śniegu nawiało aż po okno na piętze. Mama opowiada, jak ponad tydzień temu właśnie przez to okno wychodził tato i razem z Anttem przez cztery godziny odkopywali drzwi.

Ciotka przywiozła prezenty. Dostaję od niej ekskluzywny blok akwarelowy ze sklejanymi arkuszami.

Mama upomina mnie, bym nie zużyła wszystkiego naraz, a po chwili upomina siostrę, że to zdecydowanie za drogi upominek.

Na początek ciotka życzy sobie potraw, które jadła z siostrą w dzieciństwie. Mama

podaje więc *suovas*^[18], kiszkę norlandzką, naleśniki z krwią i zrzynki łosiowe. Na deser ciotka odkrawa cienkie kawałki suszonego mięsa i zajada się nimi, nie przestając mówić. Piją wino i inne alkohole, które przywiozła ze sobą ze Sztokholmu.

Tato włącza ogrzewanie w dużym pokoju i wieczorem ogląda telewizję; mama z siostrą zostają w kuchni i rozmawiają. Ciotka często płacze, ale w naszej rodzinie przechodzimy nad tym do porządku dziennego.

– Ciągłe się przeprowadzasz – mówi ojciec, wkraczając do kuchni, by dolać sobie whisky, którą przywiozła szwagierka. – Może powinnaś kupić przyczepę kempingową?

Ciotka ani drgnie, ale widzę, jak jej tęczywki wzbierają jadem.

– Moim felerem jest to, że zawsze wybieram złych facetów – odpowiada pozornie lekkim tonem. – Myślę, że mamy to po matce.

Co wieczór podłącza telefon do ładowarki. Boi się wyjść na spacer, bo wtedy bateria przemarznie i przestanie działać.

Pewnego dnia, o zmierzchu, komórka w końcu się odzywa. Dzwoni łajdak. Ciotka rozmawia cicho w kuchni. Długo. Mama wysyła nas na dwór. Bawimy się w ciemności prawie dwie godziny. W ogromnej zaspie wykopujemy śnieżną grotę. Psy pomagają nam jak szalone.

Kiedy wracamy, jest już po rozmowie. Gdy ściągam kombinezon i botki, słyszę mamę.

– Nie rozumiem – mówi. – Nie rozumiem, jak możesz chcieć go z powrotem. Wystarczy, że pstrykniesz palcami. To takie potworne marnotrawstwo kobiecej siły.

– „Marnotrawstwo kobiecej siły” – droczy się ciotka. – Ale zanim przemienie moje życie, na cóż ważniejszego mam spożytkować tę siłę niż na próby znalezienia miłości?

Właśnie na tym polega trudność, stwierdziła w duchu Ester, ponownie zmieniając obciążenie sztangi. Kiedy Mauri przychodzi do mnie na strych i zaczyna przeglądać obrazy. Gdy tylko zaczynam myśleć o ciotce, automatycznie pojawiają się też inne

wspomnienia. Najpierw przypominam sobie coś niegroźnego, ale już po chwili wypływają na powierzchnię rzeczy trudne.

Rzeczy trudne: jadę z ciotką do szpitala w Kirunie. Międzynarodowa szosa do Norwegii, ciemność i śnieg. Ciotka kurczowo zaciska dłonie na kierownicy. Ma prawo jazdy, ale rzadko prowadzi.

Zbliża się koniec. I pomyśleć, że nie pamiętam, gdzie się wtedy podzieli tato i Antte.

– Pamiętasz muchę? – pyta ciotka.

Nie odpowiadam. Z przeciwnej strony zbliża się do nas ogromny samochód ciężarowy. Ciotka przyhamowuje właśnie w momencie, gdy mamy się wyminąć. To ostatnia rzecz, jaką w tej sytuacji powinien zrobić kierowca, jestem pewna. Łatwo wpaść w poślizg, a później... to już tylko miazga. Ale ona czuje strach i popełnia błędy. Ja się nie boję. W każdym razie nie tego.

Nie pamiętam muchy, wiem tylko, że ciotka kiedyś mi o niej opowiedziała.

Mam dwa lata. Siedzę na jej kolanach przy stole w kuchni. Przed nami leży płachta „Norrländska Socialdemokraten”. Ilustracja przedstawiająca muchę. Usiłuję wyjąć owada z gazety.

Mama śmieje się ze mnie.

– Nie dasz rady – mówi.

– Nie ucz jej, że czegoś nie potrafi – odpowiada opryskliwie ciotka.

Najwyraźniej ma słabość do tych szczególnych umiejętności dziedziczonych po kądzieli, takich jak zatrzymywanie krwotoków i jasnowidzenie. Chyba jest trochę zła na mamę, domyśla się bowiem, że siostra potrafi więcej tego typu rzeczy, ale woli się do nich nie przyznawać. Ciotka nie chce, by mama przyzwyczajała mnie do ukrywania pewnych zdolności. Kiedy jeszcze byłam oseskiem, spoglądała mi w oczy i mówiła mamie: „Popatrz, przecież to cała *áhkku*, babcia”.

Kiedyś usłyszał je tato.

– Mądręście jak gęsi – skomentował. – Przecież ona nawet nie jest z nami spokrewniona. To nie jest wasza babcia.

– On nic nie rozumie – powiedziała ciotka pozornie żartobliwym tonem, niby do mnie, ale przecież do ojca; ja byłam zaledwie niemowlęciem. – Myśli, że pokrewieństwo jest tylko kwestią biologii.

Próbuję wyłuskać muchę z ilustracji w gazecie. I nagle mi się udaje! Owad brzęczy nad naszymi głowami, zderza się z okularami ciotki, ląduje na podłodze, pełza wkoło, podnosi się ciężko i w końcu przysiada na mojej ręce.

Zaczynam krzyczeć. Przerażliwie, jak szalona. Ciotka stara się mnie uspokoić, choć to niemożliwe. Mama wypędza muchę przez okno, na nieuchronną śmierć. Owad z obrazka nie zniknął, ale na wszelki wypadek ciotka upycha gazetę do pieca, gdzie ogień z trzaskiem unicestwia zadrukowany papier.

– To nic dziwnego, muchy czasami budzą się z zimowego snu – mówi mama, przyjmując rolę racjonalistki.

Ciotka nie mówi nic. Czternaście lat później zadaje mi pytanie:

– Dlaczego wtedy tak krzyczałaś? Myśleliśmy, że już nigdy się nie uspokoisz.

Mówię, że nie pamiętam. To prawda. Ale to nie znaczy, że nie wiem. Dobrze wiem, dlaczego krzyczałam. Uczucie jest zawsze to samo, doświadczyłam go później w życiu nieraz.

Zlewasz się w jedno z całą resztą. A równocześnie chcesz się oderwać. Masz wrażenie, że się rozpływasz. Jak mgła w dolinie rozpraszana nagłym wiatrem. To przerażające. Zwłaszcza gdy jesteś dzieckiem i nie masz pojęcia, że chodzi o doznanie, które przemija.

Potrafię dostrzec jego zwiastuny. Osobliwe mrowienie stóp, tysiące igiełek. Później uczucie stąpania po poduszkach powietrza. Stanowisz jedność z ciałem bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić, i gdy się z nim rozstajesz, czujesz przerażenie.

Mogłabym odpowiedzieć ciotce: wyobraź sobie, że nagle przestaje działać prawo powszechnego ciężenia. Ale nie chcę o tym rozmawiać.

Wiem, dlaczego ciotka przypomina mi teraz o tej musze. W ten sposób podkreśla moje pokrewieństwo z mamą. W ten sposób oznajmia, że noszę w sobie ich babcie.

W zasadzie nikt nie chce o tym wiedzieć. Nawet ciotka.

Mam trzy lata. Znów siedzę na jej kolanach przy kuchennym stole. Darła koty ze szwagrem prawie dwa tygodnie; w końcu tato wziął ze sobą Anttego i ruszył w góry. Ale tego samego dnia zadzwonił telefon. Ciotka zamówiła bilet powrotny i spakowała walizkę. Teraz pokazuje mi fotografie. Na jednej z nich widać dużą łódź żaglową, własność jej nowego mężczyzny.

– Ta łódź znajduje się na Morzu Śródziemnym – opowiada.

Popłyną nią na Wyspy Kanaryjskie.

– Pamiętam – mówię. – Siedziałaś tutaj i płakałaś.

Wskazuję palcem na dziób żagłówki.

Ciotka się śmieje. Nie chce tego słuchać. Zapomina o proroczym darze Ester.

– Nie możesz tego pamiętać, moje złotko. Nigdy nie postawiłam stopy na żadnej łodzi żaglowej. To będzie pierwszy raz.

Mama rzuca mi szybkie, ostrzegawcze spojrzenie, co znaczy: oni nie chcą wiedzieć. Że pamięć może działać wstecz i do przodu. Czas posuwa się w obu kierunkach.

Mauri też woli nie wiedzieć, pomyślała Ester, kładąc sztangę na barki. Znajduje się w niebezpieczeństwie, ale nie ma sensu teraz mu o tym mówić.

– Mogłabyś mnie namalować – powiedział, uśmiechając się.

To prawda, mogłabym go namalować, pomyślała. To jedyny obraz, który jeszcze w sobie mam. Wszystkie inne się wyczerpały. Tylko że ten wizerunek mu się nie spodoba. Noszę go w sobie, odkąd pierwszy raz spotkałam Mauriego.

Inna przyjmuje nas w Regli. Obejmuje ciotkę, jak gdyby były siostrami. Ciotka się rozluźnia. Przypuszczam, że właśnie wtedy opuszczają ją wyrzuty sumienia.

Czuję się tu bardzo nieswojo. Dla każdego jestem ciężarem. Nie potrafię malować. Nie potrafię się sama utrzymać. Nie mam się gdzie podziąć. A ponieważ nie chcę tu mieszkać, cały czas znikam. Nic na to nie mogę poradzić. Kiedy stąпам po dwóch dywanach w drodze do Inny, zamieniam się w dwóch tkaczy: mężczyznę z językiem

wetkniętym w przerwę między zębami i młodego chłopca. Wystarczy, że dotknę ściany obitej boazerią, i staję się heblującym drewno stolarzem z pobolewającym biodrem. Wszystkimi tymi dłońmi, które toczyły, tkwały, szyły i strugały. Czuję się tak zmęczona, że trudno mi się zebrać w sobie. Zmuszam się, by wyciągnąć do Inny rękę na powitanie. I nagle ją widzę. Ma trzynaście lat i przykłada policzek do policzka ojca. Ludzie mówią, że owinęła go sobie wokół małego palca. Ale ja w jej oczach dostrzegam pragnienie.

Inna oprowadza nas po domu. Trudno zliczyć wszystkie pokoje. Ciotka rozgląda się wokół, pełna podziwu. Całe to wiekowe umeblowanie z polerowanego drewna, stoliki, krzesła i komody z wygiętymi nóżkami. Chińskie wazy malowane tradycyjnym niebieskim kolorem, stojące na podłodze.

– Co za miejsce – szepcze do mnie.

Razi ją jedynie to, że psy żony Mauriego poruszają się swobodnie po całym domu i wskakują na meble. Czasami musi się powstrzymać, by nie złapać jednego z drugim za kark i nie wyrzucić za drzwi.

Nie odpowiadam. Ciotka tak bardzo chce, żeby przeprowadzka sprawiła mi radość. Ale ja nie znam tych ludzi. Nie są moją rodziną. Zostałam tutaj tylko przetransportowana.

Nagle dzwoni telefon Inny. Po chwili się dowiaduję, że za moment spotkam swojego brata.

Wchodzimy do pokoju, który pełni jednocześnie funkcję gabinetu i sypialni. Mężczyzna ma na sobie garnitur, choć jest we własnym domu.

Ciotka podaje mu rękę i dziękuje, że zgodził się mną zaopiekować.

A on się do mnie uśmiecha. Mówi: „To przecież oczywiste”. Powtarza to jeszcze raz i patrzy mi w oczy.

Spuszczam wzrok, tak bardzo się cieszę. Myślę: to jest mój brat! Naprawdę mogę u niego zamieszkać.

Mauri ujmuje mnie za przegub dłoni i wtedy...

Wtedy zapada się podłoga. Gruby dywan wije się jak wąż morski, chce się mnie

pozbyć. Czuję mrowienie pod stopami. Muszę się czegoś przytrzymać, potrzebny mi jakiś ciężki mebel, ale jestem już pod sufitem.

Roztrzaskane szyby wpadają do środka niczym ulewny deszcz. Czarny wiatr zasysa firanki w oknach i targa je na strzepy.

Zgubiłam samą siebie.

Pokój się kurczy i tonie w mroku. To zupełnie inna sypialnia, dawno, dawno temu. Sypialnia, którą nosi w sobie Mauri. Otyły mężczyzna leży w łóżku na kobiecie. Materac nie ma żadnego pokrycia, spod ciała wystaje tylko brudna żółta pianka. Szerokie i spocone plecy mężczyzny przywodzą na myśl ogromny gładki kamień nad wodą.

Później zrozumiem, że kobieta jest naszą wspólną matką – Mauriego i moją. Tą drugą. Tą, która mnie urodziła. Ale to się zdarzyło, zanim przyszedłam na świat.

Mauri jest małej, ma może dwa, trzy lata. Uczepił się szyi mężczyzny, przykleił do jego pleców i krzyczy: „Mamusiu! Mamusiu!”. Kopulujący nie zwracają na niego uwagi, tak jak nie zwraca się uwagi na komara.

To jest mój portret Mauriego.

Błede drobniutkie plecki, mała krewetka na tle pleców niczym skała w mrocznym, zamkniętym pokoju.

Później Mauri wypuszcza moją rękę ze swojej i wracam do rzeczywistości.

Już wtedy wiem, że będę musiała go unieść. Dla nikogo z nas nie ma w Regli miejsca. Zostało niewiele czasu.

Ester stała w lekkim rozkroku ze sztangą na barkach. Zrobiła głęboki wyrok.

Mauri uśmiechnął się do niej i spróbował jeszcze raz.

– Zapłacę. Na portretach można sporo zarobić. Ludzie kierujący gospodarką mają ego wielkie jak zeppelin.

– Nie byłbyś nim zachwycony – odparła po prostu.

Zerknęła na brata. Widziała, że postanowił, iż nie poczuje się dotknięty. Ale

co miała mu powiedzieć?

Tak czy owak, nie mogła dłużej znieść jego grzebania w obrazach. Ugięła kolana, a on zniknął na schodach.

– **TAK, PAMIĘTAM KLIENTA** w takim płaszczu.

Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke rozmawiali z pracownikiem wypożyczalni samochodów na lotnisku w Kirunie. Mężczyzna miał około dwudziestu lat i przeglądając archiwa pamięci, żuł intensywnie gumę. Jego szyja i policzki były dotknięte ciężkim trądzikiem. Anna Maria próbowała oderwać wzrok od dojrzałej krosty, z której – niczym z krateru o zaczerwienionych kantach – wyzierała biała larwa. Trzymała przed młodzieńcem swój telefon komórkowy. Na wyświetlaczu widniało zdjęcie płaszcza znalezione pod lodem w Torneträsk.

– Pamiętam, że pomyślałem wtedy: oj, ale facet zmarznie!

Zaśmiał się.

– Ci cudzoziemcy!

Policjanci milczeli. Wstrzymywali się z kolejnymi pytaniami, pozwalając mężczyźnie na swobodne odtworzenie wspomnień. Anna Maria skinęła zachęcająco głową i zanotowała w pamięci: „cudzoziemiec”.

– To nie mogło być w ubiegłym tygodniu, bo wtedy miałem grypę i byłem w domu. Proszę chwilę poczekać...

Poszukał czegoś w komputerze i wrócił z wypełnionym blankietem.

– Oto umowa wynajmu.

To niesamowite, pomyślała Anna Maria. Prawie go mamy.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy nazwisko.

Sven Erik włożył rękawiczki i poprosił o dokument.

– Cudzoziemiec – odezwała się Anna Maria. – W jakim mówił języku?

– Po angielsku. Znam tylko angielski, więc...

– Miał jakiś szczególny akcent?

– Hm... Niech się zastanowię.

Młodzieniec zwiększył prędkość zucia, ale najpierw umieścił gumę między przednimi zębami, tak że połowa wystawała z ust. Skojarzenie z maszyną do szycia było nieuchronne. Policjantka zobaczyła igłę przesywającą strzępek białego materiału.

– Brytyjski, tak! Ale nie ten snobistyczny wariant, tylko raczej... *working class*. Tak, jestem pewien – młodzieniec mówił dalej, kiwając głową, jakby przyznawał sobie rację – bo to średnio pasowało do jego eleganckiego trencza i butów. Miał dość zniszczoną twarz, chociaż opaloną.

– Zatrzymamy tę umowę – powiedział Sven Erik. – Dostanie pan od nas kopię. Tylko proszę nie rozmawiać o tym z żadnym dziennikarzem, dobrze? Poprosimy też pana o wszystkie możliwe dane zachowane w komputerze: w jaki sposób mężczyzna zapłacił, no... cokolwiek.

– Chcemy także obejrzeć samochód – dodała Anna Maria. – Jeśli jest wypożyczony, to proszę go tu ściągnąć i zaproponować klientowi inny pojazd.

– Chodzi o Innę Wattrang, prawda?

– Kiedy oddawał samochód, miał na sobie ten sam płaszcz? – spytała komisarz Mella.

– Nie wiem. Myślę, że zostawił kluczyki w skrzynce zwrotów.

Znów wystukał coś na klawiaturze.

– Yes! Prawdopodobnie wrócił w piątek wieczornym samolotem. Albo rannym w sobotę.

Więc może któraś ze stewardes widziała go bez płaszcza, pomyślała Anna Maria.

– Rozpiszemy za nim listy gończe – powiedziała Anna Maria do Svena Erika, kiedy ponownie wsiedli do samochodu. – John McNamara. Interpol pomoże nam w Wielkiej Brytanii. Jeżeli SKL zapewni, że te plany to krew Inny Wattrang, i jeśli uda im się wyizolować DNA ze śladów na trenczu...

– To nie jest takie pewne, przecież płaszcz leżał w wodzie.

– To zajmie się tym Laboratorium Rudbecka w Uppsali. Musimy powiązać mężczyznę z tym płaszczem; nie wystarczy, że wynajął tu samochód akurat w tym czasie, kiedy została zamordowana.

– Jeżeli nie znajdziemy czegoś w samochodzie.

– Technicy już się tym zajmą.

Odwróciła się do kolegi i uśmiechnęła szeroko. Sven Erik wcisnął nogi w podłogę, bezwiednie szukając pedału hamulca. Wolał, gdy Anna Maria, prowadząc, patrzyła przed siebie.

– Kurde, jak szybko się z tym uwinęliśmy! – powiedziała, z radości dodając gazu. – I zrobiliśmy to sami, bez pomocy kryminalnych ze Sztokholmu, to cholernie dobry wynik!

ZNAJDOWALI SIĘ W KOTŁOWNI. Rebeka siedziała przy niewielkim stole z laminowanym blatem i obserwowała sąsiada krzątającego się przy niewielkiej kuchence. Do aluminiowego rondla włożył pudding rybny, pokrojony na kawałki, i podgrzewał go ostrożnie w odrobinie mleka. W garnku obok gotowały się ziemniaki. Gospodarz postawił na stole pleciony koszyk z chlebem chrupkim i opakowanie solonego masła. Zapach jedzenia mieszał się z wonią świeżo wypranych wełnianych skarpet, wiszących na sznurku pod sufitem.

– Ale się szykuje ucza! – odezwała się Rebeka. – Co ty na to, Bella?

– Wybij sobie z głowy – Sivving zwrócił się głucho do wyźlicy zesłanej na legowisko przy łóżku.

Z pyska zwisały jej dwie nitki śliny. Brązowe oczy komunikowały: czy nie widzicie, że umieram z głodu?

– Dostaniesz później moje resztki – obiecała Rebeka.

– Lepiej z nią nie rozmawiaj. Wszystko tłumaczy po swojemu i zaraz tu przyleci.

Rebeka się uśmiechnęła. Patrzyła na plecy sąsiada. Ma naprawdę zjawiskowy wygląd, pomyślała. Włosy mu się nie przerzedziły, tylko zmieniły kolor na barwę

surowego jedwabiu i stały się jakby lżejsze. Odstawały od głowy niczym puszysty lisi ogon. Wojskowe spodnie z demobilu były wpuszczone do solidnych wełnianych skarpet domowej roboty. Maj Lis musiała mu zrobić na drutach niezły zapas, zanim zmarła. Wydatny brzuch przykrywała flanelowa koszula, a teraz, dodatkowo, fartuch żony. Ponieważ tasienki fartucha były zbyt krótkie, by zawiązać je na plecach, Sivving wcisnął je do tylnych kieszeni bojówek.

Co roku w grudniu starzec sumiennie dbał o bożonarodzeniowy wystrój pozostałej części domu. W kuchennym oknie wieszał obowiązkowo gwiazdę z pomarańczowego papieru, a w dużym pokoju – jej odpowiedniczkę ze słomy. Ustawiał w różnych miejscach świąteczne krasnoludki oraz adwentowe świeczniki. Na stołach rozkładał obrusy haftowane przez Maj Lis. Po święcie Trzech Króli, jak zwykle, wkładał wszystko do kartonowych pudeł i wnosił na strych. Obrusów nie musiał prać. Nigdy przecież na nich nie jadł. Na górze domu nic się nie brudziło.

Na dole, w kotłowni, w której teraz mieszkał, wszystko było jak zawsze. Żadnych obrusów. Żadnych krasnoludków koło miednicy.

To mi się podoba, pomyślała Rebeka. Że wszystko jest tak jak dawniej. Te same garnki i talerze na prostej półce z lat pięćdziesiątych. Każdy sprzęt pełni jakąś funkcję. Narzuta chroni pościel przed psimi włosami, kiedy Bella potajemnie wyleguje się na łóżku. Gałgankowy dywanik leży na podłodze nie dla ozdoby, tylko dlatego że podłoga jest zimna. Rebeka uświadomiła sobie, że wcale jej to nie dziwi. Przyzwyczała się do tego, że Sivving mieszka w piwnicy.

– Co za historia z tą Inną Wattrang! – zagadnął. – Nie schodzi z pierwszych stron gazet.

Zanim Rebeka zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu zobaczyła najpierw kierunkowy 08, a później – numer centrali firmy adwokackiej w Sztokholmie.

Måns, pomyślała i w zdenerwowaniu podniosła się gwałtownie z krzesła.

Wykorzystując okazję, Bella też się poderwała i w pół sekundy zajęła miejsce przy piecu.

– Uciekaj stąd, łobuzie! – skarcił ją Sivving i zwrócił się do Rebeki: – Ziemiaki będą gotowe za pięć minut.

– Wracam za minutę! – krzyknęła, wbiegając po schodach na górę. Zanim zamknęła drzwi do piwnicy, usłyszała jeszcze komendę Sivvinga: „Marsz na posłanie!”.

To nie był Måns, tylko Maria Taube.

Maria ciągle jeszcze u niego pracowała. W innym życiu była jej koleżanką z kancelarii.

– Co słysząc? – zapytała Rebeka.

– Masakra! Jedziemy z firmą na narty do Riksgränsen. Przepraszam, co to za pomysł? Nie lepiej byłoby wyskoczyć gdzieś na południe, poleżeć sobie w słońcu, popijając drinki z parasoleczkami? W ogóle nie mam kondycji! To raz. Dwa – ciuchy! Dobrze, że mogę pożyczyć kombinezon od siostry, tylko że wyglądam w nim jak „nowa swojska kielbasa babuni, teraz – jeszcze grubsza!”. No i wiesz, w Wigilię postanowiłam, że po świętach zacznę się odchudzać, pół kilo na tydzień. A ponieważ już miałam to odchudzanie w planach i wiedziałam, że wkrótce będę szczupła i piękna, więc w święta pozwoliłam sobie na dodatkowe kulinarne szaleństwa. Później nagle zrobił się nowy rok, a styczeń minął jak z bicza trząśł, i pomyślałam, że zacznę dietę w lutym, a jeżeli uda mi się zrzucić kilogram tygodniowo...

Rebeka się śmiała.

– No a teraz zostało tylko parę dni. Myślisz, że zdążę schudnąć dziesięć kilo?

– Bokserzy zrzucają zbędne kilogramy w saunie.

– Mhm, dzięki za pomysł. Już widzę te nagłówki: „Zmarła w saunie. Ale zdążyła zadzwonić do księgi rekordów Guinnessa”. A ty co robisz?

– Teraz czy w pracy?

– Teraz i w pracy.

– Teraz będę jadła obiad u sąsiada, a w pracy robię research dla policji na temat Kallis Mining.

– Chodzi o Innę Wattrang?

– Tak.

Rebeka zebrała się w sobie.

– Właśnie, napisał do mnie Måns. Uważa, że powinnam przyjechać do was na drinka do Riksgränsen.

– O! Ja też tak uważam. Przyjedź, proszę!

– Mhm...

I co mam teraz powiedzieć? – pomyślała Rebeka. „Myślisz, że moglibyśmy ze sobą chodzić?”

– Jak on się miewa? – spytała.

– Myślę, że nie najgorzej. W ubiegłym tygodniu mieli rozprawę w związku z tą wielką spółką energetyczną. Dobrze im poszło, więc teraz Måns jest dość ludzki. Bo przedtem... przemykaliśmy koło jego drzwi na palcach.

– A co słyhać u reszty? I tak w ogóle?

– Bo ja wiem? Tutaj nic ciekawego się nie dzieje... Chociaż nie, to nieprawda. W ubiegłą sobotę Sonia zaręczyła się ze swoim agentem handlowym.

W kancelarii adwokackiej Meijer & Ditzinger Sonia Berg była sekretarką o najdłuższym stażu. Rozwiedziona, z dorosłymi dziećmi. Przez cały ubiegły rok wszyscy z przyjemnością obserwowali, jak Sonia przyjmuje zaloty mężczyzny, który posiadał równie elegancki samochód i równie drogi zegarek, jak współwłaściciele firmy. Adorator pracował jako agent handlowy w dziale wyrobów papierniczych. Sonia nieustannie powoływała się na swojego „specjalistę od origami”.

– O! Opowiadaj! – zachęciła Rebeka, zachwycona.

– Cóż. Grand Hôtel. Kolacja w sali francuskiej. A kamień pierścionka... no, wiesz, temblak wliczony w cenę. To co, przyjedziesz do Riksgränsen?

– Może.

Maria Taube miała wycucie sytuacji. Wiedziała, że nie chodzi o nią, tylko o jej przyjaciółkę. Kiedy po wyjściu ze szpitala Rebeka przyjechała do Sztokholmu, żeby sprzedać mieszkanie, spotkały się dwa razy. Maria zaprosiła ją do siebie na obiad.

– Ugotuję coś prostego – powiedziała. – A jeśli to spotkanie okaże się ponad twoje siły, albo... no wiesz... poczujesz, że wolisz zostać w domu i poprzypalać się papierosem, to zadzwoń i powiedz, że nie przyjdiesz. Nie ma sprawy.

Rebeka odpowiedziała wtedy ze śmiechem:

– Oszalałaś? Nie możesz tak sobie ze mnie żartować, przecież wiesz, że jestem lekko psychiczna. Musisz być dla mnie dobra, łagodna i wyjątkowo wyrozumiała.

Zjadły razem obiad. Dzień przed powrotem Rebeki do Kiruny umówiły się w Sturehof.

– Nie przyjdiesz do biura, żeby się pożegnać? – zapytała Maria po paru drinkach.

Rebeka potrząsnęła głową. W towarzystwie przyjaciółki dobrze jej szło. Zawsze tak było. Ale wystawić się na widok publiczny przed całą firmą? To niemożliwe! Poza tym nie chciała, żeby Måns zobaczył ją w takim stanie. Blizna między ustami a nosem ciągle była bardzo wyraźna. Czerwona i błyszcząca. Górna warga – odrobinę podniesiona; można by pomyśleć, że Rebeka włożyła pod nią snus albo że w dzieciństwie cierpiała na jej rozszczep. Może zostanie poddana jeszcze jednej operacji, na razie nie podjęto decyzji. No i wypadło jej strasznie dużo włosów.

– Obiecuj mi, że będziemy w kontakcie – powiedziała Maria, trzymając dłonie przyjaciółki w swoich.

I były w kontakcie. Maria telefonowała co jakiś czas. Rebeka cieszyła się z tych rozmów, ale sama nigdy nie dzwoniła. Marii to nie przeszkadzało. Przecież nie przestanie się odzywać tylko dlatego, że przyjaciółka nie wykazuje inicjatywy.

Rebeka się rozłączyła i zbiegła do piwnicy. Sivving właśnie nakrył do stołu.

Jedli w milczeniu.

Rebeka myślała o Månsie Wenngrenie. O tym, jak brzmi jego śmiech. Jak wąskie ma biodra. Jak niebieskie oczy. Jak bardzo kręcone są jego ciemne włosy.

Gdyby była piękną, która nie jest szalona i doskonale radzi sobie w kontaktach z ludźmi, już dawno zawładnęłaby jego sercem.

Nigdy nie wybrałabym innego, uświadomiła sobie.

Chciała pojechać do Riksgränsen, żeby się z nim spotkać. Ale co miała na siebie włożyć? Szafę wypełniały eleganckie garsonki i kostiumy do pracy. Teraz było jej potrzebne coś zupełnie innego. Dżinsy, oczywiście. Musi kupić nowe. Ale co do dżinsów? Musi też obciąć włosy.

Nie przestawała o tym myśleć, kiedy położyła się do łóżka.

To nie może być przekombinowane. Ale musi być ładne. Chcę, żeby mu się podobało.

ŚRODA, 19 MARCA 2005

ANNA MARIA OBUDZIŁA SIĘ, jak zwykle czując nogi syna na plecach.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć szósta. Wkrótce i tak musiała wstać. Przyciągnęła Gustava do siebie i zanurzyła nos w jego włosach. Maluch odwrócił się do niej. Już nie spał.

– Hej, mamuś – odezwał się.

Po drugiej stronie chłopca Robert chrząknął wymownie i naciągnął koldrę na głowę, daremnie próbując wykraść jeszcze kilka minut snu.

– Hej, kochanie – odpowiedziała Anna Maria, oczarowana.

Jak można być tak słodkim? Poglądziła miękkie dziecięce włoski. Pocałowała synka w czoło i usta.

– Kocham cię. Jesteś najcudowniejszym chłopcem na całym świecie.

Gustav pogłaskał ją czule po głowie i nagle spoważniał. Przesunął lekko paluszkami wokół jej oczu i powiedział z przejęciem:

– Mamusiu, jesteś okropnie popękana!

Spod koldry rozległ się zduszony śmiech; ciało Roberta podskakiwało w górę i w dół.

Anna Maria chciała kopnąć męża, ale to nie było takie proste, ponieważ Gustav leżał między nimi jak mur obronny.

W tej chwili zadzwonił jej telefon.

– Obudziłem cię? – zapytał komisarz Fred Olsson.

– Nie, jeden taki załatwił mi już porządną pobudkę – zaśmiała się Anna Maria, ciągle próbując kopnąć Roberta, podczas gdy Gustav walczył, by dostać się pod koldrę taty.

Robert okręcił się nią szczelnie i trzymał za rogi tak mocno, jak potrafił.

– Powiedziałaś przecież, że złe wiadomości mamy ci przekazywać bezzwłocznie.

– Nie, nie! – zaprzeczyła Anna Maria, wyskakując z łóżka i nie przestając się śmiać. – Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam, a poza tym przed chwilą już dostałam złą wiadomość roku.

– Co wy tam wyprawiacie? Macie imprezę czy co? Posłuchaj: facet w jasnym płaszczu...

– John McNamara.

– John McNamara. Nie istnieje.

– Co to znaczy: nie istnieje?

– Dostałaś faks od brytyjskiej policji. Ten cały John McNamara, który wynajął samochód na lotnisku w Kirunie, zmarł półtora roku temu w Iraku.

– Zaraz będę. Kurwa mać!

Ubrała się w pośpiechu i poklepała żyjącą kołdrę na do widzenia.

BYŁA ZA KWADRANS SIÓDMA, kiedy szef ochrony Mauriego Kallisa, Mikael Wiik, wjeżdżał aleją lipową na teren posiadłości Regla. Podróż z Kungsholmen zajęła mu dokładnie godzinę. Tego ranka musiał wstać o wpół do piątej, aby zdążyć na zebranie przy śniadaniu u pracodawcy. Ale nie narzekał. Wczesne pobudki nie stanowiły dla niego problemu. Poza tym siedział za kierownicą nowiutkiego mercedesa. A sylwestra spędził z dziewczyną na Malediwach.

Dwieście metrów przed pierwszą żelazną bramą minął żonę Mauriego jadącą na czarnym koniu. Zwolnił zawczasu i pomachał jej życzliwie na powitanie. Ebba odpowiedziała podobnym gestem. We wstecznym lusterku Mikael zobaczył, jak zwierzę zrobiło kilka tanecznych kroków, kiedy otworzyły się wrota. Samochód go nie wystraszył.

Cholerne konie, pomyślał, przejeżdżając przez drugą bramę. Nigdy nie wiedzą, gdzie czyha prawdziwe niebezpieczeństwo. Mogą stanąć dęba tylko dlatego, że

na drodze leży patyk, który poprzedniego dnia tam nie leżał.

Mauri Kallis siedział już w jadalni. Obok filiżanki z kawą leżał stosik gazet, dwie szwedzkie, reszta zagraniczna.

Mikael rzucił „dzień dobry” i w drodze do stołu wziął kawę i croissanta. Prawdziwe śniadanie zjadł w domu, przed wyjazdem. Nie należał do tych, którzy wcinają owsiankę na oczach pracodawcy.

Nikt nie zna człowieka tak dobrze, jak jego ochroniarz, pomyślał, siadając. Wiedział, że Mauri dotrzymuje wierności żonie, pomijawszy oczywiście sytuacje, w których partnerzy częstowali go koniakiem z dodatkiem atrakcyjnej hostessy. Albo kiedy częstował Mauri, dogadzając rybie, żeby jak najszybciej złapała się na haczyk. To wchodziło jednak w zakres obowiązków zawodowych i dlatego jakby się nie liczyło.

Kallis nie pił dużo. Mikael podejrzewał, że wcześniej zabawiał się znacznie ostrzej w towarzystwie Inny i Diddiego. Oczywiście zdarzało się, że w ciągu tych dwóch lat, które Mikael u niego przepracował, Mauri pozwalał sobie z Inną na lampkę, dwie, a może nawet coś więcej. Ale w pracy – nigdy. Przed roboczymi obiadami i wizytami w lokalach do obowiązków Mikaela należało opłacenie barmanów i reszty personelu, by dyskretnie podawali Mauriemu bezalkoholowe drinki i sok jabłkowy zamiast whisky.

W czasie podróży służbowych Kallis zatrzymywał się zawsze w hotelach z solidnym zapleczem sportowym; wczesnym rankiem trenował w siłowni. Przedkładał ryby nad czerwone mięso. Czytał biografie i książki popularnonaukowe, unikał powieści.

– Pogrzeb Inny... – zwrócił się do Mikaela. – Poproszę Ebbę, żeby się tym zajęła, mam nadzieję, że porozumiecie się co do szczegółów. Spotkania ze Sneyersem nie możemy odwołać, pojutrze przylatuje z Belgii albo z Indonezji, zjemy z nim jakąś skromną kolację, a spotkanie odbędziemy w sobotę rano. Przyjedzie więcej osób z African Mining Trust, najpóźniej jutro po południu dostaniesz kompletną listę gości. Przyjadą oczywiście ze swoimi ochroniarzami, ale... No, wiesz.

Wiem, pomyślał Mikael Wiik. Panowie, którzy byli w drodze do Regli, to typy

dobrze chronione i paranoiczne. Niektórzy mieli ku temu powody.

Gerhart Sneyers na przykład. Właściciel spółki w branży naftowo-kopalnianej. Przewodniczący African Mining Trust, stowarzyszenia zagranicznych przedsiębiorców w Afryce.

Mikael pamiętał pierwsze spotkanie Sneyersa i Kallisa. Mauri poleciał z Inną do Miami tylko po to, żeby się z nim zobaczyć. Mikael nigdy wcześniej nie widział tak zdenerwowanego szefa.

– Jak wyglądam? – zapytał Innę Mauri. – Chyba zmienię krawat. A może w ogóle powinienem go ściągnąć?

Inna nie pozwoliła mu wrócić do pokoju hotelowego.

– Wyglądasz perfekcyjnie – zapewniła. – I nie zapomnij: to Sneyers poprosił o spotkanie. To on powinien być niespokojny i zastanawiać się, jak cię urobić. A ty możesz tylko...

– ...rozprzeć się w fotelu i słuchać – dokończył Mauri, jak dobrze wyuczoną formułkę.

Spotkali się w foyer hotelu Avalon. Gerhart Sneyers był pięćdziesięcioletnim mężczyzną w wyśmienitej formie. Z odrobiną siwizny w gęstych, rudych włosach. Jego kanciasta twarz była foremna i na swój męski sposób ładna. Błada i cała w piegach. Jak na dzentelmena przystało, przywitał się najpierw z Inną, a później z Maurim. Na ochroniarzy nie zwracano uwagi; ci skinęli sobie lekko głowami – mimo wszystko byli kolegami po fachu.

Sneyersa chroniło dwóch mężczyzn. W garniturach i ciemnych okularach przeciwsłonecznych wyglądali jak mafiosi. Mikael Wiik, ubrany w kurtkę w kolorze mięty i w bejsbolówce na głowie, poczuł się jak chłopak ze wsi. Broniąc się przed tym uczuciem, poświęcił zagranicznym kolegom kilka lekceważących myśli.

Grubas, nazwał w duchu pierwszego z nich. Nie przebiegłby więcej niż sto metrów. A nawet tych stu – w jakimś sensownym czasie.

Gówniarz, podsumował drugiego.

Szli wzdłuż Ocean Drive do łodzi wynajętej przez gospodarza. Wiatr szeleścił w

palmach, było jednak bardzo gorąco. Gówniarz cały czas tracił koncentrację, uśmiechając się wymownie na widok umięśnionych mężczyzn, którzy spalali tłuszcz, biegając po plaży. Z myślą o jednolitej opaleniznie wciskali szorty między pośladki.

Łódź była okazałym fairline squadronem 74. Małeńskie łóże na pokładzie, podwójne silniki caterpillar, maksymalna prędkość trzydzieści trzy węzły.

– *It's what the celebrities want* – powiedział gówniarz łamaną angielszczyzną, spoglądając znacząco na ekskluzywne posłanie.

– Raczej nie po to, żeby się na nim opalać – kontynuował.

Mauri, Inna i Gerhart Sneyers zniknęli pod pokładem. Mikael przeprosił i ruszył za nimi. Zatrzymał się przed otwartymi drzwiami salonu.

Gerhart Sneyers miał właśnie coś powiedzieć, widząc jednak wchodzącego Mikaela, zawiesił głos. Minęła wystarczająco długa chwila, by odesłać szefa ochrony na górę. Ale Mauri nic nie powiedział. Uczynił tylko gest w kierunku gospodarza, prosząc go, by mówił dalej.

Demonstracja siły, pomyślał Wiik. To Mauri decyduje, kto tu ma być, a kto nie. Gerhart jest sam. Mauri ma ze sobą Innę i Mikaela.

A Inna rzuciła Mikaelowi najkrótsze spojrzenie świata. Jesteś jednym z nas. Z naszej drużyny. Drużyny zwycięzców. Szychy pokroju Sneyersa będą u nas zabiegały o spotkania.

– Jak już powiedziałem – gospodarz zwrócił się do Mauriego – mieliśmy pana na oku od dawna. Byłem ciekaw, dokąd pan zmierza z Ugandą. Nie wiedzieliśmy, czy po zakończeniu prospekcji planuje pan sprzedaż. Chciałem się przekonać, czy jest pan ulepiony z odpowiedniej gliny. Wygląda na to, że tak, jak najbardziej. Tchórze nie mają odwagi inwestować w tamtych regionach, sytuacja jest zbyt niepewna. *Glory to the brave*, nieprawdaż? Boże drogi, co za złoza! Jeśli dzieciaki za pomocą deski i szmaty mogą tam wydobywać złoto, to proszę sobie wyobrazić, ile my możemy zdziałać...

Zrobił pauzę, by dać rozmówcy szansę na jakiś komentarz, ale Mauri ciągle milczał.

– Posiada pan duże kopalnie w Afryce – Sneyers podjął przerwany wątek – więc

bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby zechciał pan zostać członkiem naszego małego... klubu poszukiwaczy przygód.

Mówi o African Mining Trust. Stowarzyszeniu zagranicznych właścicieli kopalni w Afryce. Mikael Wiik wie, o kogo chodzi. Słyszał, jak Inna i Mauri o nich rozmawiali. Słyszał też, jak mówili o Gerharcie Sneyersie.

Sneyers znajduje się na sporządzonej przez Human Rights Watch czarnej liście firm handlujących brudnym złotem z Konga.

„Jego kopalnia w zachodniej Ugandzie to głównie pralnia pieniędzy”, powiedział Mauri. „Grupy milicjantów plądrują kopalnie w Kongu, Sneyers kupuje złoto zarówno stamtąd, jak i z Somalii i sprzedaje je jako kruszec z własnych kopalni w Ugandzie”.

– Mamy mnóstwo wspólnych interesów – perorował gospodarz. – Budowa infrastruktury. Działania mające zwiększyć bezpieczeństwo. W ciągu maksymalnie dwudziestu czterech godzin zapewniamy członkom grupy ewakuację z obszarów objętych zamieszkami. Gdziekolwiek by to było. Proszę mi uwierzyć, nawet jeśli pan jeszcze nie miał tego typu problemów, zetknie się pan z nimi prędzej czy później, pan i pański personel.

– Pracujemy też perspektywicznie – dodał, napełniając kieliszki gości.

Inna wypiła drinka, zamieniła niezauważalnie kieliszki i opróżniła również ten należący do Mauriego.

– Postawiliśmy sobie za cel pozyskanie do zarządów naszych spółek wybitnych polityków z Europy, USA i Kanady; w zarządach niektórych spółek macierzystych zasiada kilku byłych premierów. To też środek nacisku. Wpływowe osoby w krajach oferujących pomoc Afryce, rozumie pan. Wszystko po to, żeby czarni nam nie namieszali.

Inna przeprosiła i zapytała o toaletę. Kiedy zniknęła, Sneyers oznajmił:

– Szykują się kłopoty w Ugandzie. Bank Światowy grozi zamrożeniem dotacji, chcąc wymusić demokratyczne wybory. Tylko że Museveni nie jest gotów do oddania władzy. Jeśli zostanie bez finansowej pomocy, to będziemy mieli nowe Zimbabwe. Przyjazne kontakty z Zachodem okażą się zbędne, zagraniczni inwestorzy wylecą z

hukiem. Wtedy wszystko stracimy. A Museveni wszystko zgarnie. Mam więc pewien plan. Choć dość kosztowny.

– Ach, tak? – odezwał się w końcu Mauri.

– Jego kuzyn, Kadaga, ma stopień generała. Są ze sobą skłóceni. Museveni wbił sobie do głowy, że kuzyn nie grzeszy lojalnością. Akurat co do tego ma rację. Pomniejsza więc władzę Kadagi, nie wypłaca żołdu jego wojakom. Więcej, żołnierze nie dostają też żadnego sprzętu. Museveni wspiera innych generałów. Sprawy zaszły tak daleko, że Kadaga unika Kampali. Obawia się, że przebywając w stolicy, naraża się na bezpodstawne oskarżenia i więzienie. A teraz tam na północy ma istne piekło. LRA i inne ugrupowania walczą z oddziałami rządowymi o kontrolę nad kopalniami w Kongu. Wkrótce zostaniemy wymanewrowani z północnej Ugandy i wtedy zaczną się bić o nasze kopalnie. Do sfinansowania wojen potrzebują złota. Jeżeli generał Kadaga nie zapłaci żołnierzom, zrejerują i przyłączą się do tych, którzy mają więcej pieniędzy. Do innych ugrupowań rządowych albo do oddziałów milicji. Jest skłonny negocjować.

– W jakiej sprawie?

– Chodzi o wsparcie finansowe, żeby mógł jak najszybciej odbudować swoje oddziały. I wkroczyć do Kampali.

Mauri spojrział niedowierzająco na Sneyersa.

– Zamach stanu?

– Niekoniecznie, ze względu na międzynarodowe kontakty lepiej pozostać przy legalnym reżimie. Ale gdyby Museveni został... wyeliminowany, wówczas w kolejnych wyborach można by było wystawić nowego kandydata. A ów kandydat potrzebuje militarnego wsparcia.

– A co to za kandydat? Skąd pewność, że sytuacja poprawi się wraz z nadejściem nowego prezydenta?

Gerhart Sneyers uśmiechnął się lekko.

– Nie mogę oczywiście panu zdradzić, kto to jest. Ale nasz człowiek będzie na tyle rozsądny, że ułoży sobie z nami poprawne stosunki. Wiedząc, że zdecydowaliśmy o losie Museveniego, zrozumie, że równie dobrze możemy przesądzić o jego życiu.

General Kadaga udzieli mu wsparcia. A kiedy zniknie Museveni, wówczas pozostali generałowie też się do niego przyłączą, w każdym razie większość z nich. *Museveni is a dead end*. No więc... Jest pan z nami?

Mauri Kallis usiłował przetrwać słowa rozmówcy.

– Pomyślę o tym – odparł.

– Niech pan tylko nie myśli zbyt długo. A w międzyczasie proszę przelać pieniądze na konto, z którego może je pan podjąć bez ryzyka, że zostaną powiązane z pana nazwiskiem. Podam panu adres wyjątkowo dyskretnego banku.

Inna wróciła z toalety. Gerhart Sneyers ponownie napełnił ich kieliszki i wystrzelił ostatnią salwę.

– Proszę spojrzeć na Chiny. Kompletnie się nie przejmują tym, że Bank Światowy nie udziela pożyczek państwom niedemokratycznym. Chiny wchodzą na rynki krajów rozwijających się i wykładają tam miliardy na różne projekty przemysłowe. W ten sposób zdobywają wpływy w gospodarkach, które rozkwitną dopiero jutro. Nie zamierzam przyglądać się temu beczynnienie. Właśnie teraz mamy szansę na sukces w Ugandzie i Kongu.

Pojawienie się w kuchni Ebby Kallis rozproszyło myśli Mikaela Wiika. Kobieta ciągle miała na sobie ubranie do jazdy konnej. Stojąc, wypila duszkiem szklankę soku.

Mauri spojrział znad gazety.

– Ebbo – zwrócił się do żony. – Jutrzejsza kolacja... Wszystko zapięte na ostatni guzik?

Kobieta skinęła głową.

– Chciałbym cię też poprosić, żebyś zajęła się pogrzebem Inny – dodał. – Jej matka, no wiesz... Minie rok, zanim sporządzi perfekcyjną listę gości. Poza tym przypuszczam, że rachunek zostanie wystawiony na moje nazwisko, więc byłbym wdzięczny, gdybyś to ty zadbała o odpowiednie zakupy, a nie ona.

Ebba jeszcze raz skinęła głową. Nie chciała, ale nie miała wyboru.

On doskonale wie, że nie mam ochoty zajmować się pogrzebem, pomyślała. Pogardza mną, ponieważ nie protestuję. Jestem jego najtańszą siłą roboczą. I to mnie przypadnie w udziale pohamowywanie matki Inny, kiedy pojawi się tutaj z życzeniami, których nie będzie można spełnić.

Nie mam ochoty zajmować się żadnym pogrzebem, powtórzyła w duchu. Nie możemy jej tak po prostu... wrzucić do jakiegoś rowu czy gdzieś?

Nie zawsze myślała w ten sposób. Na początku też czuła, że Inna ją uwiodła. Też była nią totalnie zauroczona.

Jest sierpniowa noc. Ebba i Mauri są świeżo po ślubie, właśnie wprowadzili się do Regli. Inna i Diddi jeszcze tam nie mieszkają.

Ebba budzi się z przeświadczeniem, że ktoś jej się intensywnie przygląda. Podnosi powieki i widzi Innę, pochyloną nad łóżkiem. A ta palcem przyłożonym do ust nakazuje milczenie. W jej oczach błyszczą figlarne ogniki.

Cała ocieka wodą; w szyby tłucze deszcz. Mauri mruczy coś przez sen i przewraca się na drugi bok. Kobiety, wpatrzone w siebie, wstrzymują oddech. Kiedy po chwili Mauri znów oddycha spokojnie i rytmicznie, Ebba ostrożnie wychodzi z łóżka i podąża schodami w dół, za Inną.

Siedzą w kuchni. Ebba przynosi ręcznik. Inna wyciera nim włosy, ale nie chce się przebrać w suche rzeczy. Otwierają butelkę wina.

– Jak ci się udało wejść do środka?

– Przez okno waszej sypialni. Jedyne, które akurat było otwarte.

– Jesteś szalona! Przecież mogłaś skrócić kark. A furtka? Strażnik?

Lokalny kowal właśnie zamontował zdalnie sterowane żelazne bramy. Inna nie ma jeszcze pilota w samochodzie. Mur otaczający posiadłość ma za to dwa metry wysokości.

– Zaparkowałam na zewnątrz i wdrapałam się na ogrodzenie. Mauri powinien się chyba zastanowić nad zmianą firmy ochroniarskiej.

Wtem z nieba spada błyskawica. W sekundę później przetacza się potężny grzmot.

– Chodź, pójdziemy się wykąpać w jeziorze! – proponuje Inna.

– A to nie jest niebezpieczne?

Inna uśmiecha się i podciąga ramiona ku uszom.

– Owszem.

Biegną do pomostu, tego nowszego. Stary leży trochę dalej, trzeba się najpierw przedrzeć przez gęsty las. W przyszłości Ebba zamierza tam urządzić kąpielisko. To jeden z jej wielu planów związanych z Regłą.

Ciągle pada ulewny deszcz. Przemoczona koszula nocna Ebby klei się do ud. Na pomoście kobiety rozbierają się do naga. Ebba jest filigranowa i niemal zupełnie płaska. Inna swoimi krągłymi kształtami przywołuje na myśl gwiazdę filmową z lat pięćdziesiątych. Jej białe zęby przebłyskują w ciemności i strugach deszczu. Gdzieś w górze kolejna błyskawica rozdziera niebo. Inna wskakuje do wody. Ebba trzęsie się z zimna, stoi – ciągle niezdecydowana – na skraju pomostu. Sieczone deszczem jezioro wygląda, jakby się gotowało.

– Wskakuj! W wodzie jest ciepło – woła Inna, przebierając nogami.

Kiedy Ebba w końcu zbiera się na odwagę, momentalnie przestaje marznąć. Woda jest nienaturalnie ciepła.

To magiczne uczucie. Kobiety pływają w kółko jak dzieci. Trochę tu, trochę tam. Nurkują, po chwili się wynurzają, parszcząc radośnie. Deszcz tłucze w ich głowy, nocne powietrze owiewa chłodem, ale w jeziorze jest ciepło i przyjemnie jak w wannie. Burza przetacza się nad nimi. Czasami Ebba nie zdąży policzyć do dwóch między błyskiem a grzmotem.

Może umrę, przechodzi jej przez głowę.

Ale akurat teraz zupełnie jej to nie przeszkadza.

Ebba wzięła filiżankę kawy i dużą porcję sałatki owocowej. Mauri i Mikael rozmawiali o działaniach mających zapewnić bezpieczeństwo uczestnikom piątkowej kolacji.

Oczekiwali gości z zagranicy. Ebba przestała słuchać i powróciła do wspomnień o Innie.

Na początku żyły w przyjaźni. Inna sprawiała, że Ebba czuła się wyjątkowa.

Nic tak nie łączy kobiet, jak wymiana doświadczeń na temat szalonych rodziców. Ich matki nie widziały świata poza rodziną i zbierały rupiecie. Inna opowiadała o szafkach kuchennych mamy. Wypełnionych po brzegi starą chińską porcelaną, naprawianą za pomocą kleju i metalowych klamer. Nie wolno było wyrzucić żadnej, nawet najmniejszej skorupy. Ebba zrewanżowała się opowieścią o bibliotece w Vikstaholmie. Pomieszczenie było tak zagracone, że prawie nie dało się do niego wejść. Na licznych stalowych regałach leżały bez ładu i składu setki starych książek i rękopisów, którymi nikt się nie zajmował. Ta niedbałość ciążyła każdemu na sumieniu; nikt nie używał rękawiczek, wszyscy widzieli, jak osy wcinają celulozę, jak zbiory z roku na rok niszczyć coraz bardziej.

– Za nic nie chcę jej staroci! – śmiała się Ebba.

Inna pomogła jej odeprzeć ataki matki, która próbowała pozbyć się części spuścizny po przodkach w zamian za odpowiednią kompensatę; zięć miał przecież pieniądze.

Była dla mnie siostrą i najlepszą przyjaciółką, myślała Ebba.

Później sporo się zmieniło. Gdy urodziło im się pierwsze dziecko. Mauri podróżował więcej niż zwykle, a kiedy był w domu, bez przerwy rozmawiał przez telefon. Albo siedział zatopiony w myślach.

Nie potrafiła tego pojąć. Że ojciec nie dba o własnego syna.

– Ten czas już nigdy nie wróci – mówiła. – Nie rozumiesz tego?

Pamiętała swoją frustrację i próby rozmów. Czasami w złości wyrzucała z siebie mnóstwo oskarżeń. Czasami wykazywała się spokojem i talentem pedagogicznym. Mauri nie zmienił się ani na jotę.

Domy Inny i Diddiego zostały wyremontowane; rodzeństwo wprowadziło się do Regli.

Inna przestała się interesować Ebbą w tym samym czasie, co Mauri.

Przyjęcie na stojąco w ambasadzie amerykańskiej. Inna rozmawia na tarasie z grupką mężczyzn w średnim wieku. Ma na sobie sukienkę z głębokim dekoltem. Ebba dostrzega, że przyjaciółce podarła się czarna pończocha, podchodzi więc do towarzystwa, śmieje się z opowiedzianego właśnie dowcipu i szepcze Innie do ucha:

– W lewej pończosze puściło ci potężne oczko. Mam zapasową parę w torebce, chodź ze mną do toalety, to sobie zmienisz.

Inna obrzuca ją szybkim spojrzeniem. Niecierpliwym i zakłopotanym.

– Nie bądź taka zakompleksiona – odpowiada poirytowanym głosem.

Po chwili kieruje uwagę na towarzyszących jej mężczyzn i prawie niezauważalnie przesuwa ramię do przodu. Nagle Ebba znajduje się za jej plecami.

Wykluczona z rozmowy, oddała się w poszukiwaniu Mauriego. Ogarnia ją tęsknota za synkiem. Nie powinna była iść na to przyjęcie.

Nie może pozbyć się dziwnego uczucia, że Inna świadomie wyrwała sobie dziurę w pończosze. To potężne oczko sprawia, że kobiety z przerażenia wstrzymują oddech. Mężczyźni zaś zupełnie się tym nie przejmują. A Inna, jak zwykle, zachowuje się naturalnie, z niewymuszonym wdziękiem.

To musi być jakiś sygnał, myśli Ebba. Oczko w pończosze. Z pewnością jakiś sygnał.

Nie rozumie tylko jaki. Dla kogo.

Ebba wstała, żeby dolać sobie kawy. W tym momencie dał się słyszeć dźwięk kołatki, a po chwili „halo!” Ulriki, która właśnie weszła do holu.

Sekundę później żona Diddiego pojawiła się w drzwiach jadalni. Na biodrze trzymała niemowlę. Włosy miała upięte w niedbałą kitkę, jakby chciała ukryć ich nieświeżość. Zaczerwienione oczy.

– Czy wiecie, co się dzieje z Diddim? – spytała łamiącym się głosem. – W

poniedziałek nie wrócił z Kiruny. Od tego waszego wyjazdu nie ma go w domu. Próbowałam kontaktować się z nim przez komórkę, ale...

Pokręciła głową.

– Może powinnam zadzwonić na policję?

– Absolutnie nie – rzucił Mauri, nie podnosząc wzroku znad gazety. – Tego typu zainteresowanie to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję. W piątek przyjeżdżają tu reprezentanci African Mining Trust...

– Czyś ty oszalała? – krzyknęła Ulrika.

Niemowlę wybuchło płaczem, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać.

– Od paru dni Diddi nie daje znaku życia, rozumiesz? Innę ktoś zamordował. Wiem, że coś mu się stało. Czuję to. A ty myślisz tylko o swoich kolacjach reprezentacyjnych!

– To właśnie dzięki tym kolacjom reprezentacyjnym masz chleb na stole oraz pieniądze na opłacenie domu, w którym mieszkasz, i samochodu, którym jeździsz. Wiem, że Inna nie żyje. Tylko czy naprawdę stanę się lepszym człowiekiem, jeśli teraz wypuszczę wszystko z rąk i doprowadzę nas do zguby? Robię wszystko, aby utrzymać przy życiu i siebie, i firmę. W odróżnieniu od Diddiego! Czyż nie?

Mikael Wiik utkwiał wzrok w szklance z sokiem, udając, że go nie ma. Ebba Kallis ponownie podniosła się z krzesła.

– Dobrze już, dobrze – odezwała się łagodnie.

Podeszła do Ulriki i odebrała jej płaczące niemowlę.

– Niedługo wróci do domu, zobaczysz. Może potrzebował odrobiny spokoju. Przecież to był dla niego szok. Tak jak dla nas wszystkich.

Ostatnie słowa wypowiedziała, patrząc na Mauriego, który nie odrywał wzroku od gazety, choć z pewnością jej nie czytał.

Gdybym miała wybierać między końmi a ludźmi, pomyślała Ebba, nie zastanawiałabym się ani sekundy.

ANNA MARIA MELLA rozglądała się po gabinecie za czymś do siedzenia.

– Zrzuć je na podłogę – powiedziała Rebeka i skinęła głową w stronę akt leżących na krześle dla petentów.

– Nie mam siły – odparła komisarz zrezygnowana i usiadła na teczkach. – On nie istnieje!

– Święty Mikołaj?

Anna Maria nie mogła się nie uśmiechnąć, mimo doznanego rozczarowania.

– Mężczyzna, który wynajął samochód. Który miał na sobie jasny płaszcz, podobny do tego znalezionego pod wodą, niedaleko miejsca, gdzie leżały zwłoki. John McNamara. Nie istnieje.

– W jaki sposób nie istnieje? Jest zupełnie wymyślony czy nie żyje?

– Nie żyje od półtora roku. Facet, który wynajął samochód, skorzystał z jego tożsamości.

Anna Maria pocierała twarz dłonią, w górę i w dół. Rebeka przyglądała się jej, zafascynowana gestem, który – choć charakterystyczny dla komisarz Melli – raczej rzadko widuje się u kobiet.

– W takim razie możemy chyba wykluczyć swawole erotyczne w towarzystwie znajomego. Mężczyzna przyjechał tutaj, żeby ją zabić. No nie? W przeciwnym wypadku dlaczego miałyby korzystać z fałszywych dokumentów?

– A więc nie nazywał się John McNamara – powiedziała Rebeka. – Ale był obcokrajowcem?

– Według chłopaka z Avisu mówił brytyjskim angielskim. To musiał być on. Miał na sobie jasny płaszcz, podobny do tego, który nurkowie znaleźli w wodzie pod arką.

– Dostaliście odpowiedź z SKL-u?

Anna Maria potrząsnęła głową.

– Ale to musi być jej krew. Te plamy na płaszczu nie mogły się tam znaleźć przypadkowo. Kto tutaj nosi taki płaszcz zimą? Nikt.

Anna Maria patrzyła intensywnie na Rebeke.

– To był dobry pomysł, żeby nurkowie zbadali dno jeziora pod arką – przyznała.
– Myślałam przede wszystkim o telefonie komórkowym – odparła Rebeka, wzruszając bezpretensjonalnie ramionami. – A jego akurat tam nie było.

Anna Maria splótła ręce na karku, usadowiła się wygodnie w fotelu i przymknęła powieki.

– Nie zabił jej od razu – powiedziała niemal marzycielskim tonem. – Najpierw ją torturował. Przywiązał do krzesła i przepuścił przez nią prąd.

Zgryzła język na miazgę, pomyślała Rebeka.

Anna Maria otworzyła oczy i pochyliła się do przodu.

– Musimy się zdecydować na trop, którym pójdziemy. Nie mamy wystarczająco dużo środków, żeby sprawdzić wszystko.

– Myślisz, że to był profesjonalista?

– Cóż mam powiedzieć...

– Dlaczego człowiek torturuje człowieka? – zastanawiała się głośno Rebeka.

– Żeby mu zadać ból, ponieważ go nienawidzi – odparła Anna Maria.

– Żeby wydobyć od niego informacje.

– Żeby... kogoś ostrzec.

– Mauriego Kallisa?

– Dlaczego nie? – powiedziała Anna Maria. – Zwykły szantaż. Skończ z tym czy tym, bo w przeciwnym razie to samo przydarzy się tobie i twojej rodzinie.

– Uprowadzenie? – zaproponowała Rebeka – Nie zapłacili okupu?

Komisarz Mella skinęła głową.

– Muszę jeszcze raz porozmawiać z jej bratem i z Kallisem. Chociaż... Jeżeli to ma związek z firmą, to na pewno nie puszczą pary z ust.

Zamilkła i uśmiechając się, pokręciła głową.

– O co ci chodzi? – spytała Rebeka.

– Tacy ludzie... Wiesz, w tym zawodzie spotyka się szarych obywateli, którzy nie

mają dobrych skojarzeń z policją. Każdy przecież choć raz jechał za szybko, więc czuje wobec nas coś w rodzaju szacunku przemieszanego ze strachem.

– No tak.

– No. Albo te wszystkie łotrzyki. Nienawidzą glin, a mimo to gdzieś tam tli się odrobina respektu. Ale ludzie pokroju Wattranga i Kallisa... Odnoszę wrażenie, że traktują nas jak niewykształconych nieudaczników, którzy mają dbać o czystość ulic, a nie wtrącać się w ich sprawy.

Policjantka spojrzała na zegarek w telefonie.

– Zjesz ze mną lunch? Mam ochotę na coś z woka, tam gdzie dawniej było Tempo.

W drodze do wyjścia Anna Maria zapukała do drzwi Svena Erika Stålnackego.

– Pójdiesz z nami na lunch?

– Dlaczego nie? – odpowiedział Sven Erik, próbując ukryć radość.

Kurza dupa, pomyślała Anna Maria. Jak bardzo samotny jest ten człowiek? Odkąd zginął mu kot, wygląda jak zwiędła roślina.

Jadąc do pracy, przez pomyłkę zaczęła słuchać w radiu porannej modlitwy. Ktoś mówił, jak ważne jest to, by czasami zatrzymać się w biegu, jak ważna jest cisza.

Mnóstwo ludzi musi odczuwać takie nabożne refleksje jako policzek, pomyślała Anna Maria. Przecież kiedy Sven Erik ma wolne, to wokół niego z pewnością panuje cholerna cisza.

Postanowiła, że gdy uporają się z tym dochodzeniem, zorganizuje jakąś rozrywkę dla całej grupy. W budżecie nie przewidywano oczywiście wielkich pieniędzy na takie cele, ale powinno starczyć na kręgielnię i pizzę.

Zaraz potem pomyślała, że Sven Erik przecież sam może coś zaproponować.

Szli wzdłuż Hjalmar Lundbohmsvägen, skręcili w Geologgatan i weszli w końcu do budynku byłego domu towarowego Tempo. Nikt nie miał nic do powiedzenia.

Rebeka też jest typem samotnika, nie przestawała rozmyślać Anna Maria. O, nie, zdecydowanie wolę cholerne dzieciaki, które zostawiają na podłodze stosy ubrań, i

faceta, który chyba ma wbudowany jakiś błąd systemowy. Przecież on nic nie potrafi zrobić do końca. Jeśli ugotuje obiad, to nie posprząta ze stołu. A jak już posprząta, to nigdy tego stołu nie wytrze, zresztą tak samo jak zlewu.

Ale nigdy nie chciałabym zamienić się z nią życiem, doszła do wniosku i – powiesiwszy kurtkę na oparciu krzesła – ruszyła z innymi do kasy, by zapłacić za lunch dnia. Mimo że ma superpłaski brzuch i w zasadzie bezgranicznie poświęca się robocie. Chociaż akurat tych sił do pracy czasami można jej pozazdrościć...

Kiedy Rebeka została zatrudniona w prokuraturze, pojawiły się plotki. Że uwija się ze starymi sprawami na poczekaniu, że sama przygotowuje akta do przesłania sądowni, że sama pisze pozwы, więc sekretarki z Gällivare nie musiały przyjeżdżać do Kiruny.

Koledzy, wzywani niekiedy na rozprawy jako świadkowie, widywali ją od czasu do czasu w sądzie. Bystra i znakomicie przygotowana, mówili, nie kryjąc radości. W sali rozpraw stali bowiem po tej samej stronie. Cholerni adwokaci dostawali porządny wycisk.

Niech no tylko dzieciaki wyprowadzą się z domu, odgrażała się w duchu Anna Maria, nakładając na talerz ryż, kurczaka i warzywa z woka. Wtedy zasypię biurko Rebeki raportami o zakończonych postępowaniach.

Z poczuciem winy pomyślała o zaległych sprawach, na które nie miała czasu z powodu tego morderstwa.

W końcu jednak wzięła się w garść i skierowała uwagę na swoich towarzyszy.

Właśnie wymieniali się anegdotami o kotach. Sven Erik zakończył jakąś historię o Mannem, teraz nadeszła kolej Rebeki.

– Boże, jakie one mają niepowtarzalne osobowości – powiedziała, polewając ryż sosem sojowym. – U babci każdy nazywał się Kiciuś, ale pamiętam je wszystkie dokładnie. Był taki czas, że mieliśmy w domu trzy psy. Dwa babci i jeden taty. I akurat wtedy też sprawiliśmy sobie nowego kociaka. Zawsze kiedy pojawiały się u nas małe kocięta, dostawały jedzenie na blacie kuchennym, bo na początku bały się psów i nie miały odwagi jeść na podłodze. Ale nie ten maluch! Najpierw opróżnił swoją miseczkę, a później zeskoczył na dół i zabrał się do misek psów.

Sven Erik zaśmiał się serdecznie, nie przestając jeść najostrożniejszej potrawy, jaką znalazł w bufecie.

– Szkoda, że tego nie widziałeś! – mówiła dalej Rebeka. – Gdyby mały był psem, z pewnością doszłoby do bójk, ale nie był, i nasze psiaki nie miały pojęcia, co począć. Patrzyły na nas i jakby pytały: „Cóż on wyprawia? Nie możecie go stąd zabrać?”. Na drugi dzień zaatakował przewodnika. Rzucił się na Jussiego i gardząc śmiercią, zawisł u jego szyi. Nasz Jussi był grzeczny i dobrze wychowany. Przejęcie się takim komarem uczepionym sierści urągałoby jego godności. Siedział więc spokojnie z dyndającym kotem. Maluch walczył z całych sił, wymachiwał tylnymi łapkami, a Jussi, strasznie nieszczęśliwy, próbował zachować godność.

– „Cóż on wyprawia? Nie możecie go stąd zabrać?” – powtórzył Sven Erik.

Rebeka zaczęła się śmiać.

– Właśnie tak! Później kociak miał rewolucje żołądkowe od tej psiej karmy, którą zjadł tylko po to, żeby zrobić psom na złość. A że był malutki, nie zdążył na czas do kuwety i cały się pobrudził. Tato umył go pod kranem, ale widocznie niedokładnie, bo mały cuchnął jak cap. Potem położył się na największym posłaniu i żaden pies nie miał odwagi zaprotestować, żaden też nie chciał leżeć koło śmierdzenia. W sieni mieliśmy dwa legowiska dla psów. Na tym większym leżał kociak; pochrapywał i miał się dobrze. Na mniejszym cisnęły się trzy ogromne zwierzaki i za każdym razem, kiedy przechodziliśmy, wodziły za nami nieszczęśliwym wzrokiem. Ten kot rządził nimi do śmierci.

– A jak umarł?

– Nie wiem, kiedyś po prostu zniknął.

– To jest najgorsze – powiedział Sven Erik, nasączając kawałek chleba ostrym sosem z talerza. – O, a oto nadchodzi człowiek, który kompletnie nie zna się na kotach.

Anna Maria i Rebeka podążyły za jego spojrzeniem i zobaczyły komisarza Rantakyrö, zbliżającego się do stolika. Kiedy półtora roku temu zaginął kot Svena Erika, Tommy Rantakyrö w dość nietaktowny sposób zażartował sobie z kolegi

pogrążonego w smutku i od tamtej pory żył w błogiej nieświadomości. Jego winy bowiem ciągle nie zostały mu darowane.

– Wiedziałem, że was tutaj znajdę – powiedział, wręczając Annie Marii kilka papierów. – To są połączenia telefoniczne przychodzące i wychodzące z komórki Inny Wattrang. Ale – dodał i pokazał jeszcze jeden wydruk – to był telefon służbowy. Miała też prywatny abonament.

– Dlaczego? – zapytała Anna Maria, przyjmując dokument.

Tommy Rantakyrö wzruszył ramionami.

– A ja wiem? Może nie wolno jej było używać komórki do prywatnych rozmów.

Rebeka się roześmiała.

– Przepraszam. Zapomniałam, że jesteście na państwowej posiadzie. Zresztą ja teraz też, nic w tym złego. Ale wiecie, ile zarabiała miesięcznie? Prawie dziewięćdziesiąt tysięcy, nie licząc bonusów. Tego typu praca wymaga totalnego podporządkowania i dyspozycyjności. Telefon służbowy do użytku prywatnego to chyba najskromniejsze świadczenie pozapłacowe.

– No, więc dlaczego? – dociekał zraniony Tommy.

– Komórka należąca do firmy może być przez tę firmę sprawdzana – myślała głośno Anna Maria. – Inna Wattrang widocznie chciała mieć naprawdę prywatny telefon. A ja chcę mieć nazwiska, adresy i numery buta wszystkich, z którymi przez ten telefon rozmawiała – dodała, potrząsając billingiem.

Tommy przyłożył dwa palce do prawej skroni na znak, że wykona rozkaz szefowej.

Anna Maria jeszcze raz przejrzała wydruk połączeń.

– Żadnych rozmów na kilka dni przed śmiercią. Szkoda.

– Jaką miała sieć? – zapytała Rebeka.

– Comviq – odpowiedziała Anna Maria. – A to znaczy, że prawie w ogóle nie miała tu zasięgu.

– Abisko to maleńka miejscowość. Jeżeli Inna stamtąd dzwoniła, to na pewno z automatu w stacji turystycznej. Może dobrze byłoby porównać połączenia

wychodzące z automatu z billingami komórek.

Tommy wyglądał na zrezygnowanego.

– To może być kilkaset rozmów! – uzalał się.

– Nie sądzę – odparła Rebeka. – Jeżeli Inna przyjechała w czwartek i została zamordowana między czwartkowym popołudniem a sobotnim rankiem, to w grę wchodzi niecałe dwie doby i najprawdopodobniej nie więcej niż dwadzieścia rozmów z hakiem. Turyści wolą jeździć na nartach i chętniej siedzą w pubie niż w budce telefonicznej, tak myślę.

– Sprawdź to, Tommy – poprosiła Anna Maria.

– Uwaga – ostrzegł Sven Erik z ustami pełnymi jedzenia.

Per Erik Seppälä z lokalnej telewizji Norrbotten zbliżał się do ich stolika. Anna Maria zakryła wydruki.

Dziennikarz przywitał się ze wszystkimi, dodatkową sekundę uwagi poświęcając Rebecę. A więc tak wygląda w rzeczywistości. Wiedział, że wróciła do Kiruny i zaczęła pracować w prokuraturze, nigdy jednak jej nie spotkał. Zapatrzył się w czerwoną bliznę, która – przecinając łuk Amora – łączyła górną wargę z nosem. Półtora roku wcześniej Rebeka miała strasznie pokiereszowaną twarz. Per Erik zrobił wtedy reportaż, w którym zrekonstruował przebieg wydarzeń. Program pokazano w głównym wydaniu *Aktuellt*.

W końcu oderwał wzrok od Rebeki i zwrócił się do komisarz Melli.

– Masz minutę?

– Słuchaj, tak się nie da – odparła Anna Maria z ubolewaniem. – Jak tylko będziemy mieć coś interesującego dla ogółu, zwołamy konferencję prasową.

– Nie, nie. To znaczy tak, to ma związek z Inną Wattrang. Jest pewna rzecz, o której powinnaś wiedzieć.

Anna Maria skinęła głową na znak, że zamienia się w słuch.

– Nie tutaj, bądź tak uprzejma...

– No, to ja już jestem najedzona – oznajmiła kolegom, wstając od stołu.

W każdym razie zdążyła zjeść połowę porcji.

– Nie wiem, czy to... czy to w ogóle coś znaczy – zaczął Per Erik Seppälä. – Ale muszę ci o tym powiedzieć. Bo jeśli to coś znaczy... Właśnie dlatego chcę z tobą porozmawiać na osobności. Nie mam ochoty na przedwczesną śmierć.

Przeszli obok dawnej straży pożarnej przy Gruvvägen. Anna Maria milczała.

– Mówi ci coś nazwisko Örjan Bylund? – zapytał.

– Mhm.

Örjan Bylund pracował jako dziennikarz w „Norrländska Socialdemokraten”. Dwa dni przed Wigilią, która zresztą miała być dniem jego sześćdziesiątych drugich urodzin, niespodziewanie zmarł.

– Atak serca, prawda? – przypomniała sobie Anna Maria.

– Oficjalnie tak. Ale w rzeczywistości popełnił samobójstwo. Powiesił się w swoim gabinecie.

– O! – wykrzyknęła Anna Maria.

Zdziwiła się, że nic o tym nie słyszała. Policjanci wiedzą przecież o takich rzeczach.

– W każdym razie taka jest prawda. W listopadzie Örjan wspomniał mi, że pracuje nad sporą sprawą związaną z Kallis Mining. Firma ma tutaj parę koncesji. W okolicach Vittangi i na torfowiskach pod Svappavaarą.

– Wiesz dokładniej, co to miało być?

– Nie, ale pomyślałem, że... Nie wiem... Pomyślałem, że muszę ci o tym powiedzieć. Bo może to nie przypadek. Najpierw on, a później Inna Watrang.

– Fakt, to dziwne, że nie wiedziałam o jego samobójstwie. Kiedy ludzie odbierają sobie życie, zawsze wzywa się policję.

– Wiem. Więc to, co ci teraz zdradzę, zupełnie zniszczy jego żonę. To ona go znalazła. Odcięła sznur i zadzwoniła po lekarza. Wiesz, jak to jest. Örjan był powszechnie znany, o celebrytach zawsze się więcej mówi. No, więc zadzwoniła do znajomego lekarza, a ten wystawił świadectwo zgonu i nie zawiadomił policji.

– Do kurwy nędzy! – wykrzyknęła Anna Maria. – To znaczy, że nie zrobiono sekcji zwłok!

– Nie wiedziałem, czy powinienem... Ale musiałem ci o tym powiedzieć. Bo może to wcale nie było samobójstwo? Skoro zaczął grzebać w sprawach Kallis Mining...? Ale naprawdę nie chciałbym, żeby to w jakiś sposób zaszkodziło Airi.

– Airi?

– To jego żona.

– Nie zaszkodzi – obiecała Anna Maria. – Ale muszę z nią porozmawiać.

Potrząsnęła głową. Tylko jak mają z tym wszystkim zdążyć? Złożyć w jakąś sensowną całość i ogarnąć? Poczula, że ta sprawa zaczyna ją przerastać.

– Jeżeli dowiesz się czegoś więcej... – zaczęła.

– Jasne, oczywiście! Widziałem kiedyś Innę Watrang na konferencji prasowej w mieście, zanim jeszcze wprowadzili na giełdę jedną ze swoich tutejszych spółek. To była kobieta obdarzona zniewalającą charyzmą. Mam nadzieję, że złapiecie mordercę. I... proszę, bądź ostrożna z Airi!

Rebeka weszła do gabinetu. Czula się świetnie. Dobrze jej zrobił lunch w towarzystwie kolegów. Zazwyczaj jadła samotnie.

Włączyła komputer. Jej serce potknęło się w piersi.

E-mail od Månsa!

„No to chyba przyjedziesz?”, napisał. Tylko tyle.

Najpierw poczuła, że rozsadza ją radość. Po chwili pomyślała, że jeżeli faktycznie mu na niej zależy, to powinien napisać trochę więcej. A jeszcze później doszła do wniosku, że gdyby mu nie zależało, to nie napisałby do niej wcale.

– **NIE BYŁ SZCZEGÓLNI**e radosnym człowiekiem. To przecież wiem. Zażywał takie, no, antydepresyjne... Czasami też uspokajające. Ale mimo wszystko... Nie przepuszczałam... Napiją się państwo kawy gotowanej czy z ekspresu? Dla mnie nie

ma różnicy.

Wdowa po Örjanie Bylundzie odwróciła się plecami do policjantów i włożyła zamrożone ciasto do kuchenki mikrofalowej.

Sven Erik czuł się nieswojo; nie podobało mu się rozdrapywanie dopiero co zaleczonych ran.

– Czy to pani przekonała lekarza, żeby nie wzywał policji? – zapytała Anna Maria.

Airi Bylund skinęła głową, ciągle odwrócona do nich plecami.

– Przecież pani wie, jak ludzie by gadali. Proszę nie winić za to doktora Ernandera. Jeżeli ktoś ponosi odpowiedzialność, to tylko i wyłącznie ja.

– To nie takie proste – odparła Anna Maria. – Poza tym nie chodzi nam o wskazanie winnego.

Sven Erik dostrzegł, jak kobieta pospiesznie wyciera łzy, których nie chciała im pokazać. Nagle zapragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Z zawstydzeniem odkrył też, że jego ręka chciałaby złapać wdowę za kształtną pupę. Odpędził kosmate myśli; rany boskie, przecież ta nieszczęsna kobieta oplakuje męża, który niedawno się powiesił.

W każdym razie ma przytulną kuchnię, pomyślał. Na podłodze imitującej płytki z terakoty leżało kilka galgankowych dywaników, utkanych przez panią domu. Przy ścianie stała rozkładana sofa. Trochę za szeroka i za miękka do siedzenia, choć z pewnością idealna do poobiedniej drzemki, tym bardziej że wyposażona w wygodne poduszki, a nie takie twarde, małe, służące wyłącznie do ozdoby.

Wszędzie odrobinę za dużo bibelotów, stwierdził, ale tak to już jest z kobietami, nigdzie nie zostawiają wolnego miejsca. Airi Bylund przynajmniej nie kolekcjonowała dziwnych rzeczy – krasnoludków, hipopotamów ani szklanych buteleczek. Kiedyś rozmawiał ze świadkiem, którego dom był zawałony pudełkami od zapalek ze wszystkich zakątków świata.

W oknach wdowy tłoczyły się rośliny w doniczkach – stojących i wiszących. Sporo miejsca na blacie zajmowały kuchenka mikrofalowa oraz bambusowa suszarka do ziół i grzybów. Na haczyku wisiały małe uchwyty do gorących naczyń, zrobione

na szydełku zapewne przez któreś z wnucząt. Najbliżej kafelków stał rząd porcelanowych pojemników z pokrywkami i ozdobnymi napisami: „mąka”, „cukier”, „suszone owoce” i tak dalej. Jedno z naczyń nie miało pokrywki i służyło za stojak na ubijaczki i drewniane łyżki.

Te stare pojemniki musiały być w jakiś sposób ważne. Hjördis także miała fioła na ich punkcie; zabrała je ze sobą, kiedy od niego odeszła. U jego siostry w kuchni też takie stały.

– Miał swój pokój? – zapytała Anna Maria. – Możemy się trochę rozejrzeć?

Nawet jeżeli kuchnia Airi Bylund była przeładowana, to przynajmniej panował w niej nienaganny porządek. Podłogę w gabinecie jej zmarłego męża zaścieniały chwiejne stosy książek i artykułów powyrywanych z gazet. Na rozkładanym stoliku leżało tysiąc elementów układanki, posegregowanych według kolorów. Ścianę zdobiło kilka puzzli, naklejonych na piłśniowe płyty. Góra ubrań i koc zwinięty były jak na starej kanapie.

– Nie zdążyłam... Albo raczej nie miałam siły... – odezwała się Airi, zataczając ręką łuk po zabałaganionym pokoju.

I całe szczęście, pomyślała Anna Maria.

– Przysłemy tutaj kogoś po papiery, artykuły i tak dalej. Oczywiście później je pani zwrócimy. Mąż nie miał komputera?

– Miał, naturalnie, ale dałam go wnukowi.

Popatrzyła na nich z miną winowajcy.

– Pracodawca nie wspomniał nic o zwrocie sprzętu, więc...

– A obdarzony wnuk...

– Axel. Ma trzynaście lat.

Anna Maria wyłuskała komórkę z kieszeni.

– Jaki ma numer telefonu?

Axel był w domu. Powiedział, że komputer działa i że stoi w jego pokoju.

– Wyczyściłeś twardego dyska? – zapytała Anna Maria.

– Nie, był już skasowany. Ale on ma tylko dwadzieścia gigabajtów, a ja planuję

ściągnąć parę rzeczy z Pirate Bay. Więc jeśli musicie zabrać komputer dziadka, to chciałbym w zamian dostać nowy, z procesorem 2,1 gigaherców.

Anna Maria nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Co za negocjator!

– Nie ma mowy – powiedziała. – Ale ponieważ jestem miła, oddamy ci go, gdy tylko uporamy się z przeglądem.

Zakończywszy rozmowę z Axelem, zwróciła się do Airi.

– Wyczyściła pani twardego dyska męża?

– Nie. Nie potrafię nawet zaprogramować magnetowidu.

Kobieta utkwiała wzrok w policjantce.

– Niech się pani nauczy takich rzeczy. Nagle człowiek zostaje sam...

– Był tu ktoś z gazety i majstrował przy komputerze?

– Nie.

Anna Maria wystukała numer do Freda Olssona. Odpowiedział po pierwszym sygnale.

– Jeżeli ktoś skasował całą zawartość twardego dysku... Prawda, że nawet wtedy można odtworzyć dokumenty i ciasteczka?

– Jasne, że można. Pod warunkiem że nie potraktowano go EMP...

– Czym?

– Silnym impulsem elektromagnetycznym; zajmują się tym specjalne firmy. Przywieź go tutaj, mam trochę programów do odtwarzania twardego dysku.

– Przyjadę – przerwała mu Anna Maria. – Ale nie wychodź z pracy, bo to może trochę potrwać.

Airi Bylund wyglądała na zamyśloną. Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

– Chciała pani coś powiedzieć? – zaciekała się Anna Maria.

– Nie, to chyba nic takiego, ale... Kiedy go znalazłam... To było tutaj, w gabinecie, dlatego lampa leży na łóżku...

Policjanci spojrzeli na hak pod sufitem.

– Drzwi do gabinetu były zamknięte – mówiła dalej Airi Bylund. – Ale kotka siedziała w środku.

– Tak?

– Nie wolno jej tu było wchodzić. Dziesięć lat temu mieszkał u nas inny kot i miał brzydki zwyczaj sikania na papiery męża. Sikał też do jego futrzanych pantofli. Od tamtej pory koty miały tu wstęp wzbroniony.

– Niewykluczone, że mąż nie przejmował się już takimi rzeczami, kiedy...

Sven Erik nie dokończył zdania.

– Ja też tak myślałam – rzekła wdowa.

– Myśli pani, że został zamordowany? – spytała wprost Anna Maria.

Airi Bylund odpowiedziała po chwili milczenia.

– Chyba mam taką nadzieję. Czy to nie dziwne? Ale tak trudno to wszystko zrozumieć...

Nagle podniosła rękę i zasłoniła usta.

– Choć Örrjan nie był radosnym człowiekiem. Nigdy nie był.

– A więc ma pani kota? – zmienił temat Sven Erik, zażenowany brutalnym stylem koleżanki.

– Oczywiście! – odparła Airi i jej twarz rozjaśnił lekki uśmiech. – Jest w sypialni. Proszę pójść za mną, zobaczy pan coś pięknego.

Mażeńskie łóżko było przykryte narzutą zrobioną na szydełku, a na narzucie spała kocia mama z czwórką kociąt, leżących jedno na drugim.

Sven Erik padł na kolana jak przed ołtarzem.

Kocia mama natychmiast otworzyła oczy, ale nawet się nie poruszyła. Jeden maluch również się przebudził i podreptał w kierunku policjanta. Miał szare pręgi i prawie czarną obwódkę wokół oka.

– Prawa, że wygląda zabawnie? – gospodyni stwierdziła raczej, niż zapytała. – Wygląda, jakby brała udział w bójce.

– Serwus, bokserko! – przywitał się Sven Erik.

Kotka wkroczyła bezceremonialnie na jego ramię i pomagając sobie ostrymi pazurkami w utrzymaniu równowagi, przespacerowała się z jednego barku na drugi.

– Cześć, maluszk! – Sven Erik zwrócił się do kotki wręcz z nabożeństwem.

– Może ją pan weźmie? – spytała Airi Bylund. – Nie tak łatwo znaleźć dla nich właścicieli.

– Nie, nie – opierał się policjant, czując puszyste futerko na policzku.

Kotka zeskoczyła na łóżko i obudziła braciszka, gryząc go w ogon.

– Bierz kota i jedziemy – zwróciła się do kolegi Anna Maria.

Sven Erik potrząsnął zdecydowanie głową.

– Nie. Człowiek się tylko uwiązuje.

Podziękowali za gościnę. Wdowa odprowadziła ich do drzwi. Już mieli wychodzić, gdy Anna Maria zadała ostatnie pytanie.

– Czy pani mąż został poddany kremacji?

– Nie, pochowaliśmy go w trumnie. Ale zawsze powtarzam, że moje prochy muszą być rozsypane nad Taalojärvi.

– Taalojärvi... – powtórzył Sven Erik. – Przepraszam, jak brzmi pani nazwisko panińskie?

– Tieva.

– Coś takiego! Jakieś dwadzieścia lat temu jechałem na skuterze do Salmi. Byłem w drodze do Kattuvuomy. Dokładnie naprzeciw wioski, po wschodniej stronie cieśniny Taalojärvi, stała chatka. Zapukałem, wszedłem do środka i zapytałem o drogę do Kattuvuomy. Kobieta mieszkająca w chatce powiedziała mi tak: „Zazwyczaj jadą prosto przez jezioro, później przez torfowiska, później w lewo i w końcu jest Kattuvuoma”. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, ale miałem wrażenie, że kobieta traktuje mnie z rezerwą. Zebrałem się więc w sobie, przeszedłem na fiński, i kobieta zmiękła.

Airi Bylund wybuchła śmiechem.

– No tak, myślała, że jesteś taki *rousku*, ze Szwecji.

– Właśnie. Kiedy usiadłem na skuterze i już miałem odjeżdżać, spytała mnie: „Skąd

pochodzisz i czym jesteś synem, że umiesz mówić po fińsku?”. Wyjaśniłem jej, że jestem synem Valfrida Stålnackego z Laukkuluspy. *Voi hyvänen aika!* – powiedziała, składając ręce. „Wielkie nieba! W takim razie jesteście spokrewnieni, chłopcze! Nie możesz jechać przez jezioro, tyle tam wyrw i niebezpieczeństw. Jedź wzdłuż brzegu”.

Sven Erik zaśmiał się na to wspomnienie.

– Nazywała się Tieva. Czy to nie była pani babcia?

– No chyba pan zwariował – odparła Airi i lekko się zaczerwieniła. – To była moja mama.

Kiedy wyszli na ulicę, Anna Maria ruszyła równym marszem jak żołnierz. Sven Erik biegł za nią truchtem.

– Jedziemy po komputer? – zapytał.

– Chcę go wykopać! – odpowiedziała.

– Przecież jest środek zimy, ziemia przemarznięta.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę mieć ciało ÖRJANA BYLUNDA. Teraz! Pohjanen musi zrobić sekcję zwłok! A ty dokąd się wybierasz?

Sven Erik odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku domu Airi Bylund.

– Muszę poinformować o tym wdowę, to chyba oczywiste? Jedź! Spotkamy się na komendzie.

REBEKA MARTINSSON WRÓCIŁA z pracy o godzinie szóstej wieczorem. Niebo zaciągnęło się chmurami, z wolna zapadał zmierzch. W momencie gdy zatrzymała się przed szarym eterytowym domem i wysiadła z samochodu, zaczął sypać śnieg. Delikatne gwiazdki, wirując lekko w powietrzu, lśniły w blasku lampy na ścianie obory i w świetle latarni nad gankiem.

Otworzyła usta i stojąc z rozłożonymi ramionami, z twarzą zwróconą ku niebu i zamkniętymi oczyma, czuła, jak miękkie płatki osiadają na jej rzęsach i wysuniętym języku. Uczucie było jednak inne, niż to zapamiętane z dzieciństwa. To tak jak z

robieniem śnieżnych aniołów. Uwielbiała tę zabawę jako dziecko, lecz każda próba przeżycia jej na nowo w dorosłym życiu kończyła się tylko narzekaniem na śnieg wysypujący się za kołnierz.

On nie jest dla mnie, pomyślała i otworzyła oczy. Spojrzała na rzekę otuloną w ciemność. Tylko parę świateł z domostw po drugiej stronie zatoki.

Nie dba o mnie. To, że pisze e-maile, przecież nic nie znaczy.

Po południu napisała co najmniej dwadzieścia wersji wiadomości do Månsa Wenngrena, po czym wszystkie skasowała. Nie chciała sprawiać wrażenia, że jej zależy.

Zapomnij, mówiła do siebie. On nie jest zainteresowany.

Ale serce niezłomnie stawiało opór.

Ależ jest, odpowiadało, wywołując kilka obrazów, którymi mogła sycić oczy. Måns i Rebeka w łódce. On wiosłuje. On przecina dłonią powierzchnię wody. Podwinięte rękawy białej koszuli. Miękkie rysy rozluźnionej twarzy. Później: Rebeka na podłodze przed kominkiem. Måns między jej nogami.

Przebierając się z prokuratorskiej garsonki w dzinsy i bluzę, spojrzała w lustro. Błada i szczupła. Piersi stanowczo za małe. I czy przypadkiem nie miały okropnie dziwnego kształtu? Nie przypominały dwóch małych wzgórków, tylko raczej dwa malutkie, wafłowe rożki, odwrócone do góry nogami. Nagle poczuła się nieswojo i obco w obliczu tego ciała, którego nikt nie chciał i w którym nigdy do końca nie dojrzało żadne dziecko. Ubrała się pospiesznie.

Nalała sobie whisky, usiadła w kuchni przy starym babcinym stole z opuszczanym blatem i piła większymi łykami niż zwykle. Alkohol spływał do żołądka ciepłymi strugami, myśli przestały się tłuc tak cholernie mocno.

Ostatnio była poważnie zakochana... w Thomasie Söderbergu, i już samo to świadczyło o jej umiejętności wyboru mężczyzn. Lepiej o tym nie myśleć.

Później miała paru chłopaków, wszyscy studiowali prawo. Żadnego z nich nie wybrała. Pozwalała się zapraszać na obiady, była całowana i łądowna w łóżku. Od samego początku było nudno i przewidywalnie. Cały czas towarzyszyło jej uczucie

wzgardy. Rebeka gardziła tymi młodymi mężczyznami, ponieważ wszyscy zachowywali się jak smarkacze z wyższej klasy średniej. Święcie przekonani, że mieliby lepsze oceny niż ona, gdyby tylko chciało im się uczyć. Pogardzała ich śmiesznym buntem wobec rodziców, który polegał głównie na braniu narkotyków i piciu większych ilości alkoholu. Gardziła ich młodzieńczymi iluzjami o własnej wyjątkowości. Gardziła nawet ich pogardą wobec drobnomieszczaństwa, bo przecież już wkrótce mieli zacząć pracować, założyć rodziny i wyznawać drobnomieszczańskie poglądy.

A teraz Måns. Wlej w męskie ciało trochę ekskluzywnej szkoły z internatem, odrobinę dobrej sztuki, arogancji oraz prawniczych zdolności. Wstrząśnij.

Tato pewnie nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy został wybrankiem mamy. Rebeka tak to bowiem widziała: mama wybrała tatę, tak jak zrywa się dojrzwały owoc z drzewa.

Nagle zapragnęła obejrzyć stare zdjęcia. W albumie, który został po śmierci babci, podała kiedyś wszystkie fotografie przedstawiające mamę.

Wskoczyła w buty i przebiegła na drugą stronę drogi.

W kotłowni Sivvinga ciągle unosił się w powietrzu lekki zapach smażonej kielbasy. Na prostej półce stały dopiero co pozmywane naczynia: talerz, szklanka, aluminiowy rondel i odwrócona do góry dnem patelnia na kuchennej ściereczce w biało-czerwoną kratę. Gospodarz leżał na zasłanym łóżku i drzemał z „Annonsbladet” na twarzy. W wełnianej skarpecie miał dużą dziurę. Na widok śpiącego sąsiada Rebece ogarnęło osobliwe wzruszenie.

Bella, widząc niespodziewanego gościa, podniosła się tak gwałtownie, że z radości niemal wywróciła krzesło. Rebeka zaczęła ją drapać za uszami. Rytmiczne uderzenia ogona o stół i popiskiwanie szczęśliwej wyżlicy obudziły Sivvinga.

– Rebeka! – wykrzyknął rozradowany. – Piłaś kawę?

Przystąpiła na filizankę i podczas gdy wsypywał miarką do czajnika zmielone ziarna, wyluszczała cel swojej wizyty.

Sivving wspiął się po schodach na piętro i po chwili wrócił z dwoma albumami pod pachą.

– Myślę, że jest tu kilka zdjęć twojej mamy, chociaż oczywiście większość przedstawia Maj Lis i dzieci.

Rebeka przeglądała fotografie. Na jednej z nich Maj Lis i mama siedziały na skórze renifera w przedwiosennym słońcu. Mrużąc oczy, uśmiechały się do obiektywu.

– Jesteśmy do siebie podobne.

– Tak, to prawda – przyznał Sivving.

– Jak się spotkali? Mama i tato.

– Nie wiem. Pewnie na jakiejś potańcówce. Twój tato zresztą bardzo dobrze tańczył. Jeśli tylko się odważył.

Rebeka usiłowała ich sobie wyobrazić na parkiecie. Splecione ramiona. Tato, z zuchwałością pożyczoną z butelki, wędruje dłonią po plecach mamy.

Oglądając te stare fotografie, znów poczuła, jak przepenia ją znajome uczucie. Osobliwa mieszanka wstydu i złości. Na upokarzające współczucie mieszkańców wsi reagowała gniewem.

Ponad jej głowę nazywali Reбекę biedną dziewczynką. *Piika riipu*. Całe szczęście, że ma babcię, mówili. Ale jak długo jeszcze Theresii Martinsson starczy sił? Oto pytanie. Każdy ma jakieś ułomności i wady. Ale żeby nie potrafić się zająć własnym dzieciakiem?

Sivving obserwował ją z boku.

– Maj Lis bardzo lubiła twoją mamę – odezwał się.

– Naprawdę?

Rebeka uświadomiła sobie, że z jej ust wydobył się szept.

– Zawsze miały o czym rozmawiać. Siedziały tu przy stole i często się śmiały.

Tak, pomyślała Rebeka. Też pamiętam taką mamę. Chciała znaleźć zdjęcie, do którego mama nie pozowała. Na którym nie przybierała najkorzystniejszej postawy i nie śmiała się do fotografa.

Prawdziwa gwiazda filmowa, na miarę Kurravaary.

Dwa wspomnienia.

Wspomnienie pierwsze. Rebeka budzi się rano w dwupokojowym mieszkaniu w mieście. Przeprowadziły się z Kurravaary. Tato został w domu babci i zajmuje tam parter. To najpraktyczniejsze rozwiązanie, mówią. Rebeka ma teraz blisko do szkoły i tak dalej. Budzi się i czuje przyjemny zapach. Całe mieszkanie łączy czystością. Poza tym jest kompletnie przemeblowane. Jedyne sprzętem, który stoi na dawnym miejscu, jest łóżko Rebeki. Na stole czeka śniadanie. Świeżo upieczone *scones*. Mama stoi na balkonie, pali papierosa i wygląda na szczęśliwą.

Musiała przesuwać meble i sprzątać całą noc. Co pomyśla sąsiedzi?

Rebeka przemyka po schodach jak kot. Ze wzrokiem wbitym w posadzkę. Jeśli Laila z parteru otworzy drzwi, Rebeka umrze ze wstydu.

Wspomnienie drugie. Pani w klasie mówi: Usiądźcie dwójkami.

Petra: Ja nie chcę siedzieć koło Rebeki.

Pani: Co to ma znaczyć?

Klasa słucha. Rebeka patrzy uporczywie w pulpit.

Petra: Ona śmierdzi sikami.

To dlatego, że nie mają prądu w mieszkaniu. Wyłączono im elektryczność. Jest wrzesień i nie marzną, ale nie da się zrobić prania w pralce.

Kiedy Rebeka wraca do domu z płaczem, mama wpada w złość. Zaciąga Rebeke do urzędu telekomunikacyjnego i strofuje personel. Na nic nie zdają się wyjaśnienia, że powinna zwrócić się do urzędu energetyki, że telekomunikacja to nie to samo.

Rebeka jeszcze raz spojrzła na fotografię. Uderzyło ją, że mama była mniej więcej w tym wieku, co ona teraz.

Z pewnością starała się jak mogła, pomyślała.

Patrząc na uśmiechniętą kobietę na skórze renifera, Rebeka poczuła, jak w jej serce spływa pojednanie. Jakby gdzieś w środku w końcu znalazła spokój. Może pomogła

jej świadomość, że mama była taka młoda.

Jaką matką bym była, gdybym zdecydowała się urodzić tamto dziecko?, pomyślała Rebeka. Boże mój jedyny!

Później stało się regułą, że mama podrzucała mnie babci, kiedy nie miała sił, żeby się mną zajmować. Wakacje też spędzałam tutaj, w Kurravaarze.

A tutaj wszystkie dzieci były ciut niedomyte, przypominała sobie. Z pewnością też czuć je było sikami.

Sivving przerwał jej myśli.

– Słuchaj, mogłabyś mi pomóc? – zaczął.

Zawsze wynajdywał dla niej jakieś zajęcie. Rebeka podejrzewała, że robił to nie dlatego, że potrzebował pomocy, ale przede wszystkim po to, aby przyjść jej w sukurs. Oferował trochę pracy fizycznej jako lekarstwo na rozpamiętywanie.

Teraz chciał, żeby weszła na dach i strąciła spory zwis śnieżny.

– Wiesz, ta złodowaciała masa spadnie lada dzień i, nie daj Boże, przygniecie Belle. Albo i mnie, jeśli się zapomnę.

Wspięła się na dach sąsiada w wieczornych ciemnościach. Marne oświetlenie na podwórzu nie ułatwiało zadania. Z nieba ciągle sypał świeży śnieg. Ten stary zaś, pod spodem, był ubity, twardy i śliski. Sznur wokół talii i łopata w ręce. Sivving też trzymał łopatę, ale głównie po to, by mieć się na czym wesprzeć. Wskazywał coś i wykrzykiwał polecenia i rady. Rebeka pracowała po swojemu, co go doprowadzało do irytacji, bo on przecież wiedział lepiej. Między nimi było więc jak zwykle. Kiedy Rebeka schodziła z dachu, czuła się zmęczona i mokra od potu.

Ale nawet to nie pomogło. Stojąc w domu pod prysznicem, znów zaczęła myśleć o Mânsie. Popatrzyła na zegarek. Dopiero dochodziła dziewiąta.

Musiała popracować głową. Równie dobrze mogła więc usiąść przed komputerem i poszukać więcej informacji o Innie Wattrang.

Czterdzieści pięć minut później ktoś zapukał do drzwi. Z dołu dał się słyszeć głos Anny

Marii.

– Halo? Jest tu kto?

– Tutaj, na górze! – zawołała Rebeka.

– Święty Mikołaj jednak istnieje! – wysapała komisarz Mella, pokonawszy schody.

Trzymała w objęciach karton po bananach. Rebeka przypomniała sobie poranny żart i śmiejąc się, zapewniła:

– Byłam bardzo grzeczna, zapewniam!

Anna Maria zawtórowała jej śmiechem; współpraca z Rebeką przebiegała rzeczywiście bezproblemowo.

– To są papiery i różne dokumenty Örjana Bylunda – wyjaśniła po chwili, wskazując ręką na kartonowe pudło.

Usiadła przy kuchennym stole i zaczęła opowiadać historię zmarłego dziennikarza. Rebeka nastawiła kawę.

– Powiedział koledze, że pracuje nad materiałem dotyczącym Kallis Mining. Półtora miesiąca później zszedł z tego świata.

Rebeka się odwróciła.

– Jak zmarł?

– Powiesił się w domu, w swoim gabinecie. Chociaż, kurde, wcale nie jestem tego taka pewna. Wystąpiłam z wnioskiem o ekshumację zwłok. Mam nadzieję, że dostanę pozwolenie w trybie przyspieszonym. A tutaj...

Położyła na stole pendrive.

– Tutaj mamy zawartość jego komputera. Twardy dysk był skasowany, ale Fred go odtworzył.

Anna Maria rozejrzała się dokoła. Siedziała w wyjątkowo przytulnej kuchni. Proste, chłopskie meble, uzupełnione wyposażeniem z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przeróżne tace zebrane na ścianie w ozdobnych wieszakach z wyszywanej taśmy. Całość schludnie utrzymana w odrobinę staroświeckim stylu. Wystrój pomieszczenia przywiódł policjantce na myśl dom jej babci.

– Jak ładnie mieszkaś! – powiedziała.

Rebeka naląła gościowi kawy.

– Dziękuję. Niestety, nie mam mleka.

Omiotła wzrokiem kuchnię. Jej też się tu podobało. Nie urządziła mauzoleum, mimo że zachowała po babci prawie wszystko. Kiedy się tu przeprowadziła, dokładnie wiedziała, czego chce. Po powrocie ze szpitala psychiatrycznego spojrzała na swoje mieszkanie w Sztokholmie innymi oczami. Zobaczyła krzesła „mrówki” Arnego Jacobsena i lampy PH. Włoską sofę od Asplunda, którą kupiła sobie w prezencie z okazji wejścia do izby adwokackiej. „To nie jestem ja”, pomyślała wtedy i sprzedała wszystko razem z mieszkaniem.

– Znalazłam pewną rzecz, którą muszę sprawdzić – odezwała się. – Ktoś wpłacił dwieście tysięcy na konto osobiste Inny Watrang.

– Świetnie! Dzięk! Jutro?

Rebeka skinęła głową.

Jak dobrze, ucieszyła się w duchu Anna Maria. Wszystkie te rzeczy, na które nie mamy czasu... Może powinnam zaprosić Rebeke na kręgle? Sven Erik miałby z kim porozmawiać o kotach.

– W zasadzie jestem na to za stara – powiedziała Anna Maria, spoglądając wymownie na kubek. – Jak piję kawę wieczorem, to budzę się później w nocy i wszystko w głowie tylko...

Zatoczyła dłonią parę kół, by zobrazować wirowanie myśli.

– Też tak mam – przyznała się Rebeka.

Zaśmiały się, świadome, że piją kawę tylko po to, by się do siebie zbliżyć.

Za oknem ciągle padał śnieg.

CZWARTEK, 20 MARCA 2005

ŚNIEG PADAŁ PRZEZ całą noc ze środy na czwartek. Rano się roz pogodziło i wyszło słońce. Tylko trzy stopnie poniżej zera. Kwadrans po dziewiątej odkopano trumnę Örjana Bylunda. Jeszcze poprzedniego wieczoru grabarze odsnieżyli grób i postawili na nim agregat grzewczy.

Anna Maria musiała się o to wykłócić.

– Potrzebne jest zezwolenie z *länsstyrelsen*^[19] – powiedzieli.

– Żeby ekshumować, tak – odparła. – Ale proszę jedynie o włączenie grzejnika. Gdy tylko przyjdzie zezwolenie, od razu będziecie mogli, panowie, wziąć się do roboty.

Przez noc ziemia zdążyła odmarznąć. Za pomocą miniparki Kubota wydobyto trumnę na powierzchnię.

Na cmentarzu stawiło się około dziesięciu fotografów. Anna Maria patrzyła na nich z poczuciem winy, pamiętała bowiem o Airi Bylund.

Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, próbowała brać siebie w obronę. A oni przyszli tu tylko po to, żeby zrobić odpowiednie zdjęcia na rozkładówkę.

Zrobili oczywiście mnóstwo odpowiednich zdjęć. Brudne wgłębienie, grudy ziemi, żalosalne resztki róż, czarna trumna. A wokół jaskrawe przedwiośnie, świeży śnieg i ostre słońce.

Medyk sądowy Lars Pohjanen i jego asystentka Anna Granlund czekali już w szpitalu na zwłoki.

Anna Maria spojrzała na zegarek.

– Pół godziny – zwróciła się do Svena Erika. – Później zadzwonimy do nich i zapytamy, jak im idzie.

W tej chwili zabręczczała komórka w jej kieszeni. Dzwoniła Rebeka.

– Sprawdziłam tę wpłatę na konto Inny – powiedziała. – I znalazłam ciekawą rzecz. Piętnastego stycznia ktoś wszedł do niewielkiego oddziału SEB na Hantverkargatan w Sztokholmie i wpłacił dwieście tysięcy koron. Na blankiecie przekazu napisał: „Nie za twoje milczenie”.

– Nie za twoje milczenie – powtórzyła Anna Maria. – Chcę zobaczyć ten przekaz.

– Poprosiłam, żeby go zeskanowali i przesłali mi mailem.

– Słuchaj, zostaw prokuraturę i zacznij pracować u nas – zaproponowała Anna Maria. – Pieniądze to nie wszystko.

Rebeka zaśmiała się po drugiej stronie.

– Muszę uciekać – powiedziała. – Za chwilę mam rozprawę.

– Znowu? Nie siedziałś w sądzie w poniedziałek i wtorek?

– Mhm, to zasługa Gudrun Haapalahti z sekretariatu. Przestała kierować tu kogokolwiek innego.

– Powinnaś zaprotestować! – wykrzyknęła Anna Maria; chciała okazać Martinsson wsparcie.

– Wolalabym umrzeć – zaśmiała się ponownie Rebeka. – Na razie!

Komisarz Mella spojrzała na Svena Erika.

– Do dzieła!

Zadzwoiła do Tommy’ego Rantakyro.

– Możesz sprawdzić jedną rzecz? – zaczęła i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Zobacz, proszę, czy ktoś z tych ludzi, z którymi Inna rozmawiała przez jedną lub drugą komórkę, mieszka albo pracuje w Sztokholmie, w pobliżu SEB na Hantverkargatan.

– Jak to się stało, że wylądowałem w tym telefonicznym piekle? – spytał zrzędlawie Tommy. – Jak bardzo mam się cofnąć w czasie?

– Pół roku?...

Po drugiej stronie rozległ się żalostny jęk.

- No, to zacznij od stycznia. Wpłaty na jej konto dokonano piętnastego stycznia.
- A wiesz, właśnie miałem do ciebie dzwonić – przypomniał sobie Tommy, zanim Anna Maria zdążyła się rozłączyć.
- Słucham.
- Prosiłaś mnie, żebym sprawdził automat telefoniczny w Abisko.
- Tak...?
- W czwartek późnym wieczorem ktoś, to znaczy z pewnością ona, dzwonił do Diddiego Wattranga, jej brata.
- Powiedział mi, że nie miał pojęcia, gdzie wtedy była.
- Rozmowa trwała dokładnie cztery minuty i dwadzieścia trzy sekundy. Myślę, że on kłamie. Jak sądzisz?

MAURI KALLIS STAŁ w gabinecie i wyglądał przez okno.

Ebba przecinała właśnie dziedziniec wysypany białym żwirem. Pod pachą kask jeździecki, w drugiej ręce luźne cugle nowego ogiera arabskiego. Czarna sierść konia błyszczała od potu. Lekko opuszczona głowa sygnalizowała zmęczenie, ale też satysfakcję.

Z drugiej strony nadchodziła Ulrika Wattrang. Tym razem sama. Syn widocznie został w domu pod opieką niani.

Ciekawe, czy Diddi w końcu wrócił. Dla Mauriego nie miało to w zasadzie żadnego znaczenia. Bez niego też sobie poradzi na spotkaniu z African Mining Trust. Nawet lepiej. Ostatnio i tak nie można było na niego liczyć. A tak naprawdę jego obowiązki równie dobrze mogłaby sprawować małpa. Mauri nie musiał się wysilać, by znaleźć chętnych do finansowania nowych projektów. Straciwszy wiarę w rynek IT, świadomi nienasyconego apetytu Chin na stal, inwestorzy stali w kolejce, żeby wziąć udział w przedsięwzięciach Kallisa.

Mauri zamierzał się pozbyć Diddiego. To tylko kwestia czasu. Wkrótce Diddi, jego żona i ich księżę będą musieli spakować manatki i zmykać, gdzie pieprz rośnie.

Ulrika zatrzymała się, by zamienić kilka słów z Ebbą. Żona zerknęła w stronę okna. Mauri schował się za firanką. Poruszył ją lekko, ale z dołu nie było chyba tego widać.

Nie obchodzi mnie już, pomyślał o Ebbie.

Bez dyskusji zaakceptował propozycję osobnych sypialni. Zdaje się, że to była jej ostatnia próba sprowokowania konfliktu, ale Mauri czuł tylko i wyłącznie ulgę. Nie musiał dłużej udawać, że nie słyszy, jak Ebba – odwrócona do niego plecami – leży obok i płacze.

Nie obchodzi mnie też Diddi, pomyślał. Bogiem a prawdą, nie potrafię sobie przypomnieć, co takiego w nim widziałem.

Zależało mi tylko na Innie, przyznał w końcu w duchu.

Pada śnieg. Do Bożego Narodzenia zostały dwa tygodnie. Mauri i Diddi są na trzecim roku studiów. Mauri pracuje na część etatu dla firmy Optionsmäklarna. Już wtedy ze szczególnym zainteresowaniem śledzi rozwój handlu surowcami. Minie siedemnaście lat, zanim jego zdjęcie ozdobi okładkę „Business Weeka”.

Kwartały wokół placu Stureplan są jak z reklamy. Albo może z takiej szklanej kuli, w której – kiedy się nią potrząśnie – wirują płatki śniegu.

W kawiarniach piękne kobiety piją espresso albo café au lait; na podłodze przy stolikach stoją papierowe torby z Nordiska Kompaniet, wypełnione prezentami. Na dworze prószą śnieg.

Małe dziewczynki i mali chłopcy w płaszczykach i budrysówkach, niczym miniatury dorosłych, trzymają za ręce elegancko ubranych rodziców i idą prawie tyłem, by obejrzeć wszystkie świąteczne wystawy. Diddi naigrawa się z tych bożonarodzeniowych świecidełek na Östermalmie.

– Muszą mieć niezły kompleks niższości wobec Londynu – wyjaśnia ze śmiechem.

Są w drodze do Riche. Przyjemnie podchmieleni, choć minęła dopiero szósta wieczorem. Ale stwierdzili, że właśnie teraz nadeszła pora na przedświąteczne zakończenie semestru.

Na skrzyżowaniu Birger Jarlsgatan i Grev Turegatan wpadają na siostrę Diddiego.

Inna idzie pod rękę ze starszym mężczyzną. O wiele starszym. Kościstym w ten charakterystyczny dla starców sposób. W jego wyglądzie śmierć przypomina o sobie szkieletem, który wypychając skórę, oznajmia: wkrótce zostanę tu tylko ja! Skóra nie stawia już zaciętego oporu. Pozbawiona elastyczności, opina wypukłe czoło. Kości policzkowe wystają nad zapadniętymi policzkami. Wyraźnie widoczne wyniosłości nadgarstka.

Dopiero później Mauri uświadomi sobie, że Diddi zamierzał minąć ich bez słowa, ale Mauri oczywiście staje i prezentacja okazuje się niezbędna.

Inna nie wygląda na zakłopotaną. Mauri nie może oderwać od niej wzroku. Ona cała jest jak prezent gwiazdkowy, myśli. Jej uśmiech i oczy obiecują miłą niespodziankę, ukrytą gdzieś w środku.

– A to Ecke – mówi Inna, przytulając się czule do mężczyzny.

Te wszystkie zdrobienia, których używa arystokracja! Mauriego nigdy nie przestanie to zadziwiać. Noppe, Bobbo, Guggu. Inna ma właściwie na imię Honorine. William nigdy nie będzie nazywany Willem, ale Walter zawsze będzie Wallem.

Ze swego drogiego, choć ciut podniszczonego, wełnianego płaszcza starzec wyciąga kościstą dłoń pełną plam wątrobowych. Mauri czuje obrzydzenie. Powstrzymuje odruch, by powąchać swoją rękę po powitaniu, jakby chciał sprawdzić, czy nie śmierdzi brudem.

– Nie rozumiem – zwraca się później do Diddiego. – Czy to naprawdę Ecke?

Inna wspominała o nim parę razy. Nie może z nimi pójść, bo wybiera się z Eckem na wieś. Ona i Ecke widzieli już ten film. Mauri wyobrażał sobie dobrze urodzonego blondyna z dłuższymi włosami, gładko zaczesanymi do tyłu. Podejrzewał, że mężczyzna może być żonaty, ponieważ Inna nigdy im go nie przedstawiła i w ogóle zachowywała się dość tajemniczo. Tylko że Inna zawsze była powściągliwa w mówieniu o swoich sympatiach. Mauri nie wykluczał, że jej partnerzy są starsi i siłą rzeczy mają niewiele wspólnego z młokosami, którzy jeszcze chodzą do szkoły. Ale nie tak potwornie starzy!

Diddi nie odpowiada, więc Mauri kontynuuje:

– Przecież to starzec! Co ona w nim widzi?

W końcu Diddi odzywa się niefrasobliwie, choć Mauri słyszy, że beztroska, której przyjaciel tak kurczowo się trzyma, ta jedyna deska ratunku wymyka mu się z rąk:

– Ależ ty jesteś naiwny!

Stoją na chodniku przed Riche w bożonarodzeniowej scenerii. Diddi pstryka niedopalkiem w śnieg i wbija wzrok w Mauriego.

Teraz mnie pocałuje, przelatuje Mauriemu przez myśl, i zanim zdąży ocenić, czy to go przeraża, owo nieuchwytne mgnienie mija bezpowrotnie.

Innym razem, również w zimie. Siostra Diddiego ma nowego przyjaciela – tak ich wszystkich nazywa. Ecke już dawno odszedł w zapomnienie. Tego wieczoru Inna wybiera się z nowym mężczyzną na bankiet noblowski. Diddi postanawia, że razem z Maurim przyjdą z butelką szampana do jej małego mieszkania na Linnégatan i pomogą jej zapiąć suwak w sukience.

Inna otwiera im drzwi. Wygląda fantastycznie. Makowa suknia, długa po kostki, i mokre usta w tym samym kolorze.

– Okej? – pyta.

Ale Mauri nie jest w stanie wydobyć głosu. Właśnie zrozumiał znaczenie słowa „oniemiały”.

Wymachując butelką, znika w miniaturowej kuchni, by ukryć uczucia i przynieść kieliszki.

Kiedy wraca, Inna siedzi przy niewielkim stoliku i muska powieki kolejną warstwą cieni. Diddi, pochylony nad jej plecami, opiera rękę o blat. Druga ręka wślizgnęła się pod makową sukienkę i pieści siostrzaną pierś.

Oboje patrzą na Mauriego, oczekując reakcji. Diddi prawie niezauważalnie unosi brew, ale nie wysuwa dłoni.

Inna się uśmiecha, jak gdyby to wszystko było tylko żartem.

Mauri nawet nie mruga. Przez trzy sekundy stoi nieporuszony, zachowując totalną kontrolę nad subtelną siateczką włókien tworzących mięśnie twarzy. Po trzech sekundach unosi lekko brwi i z nieopisanie dekadencją miną w stylu Oscara Wilde'a obwieszcza:

– Mój chłopcze, gdy tylko zwolni ci się ręka, dostaniesz do niej szampana. Na zdrowie!

Uśmiechają się. Mauri jest naprawdę jednym z nich.

Piją z kieliszków, które Inna dostała w spadku po jakimś krewnym.

Ebba Kallis i Ulrika Wattrang spotkały się na dziedzińcu Regli. Ebba zerknęła na okno męża. Firanka poruszyła się lekko.

– Masz jakieś wiadomości od Diddiego?

Ulrika pokręciła głową.

– Tak się niepokoję – powiedziała. – Nie mogę spać. Wczoraj wzięłam tabletkę nasenną, chociaż wolę ich nie zażywać, bo przecież ciągle karmię piersią.

Echnaton szarpnął niecierpliwie cugłami. Spieszyło mu się do stajni; chciał się pozbyć siodła i poczuć, że ktoś się o niego troszczy.

– Wkrótce się odezwie, zobaczysz – rzekła mechanicznie Ebba.

Ulrika pokręciła głową z powątpiewaniem. Spod jej gęstych rzęs wypłynęła łza.

O, mam tego dość! zlorzeczyła w myślach Ebba. Mam serdecznie dość jej płaczu!

– Nie zapominaj, że jemu też jest teraz bardzo ciężko – przypomniała troskliwym głosem.

Tak jak nam wszystkim, dodała w duchu zgryźliwie.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Ulrika często przychodziła do niej do domu, żeby się wypłakać. „On mnie ciągle zbywa, jest kompletnie nieobecny, nawet nie wiem, co bierze, pytam go, czy przynajmniej zależy mu na Philipie, ale on tylko...” I ścisnęła synka tak mocno, że czasami się budził i wybuchał płaczem, aż Ebba musiała go nosić na rękach.

Echnaton zbliżył pysk do głowy pani i parsknął tak gwałtownie, że rozwiały jej się włosy. Ulrika zaśmiała się przez łzy.

– Wygląda na to, że jest w tobie po uszy zakochany.

Tak, to prawda, pomyślała Ebba i ponownie zerknęła na okno Mauriego. Konie mnie kochają.

Akurat tego ogiera dostała za bezcen, zważywszy na jego rodowód. Tylko dlatego że jako wierzchowiec był istnym szatanem.

Pamiętała swoje oczekiwania, kiedy wyprowadzono go z przyczepy do przewozu koni. Rozdęte chrapy i ruchliwe oczy w tym bosko czarnym, kształtnym łbie. Wierzganie, którego trzeba było się strzec. Ogiera trzymało wtedy trzech mężczyzn.

– Powodzenia! – pożegnali się ze śmiechem, kiedy wepchnęli go w końcu do stajni i nareszcie mogli pojechać do domu, by świętować Boże Narodzenie. Echnaton stał w boksie i przewracał oczami.

Ebba nie wyprowadziła go na padok za pomocą bata i ściągniętych cugli. Razem wypędzali szatana z jego ciała. Pozwoliła mu się wybiegać i wyskakać. Założyła kamizelkę ochronną i przynagliła go do biegu, zamiast wstrzymywać. Wrócili do domu cali umorusani błotem. Dziewczyna, która pomagała jej w stajni, na ich widok nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Echnaton stał na nogach drżących ze zmęczenia. Kiedy Ebba płukała go letnią wodą, prychnął z zadowolenia. Potem nagle oparł się o nią czołem.

Teraz miała dwanaście koni. Kupowała zarówno młode zwierzęta, jak i przypadki beznadziejne. Ujeżdżała je. W niedalekiej przyszłości chciała się zająć hodowlą. Mauri wytykał jej ze śmiechem, że na razie kupuje więcej, niż sprzedaje. A ona grała grzecznie rolę żony z dwoma kosztownymi hobby. Rasowe konie i bezdomne psy.

– Regła jest twoja – powiedział, kiedy się pobrali.

Jako finansowe zabezpieczenie i rekompensata za to, że Kallis Mining było jego wyłączną własnością.

Ale później kupił i odrestaurował Regłę za pożyczone pieniądze. Nigdy tych pożyczek nie spłacił.

Zostawiając Mauriego, musiałyby opuścić posiadłość. Konie, psy, personel i sąsiadów; tutaj było całe jej życie.

Dokonała wyboru. Przyjmowała męża z uśmiechem za każdym razem, gdy gościł u własnej rodziny. Aktualizowała jego wiedzę na temat szkolnych postępów synów oraz ich pozaszkolnych zainteresowań. Bez szemrania załatwiła formalności związane z pogrzebem Inny.

Jestem do niego podobna, pomyślała, spoglądając na konia. Oboje żyjemy w zniewoleniu; wolność to utopia. Tylko fizyczny wysiłek chroni nas od szaleństwa.

Ledwie zdążyła sformułować tę myśl, ujrzała na dziedzińcu Ester biegnącą z wysoko podniesionymi kolanami.

W ŚRODKU DNIA Anna Maria Mella otworzyła drzwi swojego domu ze słowami: „Cześć, domku!”. Ucieszyła się na widok porządku w kuchni. Stół był wytarty do czysta.

Wlała mleko do talerza, wsypała trochę płatków, przygotowała kanapkę z pasztetem i wybrała numer medyka sądowego Larsa Pohjanena.

– No i? – zapytała, gdy podniósł słuchawkę; nie przedstawiła się.

Po drugiej stronie usłyszała odgłos przypominający wrzask wrony, która utknęła w kominie. Tylko ktoś, kto znał Pohjanena, wiedział, że lekarz tak właśnie się śmieje.

– *Hätähou*.

– Daj *hätähou* to, czego chce. Co było przyczyną śmierci Örtjana Bylunda? Powieśił się sam czy jak?

– „Czego chce” – przedrzeźnił ją zgrzytliwym głosem. – A cóż to się dzieje z twoimi kolegami? Powinniście go byli przysłać do mnie od razu, kiedy go znaleźliście. To dziwne, że policjantom tak cholernie trudno przestrzegać przepisów. Wszyscy inni muszą, a policja niekoniecznie.

Anna Maria powstrzymała się od zgrzytliwego komentarza, że żaden policjant nie został wezwany na miejsce wypadku, ponieważ pewien lekarz, a więc jeden z

kolegów Pohjanena, postanowił obejść przepisy, wpisał w karcie zgonu zawał serca i pozwolił firmie pogrzebowej zabrać zwłoki. Teraz jednak ważniejsze było udobruchanie Pohjanena niż postawienie na swoim.

Wymamrotała parę słów, które od biedy można było potraktować jako przeprosiny, i pozwoliła lekarzowi mówić dalej.

– Okej – odezwał się już łagodniejszym tonem. – Całe szczęście, że pochowano go w zimie; tkanki miękkie są dość dobrze zachowane. Chociaż oczywiście teraz, kiedy odtajał, rozkład postępuje bardzo szybko.

– Mhm – mruknęła, odgryzając kęs chleba z pasztetem.

– To zrozumiałe, że potraktowano jego śmierć jako samobójczą; obrażenia zewnętrzne świadczą o tym, że powiesił się sam. Na szyi widać wyraźną bruzdę wisielczą. Kiedy zobaczył go lekarz, Bylund był już odcięty, prawda?

– Tak, odcięła go żona. Chciała uniknąć rozgłosu, Örjan Bylund był w Kirunie znaną osobą. Pracował w gazecie ponad trzydzieści lat.

– W takim razie trudno ocenić, czy obrażenia zgadzają się z... chr... chr... ze sposobem powieszenia...

Pohjanen przerwał i zaczął kasłać.

Anna Maria odsunęła telefon od ucha. Nie miała nic przeciwko rozmowie przy jedzeniu o trupach, ale słuchając tych nieartykułowanych dźwięków, traciła apetyt. I co on mi tu będzie gadał o policjantach, którzy nie stosują się do reguł. Jest lekarzem, a pali jak smok. Mimo raka płuc i operacji, którą przeszedł kilka lat temu.

Pohjanen kontynuował

– Już przy wstępnych oględzinach znalazłem parę podejrzanych rzeczy. Nieznaczone wybroczyny w spojówkach. Naprawdę maciupkie, jakby po ukłuciu igłą. No a później obrażenia wewnętrzne, krwawienia na różnych poziomach wokół krtani i mięśni szyi.

– Tak?

– No, w wypadku powieszenia widzimy głównie wybroczyny pod pętlą i wokół

niej, prawda?

– Okej.

– A tutaj krwawienia są zbyt rozległe i zbyt rozproszone. Oprócz tego mamy złamanie rogu chrząstki tarczowatej i rogu kości gnykowej.

Można było odnieść wrażenie, że Pohjanen skończył i zamierza odłożyć słuchawkę.

– Poczekaj chwilę – poprosiła Anna Maria. – No to jakie wyciągasz wnioski?

– Że został uduszony, oczywiście. Tego typu wewnętrzne obrażenia raczej nie występują przy powieszeniu. Zgaduję, że go uduszono. Rękami. Poza tym nie był trzeźwy. Musiał wypić dosyć dużo. Na twoim miejscu sprawdziłbym więc żonę. Zdarza się, że kobiety wykorzystują okazję, kiedy facet jest porządnie nabzdryngolony.

– To nie była żona – zaprotestowała Anna Maria. – To coś większego. O wiele, wiele większego.

MAURI KALLIS ZOBACZYŁ Ester biegnącą przez dziedziniec. Mijając Ebbę i Ulrikę, dziewczyna skinęła pospiesznie głową, po czym ruszyła ku laskowi leżącemu między nowym a starym pomostem. To była jej zwykła trasa, wzdłuż ścieżki prowadzącej do starszego pomostu, przy którym leśniczy Mauriego cumował motorówkę.

Dziwna była ta jej mania systematycznych treningów, która najwyraźniej zastąpiła malowanie. Ester czytała teraz wyłącznie o proteinach i budowaniu masy mięśniowej, podnosiła ciężary i robiła codzienne rundy.

Wszystko wskazywało na to, że porusza się z zamkniętymi oczami. Jakby dla sportu, żeby – biegnąc na oślep – nie zderzyć się z drzewami. Żeby stopy po omacku odnalazły ścieżkę.

Przypomniał sobie proszony obiad, nie tak dawno temu. Zaproсили kuzynów Ebby ze Skanii, Diddiego z żoną i księciem oraz Innę. Ta ostatnia namówiła Ester, która właśnie wprowadziła się na strych, żeby zjadła w ich towarzystwie. Dziewczyna

próbowała się bronić.

– Muszę trenować – powiedziała ze spuszczoneym wzrokiem.

– Jeśli nie będziesz jadła, te twoje treningi nic ci nie dadzą – odparła Inna. – Idź i pobiegaj, a jak skończysz, wpadnij do nas na obiad. Później możesz wrócić do siebie. Nikt nie zauważy, że wymknęłaś się wcześniej.

W samym środku przyjęcia, w samym środku białych obrusów, kandelabrow i srebrnych sztućców, pojawiła się Ester. Miała mokre włosy i zadrapaną twarz; z dwóch draśnień lała się krew.

Ebba dokonała prezentacji. Błada jak ściana, tuszowała zakłopotanie uśmiechem i konstrukcjami w stylu: „szkoła plastyczna”, „głośna wystawa”, „galeria Larsa Zantona”.

Inna z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Ester jadła w skupieniu, z zakrwawioną twarzą i nieskazitelnie czystą serwetką obok talerza. Przełykała stanowczo za duże kęsy i nie odzywała się ani słowem.

Kiedy po obiedzie goście wyszli zapalić na taras, Diddi powiedział:

– Widziałem ją, jak biegnie przez las, ten, który prowadzi do starego pomostu, z zamkniętymi oczami. To dlatego wygląda tak...

Nie dokończył zdania; zamiast tego przesunął po twarzy szponiastą dłoń.

– Ale dlaczego? – zapytał kuzyn Ebby.

– Bo jest szalona? – zaproponował Diddi.

– Tak! – przyznała mu rację uradowana Inna. – To chyba jasne. Musimy ją namówić, żeby wróciła do malowania.

Ester przecięła trawnik i niemal wpadła na Ulrikę, Ebbę i czarnego ogiera. Dawniej dojrzałyby jego kształtny łeb, linie i piękne ogromne oczy. Linie i jeszcze raz linie. Wygięcie grzbietu, kiedy Ebba ćwiczyła wolty na padoku. Krzywizny całego ciała: szyja, zad, noga, kopyto. I linia Ebby: wyprostowane plecy, smukła szyja, regularny nos, ściągnięte cugle w dłoni.

Ale teraz Ester zupełnie nie zwracała na to uwagi. Zamiast linii widziała mięśnie konia.

Skinęła głową na powitanie i przez moment miała wrażenie, że jest klaczą czystej krwi arabskiej.

Lekki jest mój ciężar, pomyślała w drodze do lasu nad Melarem. Ścieżkę znała już prawie na pamięć. Wkrótce będzie mogła przebiec całą trasę z przewiazanymi oczyma i nie zderzy się z ani jednym drzewem.

To psy wyczuły, że mama jest chora. Ona sama ukrywała to przed Ester, Anttem i tatą.

Wtedy nic z tego nie rozumiałam, myślała Ester, biegnąc z zamkniętymi oczami przez gęsty las, ku staremu pomostowi w Regli. To dziwne. Zazwyczaj czas i przestrzeń nie mają nieprzeniknionych ścian, są ze szkła. Potrafię przejrzeć je na wskroś. Dowiaduję się o ludziach różnych rzeczy. Nieistotnych i ważnych. Ale jeżeli chodzi o nią, nie widziałam nic. Byłam zajęta malowaniem. Szczęśliwa, że w końcu mogłam malować farbami olejnymi, nic nie pojmowałam. Nie chciałam zrozumieć, dlaczego nagle pozwoliła mi trzymać pędzel.

Ester przyspieszyła. Gałęzie drapały ją w twarz. Nie przejmowała się tym; czuła niemal ulgę.

– No, więc tak – mówi mama. – Zawsze chciałaś malować farbami olejnymi. Masz ochotę się teraz nauczyć?

Pozwala mi nabić płótno na krosno. Napinam naprzeciwległe z takim wysiłkiem, że zaczyna mnie boleć głowa. Zależy mi na bezbłędnym wykonaniu. Naciągam, zaginam krawędzie tkaniny i przybijam je do listwy zszywaczem tapicerskim. Krosna zrobił tato. Nie chce, żeby mama kupowała tanie blejtramy ze źle wysuszonego drewna, które później się wypaczy.

Wiem, co oznacza milczenie mamy: nabiłam perfekcyjnie. Mama jest oszczędna i kupuje niedrogie lniane płótno malarskie, które najpierw trzeba zagruntować. Więc

gruntuję je sama. Później stoję obok i patrzę, jak szkicuje węglem. Myślę buńczucznie, że kiedy zacznę malować zupełnie samodzielnie własne obrazy, nie zrobię ani jednej kreski węglem. Przejdę od razu do pędzla. W głowie kreślę struktury w kolorze umbry palonej albo *caput mortuum*.

Maluję według instrukcji mamy. Ogromne pola kolorów. Śnieg w bieli mieszanej i żółci kadmowej. Cień góry w kobaltowym błękicie Coelina. I skały przechodzące w ciemny fiolet.

Trudno jej się powstrzymać. Kilkakrotnie wrywa mi pędzel z ręki.

– Odważne pociągnięcia! Nie bój się i nie drzyj jak ten cielak. Więcej farby, mniej wahania. Więcej żółci, więcej żółci. Nie trzymaj tak pędzla, to nie ołówek.

Najpierw stawiam opór. Przecież ona doskonale wie. Kiedy barwy stają się zbyt jaskrawe i niespokojne, tak jak chce mama, obrazy trudniej się sprzedają. Nieraz tak było. Wieczorem tato przygląda się gotowemu dziełu i mówi: „To nie przejdzie”. Wtedy mama zmienia. Łagodzi kontrasty. Kiedyś mówię jej na pociechę:

– Ten prawdziwy obraz jest pod spodem. Widzieliśmy go.

Mama przemalowuje cierpliwie, przyciskając mocno pędzel do płótna.

– To nic nie pomoże. Ludzie to idioci.

Była coraz bardziej niecierpliwa, pomyślała Ester o mamie, biegnąc między drzewami. Zupełnie tego nie pojmowałam. Tylko psy rozumiały.

Mama gotuje zawieszistą mięsną zupę. Stawia ogromny garnek na stole, żeby ostygła. Później przeleje ją do plastikowych opakowań po lodach i włoży do zamrażarki. Ale najpierw idzie do pracowni, gdzie odlewa ceramiczne parawy.

Niepokojące odgłosy z kuchni zmuszają ją do wytarcia palców z gliny i powrotu do domu. Na stole stoi Musta. Strąciła przykrywkę i usiłuje wyłowić kość z garnka. Parzy sobie nos gorącą zupą, ale nie ustaje w próbach. Znów czuje ból i szczeka zajadle, jakby chciała poskrocić zupę, która parzy ją z premedytacją.

– A cóż ty, kurde! – wykrzykuje matka i podnosi rękę, by przegonić sukę ze stołu, a może nawet ją uderzyć.

Musta reaguje błyskawicznie. Chwyta mamę za rękę i odsłania zęby. Z jej gardła wydobywa się groźny pomruk.

Mama, zszokowana, przyciąga do siebie dłoń. Żaden pies nigdy nie odważył się jej zaatakować. Łapie miotłę, stojącą w kącie, i próbuje zmusić zwierzę do zejścia ze stołu.

Wtedy Musta rzuca się na mamę naprawdę. Zupa należy do niej, i basta!

Mama wycofuje się z kuchni. Akurat wracam ze szkoły, wchodzę na schody i niemal zderzam się z mamą w przedśionku na piętrze. Odwraca się z pobladłą twarzą i zaciśniętą, pogryzioną ręką przy piersi. W głębi widzę Mustę na stole. Wygląda jak mały, czarny demon. Obnażone kły i zjeżona sierść. Stulone uszy. Wpatruję się w psa, a po chwili w mamę. Co tu się, do licha, stało?

– Zadzwoń do taty i powiedz, żeby natychmiast przyjechał – mówi szorstko mama.

Kwadrans później na podwórzu zatrzymuje się znajome volvo. Tato nie mówi wiele. Przynosi z domu strzelbę i wkłada ją do bagażnika. Później idzie po Mustę. Suka nie zdążyła zeskoczyć ze stołu. Skomle z bólu i uległości, kiedy tato łapie ją za kark i ogon, zanoszą do samochodu i wrzuca do środka. Ufna, kładzie się na pokrowcu strzelby.

Samochód oznacza dla niej ulubioną pracę w górach; Musta nie wie, co ją czeka. Widzimy ją wtedy ostatni raz. Tato wraca wieczorem bez psa, nie komentujemy tego ani słowem.

Była zdecydowaną przewodniczką. Tato z pewnością żałował, że stracił towarzyszkę, która pomagała mu w codziennej pracy. Potrafiła puścić się w pościg za reniferem odłączonym od stada i wrócić z nim po dwóch godzinach.

Widziała, co się dzieje z mamą. Że coraz bardziej słabnie. To oczywiste, że próbowała zająć jej miejsce przewodniczki.

Tego popołudnia mama siedziała w kuchni sama. Niechętnie i zdawkowo odpowiadała na moje pytania, trzymałam się więc na uboczu. Zrozumiałam, że się

wstydzi. Palił ją wstyd, bo wystraszyła się psa. Z powodu jej strachu i słabości Musta straciła życie.

SVEN ERIK STÅLNACKE POJECHAŁ do Airi Bylund w przerwie na lunch. Kiedy zaproponował, że to zrobi, Anna Maria odetchnęła z ulgą. Siedząc przy stole w kuchni, poinformował wdowę, że jej mąż nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany.

Kobieta poruszyła chaotycznie rękami, nie wiedząc, gdzie je podziać. Wyglądziła nie istniejącą zmarszczkę na obrusie.

– A więc nie odebrał sobie życia – powiedziała po długim milczeniu.

Sven Erik rozsunął zamek w kurtce. W kuchni było gorąco. Airi właśnie upiekła drożdżówki. Kotka z kociętami gdzieś się schowały.

– Nie, nie odebrał – odparł.

Usta kobiety zadrżały. Wstała pospiesznie i zaczęła przygotowywać kawę.

– Tak często rozmyślałam – odezwała się, odwrócona plecami do gościa. – Zastanawiałam się dlaczego... Örrjan był typem refleksyjnym, ale żeby mnie tak zostawić... bez słowa? I naszych synów. Są już wprawdzie dorośli, ale mimo wszystko... Że tak nas po prostu opuścił...

Przełożyła kilka drożdżówek na półmisek i postawiła go na stole.

– Byłam też zła. Boże, jaka byłam na niego zła!

– Ale on nie popełnił samobójstwa – powtórzył Sven Erik i popatrzył jej w oczy.

Zatrzymała na nim wzrok. W jej oczach mieszały się wściekłość, smutek i ból z kilku ostatnich miesięcy. Zaciśnięta pięść wygrazająca niebu, bezsilna rozpacz, wyzierająca spod pytania bez odpowiedzi: „dlaczego?”, szukanie w sobie winy.

Ależ ona ma ładne oczy, pomyślał. Czarne słońca o niebieskich promieniach na tle szarego nieba. Ładne oczy i kształtną pupę.

Wtedy wdowa zaczęła płakać. Wpatrzona nieustannie w policjanta, nie kryła łez.

Sven Erik podniósł się z krzesła i wziął ją w ramiona. Jedną ręką ujął tył jej głowy i

poczuł w dłoni przyjemnie miękkie włosy. Jakby na komendę z sypialni przywędrowała kocia mama, a za nią kocięta, które natychmiast zaczęły się łączyć do stóp stojącej pary.

– Boże drogi – powiedziała Airi i pociągnęła nosem. – Kawa nam wystygnie – dodała, wycierając oczy rękawem.

– Nie szkodzi – odparł Sven Erik. – Możemy później odgrzać w mikrofalówce.

Kwadrans po drugiej Anna Maria wkroczyła do gabinetu prokuratora rejonowego.

– Serwus! – przywitał ją radośnie Alf Björnfort. – Cieszę się, że przyszałaś. Jak wam idzie?

– Myślę, że dobrze.

Nie wiedziała, do czego zmierza prokurator; wołałaby, żeby od razu przeszedł do rzeczy.

Rebeka Martinsson przysłała wcześniej. Stała przy oknie; przywitała się z Anną Marią lekkim skinieniem głowy.

– A Sven Erik? – zapytał prokurator. – Gdzie się podział?

– Zadzwońłam i powiedziałam mu, że chcesz się z nami zobaczyć. Zapewne jest w drodze. Mogę zapytać, o co...

Alf Björnfort pochylił się do przodu i pomachał faksem.

– SKL przysłał nam wyniki analizy płaszcza znalezionej przez płetwonurków w Torneträsk. Krew na prawym ramieniu pochodzi od Inny Watrang. Z wewnętrznej strony kołnierza udało im się wyizolować DNA i...

Podał faks Annie Marii.

– ...brytyjska policja w swoim rejestrze karnym znalazła pasujący profil genetyczny.

– Morgan Douglas – przeczytała na głos Anna Maria.

– Komandos z elitarnej formacji w armii brytyjskiej. W połowie lat dziewięćdziesiątych zaatakował oficera, został skazany za ciężkie pobicie i oczywiście zwolniony z jednostki. Zaczął pracować dla Blackwater, firmy zajmującej się ochroną

osób i mienia w różnych punktach zapalnych świata. Przebywał w Afryce Środkowej, dość wcześnie znalazł się w Iraku. Ponad rok temu jeden z jego najbliższych kolegów został tam uwięziony i stracony przez grupę islamistycznych rebeliantów. Zgadnij, jak się nazywał?

– John McNamara? – strzeliła Anna Maria.

– Yes. Kiedy Morgan Douglas wybrał się do Szwecji i wypożyczył samochód na lotnisku w Kirunie, korzystał z paszportu zmarłego kumpla.

– A co robi teraz?

– Nie wiemy – odparła Rebeka. – Pewne jest, że już nie pracuje dla Blackwater, ale tam odmawiają podania szczegółów. Twierdzą, że odszedł na własne życzenie. Tego typu firmy ochroniarskie trudno namówić do udzielania informacji i współpracy z policją. Nie chcą, żeby ktoś ich kontrolował. Ale jego były szef powiedział, że najprawdopodobniej Morgan dostał pracę w tej samej branży i wrócił do Afryki.

– Poszukujemy go oczywiście listem gończym – powiedział Alf Björnfort. – Ale wcale nie jest takie pewne, że go znajdziemy. No, chyba że przyjedzie do Anglii, wtedy...

– No, to co teraz robimy? – przerwała mu komisarz Mella. – Umarzamy?

– Nie, nie tak prędko – odparł Björnfort. – Mężczyzna, który podróżuje i wynajmuje samochód na cudzy paszport...

– ...dostał zlecenie zamordowania Inny Wattrang – uzupełniła Anna Maria. – Pozostaje tylko pytanie: od kogo?

Prokurator skinął głową.

– Jedna osoba wiedziała na pewno, gdzie była wtedy Inna Wattrang. Jej brat. Zapytany o to, skłamał. Inna dzwoniła do niego z automatu w stacji turystycznej.

– Polecisz tam jutro rano – oznajmił Alf Björnfort, spoglądając na zegarek.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do środka wszedł Sven Erik.

– Jedź do domu, spakuj się – powiedziała Anna Maria. – Albo zresztą może zdążymy wrócić wieczornym samolotem? W przeciwnym razie kupimy po szcotteczce

do zębów i... o rany, co tam masz?

– Taa, człowiek znowu został ojcem – powiedział Sven Erik.

Policzki mu płonęły. Spod rozchyłonej kurtki wystawił główkę mały kociak.

– Czy to nie od Airi Bylund? – spytała Anna Maria. – Tak, to ta mała. Jak się masz, bokserko?

– O! – wykrzyknęła Rebeka, podchodząc do Svena Erika, żeby się przywitać. – Ależ masz śliwę pod okiem, robaczku! – dodała, głaszcząc kotkę z ciemną plamką wokół oka.

Mała, szczególnie zainteresowana ceremonią powitania, postanowiła rozejrzeć się dookoła. Wdrapawszy się na bark policjanta, balansowała w górze z odwagą godną prawdziwego śmiałka. Kiedy Sven Erik chciał ją ściągnąć, uczepliła się kurtki pazurkami.

– Zajmę się nią podczas waszej nieobecności – obiecała Rebeka.

Obie kobiety i Alf promienieli radością, jak gdyby podziwiali Mesjasza w żłóbku.

A Sven Erik zaczął się śmiać. Przede wszystkim z kotki, która ruszyła w karkołomną podróż wzdłuż jego pleców, aż musiał się schylić, by uchronić ją przed upadkiem. Pozostali próbowali wysupłać jej pazurki z tkaniny.

Nazywali ją: bokserką, niezłym ziółkiem, chudziną i łobuziarą.

DZWONEK U DRZWI zbudził Ebbę Kallis o wpół do drugiej w nocy. Na dworze stała Ulrika Watrang. Miała na sobie tylko piżamę i szlafrok; drżała z zimna.

– Przepraszam – zaczęła zrozpaczonym głosem – masz może trzy tysiące? Diddi przyjechał ze Sztokholmu taksówką i kierowca jest wściekły, bo Diddi zgubił portfel, a ja nie mam tyle pieniędzy na koncie.

Na schodach pojawił się Mauri.

– Diddi wrócił do domu – powiedziała Ebba, nie patrząc na męża. – Taksówką. Nie ma czym zapłacić.

Mauri westchnął z rezygnacją i poszedł do pokoju po portfel.

Po chwili we troje przecięli podwórze, śpiesząc w kierunku domu Ulriki i Diddiego. Diddi stał z taksówkarzem przy samochodzie.

– Nie – powiedział kierowca – ona nigdzie ze mną nie pojedzie. Oboje macie tu wysiąść. I zapłacić za kurs.

– Ale ja nie mam pojęcia, co to za jedna! – próbował się bronić Diddi. – Idę spać.

– Nigdzie pan nie idzie! – kierowca podniósł głos i złapał Diddiego za ramię. – Najpierw musi pan zapłacić.

– Dobrze – odezwał się Mauri, występując do przodu. – Trzy tysiące? Jest pan pewien, że aż tyle?

Podał kierowcy swoją kartę American Express.

– Proszę pana, najpierw objechałem pół Sztokholmu, bo kazali mi odwozić jakichś ludzi, kurza twarz. Jeśli pan sobie życzy, mogę pokazać całą trasę.

Mauri pokręcił głową. Taksówkarz przeciągnął kartę przez czytnik. Diddi zasnął na stojąco, opierając się o samochód.

– A co z nią? – zapytał kierowca, kiedy Mauri podpisywał rachunek. Wskazał głową na tylne siedzenie.

Mauri, Ulrika i Ebba zajrzeli do środka.

W samochodzie spała dwudziestopięcioletnia tleniona blondynka o długich włosach. Mimo mroku panującego w aucie widać było jej ostry makijaż, sztuczne rzęsy i przeraźliwie różową szminkę. Miała na sobie cieniutkie rajstopy we wzory, białe kozaki na wysokim obcasie i minimalną spódniczkę.

Ulrika ukryła twarz w dłoniach.

– Nie wytrzymam tego – zakwiliła.

– Ta pani tutaj nie mieszka – oznajmił oziębłe Mauri.

– Jeżeli mam ją odwieźć, to będzie kosztowało – odparł kierowca. – Drugie tyle. W zasadzie skończyłem zmianę.

Mauri w milczeniu ponownie wręczył mu kartę.

Taksówkarz wsiadł do samochodu i jeszcze raz przeciągnął ją przez czytnik.

Po chwili wysiadł i dostał kolejny podpis Mauriego. Nikt nie powiedział ani słowa.

– Otworzą państwo bramę? – przerwał milczenie kierowca.

Kiedy samochód ruszył, oparty o maskę Diddi padł jak długi.

Ulrika krzyknęła.

Mauri przyskoczył do niego i pomógł mu stanąć na nogi. Z pomocą żony odwrócili go plecami do latarni i obejrzeni tył głowy.

– Trochę się skaleczył – oznajmiła Ebba – ale to raczej nic groźnego.

– Brama! – wykrzyknęła Ulrika i puściła się pędem do domu, żeby otworzyć ją pilotem.

Diddi chwycił Mauriego za oba ramiona.

– Chyba zrobiłem coś potwornie głupiego – wybełkotał.

– Wiesz co, spowiadać to się będziesz komu innemu – odparł oschle Mauri i uwolnił się z uchwytu. – Ale żeby przyjechać tutaj z jakąś naćpaną kurwą... Zaprosiłeś ją na pogrzeb?

Diddi się zatoczył.

– Pierdol się! – warknął. – Niech cię szlag trafi, Mauri!

Mauri obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do domu. Ebba pospieszyła za nim.

Diddi otworzył usta, żeby jeszcze coś do nich krzyknąć, ale nagle u jego boku wyrosła Ulrika.

– Chodź – powiedziała, obejmując go ramieniem. – Już wystarczy.

PIĄTEK, 21 MARCA 2005

ANNA MARIA MELLA i Sven Erik Stålnacke zaparkowali passata przed pierwszą bramą na drodze prowadzącej do Regli. Była dziesiąta rano. Przylecieli najwcześniejszym samolotem z Kiruny i wypożyczyli samochód na Arlandzie.

– Ale forteca! – wykrzyknęła policjantka, spoglądając przez kratę na następną furtkę i mur otaczający posiadłość. – Jak to się obsługuje?

Obejrawszy domofon, nacisnęła guzik z symbolem słuchawki. Po chwili usłyszała głos pytający, kim są i kogo chcą spotkać.

Komisarz Mella przedstawiła zarówno siebie, jak i kolegę; wyłuszczyła też cel wizyty. Chcieliby porozmawiać z Diddim Wattrangiem albo Maurim Kallisem.

Głos poprosił o chwilę cierpliwości. Minęło piętnaście minut.

– Co oni tam wyprawiają? – wykrzyknęła Anna Maria i poirytowana zaczęła jak szalona przyciskać guzik domofonu. Tym razem nikt nie odpowiedział.

Sven Erik oddalił się trochę, zatrzymał między drzewami i podlał jedno z nich.

Ależ tu pięknie, pomyślał.

Sękaty dęby i inne drzewa liściaste, których nie potrafił nazwać. Ani krzty śniegu. Zawilce i cebulice wyzierające spod brązowego dywanu zeszłorocznych liści. Pachniało wiosną. Świeciło słońce. Pomyślał o swoim kocie. O kocie i Airi. Airi obiecała, że zaopiekuje się Bokserką, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale Rebeka była szybsza. I chyba nawet dobrze. Jak by to wyglądało, gdyby przyszedł do Airi z prośbą o zaopiekowanie się kotką tego samego dnia, w którym ją dostał?

Anna Maria zawołała spod bramy:

– Ktoś do nas jedzie!

Po chwili z eleganckiego mercedesa wysiadł Mikael Wiik, szef ochrony Mauriego

Kallisa.

Obok bramy wjazdowej była węższa furka dla pieszych. Mężczyzna przywitał się uprzejmie z policjantami, ale nie otworzył żadnego wejścia.

– Musimy porozmawiać z Diddim Wattrangiem – powiedziała Anna Maria.

– To niestety niemożliwe – odparł Wiik. – Diddi Wattrang jest w Toronto.

– A Mauri Kallis?

– Przykro mi. W najbliższych dniach będzie bardzo zajęty. Czy mogę państwu jakoś pomóc?

– Tak – rzuciła niecierpliwie komisarz Mella. – Proszę nam umożliwić spotkanie z Diddim Wattrangiem albo Maurim Kallisem.

– Podam pani numer telefonu do jego sekretarki, a ona umówi państwa na spotkanie.

– Daj pan spokój! – nie wytrzymała Anna Maria. – Niech pan nas wpuści. Do ciężkiej cholery, przecież prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa!

Rysy Mikaela Wiika nieznacznie stwardniały.

– Rozmawiali już państwo zarówno z Diddim Wattrangiem, jak i z Maurim Kallisem. Proszę zrozumieć, to są niezwykle zajęci ludzie. W poniedziałek mogę obiecać spotkanie z Kallisem, choć to graniczy z cudem. Ale kiedy wróci Wattrang, nie mam pojęcia.

Przez pręty furki podał Annie Marii wizytówkę.

– Tutaj jest bezpośredni numer do sekretarki Mauriego Kallisa. Czy mogę coś jeszcze dla państwa zrobić? Niestety, teraz muszę...

Nie zdążył dokończyć zdania. Aleją prowadzącą do Regli nadjechał chevrolet van z przyciemnionymi szybami. Zatrzymał się za wypożyczonym samochodem policjantów. Zza kierownicy wyskoczył mężczyzna w ciemnym garniturze i czarnym golfie.

Anna Maria spojrzała na jego buty: solidne, choć lekkie, trekkingowe, z goreteksu.

W środku siedział pasażer. Ostrzyżony na jeża, w ciemnej kurtce. Zanim zamknęły się drzwi, komisarz Mella zdążyła dostrzec na tylnym siedzeniu sylwetki co najmniej

dwóch innych mężczyzn. Co to za ludzie?

Kierowca się nie przedstawił; pozdrowił Mikaela Wiika lekkim skinieniem głowy. Szef ochrony odpowiedział podobnym, niemal niezauważalnym gestem.

– Jeżeli nie mają państwo więcej pytań, to... – zwrócił się Wiik do policjantów.

Anna Maria walczyła z frustracją. Nie miała nic, czym mogłaby zagrać w odpowiedzi na jego odmowę współpracy.

Sven Erik przesłał jej wyraźne spojrzenie: „Nie ma sensu”.

– Kim panowie są? – zapytała przybyłego mężczyznę.

– Cofnę, żeby państwo mogli wyjechać – odrzekł i ruszył do furgonetki.

Wizyta w Regli skończyła się, zanim jeszcze się zaczęła. Wsiadając do passata, Anna Maria zwróciła uwagę na młodą kobietę po drugiej stronie muru. Stała w środku zawilcowego pola w stroju do joggingu.

– Co ona robi? – spytała Svena Erika, wrzucając wsteczny bieg.

Sven Erik wpatrywał się w przestrzeń między prętami bramy.

– Ogląda kwiaty – odparł – ale jest chyba trochę zdezorientowana. Oj, oj, uważaj, dziewczyno, na ten korzeń.

Ostatnie słowa skierował do kobiety w dresie, która zrobiła kilka kroków w tył, nie patrząc, gdzie stąpa.

Ester Kallis wpatrywała się w ziemię. Nagle wszystko zakwitło. Wcześniej tego nie widziała. Czy te wszystkie kwiaty były tu wczoraj? Nie miała pojęcia. Rozejrzała się pospiesznie dokoła, ale nie zwróciła uwagi na ludzi i samochody przy bramie.

Później przeniknęła wzrokiem dębowy las.

Wtedy poczuła jego obecność. Wiedziała, że on tam jest. Może kilometr dalej. Wilk siedzący na dębie.

Obserwował wszystkich przez lornetkę. Wiedział dokładnie, ile osób wjeżdża, a ile wyjeżdża. W tym momencie patrzył prosto na nią.

Cofnęła się kilka kroków i omal nie wywróciła na wystającym korzeniu.

Chwilę później ruszyła galopem. Byle dalej od lasu i kwiecia. Wkrótce to wszystko musi się skończyć.

Zaczęły się wakacje. Ester ma piętnaście lat i właśnie skończyła szkołę podstawową. W prezencie na zakończenie roku dostała blok akwarelowy i nowe farby. Teraz leży na wrzosowisku i szkicuje ołówkiem, patrząc na ukwiecone zbocza gór. Wieczorem wraca do domu, pokąsana przez komary, ale zadowolona, i – w pracowni, u boku mamy – koloruje najnowsze szkice. To wielka przyjemność malować na prawdziwym papierze, który się nie marszczy, tylko cudownie wchłania farbę. Mama się przygląda. Na obrazku są: dębik ośmiopłatkowy, gnidosz królewski, znaleziony przy Njuotjanjohka, delikatne kwiaty moroszki i krągłe, żółciutkie pełniki. Ester zadała sobie dużo trudu, by uchwycić wszystkie szczegóły. Mama chwali ją za siateczkę żyłek w płatkach korony.

– Te niteczki są urocze! – mówi.

Potem namawia Ester, żeby obok nazw kwiatów w języku Samów wykaligrafowała ich łacińskie odpowiedniki.

– Oni to lubią – wyjaśnia córce.

Oni. Turyści zatrzymujący się w schronisku. Mama uważa, że Ester powinna oprawić akwarelki w passe-partout, ponieważ „to niedrogo i ładnie”, i wystawić je na sprzedaż w stacji turystycznej w Abisko. Ester się waha.

– Za zarobione pieniądze będziesz mogła kupić własne farby olejne – mówi mama, i to przesądza sprawę.

Ester siedzi w holu schroniska. Za oknem widać pociąg z rudą żelaza, jadący w stronę Narviku. Jest dziesiąta rano. Na zewnątrz, w słońcu, stoi grupa turystów. Za chwilę wyruszą na górską wędrówkę, na razie regulują ramiączka plecaków. Rozradowany pies kręci się wokół ich nóg. Przypomina Mustę.

Nagle dziewczyna czuje obecność kogoś, kto ogląda jej akwarele. Odwraca głowę i spogląda na kobietę w średnim wieku. Kobieta ma na sobie czerwony anorak i nowiutkie, beżowe spodnie marki Fjällräven. „Oni” kupują ubrania za tysiące koron

tylko po to, żeby trochę pochodzić po górach.

Kobieta stoi pochylona nad obrazkami.

– Ty je namalowałaś?

Ester przytakuje. Powinna, oczywiście, coś powiedzieć, ale ma jakby zasznurowane usta, nie potrafi wydobyć z nich ani słowa, ani myśli.

Kobiecie najwyraźniej nie przeszkadza milczenie. Bierze akwarelki do ręki i uważnie je ogląda. Później tym samym badawczym wzrokiem lustruje Ester.

– Ile masz lat?

– Piętnaście – wydusza z siebie dziewczyna i wbija wzrok w ziemię.

Kobieta macha ręką i u jej boku pojawia się mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku. Wyłuskuje z kieszeni portfel, płaci za trzy akwarelki wybrane przez kobietę.

– Malujesz coś innego niż kwiaty? – pyta.

Ester jeszcze raz kiwa głową i w jakiś sposób dochodzą do porozumienia; kobieta i mężczyzna zajądą do pracowni mamy.

Przyjeżdżają wieczorem wynajętym audi. Kobieta przebrała się w dzinsy i wełniany sweter, który mimo prostoty wygląda na bardzo drogi. Mężczyzna ciągle ma na sobie nieskazitelnie czyste spodnie Fjällräven, koszulę i kowbojski kapelusz ze skóry. Idzie krok za kobietą. To ona pierwsza wyciąga rękę na powitanie. Przedstawia się jako Gunilla Petrini i wyjaśnia, że jest kuratorem w Färgfabriken oraz członkinią Państwowej Rady Artystycznej.

Mama rzuca Ester długie spojrzenie.

– O co ci chodzi? – szepcze Ester w kuchni, podczas gdy Gunilla Petrini przegląda jej obrazy i rysunki.

– Powiedziałaś, że chce tu przyjść jakaś turystka.

Ester potwierdza. Przecież to są turyści.

Mama przeszukuje gorączkowo spizarkę i w końcu wyciąga z niej napoczęte opakowanie herbatników. Ester przygląda się zdziwiona ciasteczkom ułożonym

na półmisku w kształtne koło.

Gunilla Petrini i jej mąż z uprzejmym zainteresowaniem oglądają obrazy mamy, ale w kartonach z pracami córki kobieta grzebie jak zajęc w polu.

Mężczyźni podobają się ryciny, które powstały w czasie wycieczki do Kiruny, kiedy Ester z mamą poszły na basen. Siiri Aidanpää stojąca pod suszarką do włosów. Na głowie ma lokówki, a w uszach srebrne kolczyki z samskimi symbolami, choć nie jest Samką. Obfity biust schowany w solidnym staniku bez koronek, okazały brzuch i pupa.

– Jakaż ona piękna! – mówi mężczyzna o siedemdziesięcioletniej kobiecie.

Ogromne majtki w łososiowym kolorze są jedyną barwną plamą na obrazku. Ester, zainspirowana kolorowanymi ręcznie fotografiami, dążyła do podobnej łagodności.

Na innych rysunkach z basenu widać mężczyzn w średnim wieku, pływających szeregiem, pochodzące z lat sześćdziesiątych drewniane kabiny do przebierania z leżanką i niewielką szafką, szyld na drzwiach pomieszczenia w sąsiedztwie pryszniców z napisem „lampa kwarcowa”, wydrukowanym srebrną czcionką Futura. Pozostałe obrazki przedstawiają motywy z Rensjön i Abisko.

Jaki mały świat, myślą Gunilla Petrini i jej mąż.

– Jak już wspomniałam, jestem kuratorem sztokholmskiej galerii Färgfabriken – mówi kobieta.

Rozmawia z mamą na osobności. Ester i mąż Gunilli oglądają renifery stojące za ogrodzeniem po drugiej stronie torów kolejowych.

– Zasiadam w zarządzie Państwowej Rady Artystycznej, kupuję dzieła sztuki dla wielu dużych przedsiębiorstw. Mam wpływ na to, co się dzieje w szwedzkiej sztuce.

Mama kiwa głową. Zrozumiała.

– Jestem zachwycona Ester, a musi pani wiedzieć, że nieczęsto mi się to zdarza. Córka skończyła szkołę podstawową; co teraz będzie robić?

– Ester nie ma głowy do nauki. Dostała się do klasy o profilu pielęgniarstwie.

Gunilla Petrini hamuje wzburzenie. Czuje, że przyjechała tu niczym rycerz, by za

pięć dwunasta uratować dziewczynę. Klasa o profilu pielęgniar skim!

– Nie myślała pani o tym, żeby ją kształcić artystycznie? Jest jeszcze za młoda, żeby studiować w Konstfack^[20], ale istnieją szkoły przygotowujące do studiów wyższych. Na przykład Szkoła Plastyczna Idun Lovén. Dyrektorka tej placówki to moja stara przyjaciółka.

– Sztokholm... – zaczyna mama.

– To duże miasto, tak. Ale oczywiście zajęłabym się nią.

Gunilla Petrini świadomie jej przerywa. W głosie matki nie słyszy obawy o córkę, która miałaby wyjechać do wielkiego miasta. Chodzi raczej o jej wewnętrzny niepokój. O świadomość, że ugrzęzła w życiu wypełnionym rodziną i dziećmi. O te wszystkie nienamalowane obrazy zalegające duszę.

Późnym wieczorem opowiadają ojcu o wizycie.

– Uważają, rzecz jasna, że jesteś bardzo egzotyczna – stwierdza mama, tłukąc się znywanymi naczyniami. – Indyjska dziewczyna w samskim stroju ludowym, malująca góry i renifery.

– Ale ja nie chcę nigdzie jechać – odpowiada Ester, próbując udobruchać mamę, chociaż nie ma pojęcia dlaczego.

– Jasne, że chcesz – mówi mama stanowczo.

Tato się nie odzywa. Jak przychodzi co do czego, zawsze decyduje mama.

ANNA MARIA I SVEN ERIK oddalali się od Regli. We wstecznym lusterku komisarz widziała, jak Mikael Wiik otwiera bramę przed chevroletem z przyciemnionymi szybami.

– No, więc co to za jedni? – zapytała.

Zrozumiała dokładnie w tym samym momencie, w którym zadała pytanie. Praktyczne buty, koleżeńskie pozdrowienie dwóch mężczyzn...

– To ludzie z ochrony! – wykrzyknęła. – Ciekawa jestem, co tam się szykuje.

– Oni z pewnością też mają coś w rodzaju spotkania na szczycie – rzekł Sven Erik. –

Ale w odróżnieniu od szwedzkich polityków nie poruszają się bez ochrony.

Zadzwęczał telefon Anny Marii; gdy próbowała wyłowić komórkę z kieszeni, jej kolega odruchowo chwycił za kierownicę.

– Tu wydział telefoniczny – odezwał się Tommy Rantakyrö, udając zrzędlivy głos.

Anna Maria się zaśmiała.

– Chodzi o wpłatę na konto Inny Wattrang – kontynuował. – Dokonano jej w oddziale SEB na Hantverkargatan, prawda? Znalazłem faceta, który wydzwaniał do Inny na prywatną komórkę z mieszkania niedaleko tego banku.

– Bądź tak miły i przeesemesuj adres, Sven Erik strasznie się stresuje, kiedy jednocześnie prowadzę, rozmawiam przez telefon i robię notatki.

Uśmiechnęła się łobuzersko do kolegi.

– Zaraz ci wysłę! – odpowiedział Tommy. – Ręce na kierownicę!

Anna Maria podała komórkę Svenowi Erikowi. Po trzydziestu sekundach mieli niezbędne dane.

– Malte Gabrielsson, Norr Mälarstrand 34.

– Jedziemy! – zarządziła Anna Maria. – I tak nie mamy nic innego do roboty.

Godzinę i dziesięć minut później stali przed bramą przy Norr Mälarstrand 34, czekając na stosowną okazję. Wślizgnęli się do środka, gdy jakaś dama z pieskiem wyszła z kamienicy.

Sven Erik szukał Maltego Gabrielssona w spisie lokatorów. Anna Maria rozglądała się dokoła. Z jednej strony znajdowała się brama wyjściowa, z drugiej – okazałe podwórko.

– Popatrz – powiedziała, kiwając głową w stronę podwórca.

Sven Erik spojrział we wskazanym kierunku, ale nie wiedział, o co chodzi Melli.

– Mają tu akurat zbiórkę makulatury. Chodź.

Anna Maria wyszła na zewnątrz i zaczęła przeszukiwać papierowe reklamówki.

– Bingo! – wykrzyknęła po chwili, wyjmując czasopismo dla amatorów golfa ze znajomym nazwiskiem na naklejce z adresem. – Ta torba należy do pana Gabrielssona.

Grzebała w niej wytrwale i w końcu podała Svenowi Erikowi kopertę. Na odwrocie ktoś napisał atramentem listę zakupów.

– Mleko, musztarda, *crème fraîche*, mięta... – czytał na głos Sven Erik.

– Nie, spójrz na charakter pisma, identyczny. Ten sam, co na przekazie. „Nie za twoje milczenie”.

Malte Gabrielsson mieszkał na trzecim piętrze. Nacisnęli dzwonek. Po chwili drzwi się uchylily. Znad łańcucha zabezpieczającego spoglądał na nich sześćdziesięcioletni mężczyzna. Miał na sobie szlafrok.

– Malte Gabrielsson? – spytała Anna Maria.

– Tak.

– Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke z kiruńskiej policji. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań dotyczących Inny Wattrang.

– Przepraszam, ale jak się państwo w ogóle dostali do środka? Przecież przy drzwiach wejściowych jest zamek elektroniczny.

– Możemy wejść?

– Jestem o coś podejrzany?

– Absolutnie nie, chcielibyśmy tylko...

– Proszę mi wybaczyć, ale jestem strasznie przeziębiony i... fatalnie się czuję. Państwa pytania muszą poczekać.

– To nie zajmie dużo czasu – zaczęła ponownie Anna Maria, lecz nim zdążyła dokończyć, Malte Gabrielsson zatrzasnął drzwi.

Komisarz Mella oparła głowę o framugę.

– Daj mi siłę – powiedziała cicho. – Mam tego, kurwa, dosyć. Ci ludzie traktują mnie tak, jakbym była ich polską sprzątaczką!

Zaczęła walić pięścią w drzwi.

– Otwierać, do jasnej cholery!

Pochyliła się, uniosła daszek nad szczeliną na listy i zaczęła krzyżeć:

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Na pana miejscu nie odmawiałabym współpracy. Jeśli pan nas teraz nie wpuści, wyślę panu do pracy umundurowanych kolegów, którzy odprowadzą pana na przesłuchanie. Zapukam do pańskich sąsiadów i zadam im mnóstwo niewygodnych pytań. Wiem, że zanim zmarła Inna Wattrang, zapłacił jej pan dwieście tysięcy. Mogę to udowodnić. Informacja na przekazie jest napisana pańską ręką. I nie pozwolę się spławić!

Drzwi się otworzyły i Malte Gabrielson odpiął łańcuch zabezpieczający.

– Proszę wejść – powiedział, rozglądając się po klatce schodowej.

Nagle stał się nadzwyczaj życzliwy. Powiesił w przedpokoju kurтки gości. Jak gdyby nigdy wcześniej ich nie odprawił.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytał, kiedy usiedli w salonie. – Nie bardzo mam czym państwa poczęstować, nie wychodziłem z domu przez to przeziębienie, ale może chociaż kawy albo herbaty?

Kanapy, dywan, ściany, wszystko w bieli. Tylko ogromne abstrakcyjne obrazy olejne i kilka artystycznych przedmiotów przydawały pokojowi innych barw. Mieszkanie było przestronne i jasne. Wysoki sufit i duże okna. Nic nie leżało na niewłaściwym miejscu. Na wizytówce na drzwiach widniało tylko jego nazwisko. A więc najprawdopodobniej w tym nienaruszonym apartamencie mieszkał zupełnie sam.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała Anna Maria i natychmiast przeszła do rzeczy. – „Nie za twoje milczenie”. Co to były za pieniądze?

Gabrielson wyciągnął z kieszeni szlafroka bawełnianą chusteczkę i zwinąwszy ją w kłębek, delikatnymi ruchami zaczął wycierać nos, zacerwieniony od kataru. Anna Maria wzdrygnęła się na myśl, że musiałyby wziąć do ręki ten zasmarkany kawałek płótna, by włożyć go do pralki.

– Dostała je w prezencie – powiedział.

– Proszę pana – zaczęła łagodnie Anna Maria. – Przecież powiedziałam, że nie dam się spławić.

– No, dobrze. To i tak prędzej czy później wyjdzie na jaw. Spotykałem się z Inną przez jakiś czas. Ale kiedyś się pokłóciliśmy i dałem jej w twarz, raz albo dwa.

– A więc to tak?

Mężczyzna w szlafroku sprawiał teraz wrażenie człowieka smutnego, żalosego, wręcz kruchego.

– To chyba dlatego, że wiedziałem, że jej się znudziłem. I tak by ode mnie odeszła. Nie potrafiłem tego zaakceptować. Pozwoliłem sobie więc... na utratę kontroli, czy jak to nazwać. W ten sposób mogłem się oszukiwać, że z tego powodu mnie zostawiła. Chociaż wiedziałem, że zrobiłaby to tak czy owak. Dużo o tym później myślałem.

– Dlaczego dał jej pan pieniądze?

– Może to był kaprys? Zadzwoiłem do niej i nagrałem się na sekretarkę. Powiedziałem: „To nie za twoje milczenie. Jestem świnią. Jeśli chcesz iść na policję, to idź. Kup sobie coś ładnego. Jakiś obraz albo biżuterię. Dziękuję ci za ten wspólny czas, Inno”. Chciałem, żeby tak było. Żeby wyszło na to, że zachowałem się jak świnią. Że to ja zakończyłem nasz związek, podnosząc na nią rękę.

– Dwieście tysięcy to dosyć duża rekompensata za policzek albo dwa – zauważyła Anna Maria.

– Mój czyn, tak czy inaczej, kwalifikuje się jako pobicie. Jestem adwokatem. Gdyby zgłosiła to policji, usunięto by mnie z izby adwokackiej.

Nagle zatrzymał wzrok na komisarz Melli i powiedział dobitnie:

– Nie zabiłem jej.

– Znał ją pan. Czy naprawdę miała w kręgu znajomych kogoś, kto życzyłby jej śmierci?

– Nie wiem.

– Jak układały się jej stosunki z bratem?

– Nie mówiła o nim dużo. Odniosłem wrażenie, że ma go serdecznie dość. Myślę, że była zmęczona ciągłym tuszowaniem jego gaf i błędów. Dlaczego nie zapytają

państwo Diddiego o jego relacje z siostrą?

– Chętnie bym to zrobiła, ale jest służbowo w Kanadzie.

– Ach, to tak, Mauri i Diddi pojechali do Kanady – skomentował Gabrielsson i znów przyłożył delikatnie chusteczkę do udręczonego katarem nosa. – Doprawdy, nie na długo pograżyli się w żalobie.

– Mauri Kallis nigdzie nie pojechał, tylko Diddi Wattrang – sprostowała Anna Maria.

Adwokat przerwał wycieranie nosa.

– Tylko Diddi? Nie, to niemożliwe!

– Co pan ma na myśli?

– Z tego, co opowiadała Inna, wiem, że Mauri już od dawna nie pozwalał Diddiemu zajmować się interesami na własną rękę. Ten człowiek nie potrafi ocenić sytuacji. Zdarzyło mu się podjąć kilka naprawdę szalonych decyzji, *quick and dirty*. Może być pani pewna, że jeśli Diddi dokądś jedzie, to zawsze razem z Inną... no, teraz już nie, ale przedtem... albo z Maurim. Nigdy sam. Diddi jedynie się ośmiesza. Poza tym myślę, że Mauri po prostu nie ma do niego zaufania.

Kiedy wyszli na ulicę, Sven Erik westchnął:

– Biedni ludzie!

– Biedny? On? – wybuchła Anna Maria. – No, chyba oszalałeś!

– To przecież naprawdę samotny człowiek. Adwokat, z pewnością zarabia krocie, ale gdy zachoruje, nie ma nawet życzliwej duszy, która by mu zrobiła zakupy. Czy to mieszkanie przypomina prawdziwy dom? Powinien sprawić sobie kota.

– Żeby mógł go wyprać w pralce, o to ci chodzi? Pieprzony oprawca kobiet, siedzi i użala się nad sobą, bo przecież i tak by go opuściła! O tym policzku, albo dwóch, to mam swoje zdanie. O, nie! Na pewno nie biedny! A tak z innej beczki... może powinniśmy wrzucić coś na ruszt? Co ty na to?

Inna Wattrang wjeżdża przez żelazną bramę do posiadłości Regla. Jest 2 grudnia. Parkuje przed byłą pralnią, w której mieszka, i zbiera siły, by wysiąść z samochodu. To nie jest takie proste.

Przyjechała ze Sztokholmu, ale dopiero teraz, na miejscu, czuje, jak bardzo osłabły jej ramiona. Ledwie zdołała wrzucić wsteczny bieg, żeby wyjąć kluczyk ze stacyjki.

Cud, że w ogóle dojechała do domu! Boże drogi, prowadziła w ciemnościach, kierując się czerwonymi światłami wyprzedzających ją pojazdów. Jedno oko ma tak zapuchnięte, że na nie nic nie widzi; oprócz tego przez całą drogę musiała odchyłać głowę do tyłu, by powstrzymać krwawienie z nosa.

Po omacku próbuje uwolnić się od pasa bezpieczeństwa, ale odkrywa, że w ogóle go nie zapięła. Nie słyszała nawet sygnału, który o nim przypomina.

Kiedy zeszywniała od bezruchu otwiera drzwi, czuje bolesne ukłucie w piersi. Zaskoczona jego intensywnością, wciąga gwałtownie powietrze, a wtedy przeszywa ją jeszcze większy ból. Musiał przetrącić jej żebra.

Jest tak tragicznie i źle, że nagle ogarnia ją śmiech. Z trudem wysiada z samochodu. Przytrzymując się drzwi, usiłuje wyprostować plecy. Stoi przygarbiona i ze względu na pęknięte żebra oddycha płytko i urywanie. Grzebie w torebce, szukając klucza od domu, z nadzieją, że z nosa nie zacznie się lać krew; polubiła ten kuferek Vuittona.

Noż, kurwa, gdzie jest ten klucz?! Inna nic nie widzi. Rusza w kierunku najbliższej latarni z ciemnego kutego żelaza. I właśnie wtedy, gdy wkracza w krąg światła przy szczytowej ścianie, nieoczekiwanie słyszy kobiece głosy. To Ebba i Ulrika. Od czasu do czasu przepływają łodzią do Hedlandet po drugiej stronie jeziora, by spotkać się z innymi słodkimi kobietkami. Organizują degustacje win, dziewczynskie obiady, ot, spędzają komfortowo wolny czas bez dzieci. W drodze powrotnej zazwyczaj przecinają podwórko Inny, bo tędy mają bliżej. Teraz Inna słyszy wyraźnie ich paplanie i chichot.

Widocznie też miały upojny wieczór, myśli, uśmiechając się krzywo.

Przez moment rozważa, czy nie spróbować ucieczki, ale to dopiero byłby widok! Kuśtykająca niczym Quasimodo, rozpływa się w mroku.

Ulrika dostrzega ją pierwsza.

– Inna! – woła z odrobiną zdziwienia w głosie, bo co jej jest, że stoi tak dziwnie pochylona, wypła za dużo czy jak?

Po chwili dołącza się Ebba.

– Inna? Inna!

Coraz szybsze kroki na zwirowej alejce.

Mnóstwo pytań. Jakby ją zamknięto w szafie z rojem pszczoł.

Kłamie, oczywiście. Zazwyczaj dobrze jej to wychodzi, teraz jednak jest zbyt zmęczona i obolała.

Wymyśla na poczekaniu historyjkę, że w Humlegården napadła na nią banda wyrostków... Tak, zabrali jej portfel... Nie, nie chce, żeby zawiadomiły policję... Dlaczego? Dlatego że, kurwa, nie chce!

– Chcę się tylko położyć do łóżka – zapewnia. – Czy któraś pomoże mi znaleźć ten cholerny klucz?

Przeklina, żeby nie płakać.

– Nie powinnaś iść spać, to może być niebezpieczne – mówi Ulrika, podczas gdy Ebba szuka w torebce klucza. – Kopali cię? Możesz mieć krwotok wewnętrzny. Powinniśmy w każdym razie zadzwonić po lekarza.

Inna jęczy w duchu. Gdyby miała pistolet, zastrzeliłaby te swoje sąsiadki, żeby w końcu zostawiły ją w spokoju.

– Nie mam żadnego krwotoku! – odwarkuje.

Ebba znalazła klucz. Otwiera drzwi i włącza światło w przedpokoju.

– Ale przecież tutaj leży twój portfel – mówi z dziwnym wyrazem twarzy i wyciąga z torebki skórzane cacko.

W świetle lampy widać wyraźnie, jak bardzo Inna jest poturbowana. Ulrika i Ebba nie wiedzą, co o tym myśleć.

Inna sili się na uśmiech.

– Dziękuję. Jesteście naprawdę... bardzo, bardzo kochane, obydwie...

Kurwa mać! Przecież zwraca się do nich jak do słodkich misiaczków. Nie potrafi znaleźć odpowiedniego tonu; niech już sobie wreszcie pójdą!

– Porozmawiamy o tym jutro, teraz chcę zostać sama... Dzięki! I proszę, nie mówcie nic Diddiemu i Mauriemu, poczekajmy z tym do jutra.

Zamyka drzwi przed ich przerażonymi twarzyczkami o sarnich oczach.

Zrzuca buty, wspina się po schodach. Przeszukuje gorączkowo apteczkę, bierze xanax, popija wodą przelewającą się ze złożonej na kształt miseczki dłoni, potem imovane; tych tabletek nie połyka od razu, najpierw cierpliwie przeżuwa osłonkę, by przyspieszyć działanie.

Zastanawia się, czy starczy jej sił na wyprawę do kuchni po butelkę whisky.

Siada na skraju łóżka i zwała się bezsilnie na posłanie. Gorzki smak w ustach; za chwilę spłynie na nią ukojenie. Teraz jest już dobrze.

Z dołu dobiega odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Szybkie kroki na schodach i głos brata:

– To tylko ja.

To jego stała formułka powitalna. Diddi zawsze otwiera drzwi bez pukania i wchodzi do środka z tymi słowami na ustach. Odkąd się ożenił, Inna chwilami ma wrażenie, że jest jego nałożnicą z oddzielnym mieszkaniem.

– Kto? – pyta Diddi na jej widok.

Bluzka poplamiona krwią, spuchnięty nos, pęknięta warga, zakłajstrowane oko.

– Malte – odpowiada Inna. – Trochę się... Trochę stracił panowanie nad sobą.

Uśmiecha się szelmowsko na tyle, na ile potrafi. O śmiechu nie ma mowy, pęknięte żebra ciągle bolą, mimo benzodiazepin.

– Jeśli uważasz, że źle wyglądam, to powinieneś zobaczyć jego kremowy dywan w sypialni – żartuje.

Diddi próbuje odpowiedzieć uśmiechem.

Boże, jaki się z niego zrobił nudziarz, myśli Inna. Rzygać się chce.

– A jak źle jest z tobą? – pyta Diddi.

– Już lepiej.

– Mam się tobą zaopiekować? Potrzebujesz czegoś?

– Lodu! Jutro będę wyglądała jak siedem zasranych nieszczęść. I ścieżki.

Didi spełnia życzenia siostry. Przynosi jej też whisky, i Inna – biorąc pod uwagę okoliczności – zaczyna się czuć prawie wspaniale. Nie dokucza jej już ten cholerny ból, alkohol grzeje i rozluźnia, a kokaina pozwala zachować jasny umysł.

Didi rozpina koszulę Inny i ostrożnie ją zdejmuje. Ręcznikiem zmoczonym w ciepłej wodzie zmywa krew z jej twarzy i włosów.

Inna trzyma przy oku łód owiniętą w ściereczkę. Cytuje Rocky’ego Balboa.

– *I can't see nothing, you got to open my eye... cut me, Mick... you stop this fight and I'll kill you...*

Didi siada między jej nogami i wsuwa ręce pod spódnicę. Odpina pończochy; ściągając je, całuje siostrzane kolana.

Jego palce, nie ustając w delikatnej pieśczoce wewnętrznej strony ud, zmierzają coraz wyżej. Drżą z pożądania. Jej majtki kleją się od spermy innego mężczyzny. To niesłychanie seksowne.

Didi i Mauri często natrzęsają się z jej parterów. Inna rzeczywiście spotyka nietuzinkowych mężczyzn. Skąd ona ich bierze?, zadają sobie pytanie.

Gdyby wysadzić ją na skalnej wysepce na środku morza, z pewnością przyzeglowałby do niej jakiś facet w peruce i sukience, targany mrocznym pożądaniem, które Inna bez trudu potrafiłaby zaspokoić.

Od czasu od czasu Inna opowiada. Żeby ich rozśmieszyć. Tak jak w ubiegłym roku, kiedy wysłała im esemesa z luksusowego hotelu w Buenos Aires: „Przez tydzień nie wychodziłam z pokoju”.

Gdy wróciła do domu, Mauri i Diddi dreptali w miejscu jak dwa niecierpliwie labradory czekające na kość. „Opowiadaj, opowiadaj!”

Inna szczerze się ubawiła.

Jej przyjaciel był maniakiem statków.

– Podróżuje po świecie, od jednego wielkiego miasta portowego do drugiego – zaczęła opowieść. – Zatrzymuje się w luksusowym hotelu z widokiem na port, siedzi przez tydzień w pokoju i odnotowuje przepływające statki. Możecie zamknąć usta, kiedy do was mówię?

Zamknęli.

– Czasami filmuje – kontynuowała. – Kiedy jego córka w ubiegłym roku wychodziła za mąż, w czasie przyjęcia weselnego pokazywał filmy z łodziami, które wypływały z różnych portów albo do nich wpływały. Przez dwadzieścia minut. Goście byli zachwyceni... tak sobie.

Poruszyła ręką, ilustrując wątpliwe zainteresowanie weselników.

– A ty co robiłaś – zapytał Mauri – kiedy on oglądał te wszystkie okręty?

– No.... Przeczytałam, kurde, masę książek. On chciał tylko, żebym leżała i słuchała jego opowieści o statkach. Zapytajcie mnie teraz na przykład o tankowce. Wiem o nich prawie wszystko!

Śmiali się. Diddi myślał z czułością: cała siostra! Dla niej wszystko było okej. Wynajdywała oryginalnych towarzyszy zabaw. Kochała ich, uważała za interesujących, pomagała im spełniać marzenia. Czasami przyjmowało to tak niegroźne formy, jak w Buenos Aires.

W zasadzie wszystko w jej oczach było niegroźne.

Zawsze oddawaliśmy się niewinnym zabawom, myśli Diddi, muskając palcami jej wzgórek łonowy. Wszystko jest dozwolone, pod warunkiem że nie wyrządza się szkody komuś, kto sobie tego nie życzy.

Tęskni za uczuciem, które kiedyś przepelniało jego serce. Za uczuciem, że życie jest ulotne jak eter. Że wszystko trwa tylko chwilę, a potem znika. Znow chciałby być ciekawym wszystkiego dzieckiem.

To uczucie zginęło bezpowrotnie, kiedy pojawiła się Ulrika, a później przyszedł na świat syn. Diddi nie potrafi zrozumieć, jak do tego doszło. Że w ogóle się ożenił.

Oczekuje od Inny, że przywróci mu niefrasobliwość i beztroskę. Lekki niczym piórko, chce się pławić w życiu jak w morzu. Jeśli fale zniosą go na plażę, pójdzie

na spacer wzdłuż brzegu. Znajdzie piękną muszelkę. Wypuści ją z rąk. Podryfuje w dal z kolejnym przyływem. Tak, właśnie tak powinno wyglądać życie.

– Przestań! – mówi poirytowana Inna, odpychając rękę brata.

Ale Diddi nie słucha.

– Kocham cię – mamrocze z ustami przy jej udach. – Jesteś rozkoszna.

– Nie chcę! Przestań!

Diddi nie przestaje, więc Inna sprowadza go brutalnie na ziemię:

– Pomyśl o Ulrice i małym księciu!

Diddi momentalnie się od niej odsuwa. Kładzie ręce na swoich kolanach jak porcelanowe przedmioty, każdy na piedestale. Czeka, aż Inna go udobrucha i wyciszy jego emocje.

Ale ona widocznie nie ma takiego zamiaru. Wyłuskuje z paczki papierosa, zapala, zaciąga się dymem.

Diddi kwaśniej. Odrzucony i znieważony. Ma ochotę ją zranić.

– Co się z tobą dzieje? – pyta tym szczególnym tonem, jak gdyby sugerował, że została bigotką.

Zawsze kochał swoje kobiety – oraz nielicznych mężczyzn – w bardzo czuły sposób. Nigdy nie rozumiał, co ludzi podnieca w gwałcie i przemocy. Ale też nigdy nie czuł, że musi bronić swojej postawy. Kiedy towarzystwo łaknęło igraszek, które mu nie odpowiadały, uprzejmie odmawiał, jednocześnie życząc pozostałym miłej zabawy. Kiedyś nawet przyglądał się czemuś takiemu. Z czystej uprzejmości. Może również dlatego, że zabrakło mu sił, by w środku nocy samotnie wracać do domu.

Ale Inna? Ona zasmakowała wszystkiego. Wystarczy spojrzeć na nią teraz. No więc co jej nagle odbiło?

Pyta ją zatem:

– Co ci jest? Czyżby ostatnio ruszały cię tylko najbardziej perwersyjne odchyły? Może najpierw trzeba ci dać w dupę, jak jakiejś naćpanej dziwce?

– Przestań wreszcie – odzywa się Inna ze zmęczeniem i prośbą w głosie.

Ale Diddi wpada w desperację. Ma wrażenie, że naprawdę traci siostrę. Albo już ją stracił. Zginęła w świecie zamieszkanym przez śmierdzących starców, którzy palą osobliwymi żądzami. W jego głowie przesuwają się obrazy ogromnych, zatęchłych mieszkań w zamożnych dzielnicach europejskich stolic. Stojące powietrze ma w sobie nutę brudnych złogów spod kratki ściekowej w łazience. Zaciągnięte zakurzone kotary nie przepuszczają promieni słonecznych.

– Co ty widzisz w tych ohydnych, podstarzałych mężczyznach? – pyta, umyślnie przepełniając głos odrazą.

– Przestań!

– Pamiętam, kiedy miałś dwanaście lat i...

– Przestań! Przestań! Przestań!

Inna wstaje. Prochy uśmierzyły ból ciała. Pada przed bratem na kolana, bierze w palce jego brodę i przygląda mu się ze współczuciem. Głaszcze go po głowie. Pociesza. A jednocześnie miękkiem głosem oznajmia coś potwornego.

– Straciłeś to coś. Nie jesteś już chłopcem. To bardzo smutne. Żona, dziecko, dom, obiady w towarzystwie ustatkowanych przyjaciół, zaproszenia do letnich rezydencji... Bardzo ci z tym wszystkim do twarzy. Rzedną ci włosy. Ta twoja długa potargana grzywka jest żalсна. Niedługo będziesz zaczesywał nią łysinę. To dlatego od jakiegoś czasu ciągle potrzebujesz pieniędzy. Czy ty tego nie widzisz? Dawniej wszystko miałeś za darmo. Towarzystwo, kokę. Teraz musisz to kupować.

Wstaje. Zaciąga się papierosem.

– Skąd bierzesz pieniądze? Ile wydajesz? Osiemdziesiąt w miesiącu? Wiem, że oszukałeś firmę na dość pokaźną sumę. Kiedy spadła wartość Northern Explore po wycofaniu się Quebec Invest. Wiem, że to twoja sprawka. Pewien dziennikarz z „NSD” zadzwonił do mnie z mnóstwem pytań. Mauri by oszalał, gdyby się o tym dowiedział. Rozumiesz? Oszalałby!

Diddiemu zbiera się na płacz. Jak mogło do tego dojść? Od kiedy między nimi jest tak źle? Chciałby stąd uciec i zostawić ją samą. A jednocześnie to ostatnia rzecz, o jakiej marzy. Ma wrażenie, że jeśli teraz odejdzie, to już nigdy nie będzie mógł wrócić.

Zawsze byli wiarołomni. Albo inaczej – po prostu nie pozwalali, żeby ktoś był dla nich ciężarem. Ludzie w życiu przychodzą i odchodzą. Otwierasz się na nich, a kiedy nadchodzi stosowny moment – zamykasz. Kiedyś w końcu trzeba dać za wygraną. Prędzej czy później. Ale Diddi od dawien dawna czuł, że on i Inna są dla siebie wyjątkami. Podczas gdy mama stanowiła zaledwie papierową dekorację, zajęętą myślami o pieniądzach i pozycji społecznej, Inna była ciałem, krwią, życiem.

Diddi nie jest wyjątkiem dla Inny. Oderwał się od niej. A ona na to pozwoliła.

– Idź już – mówi Inna przyjaznym głosem, przeznaczonym dla każdego.

Zawsze jest taka łagodna i życzliwa.

– Porozmawiamy o tym jutro.

Diddi kręci jasną głową. Potrząsa zwichrzoną grzywką, czuje, jak ta uderza o czoło. Nie porozmawiają o tym jutro. Wszystko zostało powiedziane i wszystko się skończyło.

Kręci głową przez całą drogę, idąc po schodach, przez podwórze, przez ciemność aż do samego domu, do małego syna i żony.

Czeka na niego w drzwiach.

– Jak ona się czuje? – pyta.

Mały książę śpi, Ulrika przytula się do męża; Diddi zmusza się, by ją objąć. Nad jej głową w połączonym lustrze widzi swoją twarz.

Nie poznaje osoby, która na niego patrzy. Skóra wygląda jak maska zaczynająca się odrywać od punktów zaczepienia.

Inna wie o historii z Quebec Invest, to niedobrze, to bardzo niedobrze. Co powiedziała? Że jakiś dziennikarz z „NSD” ją o to pytał?

Inna leży na łóżku. Przyciska mokry ręcznik do nosa, z którego znów sączy się krew. Słyszy, jak na dole ponownie otwierają się i zamykają drzwi. Tym razem głos Mauriego:

– Halo!

Inna wydaje cichy jęk. Brak jej sił na kolejne wyjaśnienia. Zresztą nie ma zamiaru nic wyjaśniać. Nie czuje się na siłach, by zabronić im dzwonić na policję i po lekarza.

Mauri w każdym razie puka. Najpierw do drzwi wejściowych, później w futrynę na parterze, skąd woła po raz pierwszy. Puka w poręcz, gdy wspina się po schodach i oznajmia, że idzie. Na koniec puka w otwarte drzwi sypialni, zanim ostrożnie zajrzy do środka.

Patrzy na jej spuchniętą twarz, popękane usta, zasinione ramiona i mówi:

– Myślisz, że to się da jakoś przypudrować? Jutro musisz polecieć ze mną do Kampali, jesteście umówieni na spotkanie z ministrem gospodarki.

Wtedy Inna nie może powstrzymać się od śmiechu. Zachwycona Maurim, który tak dobrze się maskuje, udając obojętność.

KIEDY 3 GRUDNIA Inna i Mauri wysiadają z samolotu w Kampali, upał i wilgoć uderzają w ich twarze jak poduszka powietrzna. Strużki potu spływają po całym ciele. Taksówka nie ma klimatyzacji, tapicerka jest ze sztucznej skóry, pasażerowie w przepoconych ubraniach od czasu do czasu próbują siedzieć na jednym pośladku, żeby uniknąć kontaktu ze skajem. Kierowca chłodzi się ogromnym wachlarzem z piór i bez skrępowania śpiewa na cały głos, wtórując artystom z radia. Ruch na ulicach jest chaotyczny, samochód co jakiś czas się zatrzymuje, pozornie bez powodu, taksówkarz przewiesza się przez otwarte okno i dyskutuje z kolegami albo – gestykulując – nawołuje dzieci, które wyrastają jak spod ziemi i chcą sprzedać to czy tamto lub po prostu wyciągają otwartą dłoń. „Miss”, mówią i pukają w szybę od strony Inny. A ona i Mauri siedzą niczym w szklanej klatce i pocą się jak myszy.

Mauri jest zły; zgodnie z umową czekali na odbiór z lotniska, ale ponieważ nikt się nie pojawił, musieli wziąć taksówkę. Kiedy poprzedni raz bawił w Kampali, widział piękne, zielone parki i wzgórza otaczające miasto. Teraz dostrzega tylko marabuty, które w ogromnych stadach gromadzą się na dachach. I te ich ohydne czerwone fałdy skóry na szyi.

W budynku ministerstwa klimatyzacja działa jak należy. Temperatura powietrza

wynosi tylko dwadzieścia dwa stopnie, więc zagraniczni goście w mokrych ubraniach zaczynają marznąć. Prowadzeni przez sekretarza, wchodzą na piętro po czerwonym dywanie na marmurowych schodach z hebanowymi poręczami. Na górze czeka już na nich minister gospodarki. Sześćdziesięcioletnia kobieta o szerokich biodrach ma na sobie granatową garsonkę. Włosy wygładzone prostownicą i upięte we francuski kok. Czarne czółenka są dość zniszczone; widać wyraźnie, jak małe palce u stóp wybrzuszą skórę. Kobieta podaje gościom rękę i kładzie lewą dłoń na ich prawej. Mówi i śmieje się nieprzerwanie. W drodze do gabinetu pyta o podróż i pogodę w Szwecji. Prosi, by usiedli. Częstuje herbatą z lodem.

Zalamuje ręce i z przerażeniem w głosie pyta, co się stało Innie.

– *Girl*, wygląda pani jak ktoś, kto próbował przejść przez Luwum w godzinach szczytu.

Inna opowiada historię o wyrostkach, którzy zaatakowali ją w sztokholmskim parku.

– Może być pani pewna – kończy. – Najmłodszy nie mógł mieć więcej niż jedenaście lat.

To właśnie takie szczegóły sprawiają, że opowieść brzmi niezwykle wiarygodnie, myśli Mauri. Inna kłamie z łatwością godną pozazdroszczenia.

– Dokąd zmierza ten świat? – zastanawia się minister, dolewając gościom herbaty.

Sekunda milczenia. Wszyscy myślą o tym samym, ale zachowują się, jak gdyby nigdy nic. Napad na Innę, pobicie i rabunek to – w porównaniu z problemami Ugandy – zajęcia w szkółce niedzielnej. Na północy kraju zarówno zmilitaryzowana służba bezpieczeństwa, jak i rebelianci z LRA sięją postrach wśród ludności cywilnej. Wyroki śmierci, tortury i gwałty to chleb powszedni. LRA siłą wciela dzieci do swoich oddziałów. Rebelianci przychodzą nocą, przykładają broń do głów rodziców, nakazują ich synom zabijać sąsiadów, *or your mother will die*, a później zabierają ich ze sobą. Nie trzeba się obawiać, że uciekną. Do czego mają wracać?

Ze strachu przed porwaniem dwadzieścia tysięcy małych Ugandyjczyków każdej nocy wędruje z wiosek do miasta Gulu, gdzie śpią w pobliżu kościołów, szpitali

i na dworcach autobusowych, by rano wyruszyć w drogę powrotną do domu.

Ale Kampala jest dobrze zorganizowanym miastem, w którym można siedzieć w kawiarnianych ogródkach i prowadzić handel. Ludzie tutaj niechętnie przyznają się do problemów północnej części kraju. Dlatego też ani goście, ani pani minister nie wspominają o przemocy i dzieciach.

Zbliżają się w końcu do celu dzisiejszego spotkania. Wkraczają na równie podminowany teren. Chcą jednak dojść do porozumienia. Choć oczywiście nie na warunkach drugiej strony.

Spółka Kallis Mining od jakiegoś czasu nie eksploatuje kopalni pod Kilembe. Kiedy pięć miesięcy wcześniej zbrojna milicja Hemów zaatakowała autobus jadący do Gulu, zginęło trzech pracujących tam belgijskich inżynierów. Infrastruktura popada w ruinę. Kallis Mining we współpracy z dwoma innymi firmami wydobywczymi wybudowała szosę z północno-zachodniej Ugandy do Kampali. Trzy lata temu droga była zupełnie nowa, obecnie jest na niektórych odcinkach kompletnie nieprzejezdna. Rozliczne oddziały milicji minowały ją, blokowały i wysadzały w powietrze. Zdarza się, że po zapadnięciu zmroku wyrastają na niej blokady, a wtedy wszystko jest możliwe. Odurzeni narkotykami i otepiali jedenastolatkwie z bronią w ręku. Kawalek dalej trochę starsi towarzysze broni.

– Nie po to uruchomiłem kopalnię, żeby wpadła w ręce milicyjnych bojówek – mówi Mauri.

Ludzie zatrudnieni przez niego do ochrony terenu już dawno stamtąd uciekli. Teraz w kopalni grasują nielegalni wydobywcy. Nie wiadomo, kim są. Korzystają ze sprzętu, którego spółce nie udało się wywieźć, pozostawione maszyny eksploatują rabunkowo. Chodzą pogłoski, że są to grupy sprzymierzone z oddziałami rządowymi. Możliwe więc, że kradzieży dopuszcza się sam Museveni.

– To jest problem całego narodu – odpowiada minister. – Ale co mamy począć? Nasze siły zbrojne nie mogą kontrolować każdego miejsca. Próbujemy chronić szkoły i szpitale.

Bullshit, myśli Mauri. Nawet jeżeli oddziały rządowe nie okradają akurat mnie, to i

tak są zajęte głównie nadzorem i plądrowaniem kopalni w północno-wschodnim Kongu, a później przerzucaniem złota przez granicę.

Oficjalne stanowisko brzmi oczywiście zupełnie inaczej: całe złoto przeznaczone na eksport pochodzi z państwowych kopalni w Ugandzie. Wiadomo jednak, jak sprawy mają się naprawdę.

– Jeśli rząd nie zaprowadzi porządku w północnym regionie kraju, będziecie mieli kłopoty z werbowaniem zagranicznych inwestorów. Od razu wycyzują pismo nosem.

– Bardzo nam zależy na inwestorach z zagranicy. Ale co ja mogę zrobić? Proponowaliśmy kupno pańskiej kopalni...

– Za bezcen!

– Za sumę, którą pan kiedyś zapłacił.

– Tylko że ja później zainwestowałem ponad dziesięć milionów dolarów w infrastrukturę i sprzęt!

– Które teraz nie przedstawiają dla nikogo żadnej wartości! Dla nas też nie. W regionie jest mnóstwo problemów!

– Tak, z tym się zgadzam, jak najbardziej! A państwo zdają się nie rozumieć, że istnieje tylko jeden sposób na pozbycie się tych problemów: ochrona inwestorów. Zyskałaby na tym cała Uganda!

– Zyskałaby? Jak?

– Dzięki infrastrukturze. Szkołom. Odbudowie porządku społecznego. Miejscom pracy. Dochodom z podatków.

– Czyżby? Przez pierwsze trzy lata eksploatacji kopalni nie osiągnął pan żadnego zysku. Nie mieliśmy więc żadnych wpływów z podatków.

– Już kiedyś o tym dyskutowaliśmy! Na początku trzeba inwestować. To oczywiste, że w ciągu pierwszych pięciu lat nie można liczyć na zyski.

– Nie dostajemy więc nic, podczas gdy pan dostaje wszystko. A kiedy napotyka pan trudności, przychodzi do nas i żąda militarnej pomocy do ochrony swojego przedsiębiorstwa. Proponuję następujące rozwiązanie: niech pan przystanie na to,

by państwo stało się współwłaścicielem spółki. Będzie mi o wiele łatwiej zdobyć środki na ochronę przedsiębiorstwa, którego współudziałowcem jest skarb państwa.

Mauri kiwa głową, sprawia wrażenie zamyślnego.

– Może więc pomoże nam pani rozwiązać też inne problemy, z którymi się borykamy. Nagle się okazało, że nasza koncesja jest nieważna, jeśli chodzi o emisję zanieczyszczeń. Pod koniec mieliśmy też sporo kłopotów ze związkami zawodowymi. Może prezydent zechce się wywiązać z naszej wcześniejszej umowy? Kiedy nabyliśmy kopalnię, obiecał wybudować elektrownię wodną na Nilu Alberta.

– Proszę się zastanowić nad moją propozycją.

– Która oznacza?

– Skarb państwa kupuje pięćdziesiąt jeden procent udziałów w Kilembe Gold.

– I płaci...?

– O, z pewnością dojdziemy do porozumienia. Akurat teraz prezydent inwestuje w służbę zdrowia i kampanię oświatową na temat AIDS. Pod tym względem jesteśmy przykładem dla krajów ościennych. Moglibyśmy zrezygnować z partycypacji w zyskach, dopóki nie spłacimy długu.

W jej głosie pobrzniwa lekkość, jak gdyby rozmawiała ze starymi przyjaciółmi.

Mimo ostrych słów, Mauri jak zwykle posługuje się tonem balansującym na granicy życzliwości i kompletnego braku wyrazu.

Zazwyczaj w takich sytuacjach Inna rozładowuje atmosferę, dziś jednak nie czuje się na siłach. W przyjaźnie brzmiących głosach rozmówców słyszy szcęk broni.

Mauri i Inna piją którąś z kolei whisky w hotelowym barze. Wiatrak pod sufitem i kiepski pianista. Zbyt dużo personelu i zbyt niewielu gości. Zachodni turyści, którzy wiedzą, że ceny są tutaj trzy razy wyższe niż w innych barach w mieście, ale wmawiają sobie, że ich to nie obchodzi. To i tak prawie nic w porównaniu z cenami we własnym kraju.

A jednocześnie złość. Przekonanie, że cały czas są robieni w balona. Cały czas

płacą za dużo. Tylko dlatego że urodzili się biali. Nieustannie wyklócanie się o cenę ze świadomością, że w końcu i tak zostaną oszukani.

Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo go irytuje to, że jeden z kelnerów przekomarza się z dziewczyną pracującą za barem. Kto tutaj ma się bawić? Oni czy goście? Kto płaci, a kto zarabia?

Mauri pije, żeby przestało mu wirować w głowie. Czuje się tak, jakby miał w środku zbełtaną wodę. Jakieś czarne męty wciąż wypływają na powierzchnię. Chce o nich zapomnieć. Chce, żeby się uspokoiły. Chce iść spać i pomyśleć o tym jutro.

Gdyby Inna nie została pobita właśnie tamtego wieczoru... Może wtedy przebieg wydarzeń byłby zupełnie inny. Może porozmawialiby o tym wcześniej. Może dzięki Innie Mauri nie traktowałby wszystkiego tak śmiertelnie poważnie. Może nawet poczułby się sprowokowany do śmiechu: tak to już jest, raz na wozie, raz pod wozem.

Ale teraz brakuje jej sił. Pije, by zagłuszyć tępy ból twarzy. Zastanawia się, czy w rany wargi i oka nie wda się jakieś zakażenie. Nie wyklucza owrzodzenia Buruli.

Po tym ostatnim wydarzeniu Inna jest jakby przygaszona. Ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Wkrótce się okaże, że nie bez przyczyny.

A Mauri budzi się w nocy z powodu mętów, z powodu owych ciemnych złogów odrywających się od podłoża.

Zepsuła się klimatyzacja. Mauri rozwiera okno prosto w czarną noc, ale nie czuje ochłody. Docierają do niego tylko nawoływania kumaków i niestrudzone cykanie świerszczy.

Czy umiałby to komuś wyjaśnić? Czy ktokolwiek potrafiłby zrozumieć?

Co czuje, kiedy Inna przybiega z sekretarzem i pokazuje z dumą okładkę „Business Weeka”. A on widzi swoją twarz.

Nie potrafi dzielić ich radości. Duma? Chyba nigdy nie była tak odległa. Mauri czuje, jak wstyd nawleka jego ciało na pal.

Stał się dupcią wystawioną na widok publiczny. Równie dobrze mógłby zostać „pucharem przechodnim” w więzieniu o zaostrozonym rygorze.

Kiedy Konfederacja Szwedzkich Przedsiębiorców i Zrzeszenie Pracodawców proponują mu cykl wykładów, kiedy stoi w auli wypełnionej uczestnikami, z których każdy zapłacił za wstęp trzydzieści tysięcy, nawet wtedy czuje się tylko kurwą.

Pokazują go jako dowód na to, że wszyscy mają równe szanse. Że każdemu może się powieść. Że każdy – jeśli tylko zechce – potrafi wspiąć się na szczyt, wystarczy przecież spojrzeć na Mauriego Kallisa.

Dzięki Mauriemu młodzi ludzie z Tensty czy Botkyrki^[21] oraz bumelanci ze środkowej Norlandii mogą mieć pretensje tylko i wyłącznie do siebie. Pozabierać im zasiłki, niech praca zacznie się opłacać! Dostarczyć im bodźca, by chcieli pójść w ślady chłopaka z Kiruny!

Nienagannie ubrani mężczyźni poklepują go po plecach, ściskają mu rękę. Mauri nigdy nie stanie się jednym z nich. Oni mają nazwiska, rody i stare majątki.

On jest i pozostanie parweniuszem pozbawionym stylu.

Pamięta, jak pierwszy raz spotkał matkę Ebby. Zaproszony do ich posiadłości. To był oczywiście imponujący widok, przynajmniej do dnia, w którym Mauri wejrzał w księgi rachunkowe i zrozumiał, że teściowie prowadzą u siebie działalność konferencyjną nie po to – jak podkreślała matka w wywiadzie dla „Gods & Gårdar” – by udostępniać innym obiekty dziedzictwa kulturowego, tylko po to, żeby w ogóle było ich stać na utrzymanie majątku.

W każdym razie, kiedy Mauri przyjechał tu pierwszy raz, miał ze sobą bukiet kwiatów i pudełko czekoladek Aladdin. Mimo upału – to była połowa lipca – włożył garnitur. Nie wyobrażał sobie, że można się ubrać inaczej, jadąc z wizytą do właścicieli takiego miejsca. Przecież mieszkali prawie w pałacu.

Kiedy przekazywał kwiaty i bombonierkę, matka Ebby obdarzyła go uśmiechem. Poblążliwym i lekko rozradowanym. Tanie pralinki gościa podano do kawy. Leżały rozmiękczone w pudełku. Nikt się nie skusił. Ogród przyszłej teściowej tonął w różach i innych kwiatkach. Jej okazałe kompozycje w pięknych wazonach zdobiły wnętrza. Mauri nie miał pojęcia, co się stało z jego marną wiązaną. Prawdopodobnie od razu skończyła w kompostowniku.

Później poszedł z Ebbą w stronę starego kąpieliska, przywitać się z jej ojcem. Na dachu budynku powiewała chorągiewka. To sygnał, że papcio się kąpie i nie należy mu przeszkadzać. Ale w drodze wyjątku – chłopak córki był tu przecież po raz pierwszy – wolno im było złożyć wizytę. Zmuszony upałem, Mauri ściągnął marynarkę. Przewiesił ją przez ramię. Koszula rozpięta pod szyją, krawat wepchnięty do kieszeni. Inni mieli na sobie lekkie, jasne ubrania. Niezobowiązujące, a jednocześnie drogie.

Ojciec Ebby wypoczywał na pomoście. Na widok młodych podniósł się z leżaka i przywitał serdecznie. Zupełnie nagi. W ogóle nieskrępowany. Gdzieś w dole dyndał swobodnie niewielki siusiak.

To Mauri nie pasował do sytuacji.

No, myśli teraz w środku gorącej afrykańskiej nocy, gdy w głowie tłoczą mu się wspomnienia doznanych w życiu porażek i upokorzeń, tamtego dnia przyszyły teść przyjął go nago ostatni raz. Kiedy po jakimś czasie przybiegł z kilkoma kompanami, by prosić zięcia o ulokowanie ich pieniędzy, miał garnitur i zaproszenie na lunch w restauracji Riche.

Mauri pamięta swój pierwszy lot nad północną Ugandą.

To była niewielka cessa. Mauri właśnie zaczął negocjacje z rządem ugandyjskim dotyczące kupna kopalni w Kilembe. Towarzyszili mu Inna i Diddi.

Wsiadając do samolotu, wymienili spojrzenia. Pilot był najwyraźniej pod wpływem narkotyków.

– Niektórzy już zafundowali sobie odlot – powiedziała głośno Inna.

Przecież i tak nikt nie rozumiał po szwedzku.

Zajmowali miejsca, chichocząc. Trzymali się kurczowo swej beztroski. Śmiali się śmierci w twarz.

Na początku podróży Mauri walczył ze strachem. Później było już tylko oczarowanie.

Gęsty las tropikalny pokrywał miękko wybrzuszone wzniesienia. W dolinach wśród gór wily się słodkowodne rzeki. A w tych rzekach, połyskując zielono, pływały krokodyle. Wokół pełno żywej czerwonej gleby i złota, które mogłyby wyżywić

wszystkich.

To było niezwykle duchowe przeżycie. Mauri czuł się jak księżę, który – rozłożywszy ramiona – szybował nad swoim królestwem.

Warkot silników chronił go przed rozmową z przyjaciółmi. Przetaczało się przez niego poczucie jedności z tym wszystkim, wypełniało go po brzegi.

Czy kiedykolwiek mógłby zostać kimś w Kanadzie?

Nie wspominając o Kirunie?

LKAB zawsze będzie najważniejszym aktorem na północy Szwecji. Nawet gdyby Mauri otworzył kopalnię, gdyby zaczął wydobywać, to i tak miałby problem ze zbytem. Wąskim gardłem była bowiem infrastruktura. Państwowy koncern okupował linię kolejową, a przecież zdarzało się, że jej przepustowość okazywała się zbyt mała, by przetransportować cały urobek LKAB. Człowiek musiałby cały czas stać tam z czapką w rękę i godzić się z tym, że go zwodzą.

Ale tutaj może zostać prawdziwym bogaczem. Kto pierwszy zacznie w Ugandzie, ten zbije majątek. I wybuduje miasta, drogi, linie kolejowe oraz elektrownie.

Później powiedział Innie i Diddiemu:

– Kopalnia to w zasadzie tylko błotnista dziura w ziemi. Ci ludzie nie mają sprzętu, kopią ręcznie. A mimo wszystko wydobywają wystarczająco dużo. Tam na dole leżą niepojęte bogactwa.

– I masa kłopotów – dodał Diddi.

– Oczywiście – odparł Mauri. – Ale gdyby nie problemy, to już by się tu roiło od strachliwych przedsiębiorców. A ja chcę być pierwszy. Kongo byłoby szaleństwem, ale tutaj?... W każdym razie Uganda podpisała międzynarodowe umowy, które chronią zagranicznych inwestorów. MIGA, OPIC...

– Zawsze można mieć nadzieję, że zależy im na finansowym wsparciu z Zachodu.

– Chcą tu przemysłu wydobywczego z prawdziwego zdarzenia. Siedzą na skarbach, ale brak im kompetencji, żeby je wydobyć. Pięć lat temu właśnie w tej kopalni milicja Hemów zastosowała dynamit. Mieli kilku biednych geologów, którzy

naturalnie im to odradzali, ale nikt ich nie słuchał. Pod ziemią zginęło wówczas ponad sto osób, jak szczury.

– Będą z tego kłopoty – powtórzył Diddi, nie kryjąc wątpliwości.

– Oczywiście – odpowiedział Mauri. – Liczę się z mnóstwem kłopotów. To przecież w naszym stylu.

– Jesteś moim panem – odezwała się Inna. – Uważam, że powinieneś kupić tę kopalnię.

Inna ucieka w sen, by nie czuć bólu poranionej twarzy. Mauri stoi w pokoju hotelowym przy otwartym oknie i słucha kumaków wśród ugandyjskiej nocy.

Gerhart Sneyers cały czas miał rację, myśli.

„Oni nie są w stanie samodzielnie wydobywać swoich bogactw naturalnych” – odzywa się Holender w jego głowie, wrzucając prawie wszystkie kraje afrykańskie do jednego worka – „ale też nie mogą ścierpieć, że nam to wychodzi, skoro od razu zaczynają udowadniać, że te bogactwa tak czy owak są ich własnością. Nie da się z nimi dyskutować”.

Mauriego mierzził wtedy trochę ten punkt widzenia; uważał Sneyersa za człowieka, który nie wyzbył się uprzedzeń i całkowicie zapomniał o historii kolonializmu w Afryce. Poza tym Gerhart nie cofał się przed takimi słowami, jak „czarnuchy”, i nazywał tutejsze państwa „upośledzonymi”.

Ale już w lipcu, po tragicznej śmierci belgijskich inżynierów, Mauri zrozumiał, że problemy w Ugandzie nie są przejściowe. Odłożył na półkę projekt w Kilembe, odwołał do domu zachodnioeuropejskich pracowników, przeszkolił dwustu mieszkańców okolicznych wiosek, zarówno kobiety, jak i mężczyzn, i zatrudnił ich do pilnowania terenu przedsiębiorstwa. Miesiąc później dowiedział się, że wszyscy uciekli i zostawili kopalnię na pastwę losu.

Żeby zachęcić innych inwestorów do udziału w projekcie, firma Kallis Mining obiecała im minimalny gwarantowany zysk. Momentalnie zgłosili się przedsiębiorcy, nie ukrywający żądań płacowych.

Po majowym spotkaniu w Miami Sneyers podał Mauriemu konto i polecił zasilić je środkami na późniejsze przedsięwzięcia.

– Tylko tak, żeby nie można ich było wytropić – uczulił.

Pierwszych przelewów na tajne konto Mauri dokonał już w lipcu. To były zyski z kilku rozproszonych sprzedaży. Wiedział, że bez względu na okoliczności będzie potrzebował pieniędzy na spełnienie przyszłych żądań inwestorów. Nie mógł sobie pozwolić na paniczne uwalnianie kapitału. To poważnie zaszkodziłoby wizerunkowi firmy. Wszyscy zwąchaliby pismo nosem. Z poufnych środków dofinansował też oddziały Kadagi w północnej Ugandzie. Generał zabezpieczył tereny wokół Kilembe i kilku innych kopalni. Według Sneyersa nie było to jednak rozwiązanie na dłuższą metę. „Kadaga może chronić kopalnie, ale nie infrastrukturę”, powiedział. Bezpieczny transport urobku jest w zasadzie niemożliwy. Poza tym w obecnej sytuacji wydobywanie surowców byłoby nielegalne. Niezbędne pozwolenia, które Kallis otrzymał kiedyś od tutejszych władz, przestały obowiązywać.

Dzisiejsze spotkanie z minister gospodarki przesądza sprawę. Jeżeli wcześniej Mauri się wahał, to teraz nabrał pewności. Próbował być uczciwy w kraju do cna skorumpowanym. Nadeszła pora, by skończyć z naiwnością.

Gerhart Sneyers ma rację. *Museveni is a dead end.*

Poza tym Museveni to dyktator i ciemieżca. Należałoby go postawić przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Myśl o usunięciu tego człowieka wzbudza w Maurim coraz mniejsze opory moralne.

Zamierza bronić swojej własności. Nie ugnie się przed nikim.

REBEKA MARTINSSON PRZEGLĄDAŁA pliki Örjana Bylund. Siedziała w łóżku z komputerem na kolanach. Włożyła piżamę i umyła zęby, choć ledwie minęła siódma. Bokserka badała wszystkie zakątki i zakamarki, od czasu do czasu wracała jednak do sypialni, głównie po to, by dreptać po klawiaturze laptopa.

– Słuchaj no, ty – powiedziała Rebeka, podnosząc ją i stawiając obok. – Jeśli nie będziesz grzeczna, poskarżę się Svenowi Erikowi.

W kominku buzował ogień. Ponieważ Rebeka paliła drewnem świerkowym, od czasu do czasu z paleniska dochodziły charakterystyczne trzaski. Za każdym razem Bokserka wzdygała się, wystraszona, ale też zaintrygowana.

Zdawać by się mogło, że myślała: co za potwór! Przez niedomknięty szyber płomień łytał czerwonym okiem.

Czego poszukiwał zmarły dziennikarz? Kiedy Rebeka wpisała w Google hasło „Kallis Mining”, otrzymała dwieście osiemdziesiąt tysięcy wyników. Przeglądając pliki cookie, sprawdzała, które z tych stron odwiedził Bylund.

Firma Kallisa była głównym akcjonariuszem spółki wydobywczej Northern Explore AB, notowanej na giełdzie. We wrześniu jej akcje raz rosły, raz spadały. Najpierw spółka inwestycyjna Quebec Invest sprzedała wszystkie swoje udziały, co spowodowało niepokój, i kurs zjechał ostro w dół. Później pojawił się raport o pozytywnych wynikach próbnych odwiertów pod Svappavaarą i cena akcji radośnie podskoczyła w górę.

Kto zyskuje na takich gwałtownych wahaniami kursu?, myślała. Ten, kto kupuje tanio i sprzedaje drożej, to oczywiście. *Follow the money.*

Jeden z artykułów wybranych przez Öryana Bylunda traktował o zarządzie Northern Explore, powołanym na nadzwyczajnym walnym zebraniu, po tym jak kanadyjska spółka sprzedała wszystkie udziały. Wśród nowych członków znalazł się mieszkaniec Kiruny.

Sven Israelsson w zarządzie Northern Explore – głosił tytuł.

Lekturę przerwał Rebecce telefon komórkowy, grający znajomą melodyjkę.

Wyświetlił się numer komórki Månsa.

Serce wykonało krótki program gimnastyczny, godny olimpijczyka.

– Halo, Martinsson – przywitał się Wenngren w typowy dla siebie, odrobinę rozwlekły sposób.

– Halo! – odparła, zastanawiając się gorączkowo, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Minęła cała wieczność, zanim wyrzuciła z siebie w końcu:

– Jak się masz?

– Świetnie. Wspaniale. Stoimy całą bandą na Arlandzie, przy odprawie.

– Aha, no tak... Fajnie.

Mężczyzna po drugiej stronie się roześmiał.

– Czasami trudno się z tobą rozmawia, Martinsson! Ale z pewnością będzie fajnie.

Chociaż przyroda wypada najlepiej w telewizji. Dobijesz do nas?

– Może. To trochę daleko.

Przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją Måns.

– Przyjedź. Chcę, żebyś przyjechała.

– Dlaczego?

– Bo zamierzam cię nakłonić, żebyś wróciła do biura.

– Nie wrócę.

– Teraz tak mówisz. Ale jeszcze nie zacząłem cię przekonywać. Zarezerwowaliśmy dla ciebie pokój z soboty na niedzielę. Możesz nam pokazać, jak się jeździ na nartach.

Zaśmiała się.

– W takim razie chyba przyjadę – powiedziała.

Poczuła ulgę. Spotkanie z byłymi koleżankami i kolegami nagle przestało wydawać się męczące. Zobaczy się z Månsem. On chce, żeby przyjechała. Ona, oczywiście, nie ma pojęcia o nartach zjazdowych. Nie było ich stać na takie, kiedy była dzieckiem. Poza tym kto miałby ją podwozić do miasta na trasę zjazdową? Ale to nie grało teraz żadnej roli.

– Muszę kończyć – odezwał się Måns. – Obiecujesz?

Obiecała. A on dodał ciepłym głosem:

– No to na razie, Martinsson. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia! – powtórzyła radośnie.

Rebeka znów wpatrywała się w ekran komputera. Sprzedaż wszystkich udziałów

Quebec Invest w Northern Explore dostrzeżono na scenie międzynarodowej. W angielskojęzycznym branżowym czasopiśmie „Prospecting & Mining” ukazał się niewielki artykuł, zatytułowany *Gra w cykora*. „Zrezygnowaliśmy za wcześnie”, przyznał przewodniczący zarządu Quebec Invest, komentując fakt, że wkrótce po wycofaniu się kanadyjskiej spółki firma Northern Explore odkryła pokłady miedzi i złota. Wyjaśnił również, że szwedzkie analizy próbných odwiertów wykazywały wiele braków i akcjonariuszom spółki trudno było ocenić prawdopodobieństwo odkrycia złóż, które nadawałyby się do eksploatacji. Na koniec dodał, że dalsza współpraca między Kallis Mining a Quebec Invest raczej nie wchodzi w rachubę.

Dlaczego?, zastanawiała się Rebeka. Powinni raczej mieć ochotę na jeszcze jedno podejście, tym bardziej że firma Kallisa po raz kolejny odniosła sukces.

No i kim jest ten Sven Israelsson, nowy członek zarządu? Dlaczego Bylund przejrzał w Internecie tak dużo artykułów na jego temat?

Rebeka wpisała nazwisko Israelsson w okno wyszukiwarki i znalazła mnóstwo ciekawych tekstów. Czytała dalej.

Bokserka skupiła się zaś na guziku, który zwisał luźno z pizamy tymczasowej pani. Najpierw pacnęła plastikowy krążek i przyglądała się jego wahadłowemu ruchom, by po chwili złapać go między łapki i wbić weń ząbki. Ta mała była groźną morderczynią. Guzik nie miał najmniejszych szans.

O wpół do ósmej Rebeka zadzwoniła do prokuratora rejonowego.

– Czy wiesz, czym zajmował się Sven Israelsson, zanim został wybrany do zarządu Northern Explore? – zapytała.

– Nie – odparł Alf Björnfot, wyłączając telewizor. I tak tylko przerzucał kanały w poszukiwaniu czegoś, co nadawało się do oglądania.

– Był szefem laboratorium Skandinavisk Grundämnesanalys AB w Kirunie, spółki, której dwa lata temu o mały włos nie kupili Amerykanie. Na scenę wkroczył wówczas Mauri Kallis, wykupił połowę udziałów w SGAB, i w ten sposób pozwolił jej zostać w Szwecji. To dość interesujące, zważywszy, że pewna kanadyjska spółka inwestycyjna,

Quebec Invest, w ubiegłym roku sprzedała wszystkie udziały w firmie Northern Explore, a zaraz potem Northern Explore ogłosiła, że pod Svappavaarą znalazła pokłady miedzi i złota w ilościach, które nadają się do eksploatacji.

– Aha... A Sven Israelsson jest w to zamieszany... w jaki sposób?

– Myślę tak: Sven Israelsson jest szefem laboratorium, które analizuje próbne odwierty Northern Explore pod Svappavaarą. Prawdopodobnie cechuje go wyjątkowa lojalność wobec Kallis Mining, ponieważ ta firma – wchodząc z kapitałem – uratowała SGAB od wykupienia przez Amerykanów. Gdyby nie Kallis, ludzie Israelssona albo straciliby pracę, albo musieliby przeprowadzić się do Stanów. W artykule, który znalazłam w sieci, skwaszony szef Quebec Invest żali się, że analizy próbnych odwiertów pozostawiały wiele do życzenia, a na koniec oznajmia, że przyszła współpraca między jego spółką a Kallis Mining raczej nie wchodzi w grę. Ciekawe, skąd te fochy, prawda?

– Ciekawe? – Alf Björnfort nie miał wątpliwości. – Przecież stracili masę pieniędzy, bo za wcześnie sprzedali akcje.

– No tak, tak. Tylko że tego typu inwestorzy są przyzwyczajeni do ryzyka. Zdają sobie sprawę, że czasami coś może nie wyjść, i zazwyczaj nie jęczą, kiedy dzwonią do nich dziennikarze. A Sven Israelsson zostaje wybrany do zarządu spółki będącej filią Kallis Mining. To oczywiście musi trochę potrwać; najpierw trzeba dostać koncesję, później rozpocząć eksploatację, ale kiedy wszystko będzie gotowe, Northern Explore przerodzi się w firmę o miliardowych zyskach. Sven Israelsson jest chemikiem w niewielkim laboratorium. W jaki sposób zakwalifikował się na stanowisko członka zarządu w tak prężnej spółce? Coś tu się nie zgadza. Ale myślę tak: Israelsson miał nieograniczone możliwości, by manipulować analizami próbnych odwiertów. Sądzę, że mógł zataić pozytywne wyniki, i w ten sposób pomógł Kallisowi wymanewrować znaczącego współudziałowca firmy. Może już wcześniej dali Kanadyjczykom do zrozumienia, że wyniki będą negatywne? Zarząd Quebec Invest w panice sprzedał udziały z obawy przed jeszcze większymi stratami. Po wycofaniu się Kanadyjczyków kurs poszedł oczywiście w dół. Ale miesiąc później spółka Northern Explore ogłosiła pozytywne rezultaty próbnych odwiertów. Może dlatego szef Quebec

Invest żalił się dziennikarzom i nie widział szans na przyszłą współpracę z Kallisem? Czuł, że najzwyczajniej w świecie zrobiono go w balona. A jeżeli ktoś w grupie Kallisa albo sam Sven Israelsson kupił akcje Northern Explore, zanim publicznie ogłoszono pozytywne wyniki odwiertów, to mamy do czynienia z przestępstwem wykorzystania informacji poufnej. Myślę, że funkcję członka zarządu... a wiadomo, co się z tym wiąże – wynagrodzenie, bonusy i tak dalej... myślę, że tę funkcję powierzono Israelssonowi w podzięce za pomoc. A poza tym...

Rebeka zrobiła krótką, efektowną pauzę.

– W listopadzie Sven Israelsson kupił nowiusienkie audi. Właśnie wtedy, gdy akcje Northern Explore wzrosły o trzysta procent. W porównaniu z kursem sprzed spadku.

– Nowy samochód – powiedział Alf Björnfort, podniósł się z kanapy i zaczął wkładać buty, trzymając bezprzewodowy telefon między uchem a barkiem. – Zawsze sprawiają sobie nowy samochód.

– Wiem.

– No to widzimy się za kwadrans – zarządził, wkładając kurtkę.

– Gdzie?

– U Israelssona, oczywiście. Masz adres?

Sven Israelsson mieszkał w czerwono-brunatnej drewnianej willi na Matojärvigatan. W zwałach śniegu widać było korytarz drążony przez dzieci. Porzucone łopatkę świadczyły o tym, że mali budowniczowie przerwali pracę w pośpiechu, wezwani na obiad albo dobranockę.

Ku zaskoczeniu Rebeki, gospodarz okazał się mężczyzną w wieku czterdziestu lat. Wyobrażała go sobie jako o wiele starszego. Miał gęste, ciemne, lekko szpakowate włosy i wysportowaną, jędrną sylwetkę pływaka lub maratończyka.

Alf Björnfort przedstawił siebie i koleżankę ze wszystkimi należnymi tytułami. Prokurator rejonowy w towarzystwie asesora prokuratury zwykle wzbudzały w ludziach postrach. Jednak Sven Israelsson nie wyglądał na załękniętego. Przez jego

twarz przemknęło raczej coś w rodzaju rezygnacji. Jak gdyby od dawna czekał, aż prawo zastuka do drzwi. Szybko zebrał się w sobie.

– Zapraszam do środka! – powiedział. – Proszę nie ściągać butów, przecież to tylko czysty śnieg.

– Pracuje pan w laboratorium Skandinavisk Grundämnesanalys AB – zaczął Alf Björnfort, kiedy usiedli przy stole w kuchni.

– Zgadza się.

– Które w pięćdziesięciu procentach jest w posiadaniu Kallis Mining.

– Tak.

– W zimie został pan członkiem zarządu Northern Explore AB, która jest filią Kallis Mining.

Israelsson skinął głową.

– Jesienią kanadyjska spółka inwestycyjna Quebec Invest sprzedała wszystkie udziały w Northern Explore. Z jakiego powodu?

– Nie wiem. Może nagle strach ich obleciał? Może nie mieli odwagi czekać na ostateczne wyniki próbnych odwiertów? Może obawiali się gwałtownego spadku kursu, gdyby poszukiwania nie przyniosły oczekiwanego rezultatu?

– Szef Quebec Invest powiedział w wywiadzie, że nie potrafi sobie wyobrazić przyszłej współpracy z Kallis Mining – wtrąciła Rebeka. – Jak pan myśli, dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– W listopadzie kupił pan nowe audi – powiedział Björnfort. – Skąd pochodziły pieniądze?

– Jestem o coś podejrzany? – zapytał Israelsson.

– Formalnie jeszcze nie – odparł prokurator rejonowy.

– Pewne okoliczności związane z tą historią wskazują na przestępstwo wykorzystania informacji poufnej albo pomocnictwo w przestępstwie – wyjaśniła Rebeka.

Odmierzyła pięć centymetrów między kciukiem a palcem wskazującym.

– Tyle mi brakuje, by dojść, kto kupił akcje w tym krótkim okresie między sprzedażą udziałów przez Quebec a upublicznieniem pozytywnych wyników odwiertów – oznajmiła. – Tego typu transakcje często są dokonywane w niewielkich ilościach, przy pomocy różnych pośredników i zarządców. Rutynowa kontrola Inspekcji Finansowej nie jest wtedy w stanie nic wykazać. Ale ja przejrzę każdą operację handlową w tym okresie. I jeśli wśród kupców znajdę pana albo kogoś z Kallis Mining, nie uniknie pan oskarżenia.

Sven Israelsson poruszył się na krześle. Wyglądało na to, że szuka słów.

– Niestety, sytuacja jest jeszcze poważniejsza – przerwał ciszę Alf Björnfort. – Muszę panu zadać kolejne pytanie. I proszę, niech pan nie kłamie, bo te informacje też możemy sprawdzić w inny sposób. Czy skontaktował się z panem dziennikarzem, Örjanem Bylundem, i pytał o tę historię?

Israelsson zastanawiał się przez moment.

– Tak.

– Co mu pan powiedział?

– Nic. Zaproponowałem, żeby zwrócił się z pytaniami do Kallis Mining.

Inna Wattrang była tam szefową do spraw informacji, pomyślała Rebeka.

– Örjan Bylund został zamordowany – powiedział Björnfort bez ogródek.

– Co pan, kurde, mówi? – spytał z niedowierzaniem Israelsson. – Przecież umarł na zawał serca.

– Niestety, nie. Zamordowano go, ponieważ zaczął dociekać prawdy, właśnie gdy chodzi o tę historię.

Israelsson pobladł. Obiema rękami chwycił się krawędzi stołu.

– Spokojnie. Nie sądzę, żeby miał pan z tym coś wspólnego. Ale chyba pan rozumie, że to poważna sprawa. Nie lepiej wszystko nam teraz opowiedzieć? Jestem przekonany, że sprawi to panu ulgę.

Sven Israelsson ponownie skinął głową.

– Mielśmy w laboratorium chłopaka – odezwał się po chwili. – Okazało się, że

przekazuje informacje Kanadyjczykom z Quebec Invest.

– Jak się o tym dowiedzieliście?

Israelsson uśmiechnął się krzywo.

– Zupełnie przypadkowo. Chłopak siedział w domu i rozmawiał z szefem Quebec przez telefon stacjonarny. Ale w kieszeni miał komórkę. Zapomniał zablokować w niej klawiaturę. Wcisnął niechcący ostatni wybrany numer, do kolegi z pracy, a kolega usłyszał wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, o co chodzi.

– I co pan zrobił?

– Kolega, który usłyszał tę rozmowę, opowiedział mi o niej. A kiedy nadeszła odpowiednia pora, kapuś otrzymał nieprawdziwe informacje.

– A dokładniej?

– To był krytyczny moment w poszukiwaniach pod Svappavaarą. Wszystko wskazywało na to, że Northern Explore nic nie znajdzie. Zrobili sporą część pomiarów siedemset metrów pod ziemią. Koszty wzrosły niebotycznie. W końcu zaczęli wiercić na głębokości prawie tysiąca metrów. To była ostatnia szansa w tym rejonie. Wszystko zależało od wyników. Na takie zaawansowane odwierty mogą sobie pozwolić jedynie najwięksi aktorzy na rynku. Boże drogi, istnieje cała masa małych przedsiębiorstw, które stać tylko na rozpoznawcze badania lotnicze. Później wysyłają na miejsce piesze patrole, które pobierają próbki gruntu.

– Wtedy znaleziono złoto.

– Ponad pięć gramów na tonę, to bardzo dobry wynik. Oprócz tego kilka procent miedzi. Tylko że ja sfałszowałem raport. Napisałem, że nic nie znaleźliśmy i można wyjść z założenia, że w tym rejonie nie ma złóż surowców, które nadawałyby się do eksploatacji. Zadbalem też o to, żeby nasz kapuś ten raport zobaczył. Godzinę później Quebec Invest sprzedał udziały w Northern Explore.

– A co się stało z donosicielem?

– Porozmawiałem z nim i... po tej rozmowie złożył wypowiedzenie. To wszystko.

Alf Björnfot zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

– Czy rozmawiał pan o tym z kimś z Kallis Mining? O przeciekach? O udzielaniu fałszywych informacji?

Sven Israelsson się zawahał.

– Dziennikarz Örjan Bylund został zamordowany, Inna Wattrang również – przypomniał prokurator. – Nie wykluczamy, że te dwa zdarzenia mają ze sobą coś wspólnego. Im szybciej prawda wyjdzie na jaw, tym większe mamy szanse na znalezienie sprawcy.

Alf Björnfort rozparł się na krześle i czekał. Przed sobą miał człowieka z sumieniem. Biedaczysko.

– Wymyśliliśmy to do spółki z Diddim Wattrangiem – wyznał w końcu Israelsson.

Spojrzał na gości z niemą prośbą.

– To, co mówił, brzmiało tak słusznie i przekonująco. Ludzi z Quebec Invest nazwał oszustami. Powiedział też coś, nad czym sam wcześniej rozmyślałem, w odniesieniu do zagranicznych inwestorów. Że oni nie są zainteresowani eksploatacją złóż w naszym rejonie. Interesują ich tylko szybkie pieniądze. Zarabiają na pozwoleniach i koncesjach, ale nie są przedsiębiorcami. Nawet gdyby się okazało, że eksploatacja tych nowych złóż jest opłacalna, to i tak nic się nie zmieni. Prawa do wydobycia ciągle będą odsprzedawane, ale do wydobycia nikt się nie będzie kwapił. Albo wyczerpią się środki – otwarcie kopalni kosztuje co najmniej ćwierć miliarda – albo zabraknie przekonania, że „przecież sobie, kurde, poradzimy!”. Ci wszyscy zagraniczni inwestorzy nic do tych rejonów nie czują. Co ich obchodzi tutejsi ludzie i ich miejsca pracy?

Sven Israelsson uśmiechnął się krzywo.

– A Mauri Kallis, co Diddi ciągle podkreślał, pochodzi właśnie stąd. Ma duszę przedsiębiorcy i nie brak mu ani zapału, ani pieniędzy. Szansa na to, że po wyeliminowaniu Quebec Invest powstanie tu kopalnia, wzrosłaby o sto procent. Już po fakcie często o tym wszystkim myślałem. Każdego dnia. Ciągle przekonany, że nasze postępowanie jest moralnie uzasadnione. Łajdakami byli ludzie z Quebec Invest. To oni mieli u nas kapusia. Cholerni szkodnicy!, myślałem. Okradamy przecież

złodziei. Oszukujemy oszustów. Odpłacamy tylko pięknym za nadobne. A oni nie odważą się na ujawnienie prawdy, bo wtedy ujawniliby swoje nieczyste zamiary.

Sven Israelsson umilkł. Alf Björnfort i Rebeka Martinsson patrzyli na człowieka, do którego dotarło, że to koniec. Wszystko, co go teraz czekało, w jego wyobraźni zaczęło przybierać realne kształty. Utrata pracy. Oskarżenie. Ludzkie języki.

– Kiedy dostałem propozycję członkostwa w zarządzie – powiedział, wycierając pospiesznie łzy – uznałem to za dowód, że Kallis Mining faktycznie zamierza zainwestować tutaj, na północy kraju. Że Kallisowi zależy na lokalnym zakorzenieniu. Ale kiedy dostałem pieniądze... w kopercie, nie przelewem... to poczułem się... tak sobie. Kupiłem samochód i za każdym razem, gdy do niego wsiadam...

Przerwał zdanie i tylko pokręcił głową.

Człowiek z sumieniem, pomyślał jeszcze raz Alf Björnfort.

– No i proszę! – podsumował prokurator, opuszczając z Rebeką dom Israelssona.

– Musimy zadzwonić do Anny Marii i Svena Erika – odparła Martinsson. – Niech wezwą Diddiego Wattranga na przesłuchanie. Jest podejrzany o wykorzystanie informacji poufnej.

– Anna Maria dzwoniła do mnie wcześniej. Watrang jest w Kanadzie. Ale i tak się do niej odezwę. Kiedy już zbierzemy dane o sprzedaży tych akcji, możemy poprosić kanadyjską policję o pomoc w jego zatrzymaniu.

– Jakie masz teraz plany? – spytała Rebeka. – Nie pojechałbyś ze mną do Kurravaary? Obiecałam sąsiadowi, że zrobię mu zakupy. Czeka na mnie z kawą. Na pewno się ucieszy, że cię przyprowadziłam.

Sivving rzeczywiście ucieszył się na widok gości. Lubił pogawędki z nowymi ludźmi. Dość szybko ustalił z prokuratorem, że wprawdzie nie są spokrewnieni, ale mają pokązną grupę wspólnych znajomych.

– No, wygląda na to, że dobrze się tu panu żyje – stwierdził Alf Björnfort,

rozglądając się po kotłowni.

Bella leżała na posłaniu, spoglądając ze smutkiem na ludzi siedzących przy stole. Zajadali się pysznym chlebem z masłem i serem.

– Tak, tutaj na dole życie płynie jakby lżej – odpowiedział Sivving filozoficznie, maczając kanapkę w kawie. – Bo co człowiekowi jest niezbędnie potrzebne? Łóżko i stół. No, dobrze, mam też telewizor, choć rzadko pokazują coś ciekawego. I ubrania. Po dwa każdego rodzaju. Nie więcej! Znam takich, co radzą sobie z jeszcze mniejszą ilością ciuchów, ale ja nie chciałbym siedzieć w domu tylko dlatego, że akurat zrobiłem pranie. Gwoli ścisłości, slipów mam pięć par, tak jak skarpet.

Rebeka się roześmiała.

– A może powinieneś mieć mniej? – podsunęła, spoglądając wymownie na dziurawe skarpety i wysłużone slipy wiszące na sznurze do prania.

– Eh, wy, kobiety! – zawtórował jej Sivving, szukając wzrokiem poparcia u prokuratora. – Kto się tam przejmuje, co noszę pod spodem? Maj Lis, owszem, zawsze musiała mieć wszystko czyste i ładne. Nie ze względu na mnie, o nie! Tylko na wypadek, gdyby ją potracił samochód i musiałaby pojechać do szpitala.

– I słusznie – przyznał Alf Björnfort ze śmiechem. – Bo co by to było, gdyby doktor zobaczył brudną bieliznę albo dziurę w skarpecie!

– Słuchaj no, dziewczyno! – zawołał Sivving do Rebeki. – Wyłącz ten komputer i przysiądź się do nas.

– Zaraz – odpowiedziała Rebeka.

Wpatrzona w ekran laptopa, badała sytuację finansową rodziny Diddiego Wattranga.

– Maj Lis – spytał Alf Björnfort – to pańska żona?

– Tak. Zmarła na raka pięć lat temu.

– Popatrz tutaj – odezwała się Rebeka i przysunęła komputer do kolegi. – Diddi Wattrang zawsze wykorzystywał swój limit kredytowy, minus pięćdziesiąt, minus pięćdziesiąt; pod koniec miesiąca zawsze to samo, od wielu lat. Ale wkrótce po tym,

jak Northern Explore AB znalazła złoto, jego żona została zanotowana w rejestrze pojazdów jako właścicielka hummera.

– Zawsze kupują samochody! – powtórzył prokurator.

– Też bym chciał mieć taki – powiedział Sivving. – Ile musiałbym zapłacić? Siedemset tysięcy?

– Diddi Watrang dopuścił się przestępstwa wykorzystania informacji poufnej. I tak się zastanawiam, czy to nie ma związku z morderstwem jego siostry.

– Może złapała go na gorącym uczynku i groziła ujawnieniem tajemnicy? – zaproponował Björnfort.

Po chwili zwrócił się znów do Sivvinga:

– Czyli pan z żoną byli sąsiadami babci Rebeki, tak?

– Tak. Rebeka spędziła tutaj prawie całe dzieciństwo.

– Aha. A dlaczego? Rebeko, twoi rodzice wcześniej zmarli? – zapytał Alf Björnfort bez ogródek.

Sivving podniósł się gwałtownie z krzesła.

– Czy ktoś życzy sobie kanapkę z jajkami? Mam ugotowane w lodówce. Z rana.

– Tato zmarł, zanim skończyłam osiem lat – odparła Rebeka. – Obsługiwał kombajn leśny. Pewnego dnia w zimie zaczął mu przeciekać przewód hydrauliczny. Nie wiadomo dokładnie, co się stało, tato był tam sam. Wysiadł z kabiny i prawdopodobnie poruszył przewodem, a ten się zerwał.

– Ożeż, kurna! – wykrzyknął Alf Björnfort. – Gorący olej hydrauliczny!

– Mhm, w dodatku pod ogromnym ciśnieniem. Trysnął prosto na niego. Podobno zmarł od razu.

Rebeka wzruszyła ramionami. Oznajmiła tym gestem, że to było dawno temu. Że nabrała do tego dystansu.

– Wiem, nieuważnie i nieostrożnie – powiedziała lekkim tonem – ale wszyscy tak się czasami zachowujemy.

Chociaż nie powinien był postępować w taki sposób, pomyślała ze wzrokiem

utkwionym w ekran komputera. Potrzebowałam go. Powinien był kochać mnie tak bardzo, żeby nie pozwalać sobie na nieostrożność i nieuwagę.

– To się mogło przytrafić każdemu – zaprotestował Sivving, nie chcąc, by Rebeka dyskredytowała ojca przed obcym. – Człowiek jest zmęczony, wysiada z maszyny, na zewnątrz mróz; wtedy było minus dwadzieścia pięć stopni. I z pewnością zestresowany. Jak maszyna stanie, to wiadomo: nie będzie pieniędzy.

– A mama? – dociekał prokurator.

– Rodzice rozwiedli się rok przed śmiercią taty. Miałam dwanaście lat, kiedy mama zmarła. Mieszkała na Wyspach Alandzkich, a ja tutaj z babcią. Wpadła pod samochód ciężarowy.

Jest przedwiośnie. Wkrótce Rebeka skończy dwanaście lat. Razem z innymi dziećmi ze wsi skakała z dachu obory. Prosto w śnieg. Jest cała przemoczona, skórzane botki są pełne wodnistej brei. Biegnie do domu, żeby się przebrać.

Do domu, to znaczy do babci. Najpierw po śmierci taty mieszkała u mamy, trochę ponad rok. Na początku było dość chaotycznie. Mama często wyjeżdżała służbowo. Zostawiała więc Rebekę u babci; czasami dlatego że musiała pracować, czasami dlatego że czuła się zmęczona. A kiedy po nią przychodziła, była ponura i zła. Głównie na babcię, chociaż przecież sama prosiła ją o opiekę nad wnuczką.

Kiedy Rebeka przemoczona do suchej nitki wchodzi do kuchni, mama siedzi przy stole. W fantastycznym humorze. Zaróżowione policzki i profesjonalnie ufarbowane włosy, u fryzjerki, a nie – jak zwykle – u jakiejś koleżanki.

Poznała nowego mężczyznę, mówi. Mężczyzna mieszka na Wyspach Alandzkich i pragnie, by mama z Rebeką przeprowadziły się do niego.

Mama opowiada o pięknym domu. O dzieciach w sąsiedztwie. Rebeka będzie miała mnóstwo nowych koleżanek i kolegów.

Ale ona czuje, że coś ją kluje pod sercem. Przecież dom babci też jest piękny. Rebeka chce w nim zostać. Nie chce nigdzie wyjeżdżać.

Spogląda na babcię. Babcia nic nie mówi, ale zatrzymuje wzrok w jej oczach.

– Nigdy – odpowiada Rebeka.

W tej samej chwili, w której owo ciche słowo wyrывa się z jej ust, Rebeka czuje, jak bardzo jest prawdziwe. Bo ona nigdy się z mamą nie przeprowadzi. Nigdy i nigdzie. Zostanie tutaj, w Kurravaarze. Na mamie nie można polegać. Jednego dnia tryska energią, tak jak teraz. Wszystkie koleżanki Rebeki uważają, że jest piękna i ładnie ubrana. Poza tym rozmawia ze starszymi dziewczynami na dziedzińcu szkoły. Kiedyś Rebeka usłyszała, jak jedna z nich westchnęła: „Też chciałabym mieć taką starą. Która przynajmniej coś rozumie”.

Ale Rebeka wie o mamie trochę więcej. Są dni, kiedy cały czas leży w łóżku i na nic nie ma siły. Rebeka wyręcza ją wtedy w zakupach, żyje o chlebie i wodzie i nie śmie nic robić, bo cokolwiek zrobi, będzie źle.

Mama z całych sił próbuje przekonać córkę do przeprowadzki. Namawia ją najcieplejszym głosem. Próbuje ją przytulać, ale Rebeka ucieka. Broni się. Nieustannie kręci głową. Widzi, jak mama spogląda z wyrzutem na babcię, jak czeka na potwierdzenie swoich słów:

– Babci brakuje już sił, nie możesz tutaj mieszkać cały czas. To ja jestem twoją mamą.

Ale babcia się nie odzywa. Rebeka wie, co to znaczy: babcia jest po jej stronie.

Po dłuższej chwili łagodności i słodczy w zachowaniu mamy następuje diametralna zmiana.

– No, to zostań! – warczy. – Olej mnie!

I zaczyna się skarżyć, jak to po śmierci taty musiała brać nadgodziny, żeby starczyło pieniędzy na nowe kurtki Rebeki, a przecież mogłaby zdobyć lepsze wykształcenie, gdyby nie ta odpowiedzialność.

Rebeka i babcia milczą.

Milczą jeszcze długo po wyjeździe mamy. Później idą razem do obory. Kiedy babcia zręcznymi ruchami pociąga za strzyki, Rebeka podtrzymuje ogon. Tak jak dawniej, gdy była mała. Żadna z nich się nie odzywa. Ale kiedy nagle ciszę przerywa

głośne czknięcie dojrzałej krowy, wybuchają śmiechem.

A potem jest już prawie tak jak zwykle.

Mama się przeprowadza. Przesyła pocztówkę z Wysp Alandzkich i opisuje, jak wspaniale się tam żyje. Rebeka czyta ze wzbierającą w sercu tęsknotą. Nie znajduje ani jednego słowa o tym, że mama za nią tęskni. Albo że chociaż ją lubi. Za to dużo o wycieczkach, łodziach oraz jabłoniach i gruszech rosnących w ogrodzie.

W środku lata przychodzi list. Będziesz miała rodzeństwo, pisze mama. Babcia też czyta. Siedzi przy stole w kuchni; na nosie ma stare okulary do czytania, które kiedyś należały do jej syna; kupił je na stacji benzynowej.

– *Jesus siunakhoon ja Jumala varjelkhoon!* – mówi, odkładając zapisany papier.
– Błogosław, Jezu, i strzeż, Panie Boże!

Kto mi powiedział o jej śmierci?, zastanawia się Rebeka. Nie pamiętam. Tak mało pamiętam z tamtej jesieni. Ale niektóre sceny wbiły mi się w pamięć.

Rebeka leży na rozkładanej sofie we wnęce pokoju. Jussi tym razem nie ogrzewa jej stóp, ponieważ w kuchni siedzi gość, a wtedy pies zazwyczaj kładzie się pod stołem. Przychodzi do łóżka Rebeki tylko wtedy, gdy babcia jest w oborze albo śpi.

Maj Lis i babcia myślą, że wnuczka już zasnęła, ale to nieprawda. Babcia płacze. Płacze, przykładając do twarzy kuchenną ściereczkę. Rebeka rozumie: babcia chce stłumić łkanie, żeby jej nie obudzić.

Nigdy nie widziała ani nie słyszała babcinego płaczu. Nawet po śmierci taty. Jej szloch napawa ją lękiem i niepewnością. Bo jeśli babcia płacze, to znaczy, że wali się świat.

Maj Lis siedzi po drugiej stronie i mamrocze słowa pocieszenia.

– Myślę, że to nie był wypadek – mówi babcia. – Kierowca powiedział, że zanim weszła pod koła, popatrzyła mu w oczy.

– Musiało być ci ciężko, kiedy jako dziecko straciłaś obydwój rodziców – powiedział Alf Björnfort.

Sivving stał ciągle przy lodówce. Niezdecydowany, z jajkami w rękach.

Kiedy myślę o tym, co było później, robi mi się wstyd, uświadomiła sobie Rebeka. Wołałabym zachować w pamięci bardziej odpowiednie obrazy. Mała dziewczynka przy grobie, łyżki na policzkach, kwiaty na trumnie. Rysunki przedstawiające mamusię w niebie, cokolwiek. Ale byłam zupełnie oziębła.

– Rebeko! – upomina ją pani w klasie.

Jakżeż ona miała na imię? Eila!

– Rebeko – mówi pani Eila. – Znowu nie odrobiłaś zadania. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wczoraj? Pamiętasz, jak mi obiecałaś, że zaczniesz się przykładać do nauki?

Pani Eila jest miła. Ma kręcone włosy i ładny uśmiech.

– Próbuje – odpowiada Rebeka. – Ale jak pomyślę, że moja mamusia nie żyje, to nie potrafię...

Spuszcza wzrok, jak gdyby zaraz miała zacząć płakać. Lecz to tylko gra.

Nauczycielka milknie, głaszcząc ją po głowie.

– Dobrze, już dobrze. Prędzej czy później zdążysz nadrobić zaległości.

Rebeka jest zadowolona. Nie ma ochoty ślęczeć nad matmą. Znowu jej się upiekło.

Innym razem. Ukryła się w drewnitni. Słońce sączy się przez szpary między deskami. Delikatne zasłony kurzu nieustannie wznoszą się ku światłu.

Lena, córka Sivvinga, i jego żona, Maj Lis, wołają: Rebeko! Ale ona nie odpowiada. Chce, żeby już nigdy nie przestały jej szukać. Czuje, jak ogarnia ją złość i rozczarowanie, kiedy nawoływania w końcu cichną.

Jeszcze innym razem bawi się nad brzegiem rzeki. Udaje, że wbija młotkiem gwoździe. Buduje tratwę. Płynie nią w dół rzeki. Wie, że Torneälven uchodzi do Bałtyku. Przeprowia się przez morze, żegluję wzdłuż wybrzeża Finlandii i w końcu dobiega do Wysp Alandzkich. Schodzi na ląd i autostopem dociera do miasta, w którym mieszka mama. Do jej nowego, pięknego domu. Naciska dzwonek u drzwi. Otwiera jakiś jegomość, który nic nie pojmuję. „Gdzie jest mama?“, pyta Rebeka. „Na spacerze“, odpowiada mężczyzna. Rebeka biegnie. Nie ma chwili do stracenia. W ostatniej sekundzie chwytą mamę, która właśnie próbuje wtargnąć na jezdnię. Ciężarówka przejeżdża tuż obok nich; czują gwałtowny podmuch powietrza. Udało się! Rebeka uratowała jej życie. „O mały włos nie zginęłam“, mówi mama. „Moja zuch dziewczyna!”

– Nie pamiętam, żebym była smutna – odpowiedziała koledze Rebeka. – Mieszkałam tutaj z babcią. Wokół siebie miałam wielu wspinających dorosłych. Wydaje mi się, że to nawet wykorzystywałam. Szybko pojęłam, że kiedy mnie żałują, wtedy poświęcają mi więcej uwagi.

Alf Björnfort popatrzył na nią bez przekonania.

– Ależ dziewczyno! – wykrzyknął. – Współczuli ci nie bez powodu. A ty bez wątpienia zasłużyłaś na odrobinę dodatkowej uwagi.

– Co ty wygadujesz?! – wtrącił się Sivving. – Niczego nie wykorzystywałaś. Nie myśl już o tym, proszę. Było, minęło.

ESTER KALLIS SIEDZIAŁA na podłodze w swoim pokoju na poddaszu. Obejmowała rękami kolana i próbowała zebrać się w sobie.

Miała pójść do kuchni po garnek z makaronem.

Ale ciągle zwlekała. W posiadłości wrzała praca, wszędzie roilo się od ludzi. Wynajęty personel do obsługi gości, kucharz przygotowujący potrawy. Na dziedzińcu mężczyźni ze sprzętem komunikacyjnym i bronią. Przed chwilą słyszała, jak rozmawia z nimi Mikael Wiik; stali dokładnie pod jej uchylonym oknem.

– Chcę mieć uzbrojonych strażników przy bramie. Nie dlatego, że będą potrzebni, tylko po to, żeby zapewnić gościom klienta poczucie bezpieczeństwa. Zrozumiano? Oni często poruszają się po niespokojnych rejonach, ale nawet u siebie, w Niemczech, Belgii czy USA, są przyzwyczajeni do widoku ochroniarzy. No, więc na dzień dobry chcę mieć dwóch ludzi przy bramie wjazdowej i dwóch tutaj, pod domem. Kiedy wejdą do środka, zajmiemy odpowiednie pozycje.

Muszę w końcu przynieść ten garnek z makaronem, pomyślała Ester. Nie ma się nad czym zastanawiać.

Zeszła po schodach prowadzących na poddasze, minęła sypialnię Mauriego i zbiegła po dębowych stopniach na parter.

Przebiegła hol wyłożony szerokim perskim dywanem, przeszła obok swego odbicia, nie spojrzawszy nawet w ciężkie, osiemnastowieczne zwierciadło, i wkroczyła do kuchni.

W środku Ebba Kallis rozmawiała z kucharzem o wyborze wina, a od czasu do czasu wydawała polecenia pozostałemu personelowi. Obok, przy marmurowym blacie, Ulrika Wattrang kończyła aranżację kwiatową w gigantycznym wazonie. W prosto skrojonych wieczorowych sukienkach i białych fartuszkach obie kobiety wyglądały jak wycięte z żurnala.

Ebba stała plecami do drzwi. Wchodzącą do kuchni Ester zauważyła więc najpierw Ulrika. Uniesionymi brwiami dała znak Ebbie, która odwróciła się błyskawicznie.

– O, cześć! – przywitała dziewczynę życzliwym tonem i wymuszonym uśmiechem. – Nie nakryłam dla ciebie, bo pomyślałam, że z pewnością nie masz ochoty na takie towarzystwo. Te rozmowy o interesach... Nudne jak flaki z olejem. Ulrika i ja zostałyśmy odkomenderowane.

Ulrika przewróciła oczami, żeby zademonstrować, jak uciążliwa jest ta przymusowa obecność.

– Przyszłam tylko po makaron – odpowiedziała cicho Ester.

Oczy wbite w podłogę. Klucie w stopach. Nie potrafiła spojrzeć na żonę Mauriego.

– Ależ oczywiście, że dostaniesz coś do jedzenia! – wybuchła Ebba. – Podamy

ci kolację do pokoju.

– O Boże, super! – wykrzyknęła Ulrika. – Czy ja też mogę dostać taką tackę? Leżałabym sobie, oglądała film i objadała się smakołykami.

Zaśmiały się, odrobinę zażenowane.

– Przyszłam tylko po makaron – powtórzyła uparcie Ester.

Otworzyła lodówkę i wyjęła duży garnek z masą ugotowanych węglowodanów.

Popatrzyła na Ulrikę. Nie potrafiła temu zaradzić. Ta kobieta po prostu stanęła jej na drodze. Biała jak ściana. Z czerwoną wyrwą w środku twarzy.

Kobięcy głos, Ebby albo Ulriki.

– Dobrze się czujesz? Coś ci dolega?

Nie, ma się dobrze. Musi tylko jak najszybciej wrócić do swojego pokoju na poddaszu.

Wbiegła na górę po schodach. Po chwili siedziała na łóżku i jadła zimny makaron prosto z garnka, rękami. Zapomniała o widelcu. Kiedy zamknęła oczy, zobaczyła Diddiego. Spał ciężko w małżeńskim łóżu, w ubraniu; gdy wczoraj w nocy wrócił do domu, Ulrika ściągnęła mu tylko buty. Zobaczyła Mikaela Wiika, jak rozstawia ludzi na terenie posiadłości. Nie spodziewał się żadnych problemów, chciał jedynie, by goście – widząc ochronę – czuli się bezpiecznie. Widziała Mauriego. Niespokojny o przebieg spotkania, chodził tam i z powrotem po gabinecie. Zobaczyła wilka schodzącego z drzewa.

Otworzyła oczy i spojrzała na swój obraz z Torneträsk.

Zostawiłam ją, pomyślała. I pojechałam do Sztokholmu.

Ester jedzie do Sztokholmu pociągiem. Na dworcu odbiera ją ciotka. Jej wygląd przywodzi na myśl cukierkowe wycinanki albo podkoloryzowane fotosy gwiazd kina. Zazwyczaj proste, kruczoczarne włosy spływają teraz miękkimi falami na ramiona i utrwalone lakierem tworzą fryzurę à la Rita Hayworth. Spódnica ściśle przylega do ciała. Usta są czerwone, perfumy – słodkie i ciężkie.

Ester przyjechała na rozmowę kwalifikacyjną. W anoraku i tenisówkach.

W Szkole Plastycznej Idun Lovén obejrzano jej prace. Dziewczyna jest zdolna, ale w zasadzie stanowczo za młoda. Zarząd szkoły poprosił ją więc o spotkanie.

– Pamiętaj, że masz mówić – przypomina jej ciotka. – Nie milcz jak zamurowana. Odpowiadaj przynajmniej na pytania. Obiecuj mi!

Ester obiecuje z głębi znieczulonej duszy. A wokół niej ciągle coś nowego: przeraźliwy zgrzyt pociągu wtaczającego się na stację metra, wszechobecne teksty, reklamy. Próbuje je czytać, ciekawa przekazu, ale nie nadąża; tak jak nie nadąża przyglądać się ludziom, których mija w takt werbla, wybijany obcasami ciotki.

W komisji rekrutacyjnej zasiadają trzej mężczyźni i dwie kobiety. Wszyscy bardziej niż w średnim wieku. Ciotka czeka na korytarzu. W sali konferencyjnej wiszą wielkie obrazy. Prace egzaminacyjne Ester stoją oparte o ścianę.

– Chcielibyśmy porozmawiać z tobą o twojej twórczości – mówi życzliwie jedna z kobiet.

To ona jest dyrektorką szkoły. Każdy z członków komisji przedstawił się i uściśnął Ester rękę, ale dziewczyna nic nie pamięta. Oprócz tego, że właśnie ta kobieta pełni obowiązki dyrektora.

Tylko jeden obraz jest namalowany farbami olejnymi. Nosi tytuł *Wigilia Midsommar*^[22] i przedstawia rodzinę na brzegu Torneträsk. Wokół bzyczące roje komarów i dzień polarny. Ojciec z synem siedzą już w łodzi; mama ciągnie do niej córkę, która woli zostać na lądzie. Dziewczynka płacze. Cień lecącego ptaka na jej twarzy. W tle – masyw górski z jezorami śniegu. Rozbłyśki słońca w czarnej wodzie są powiększone; jeśli patrzy się tylko na nie, można odnieść wrażenie, że jezioro jest jakby bliżej obserwującego. Ale w całej kompozycji to rodzina wysuwa się na pierwszy plan. Świetnie wyszły Ester te powiększone odbicia. Potęgują ogrom wody i jej grozę. A pod powierzchnią majaczy coś białego, choć może to tylko odzwierciedlenie chmury.

– Nie nawykłaś do malowania farbami olejnymi – stwierdza jeden z mężczyzn.

Ester kiwa głową. Bo to przecież prawda.

– Bardzo interesujący obraz – komentuje przyjaźnie dyrektorka. – Dlaczego dziewczynka nie chce wejść do łodzi?

Ester zwleka z odpowiedzią.

– Boi się wody?

Ester potakuje. Ale dlaczego ma o tym opowiadać? Wówczas czar pryśnie. Ten biały cień w lustrze jeziora to *bäckhästen*^[23], który przebudził się w *Midsommar*. Kiedy Ester była młodsza, czytała o tym podstępnym zwierzęciu w książce wypożyczonej ze szkolnej biblioteki. Na obrazie to właśnie ono pływa pod powierzchnią. Gdy tylko jakieś dziecko wpada do wody, natychmiast zostaje wciągnięte na dno i pożarte. Dziewczynka wie, że *bäckhästen* czeka na nią. Cień ptaka na jej twarzy to sójka syberyjska, *guovsat*, wróżąca nieszczęście. Rodzice widzą na niebie tylko obłoki. Chłopiec, skuszony obietnicą sterowania łodzią, chce jak najszybciej odbić od brzegu.

Członkowie komisji oglądają pozostałe prace. Jest tam Nasti w klatce. Rysunki ołówkiem z Rensjön, przedstawiające dom od wewnątrz i z zewnątrz.

Ciągle pytają o to czy tamto. Ester nie ma pojęcia, co tak naprawdę chcą usłyszeć. Co może im powiedzieć? Przecież mają obrazy pod nosem, wystarczy na nie spojrzeć! Opiera się prośbom o wyjaśnienia. Odpowiada monosylabami, robi się coraz bardziej nieprzystępna.

W jej głowie toczy się żywa dyskusja między mamą a ciotką.

Matka: To jasne, że człowiek nie chce rozmawiać o swoich obrazach. Przecież do końca nie wie, skąd się wzięły. Może nawet nie chce wiedzieć?

Ciotka: No, dobrze, ale żeby do czegoś dojść, trzeba się trochę postarać. Powiedz coś, Ester! Przecież chcesz się dostać do tej szkoły. Jeszcze chwila i zaczną podejrzewać, że jesteś w jakiś sposób upośledzona.

Panie i panowie przyglądają się psom robiącym kupę. To kurator Gunilla Petrini zdecydowała, które prace Ester powinna wysłać do Sztokholmu. Psy bardzo jej się podobały.

Zarozumiała Musta, która tylnymi łapami przysypuje śniegiem odchody. Herkules,

pointer sąsiada. Po żołniersku wyprężony, surowy pies myśliwski o szerokiej piersi i zakrzywionym nosie. Z jakiegoś niejasnego powodu najpierw zawsze musiał znaleźć sadzonkę sosny. Wypróżniał się, przyciskając tyłek do drzewka. Ester z zadowoleniem patrzy na rezultat; rzeczywiście, udało jej się uchwycić ten szczególny wyraz jego oczu: zarazem przyjemność i udręka związana z odczuwanym parciem, kiedy tak stoi, zgarbiony, nad małą sosną.

I ostatni rysunek, z Kiruny. Kobieta ciągnąca na smyczy pekińczyka. Widać tylko jej łydki, dość grube i wciśnięte w czółenka na wysokim obcasie. Pekińczyk przysiada, jakby z zamiarem opróżnienia jelit, ale pani widocznie znudziło się czekanie, bo mobilizuje pupilka do dalszego spaceru. Psa też widać od tyłu. Jeszcze nie podniósł się z przysiadu, tylnymi łapkami znaczy podłużne ślady w ziemi.

Znów ją o coś pytają. Ester czuje w głowie niecierpliwe poszturchiwania ciotki.

Ale uparcie zaciska usta. Co ma powiedzieć? Że interesują ją psie kupy?

Ciotka chce się dowiedzieć, jak jej poszło. A skąd Ester ma to wiedzieć? Nie lubi przelewania z pustego w próżne. Naprawdę się starała. Ale gdy pomyśli o rysunkach z Nastim... Dorośli cały czas próbowali dopatrzeć się w nich głębszego sensu. Mówili o uwięzieniu. O małym martwym ciele. Wtedy nagle usłyszała słowa ojca wypływające z jej ust: „One są takie delikatne. Świetnie sobie radzą w górach, ale kiedy zetkną się z naszymi bakteriami...”. Członkowie komisji przyglądali się jej badawczo.

Teraz czuje się jak idiotka. Uważa, że powiedziała za dużo. Chociaż oni oczywiście są zdania, że właściwie nie wydobyla z siebie ani słowa, to zrozumiało.

Jest przekonana, że wszystko szlag trafił. Na pewno jej nie przyjmą.

Ester Kallis postawiła pusty garnek przy łóżku. Teraz pozostało już tylko czekanie. Nie wiadomo na co.

Wkrótce się okaże, pomyślała. To tak jak z upadaniem. Dzieje się samo z siebie.

Nie zapaliła lampy w pokoju. Nie wolno jej było się zdradzić.

Gdzieś tam na dole jedli kolację. Przypominali pasące się renifery. Nieświadomi nadciągającego stada wilków i odciętych dróg ucieczki.

Za oknem czarna, bezksiężycowa noc. Wszystko jedno, czy Ester miała otwarte, czy zamknięte oczy. Różnica była minimalna. Do środka dochodziła jedynie mdła poświata latarni.

Do Ester zaczęli się zbliżać zmarli. A może ona do nich? Wyczuwała obecność kilku osób. To byli krewni ze strony mamy, których nigdy wcześniej nie spotkała.

Ale też Inna. Nie tak daleko, jak można by przypuszczać. Może niepokoiła się o Diddiego? Ale Ester nie mogła jej teraz pomóc. Musiała myśleć o swoim bracie.

Jeszcze nie tak dawno Inna siedziała u niej w pokoju. Opuchlizna twarzy zaczęła schodzić. Zasinienia zmieniły kolory. Czerwień i granat przeobraziły się w zieleń i żółć.

– Może wyjmiesz paletę i mnie namalujesz? – zaproponowała. – Właśnie teraz, kiedy jestem taka kolorowa?

W ostatnim czasie Inna przeszła metamorfozę. Weekendy spędzała w domu. Już nie była taka pogodna. Od czasu do czasu zachodziła do Ester.

– Nie wiem – powiedziała. – Czuję się tym wszystkim potwornie zmęczona. Jestem zmęczona i smutna.

A dlaczego człowiek zawsze musi być wesoły?, chciała ją wtedy zapytać Ester.

Radosny, beztroski i otoczony wianuszkami znajomych. Jak gdyby te cechy były najważniejsze.

Ale trzeba przyznać, że Inna wymagała ich wyłącznie od siebie. Nigdy od Ester.

Pod tym względem była podobna do mamy.

Obie pozwoliły mi być taką, jaka jestem. Mama. Obiecała kiedyś nauczycielce, że nakłoni mnie do nauki. Przypilnuje, żebym przyłożyła się do matematyki i pisania. „A poza tym jest taka zamknięta”, dodawali inni nauczyciele. „Z nikim nie utrzymuje koleżeńskich stosunków”.

Jak gdyby to była jakaś choroba.

Mama się nie wtrącała. Pozwalała mi malować. Nigdy nie pytała, czy mam jakąś koleżankę i czy chcę ją zaprosić do domu. Samotność była czymś naturalnym.

Ale nie w szkole plastycznej. Tam musiałam się z nią kryć. Głównie po to, by nie kłopotać innych i nie obarczać ich poczuciem winy.

Ester zaczyna naukę w Szkole Plastycznej Idun Lovén. Gunilla Petrini ma znajomą, której mieszkanie przy Jungfrugatan na Östermalmie ma przejść generalny remont. Znajoma zamierza więc spędzić zimę w Bretanii. Młodzianka studentka może korzystać z jednego pokoju, to żaden problem. Pracownicy firmy remontowej przychodzą każdego ranka, a popołudniami nie ma już po nich śladu.

Ester jest przyzwyczajona do samotności. W szkole nie miała przyjaciółek od serca. Całe swoje piętnastoletnie życie znajdowała się na uboczu; w czasie wycieczek zawsze siedziała sama, pogryzając kanapki. Dość wcześnie przestała się łączyć, że ktoś przysiadzie się do niej w autobusie.

Część winy leży z pewnością po jej stronie. Niechętnie nawiązuje kontakty, a poza tym jest przekonana, że gdyby nawet spróbowała, zostałaby odtrącona. Na przerwach siedzi sama. Nie inicjuje rozmów. Inni studenci odczuwają różnicę wieku i tłumaczą sobie, że dziewczyna bez wątplenia spędza wolny czas z rówieśnikami. Ale kiedy ona się budzi, nikogo przy niej nie ma. Ubiera się i sama je śniadanie. W drodze do szkoły spotyka czasami mężczyzn w niebieskich roboczych ubraniach. Pozdrawiają ją skinieniem głowy albo rzucają wesoło: „serwus!”, dzieli ich jednak przepaść.

Ester nie boleje szczególnie nad swoją samotnością. Maluje modela w kontrapoście i uczy się od starszych kolegów i koleżanek. Kiedy wychodzą na kawę, często zostaje w atelier i analizuje ich prace. Próbuje dociec, w czym tkwi tajemnica lekkości kreski u jednej osoby i doboru kolorów u drugiej.

W czasie wolnym od nauki chodzi na spacer. W Sztokholmie łatwo być samotną. Nikt po niej nie widzi, że nie ma towarzystwa. Co innego w Kirunie, gdzie wszyscy wiedzą, kim jesteś. Tutaj zaś mnóstwo ludzi zmierza do różnych celów. Poczucie, że jest tylko jedną z tłumu, sprawia Ester ulgę.

Na Östermalmie widuje kobiety, które noszą kapelusze! Te kobiety są jeszcze zabawniejsze niż psy. W sobotnie przedpołudnia podąża za nimi ze szkicownikiem. Kreśli je szybkimi ruchami – ich kruche ciała w grubych pończochach i eleganckich płaszczach. Gdy tylko zapada zmrok, nobliwe panie znikają z ulic jak wystraszone króliki.

Ester wraca do domu, posila się kefirem i kanapką. Potem znów wychodzi. Jesienne wieczory są ciepłe i czarne jak aksamit.

Któregoś wieczoru zatrzymuje się na moście Västerbron i spogląda na leżący w dole kemping. Przez cały tydzień przychodzi codziennie i obserwuje mieszkającą tam rodzinę. Ojciec siedzi w fotelu turystycznym i pali papierosa. Między kamperami rozwieszono linę, na której suszy się pranie. Dzieci kopią piłkę. Rozmawiają głośno w obcym języku.

Ester uświadamia sobie, że za nimi tęskni. Za rodziną pod mostem, której przecież w ogóle nie zna. Mogłaby pilnować dzieci. Robić pranie. Przejechać z nimi pół Europy.

Próbuje dzwonić do domu, ale rozmowy się nie kleją. Antte pyta, jak się żyje w Sztokholmie. Ester wyczuwa w jego głosie, że traktuje ją już jak obcą. Chciałaby mu powiedzieć, że stolica nie jest taka zła. Że jesień jest tu piękna, że drzewa stoją niczym przyjazne olbrzymy na tle błękitnego nieba. A żółte liście wielkości dłoni z suchym szelestem suną stadami po ulicach. W pobliżu jej domu znajduje się niewielka kwaciarnia, w której można stać i patrzeć. Ale Ester wie, że on nie chce tego słuchać.

Mama cały czas sprawia wrażenie bardzo zajętej. Córnka nie ma pojęcia, czym mogłaby ją zainteresować. Nieustannie jej się wydaje, że mama tylko czeka, by odłożyć słuchawkę.

W końcu nadchodzi zima. Wiatr i deszcz. Nobliwe damy znikają z ulic. Ester maluje serię krajobrazów. Góry i skały. Różne pory roku i różne światło. Gunilla Petrini zabiera kilka z nich do domu i pokazuje przyjaciółom.

– Zioną potworną pustką – komentuje ktoś z towarzystwa.

Pani Petrini musi mu przyznać rację.

– To prawda, jej rysunki są niezwykle. Ale ona nie boi się pustki. Zdaje sobie sprawę z naszej małości wobec świata, wobec natury, i przyjmuje to ze spokojem. Jako człowiek też jest niezwykle.

Kurator pokazuje kilka prac. Jej przyjaciele widzą niezwykle talent rysowniczy dziewczyny. Jak wielu dzisiejszych artystów tak dobrze rysuje? Można by pomyśleć, że wehikuł czasu przeniósł Ester z minionej epoki. Zafascynowani goście patrzą na odbicia w wodzie, jakby namalowane ręką Gustafa Fjæstada, i zimowe lasy Brora Lindha. Jeszcze raz wracają do motywu pustkowi w malarstwie.

– Samotność nie stanowi dla niej problemu – przekonuje mąż Gunilli.

– To stosowna cecha artysty – dodaje któraś z kobiet.

Małżeństwo Petrini opowiada o pochodzeniu młodziutkiej malarki. O psychicznie chorej matce, która zaszła w ciążę na oddziale psychiatrycznym. O ojcu Hindusie, który leczył się w tym samym szpitalu. O śniadoliciej dziewczynce wychowującej się w rodzinie Samów.

Jeden z gości, starszy mężczyzna, przygląda się badawczo obrazom Ester. To ściąga, to zakłada okulary. Jest właścicielem galerii na Södernalmie, znanym z tego, że kupuje prace artystów, o których później robi się głośno. Posiada wiele dzieł Oli Billgrena, wcześniej zaczął kolekcjonować Karin Mammę Andersson, a w domu ma śmiesznie duże płótno Gerharda Richtera. Gunilla Petrini nie bez powodu zaprosiła do siebie tego mężczyznę. Dolewa mu wina.

– Interesująca jest u niej linia gór – mówi właściciel galerii. – Zawsze przzerwana jakąś szczeliną, szparą, czeluścią czy innym pęknięciem krajobrazu. Widzicie? Tutaj. I tu też.

– Świat po drugiej stronie – ktoś komentuje.

– Może Narnia? – próbuje zażartować ktoś inny.

Od słowa do słowa zostaje powzięte postanowienie. Ester wystawi prace w galerii. Pani Petrini ma ochotę skakać z radości. Będzie o tym głośno! Już choćby ze względu na wiek dziewczyny. Oraz jej pochodzenie.

REBEKA ODWIOZŁA ALFA Björmfota do jego małego mieszkania noclegowego na Köpmansgatan. Prokurator nie odczuwał zmęczenia, pójście do łóżka miało się więc z celem. Rozpierała go wręcz radosna energia. Wizyta u sąsiada Rebeki była miłym akcentem wieczoru. Björmfot pomyślał, że z tym starszym mężczyzną, który postanowił przeprowadzić się do kotłowni, łączy go jakieś szczególne pokrewieństwo dusz.

On też czuł się wspaniale w swojej kiruńskiej garsonierze. Miał tu same niezbędne rzeczy i nic więcej. Był w tym jakiś rodzaj wytchnienia. Mieszkanie w Luleå to zupełnie inna bajka.

W przedpokoju, oparte o ścianę, stały narty. Właściwie już teraz mógł je przygotować na jutrzejszą przejażdżkę. Położył je na oparciach dwóch krzeseł, przykrył środkowe części papierem toaletowym, polał zmywaczem i po trzech minutach wytarł do sucha.

Zanim zadzwonił telefon, zdążył posmarować narty, zlikwidować stos prania zalegający na kanapie i pozmywać naczynia.

To znów Rebeka.

– Przyjrzałam się transakcjom sprzedażowym w Kallis Mining z ostatnich miesięcy – zaczęła bez wstępu.

– Jesteś w pracy?! – wykrzyknął. – Czy ty przypadkiem nie miałś się opiekować kotem?

Rebeka zignorowała pytanie i mówiła dalej:

– W bardzo krótkim czasie sprzedali sporo udziałów mniejszościowych w różnych projektach na całym świecie. Prokuratura w Kolorado wszczęła postępowanie przygotowawcze w sprawie nierzetelnego prowadzenia ksiąg w spółce należącej do Kallis Mining. Ta niewielka filia dokonała zakupu środków trwałych za pięć milionów dolarów. Prokuratura podejrzewa, że chodzi o fikcyjne transakcje i fikcyjne faktury. Pieniądze nigdy nie dotarły do rzekomego kontrahenta w Indonezji, zostały natomiast zdeponowane w banku w Andorze.

– Ach, tak?

Alf Björnfort miał wrażenie, że Rebeka oczekuje od niego natychmiastowego wyciągnięcia wniosków. Niestety, nie miał pojęcia, jaka będzie puenta.

– Wygląda na to, że Kallis Mining potrzebuje pieniędzy, ale nie chce się afiszować z uwalnianiem kapitału. Dlatego sprzedaje niewielkie udziały rozsiane po całym świecie. Z tej nieszczęsnej filii w Kolorado wypompowano wszystkie pieniądze i przelano do banku w kraju, który gwarantuje wyjątkowo ścisłą tajemnicę bankową. Zastanawiam się więc, do czego potrzebne są Kallisowi te pieniądze? I dlaczego deponuje je właśnie w Księstwie Andory?

– No, dlaczego?

– Ubiegłego lata w północnej Ugandzie zginęło trzech inżynierów. Zostali zabici przez grupę milicjantów w drodze z kopalni należącej do Kallis Mining. Wkrótce po tym wydarzeniu Kallis Mining się stamtąd wycofała, głównie ze względu na nasilające się rozruchy. O dostęp do kopalni walczyły różne ugrupowania, przechodziła z rąk do rąk, podobnie zresztą jak inne kopalnie w tym regionie kraju. Ale w styczniu sytuacja trochę się ustabilizowała. Generał Kadaga przejął kontrolę nad prawie całym obszarem górniczym na północy. Joseph Cony i LRA wycofali się do południowego Sudanu. Inne ugrupowania wróciły do Konga, gdzie ciągle prowadzą krwawe utarczki.

Alf Björnfort słyszał, jak Rebeka szeleści kartkami wydruków.

– A teraz... Teraz coś naprawdę interesującego. Od dawna nie jest tajemnicą, że prezydent i Kadaga nie żyją ze sobą w zgodzie. Rok temu generał został wykluczony z armii. Trzymał się z daleka od Kampali w obawie przed więzieniem. Prezydent chciał się go pozbyć, więc mógł wymyślić dowolne przestępstwo i sfingować proces. Kadaga radził sobie, jak umiał, z coraz mniejszą garstką zwolenników u boku. Raptem jego prywatna armia urosła w siłę; mało tego, udało mu się przejąć kontrolę nad dużymi obszarami w północnej Ugandzie. „New Vision” podaje, że prezydent Museveni oskarża holenderskiego przedsiębiorcę o finansowe wsparcie dla Kadagi. Przedsiębiorca nazywa się Gerhart Sneyers i jest właścicielem jednej z tych ugandyjskich kopalni, które były zmuszone zakończyć działalność. Sneyers stanowczo odrzuca oskarżenia, to jasne. Odpiera je jako nieuzasadnione pogłoski.

– Ach, tak? – powtórzył prokurator.

– Podejrzewam, że zarówno Mauri Kallis, jak i Gerhart Sneyers, a może jeszcze jakiś inny zagraniczny biznesmen, udzielają wsparcia Kadadze. W tym regionie prowadzi interesy wiele osób. Dlatego uwalniają kapitał, oczywiście tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Finansują prywatną wojnę generała w zamian za obietnicę, że zostawi w spokoju ich kopalnie. Może nawet mają nadzieję na wznowienie działalności, kiedy sytuacja się ustabilizuje. A jeżeli pieniądze dla watażków napływają z Andory, to anonimowość nadawcy gwarantowana jest ścisłą tajemnicą bankową.

– Czy to się da jakoś udowodnić?

– Nie mam pojęcia.

– Okej. Na razie mamy podejrzenie skierowane przeciwko Diddiemu Watrangowi o wykorzystanie informacji poufnej. Zaczniemy od tego – zaproponował Björnfort.

GOŚCIE MAURIEGO KALLISA przyjechali w piątek, kilka minut po godzinie ósmej wieczorem. Samochody z przyciemnionymi szybami przetoczyły się aleją prowadzącą do posiadłości. Ludzie Mikaela Wiika czekali u bramy.

Przy głównym budynku przyjęli goście Mauri Kallis z żoną i Ulriką Watrang. Przybyli: Gerhart Sneyers, właściciel spółek wydobywczych i naftowych, pełniący funkcję przewodniczącego African Mining Trust, Heinrich Koch, dyrektor generalny Gems and Minerals Ltd, Paul Lasker i Viktor Innitzer, właściciele kopalni w północnej Ugandzie, oraz generał w stanie spoczynku Helmuth Stieff. Gerhart Sneyers słyszał o śmierci Inny Watrang i złożył kondolencje.

– Dzieło jakiegoś szaleńca – powiedział Mauri. – To w dalszym ciągu wydaje się takie nierzeczywiste. Inna była lojalną współpracowniczką i przyjacielem rodziny.

Po chwili, między jednym a drugim uściskiem dłoni, zapytał Ulrikę:

– Diddi przyjdzie na kolację?

– Nie wiem – odparła, podając drinka Viktorowi Innitzerowi. – Naprawdę nie wiem.

Nie jestem żadnym ćpunem. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Diddi powtarzał to zdanie coraz częściej. Ćpuny dają sobie w żyłę, więc on nie jest żadnym ćpunem.

W poniedziałek Mikael Wiik wysadził go przy Stureplan. Tego samego dnia Diddi poszedł na balety, trwające do nocy z czwartku na piątek, kiedy to w końcu wrócił taksówką do domu. Teraz obudził się w ciemności, włosy miał mokre od potu. Dopiero gdy zapalił lampkę przy łóżku, zrozumiał, że jest u siebie w domu. Minione noce i dni zostawiły jedynie fragmentaryczne wspomnienia. Migawki bez wewnętrznego porządku. Śmiejąca się w głos dziewczyna w barze. Kilku facetów, z którymi zaczął rozmawiać i z którymi poszedł na imprezę. Własna twarz w lustrze w jakiejś ubikacji; Inna w jego głowie, właśnie wtedy, gdy on moczy kawałek papieru toaletowego, posypuje amfetaminą, zwija w kulkę i połyka. Parujący parkiet w ogromnym magazynie. Setki rąk uniesionych w górę. Budzi się na podłodze salonu w mieszkaniu noclegowym należącym do spółki. Na kanapie siedzą cztery osoby. Nigdy wcześniej ich nie widział. Nie ma pojęcia, kim są.

Później musiał jakoś załatwić taksówkę. Wydaje mu się, że Ulrika pomogła mu z niej wysiąść, że płakała. Ale równie dobrze mogło to być kiedy indziej.

Nie był żadnym ćpunem. Choćby ktoś go teraz zobaczył, jak przeszukuje apteczkę, mógłby zakwestionować prawdziwość tego twierdzenia. W poszukiwaniu benzo Diddi wyrzucił na podłogę leki przeciwbólowe, plaster, termometry, xylometazolin i tysiąc innych rzeczy. Przekopał szuflady i sprawdził schowek za piwniczną komodą, ale tym razem Ulrice udało się wytrzebić wszystkie zapasy.

Musi coś znaleźć! Jeśli nie benzo, to kokę. Jeśli nie kokę, to amfę. Nigdy nie był entuzjastą psychodelików, ale teraz nie pogardziłby trawą ani eską. Potrzebuje czegokolwiek. Czegoś, co zatrzymałoby tę czerni, która się w nim wije i rozpełza.

Zszedł do kuchni i w lodówce znalazł butelkę syropu na kaszel. Opróżnił ją w paru głębokich łykach. Wtedy poczuł, że ktoś za nim stoi. Opiekunka do dziecka.

– Gdzie jest Ulrika? – zapytał.

Odpowiedziała, nie odrywając wzroku od butelki po syropie w jego ręce.

Kolacja. Boże drogi! Kolacja Mauriego!

– Co tak naprawdę sądzisz o Maurim Kallisie? – spytał

Zniecierpliwiony milczeniem dziewczyny, wyartykułował przesadnie wyraźnie:

– Ale tak naprawdę!

Ścisnął ją za ramię, jak gdyby chciał z niej wydusić odpowiedź.

– Proszę mnie puścić – rzekła wyjątkowo zdecydowanym tonem. – Puść mnie!

Przerażasz mnie i to mi się nie podoba.

– Przepraszam – odparł. – Przepraszam, przepraszam. Powinienem... Nie mogę...

Nie mógł wciągnąć powietrza do płuc. Jak gdyby nagle zwężyła mu się tchawica; czuł, że oddycha przez słomkę.

Butelka po syropie wypadła mu z ręki. Rozbiła się o podłogę. Diddi szarpał za krawat, zrozpaczony.

Dziewczyna wyrwała się z uchwytu. Diddi klapnął na krzesło, próbował złapać oddech.

Przerażenie? Tak powiedziała? Co ona może wiedzieć o strachu? Kompletnie nic!

Przypomniał sobie, jak wyjawił Mauriemu historię z Quebec Invest. Zrelacjonował opowieść Svena Israelssona o kapusiu w SGAB.

– Kapuś zdradza wyniki badań przed ich oficjalnym ogłoszeniem – powiedział.

Mauri zbiegał na twarzy. Targała nim wściekłość. Widać to było po nim, choć nie wydobył z siebie ani słowa.

Wszystko sprowadza się do tego, co prywatne, pomyślał Diddi. Mauri się chwali, że z niego taki chłopak wyznający zasadę *it's just business*. Ale pod powierzchnią czai się poczucie niższości, które sprawia, że każdy drobiazg może być zniewagą.

Mauri stwierdził, że mogą to obrócić na swoją korzyść. Jeżeli próbne odwierty okażą się pozytywne, kapuś otrzyma fałszywą informację, a oni później za pół darmo kupią udziały, których najpierw pozbędzie się kanadyjska spółka, wprowadzona w błąd.

Przeprowadzeniem operacji miał się zająć Diddi.

– Ależ to murowana sprawa! – zapewniał Mauri. – Kto miałby coś wyśpiewać? Na pewno nie Quebec Invest.

Diddi się wahał. Jeżeli to było takie pewne, dlaczego właśnie on, a nie Mauri, miał to zmontować i firmować własnym nazwiskiem?

Wtedy Mauri powiedział z uśmiechem:

– Bo ty jesteś o wiele lepszy w przekonywaniu ludzi. Musimy przeciągnąć Israelssona na swoją stronę.

Później wymienił sumę, która stałaby się udziałem Diddiego. Pół miliona, co najmniej, tak sądził. Prosto do kieszeni.

To zadecydowało. Diddi potrzebował pieniędzy.

Dwa tygodnie temu Inna przyparła go do muru. To był jej ostatni pobyt w Regli. Siedzieli na ławce przy południowej ścianie byłej pralni, oparci o ciepłe deski, rozleniwieni wiosennym słońcem.

– To był pomysł Mauriego, prawda? – zapytała. – To on wymyślił ten przekręt z Quebec Invest?

– Nie grzeb w tym, proszę.

– Sprawdzam trochę, czym on się zajmuje – wyjaśniła Inna. – Myślę, że do spółki ze Sneyersem wspiera Kadagę. Podejrzewam, że planują obalić Museveniego. Albo po prostu go zamordować.

– Ze względu na mnie, Inna, proszę cię. Przestań w tym grzebać! – powtórzył.

Mauri Kallis i jego goście opuścili na chwilę jadalnię, by przed deserem rozprostować nogi. Viktor Inntizer zwrócił się do generała Stieffa z pytaniem, co będzie z Kadagą, o jego szanse na zachowanie kontroli w północnej Ugandzie.

– Prezydent nie może na to pozwolić – odparł generał. – Chodzi o zasoby naturalne ważne dla całego kraju. Museveni traktuje Kadagę jak osobistego wroga. Gdy tylko zakończą się wybory, wyśle na północ jeszcze więcej oddziałów. Powrócą tam też z

pewnością pozostali watażkowie; wycofali się tylko czasowo.

– A jeżeli chodzi o nas – uzupełnił Gerhart Sneyers – potrzebujemy w tym kraju przede wszystkim spokoju, żeby prowadzić działalność. Potrzebujemy elektryczności, sprawnej infrastruktury. Naiwnością byłoby sądzić, że Museveni znów nas dopuści do kopalni. Żaden z nas od wielu miesięcy nie mógł tam prowadzić normalnej działalności. Jak długo zdołacie odpierać naciski inwestorów, utrzymywać ich w przekonaniu, że chodzi o tymczasowe przestoje? Że to tylko chwilowe *care and maintenance*? Problemy w północnej Ugandzie nie rozwiążą się same, z biegiem czasu. Museveni to szaleniec, który pozbywa się politycznych przeciwników, wtrącając ich do więzienia. Jeżeli uda mu się odzyskać kontrolę nad kopalniami na północy kraju, nie łudźmy się, że do nich wrócimy. Prezydent będzie twierdził, że je porzuciliśmy, i dlatego mogą ponownie stać się własnością państwa. A ONZ i Bank Światowy nawet nie ruszą palcem.

Heinrich Koch pobladł. Czuł na karku oddech udziałowców, podobnie jak Mauri. Poza tym zainwestował tak dużą część własnego kapitału w Gems and Minerals Ltd, że utrata kopalni oznaczałaby dla niego koniec.

Następnego dnia mieli dyskutować o działaniach alternatywnych. Gerhart Sneyers podkreślił z całą wyrazistością, że nie są dyplomatami. Żywili do siebie zaufanie i rozmawiali otwarcie. Na przykład mieli się zastanowić nad ewentualnym następcą prezydenta, gdyby obecny został obalony. Jakże mieliby szanse w przyszłych wyborach bez Museveniego jako kandydata?

Mauri obserwował Kocha, Laskera i Innitzera. Otoczyli Sneyersa ciasnym kółkiem wielbicieli. Jak chłopcy gromadzący się wokół największego twardziela w szkole.

Mauri nie ufał Sneyersowi. Chodziło o to, żeby zabezpieczyć sobie tyły. Szczególnie Koch i Innitzer dali się prowadzić jak stado baranów. Mauri nie zamierzał być jednym z nich.

Jeszcze raz utwierdził się w przekonaniu, że podjął słuszną decyzję, zwracając się do Mikaela Wiika, kiedy wypłynęła ta historia z dziennikarzem Bylundem. Mikael okazał się właśnie tym człowiekiem, na którego Mauri mógł liczyć od samego

początku.

Szczególnie wtedy, gdy Diddi zaczął szaleć i wygrażać.

Diddi Watrang chodzi tam i z powrotem po gabinecie Kallisa. Jest 9 grudnia. Mauri i Inna właśnie wrócili z Kampali. Mauri sprawia wrażenie, jakby był innym człowiekiem. Po spotkaniu z minister gospodarki dostał białej gorączki, teraz zaś jest spokojny i opanowany.

Siedzi na skraju biurka i niemal uśmiecha się do Diddiego.

– Nie rozumiesz? – pyta Diddi. – Ten cały Örjan Bylund zadawał pytania o Kallis Mining i aferę z Quebec Invest. Wpadłem jak śliwka w kompot.

Przyciska zaciśniętą pięść do mostka, wygląda na to, że coś go tam boli.

Mauri odpowiada z niezmaconym spokojem:

– Nikt nie może nam nic udowodnić. Quebec Invest nie puści farby, ponieważ oni są tak samo winni jak my. Gdyby to się wydało, byłiby skończeni. Doskonale o tym wiedzą! Sven Israelsson również. Ten zresztą dostał od pana dużą kość. Wrzuć na luz, Diddi. I nie wychylaj się.

– Tylko mi nie mów, że mam wrzucić na luz! – wykrzykuje opryskliwie Diddi.

Mauri podnosi brwi ze zdziwieniem. Wybuch złości u Diddiego? Nie miał z czymś takim do czynienia od dnia, w którym Diddi przyszedł do akademika z żądaniem pieniędzy. Wtedy gdy ta hiszpańska donna puściła go kantem. Boże drogi, to było wieki temu!

– I nie łudź się, że wezmę na siebie winę, kiedy sprawa się wyda – grozi Diddi. – Wskażę na ciebie, masz to jak w banku.

– Wskazuj – mówi Kallis oziębło. – A teraz chciałbym, żebyś stąd wyszedł.

Kiedy drzwi zatraskują się z hukiem, próbuje zebrać myśli. Mimo wszystko Diddi napędził mu strachu. Ale Mauri nie dopuszcza do siebie paniki. Działa racjonalnie i z namysłem.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest dziennikarz węszący w interesach Kallis

Mining. Wystarczy pogrzebać trochę w historii transakcji, by znaleźć nazwisko Kallisa wśród osób, które po wycofaniu się Kanadyjczyków kupiły akcje Northern Explore i sprzedały je po ogłoszeniu raportu o odkryciu złóż złota i miedzi. Wystarczy spojrzeć na przepływ kapitału w sieci jego spółek, by zwrócić uwagę na sumy lokowane w pewnym andorskim banku. Już wówczas będzie się wystarczająco blisko. A jeśli oprócz tego porozmawia się z dostawcą broni, który zdradzi, że za uzbrajanie oddziałów Kadagi dostaje pieniądze z Andory...

Przy najbliższej okazji Mauri zwierza się szefowi ochrony:

– Mam problem. Do rozwiązania tego problemu będzie mi potrzebny dyskretny człowiek z twoimi kompetencjami.

Mikael Wiik kiwa głową. Nie mówi ani słowa, bo po co.

Na drugi dzień daje Mauriemu numer telefonu.

– Człowiek od rozwiązywania problemów – oznajmia krótko. – Powiedz, że dostałeś numer od bliskiego przyjaciela.

Na kartce nie figuruje żadne nazwisko. Tylko rząd cyfr. Numer kierunkowy wskazuje na Holandię.

Kiedy następnego dnia Mauri dzwoni pod wskazany numer, czuje się jak w kiepskim filmie. W słuchawce słyszy kobiecie: „Hello!”. Z napięciem wsłuchuje się w jej mowę, intonację, odgłosy w tle. Wydaje mu się, że kobieta ma obcy akcent. I odrobinę chropawości w głosie. Paląca Czeszka koło czterdziestki?

– Dostałem pani numer od przyjaciela – mówi. – Bliskiego przyjaciela.

– Konsultacja kosztuje dwa tysiące euro – odpowiada kobieta. – Następnie otrzyma pan ofertę.

Mauri nie negocjuje ceny.

Mikael Wiik pozwolił chłopcom z ochrony na krótkie przerwy na posiłek, oczywiście w pojedynkę. Organizacyjnie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Szwedzi, których osobiście wybrał do tego zadania, patrzyli na niego z podziwem. Zazdrościli

mu wypasionej fuchy u Kallisa. Miał wrażenie, że również chłopcy Sneyersa darzyli go większym szacunkiem.

– *Nice place* – powiedział jeden z nich, wskazując głową posiadłość.

– Lepsze niż order za zasługi od francuskiego ministra obrony, nie? – zapytał inny.

A więc wiedzieli. Stąd owo poważanie. To był też sygnał: Gerhart Sneyers trzyma rękę na pulsie. Kontroluje Kallisa i jego współpracowników.

Mieli rację. Znacznie lepiej pracowało mu się u Mauriego niż w SSG.

– Nie było tam lekko, nie? Francuzi raczej nie odznaczają obcokrajowców bez powodu.

– Odznaczenie dostał szef oddziału – próbował się wykręcić Wiik.

Nie chciał o tym rozmawiać. Czasami jego dziewczyna potrząsała nim w nocy. „Dlaczego tak krzyczysz?”, pytała. „Obudzisz cały dom”.

Wtedy wstawał. Mokry od potu.

Wspomnienia nie dawały mu spokoju. Korzystały z okazji, kiedy spał. Nie wyblakły z czasem. Wręcz przeciwnie. Dźwięki nabierały wyrazu, a kolory i zapachy – ostrości.

Niektóre odgłosy doprowadzały go do szaleństwa. Na przykład brzęczenie muchy. Czasami całe przedpołudnie schodziło mu na wyganianie owadów z domku letniskowego. Lato najchętniej spędzał w mieście.

Chmury much. To Kongo-Kinszasa. Niewielka wioska w pobliżu miasta Bunia. Grupa Mikaela przybyła za późno. Mieszkańcy osady leżą posiekani przed domostwami. Ciała bez ubrań. Dzieci z porozcinanymi brzuchami. Trzech członków milicji odpowiedzialnej za masakrę siedzi opartych o ścianę domu. Nie odeszli razem ze swoim oddziałem. Kompletnie zamroczeni narkotykami. Nie dociera do nich obecność zagranicznych żołnierzy. Nie przeszkadza im mdlący fetor śmierci ani roje tłustych much brzęczących nad trupami.

Dowódca Mikaela próbuje nawiązać kontakt po angielsku, niemiecku, francusku. „Wstawać! Kim jesteście?” Ale oni ciągle siedzą. Zamglone oczy. Nagle jeden z nich

chwytą za broń leżącą obok na ziemi. Chłopiec ma może dwanaście lat i chwytą za broń, a oni jednym strzałem kładą go na miejscu. Po chwili zabijają jego dwóch kolegów. Zakopują w ziemi. W raporcie piszą, że w wiosce nie spotkali żadnego milicjanta.

Czasami wystarczyły krople deszczu tłukące o szybę. Najgorzej było, kiedy zaczynało padać w nocy. Wtedy śnił o porze deszczowej.

Leje tygodniami. Woda spływa ze zboczy gór, niesie masy błota, rozmywa warstwy ziemi. Drogi zamieniają się w czerwone rzeki.

Mikael i jego koledzy z oddziału żartują, że człowiek nie ma odwagi ściągnąć butów, bo jeszcze zostaną w nich palce. Każde otarcie naskórka zamienia się w ropiejące owrzodzenie. Skóra rozmięka, bieleje, odpada dużymi płatami.

GPS i komunikacja radiowa przestają działać. Sprzęt techniczny nie jest przystosowany do takich warunków atmosferycznych, nie da się go uchronić przed deszczem.

Pod francuskim dowództwem NATO Szwedzi mają zabezpieczyć jedną z dróg; utknęli przy moście. Ale gdzie się, kurwa, podzieli Francuzi? Jest ich tylko dziesięciu, czekają na posiłki. Nie mają pojęcia, kto się znajduje po drugiej stronie. Wcześniej mignęło im trzech zamaskowanych mężczyzn, którzy momentalnie zniknęli w dżungli.

Nie mogą się pozbyć przeczucia, że wkrótce okrąży ich oddział lokalnej milicji.

Mikael wyciągnął papierosy i poczęstował chłopaków Sneyersa.

Wtedy doszło do poważnego starcia. Nie wie, ilu zabił. Pamięta tylko strach, gdy zaczęła się kończyć amunicja – w głowie miał zasłyszane opowieści o torturach, jakie ci szaleńcy zadają swoim wrogom. To dlatego budził się po nocach. Właśnie po tej akcji zostali odznaczeni.

Życie wyglądało wówczas bardzo dziwnie. Kiedy między poszczególnymi zadaniami

człowiek przebywał w miastach i przesiadywał z kolegami w barze. Mikael wiedział, że pije za dużo, ale nigdy wcześniej nie miał do czynienia z taką mnogością rzeczywistości. Czarnoskóre dziewczynki, jedna bardziej niepełnoletnia od drugiej, przymilały się: *mister, mister*. Dawały dupy prawie za nic. Ale najpierw człowiek chciał się zaprawić z kumplami. Więc odganiał je jak psy, groził barmanowi, że pójdzie do konkurencji, jeśli nie dadzą mu spokoju. Wtedy barman wyrzucał dzieciaki z lokalu.

Jak człowiek chciał, to na ulicy zawsze czekały inne. Nawet w ulewnym deszczu, przyciśnięte do ścian domu; wystarczyło zgarnąć którąś z nich i zabrać do hotelu.

W jednym z tych barów Mikael spotkał emerytowanego majora Bundeswehry, o którym wcześniej już trochę słyszał. Niemiec miał około pięćdziesięciu lat, był szefem firmy ochroniarskiej.

– Kiedy ci się znudzi czółganie w błocie – powiedział, wręczając Mikaelowi wizytówkę z numerem telefonu.

Mikael uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Weź, proszę – upierał się major. – Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Chodzi tylko o nieliczne, krótkie zlecenia. Bardzo dobrze płatne. I zdecydowanie łatwiejsze niż to, co robiliście jakiś tydzień temu.

Mikael schował wizytówkę do kieszeni, głównie po to, by zakończyć dyskusję.

– Ale raczej niesankcjonowane przez ONZ, co? – spytał.

Mężczyzna uśmiechnął się uprzejmie, aby pokazać, że nie czuje się urażony. Klepnął Wiika po plecach i wyszedł.

Trzy lata później, kiedy Mauri zgłosił się z problemem wymagającym ostatecznego rozwiązania, Mikael zadzwonił do niemieckiego majora i powiedział, że ma przyjaciela, który chciałby skorzystać z jego usług. Dostał numer telefonu w Holandii.

Jakież to dziwne uczucie: świadomość, że tamten świat ciągle istnieje. Zamieszki, samozwańczy watażkowie, narkotyki, malaria, gówniarze o pustych oczach. Wszystko to jest, ale już bez jego udziału.

Wycofałem się na czas, myśli Mikael. Są tacy, którzy nigdy nie będą mogli

przestawić się na inne życie. A ja mam dziewczynę, prawdziwą kobietę, która chodzi do prawdziwej pracy. Mam mieszkanie i dobrą robotę. Radzę sobie z normalną codziennością.

Gdybym nie dał szefowi tego numeru telefonu, załatwiłby kontakt od kogoś innego. Przecież nie wiem, jak z niego skorzystał. Najprawdopodobniej w ogóle nie skorzystał. Dostał go na początku grudnia. Na długo przed śmiercią Inny. A ona... Nie sądzę, żeby zamordował ją zawodowiec. To wszystko było... zbyt chaotyczne.

Mauri Kallis wpłaca pięćdziesiąt tysięcy euro na konto w bahamskim banku w Nassau. Nie otrzymuje żadnego potwierdzenia; nie ma pojęcia, czy pieniądze dotarły i czy zlecenie zostało wykonane zgodnie z życzeniem. Kompletnie nic. Poprosił o zniszczenie twardego dysku Örjana Bylunda, nie wie jednak, czy jego prośbę spełniono.

Tydzień później w „NSD” znajduje notatkę o śmierci dziennikarza. Wygląda na to, że zmarł w wyniku choroby.

To wszystko było zadziwiająco łatwe, pomyślał Mauri. Później wystarczyło pójść za ciosem. Uśmiechnął się na widok żony przepijającej do Sneyersa.

Z Inną nie było tak łatwo. Wielokrotnie zastanawiał się nad alternatywnym rozwiązaniem. I za każdym razem dochodził do wniosku, że takie nie istnieje. Zrobił to, co było konieczne.

Jest czwartek, 13 marca. Inna ma przed sobą jeszcze dobrą dobę życia. Mauri odwiedza Diddiego. Ten leży w sypialni.

Przychodzi na prośbę Ulriki, która przed chwilą zadzwoniła do ich drzwi. Zapłakana, bez kurtki, tylko w sweterku. W objęciach trzymała syna owiniętego w koczyk, jak uciekiniarka z obozu dla uchodźców.

– Musisz z nim porozmawiać. Nie mogę go dobudzić – szlochała.

Mauri nie ma ochoty. Po aferze z Quebec Invest i po tym, jak Diddi opowiedział mu o dziennikarzu Bylundzie, raczej się nie widują. A już na pewno nie w cztery oczy. Odkąd zostali *partners in crime*, starają się taktownie unikać swego towarzystwa. Wspólne poczucie winy nie zbliżyło ich do siebie, wręcz przeciwnie.

Teraz jednak Mauri stoi w sypialni Ulriki i Diddiego. Przygląda się śpiącemu mężczyźnie. Nie czyni żadnych starań, by go obudzić. Dlaczego miałby to robić?

Kiedy patrzy na zwiniętego w kłębek Diddiego, czuje, jak zaczyna zgrzytać w nim złość.

Spoglądając na zegarek, zastanawia się, jak długo powinien tu jeszcze zostać. Ile czasu zajęłoby mu budzenie, gdyby faktycznie próbował to zrobić? Chyba niespecjalnie dużo?

Właśnie wtedy, gdy Mauri obraca się na pięcie, by wyjść, dzwoni telefon.

Mysząc, że to Ulrika, która chce się dowiedzieć, jak mu idzie, podnosi słuchawkę.

Ale to nie jest Ulrika.

– Co ty tam robisz? – pyta Inna.

Nie dociera do niego jej zmieniony ton, o tym pomyśli dopiero później. Na razie tylko się cieszy, że może z nią porozmawiać.

– Hej, Inna! Gdzie jesteś?

– A kim ty jesteś? – pyta go obcym głosem.

Nagle Mauri słyszy, że rozmawia z inną Inną. Może już nawet wie.

– O co ci chodzi? – pyta, choć nie chce wiedzieć.

– O to mi chodzi!

Inna bierze głęboki oddech i zaczyna mówić:

– Jakiś czas temu pewien dziennikarz, Örjan Bylund, zainteresował się nagłą rezygnacją Quebec Invest z udziałów w Northern Explore AB. Zadawał też inne niewygodne pytania. Wkrótce potem umarł.

– Co ty powiesz?

– Przestań się wygłupiać! Najpierw myślałam, że to sprawka Diddiego, ale on nie

jest taki bystry. Za to jest wystarczająco napalony na forszę, żeby pozwolić się wykorzystać, prawda? Prześwietliłam cię, Mauri. Mnie było łatwiej niż temu dziennikarzowi, bo ja w tym siedzę. Wyczyściłeś z pieniędzy całą grupę spółek. Chodzi o poważne sumy! Część transakcji i faktur to zwykła fikcja! Pieniądze wypływają z firmy i znikają na tajnym koncie w Andorze. A wiesz...? Akurat w tym samym czasie, kiedy zacząłeś opróżniać kasę, Kadaga ogłosił nowy nabór. Przyłączył się do niego niejeden bandyta, bo nagle generał zaczął zapewniać uposażenie. Lojalność zasadza się tylko na tym, kto zapewni chleb. W lokalnych notatkach prasowych, których nie czyta nikt oprócz mieszkańców Afryki Środkowej, pisze się o szmuglowaniu broni. Drogą powietrzną! Jakim cudem te biedne oddziały na to stać? W każdym razie ludzie generała przejęli kontrolę nad obszarem górniczym w Kilembe. Zapłaciłeś im, Mauri. Zapłaciłeś Kadadze i watażkom, którzy znaleźli się pod jego skrzydłami. Zapłaciłeś, żeby pilnowali twojej kopalni. Żeby nikt jej nie plądrował i nie niszczył. Kim ty jesteś?

– Nie mam pojęcia, co ci przyszło do głowy...

– Wiesz, co zrobiłam? Spotkałam się ze Sneyersem, na Indian Metal Conference w Bombaju. Wieczorem wypiliśmy parę drinków. Zapytałam: „Wygląda na to, że wkrótce razem z Maurim znów będziesz hulał w Ugandzie?”. Wiesz, co odpowiedział?

– Nie.

Mauri siada na łóżku obok Diddiego, który ciągle śpi jak zabity. Sytuacja jest nierzeczywista.

To niemożliwe!, odzywa się w nim jakiś głos.

– Zupełnie nic! Spytał tylko: „Co Mauri ci powiedział?”. Wystraszyłam się nie na żarty. Po raz pierwszy nie zanudzał, tak jak zawsze, że Museveni to nowy Mobutu albo nowy Mugabe. Na dobrą sprawę nie wspomniał ani słowem o Ugandzie. Powiem ci, co mi przyszło do głowy. Przyszło mi do głowy, że razem ze Sneyersem dostarczasz Kadadze pieniądze i broń i że zamierzacie usunąć Museveniego. Mam rację? Jeśli będziesz kłamał, przysięgam, że skontaktuję się z jakąś wygłodzoną grupą medialną. Dowiedzą się prawdy.

Strach wbija w Kallisa zęby niczym zwierzę.

Mauri przęłyka ślinę. Bierze głęboki oddech.

– To jest własność spółki – mówi. – Staram się ją chronić. Jesteś prawniczką, musiałas słyszeć o stanie wyższej konieczności?

– A ty musiałeś słyszeć o werbowanych przymusowo dzieciach-żołnierzach? Dajesz tym pierdolonym szaleńcom forszę na dragi i broń. Ludzie, którzy pilnują twojej własności, za twoje pieniądze uprowadzają dzieci. Mordują bestialsko ich rodziców...

– Jeżeli wojna domowa na północy kraju nigdy się nie skończy – przerywa jej Mauri – jeżeli ciągle będą trwały zamieszki, to ludzie nigdy nie będą mogli żyć tam w spokoju. Kolejne pokolenia dzieci będą wcielane do wojska. Ale teraz, właśnie teraz, istnieje szansa na zakończenie konfliktu. Prezydent nie dostaje żadnej pomocy, Bank Światowy ją zamroził, więc pozycja Museveniego uległa poważnemu osłabieniu. Armia nie dość, że nie ma pieniędzy, to jeszcze jest podzielona. Brat prezydenta zajmuje się plądrowaniem kopalni w Kongu. Jest szansa, że pod innymi rządami ludzie, którzy dzisiaj są dziećmi, zaczną uprawiać ziemię albo znajdą pracę jako górnicy.

Inna milczy. Opadł z niej gniew. W jej głosie pobrzmiwa teraz niemal czułość. To trochę tak, jak w małżeństwie, które po wielu burzach w końcu postanawia się rozejść. Wówczas mniej ważne staje się to, co jest teraz, a bardziej istotne – co było. Bo przecież nie wszystko było złe.

– Pamiętasz pastora Kindu? – pyta Mauriego.

Oczywiście, że pamięta duchownego w osadzie górniczej niedaleko Kilembe. Kiedy rząd zaczął prześladowania, jedną z pierwszych niedogodności były śmieci. Nagle skończyło się ich wywożenie. Mówiono, że to strajk, w rzeczywistości jednak wojsko zastraszyło kierowców śmieciarek. Już po tygodniu osada leżała pod kołderką kwaśnosłodkiego odoru gnijących odpadków. Zaczęły się problemy ze szczurami. Mauri, Diddi i Inna pojechali tam, nieświadomi, że to dopiero początek.

– Razem z pastorem skombinowałaś kilka ciężarówek i wywozłaś śmieci za miasto – powiedział Mauri, a w jego głosie zabrzmiał smutny uśmiech. – Kiedy wróciłaś, śmierdziałaś jak cap. Postawiliśmy cię pod ścianą i splukaliśmy ogrodowym węzem.

Kobiety, które tam sprzątały, stały w oknie i zrywały boki ze śmiechu...

– On nie żyje. Zamordowali go mężczyźni, którym płacisz. Później podpalili zwłoki i ciągnęli za samochodem.

– Dobrze, ale takie rzeczy dzieją się tam cały czas! Nie bądź naiwna.

– O, Mauri, ja... Naprawdę cię szanowałam.

Mauri próbuje. Do ostatniej chwili próbuje ją ratować.

– Wróć do domu – prosi. – Porozmawiamy.

– Do domu? Masz na myśli Regłę? Nigdy już tam nie wrócę. Nie rozumiesz?

– A jakie masz plany?

– Nie wiem. Nie wiem, kim jesteś, Mauri. Örjan Bylund...

– No, chyba nie myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

– Kłamiesz – mówi Inna zmęczonym głosem. – Przecież prosiłam, żebyś nie kłamał.

Mauri słyszy wyraźny dźwięk słuchawki odkładanej na widełki. Taki jak... taki jak w starych automatach telefonicznych! Gdzież ona, kurde, jest?

Mauri musi spokojnie rozważyć sprawę. To się może bardzo źle skończyć. Jeśli prawda wyjdzie na jaw...

Wyobraźnia podsuwa mu serię obrazów. Mauri jako *persona non grata*. Odwracający się od niego inwestorzy. Jeszcze gorzej: dochodzenie z udziałem Interpolu. On sam postawiony przed międzynarodowym trybunałem za łamanie prawa humanitarnego.

Nie czas żałować przeszłych działań. Rzecz w tym, żeby wiedzieć, co zrobić teraz.

Gdzież ona jest? Automat telefoniczny?

Wracając myślą do rozmowy, Mauri przypomina sobie, że w tle słyszał jakies dźwięki...

Psy! Chór wyjących, śpiewających, szczekających szpiców. Psi zaprzęg na krótko przed startem.

Już wie, gdzie jest Inna. Pojechała do domu wypoczynkowego w Abisko.

Ostrożnie odkłada słuchawkę. Nie chce obudzić Diddiego. Po chwili podnosi ją jeszcze raz i wyciera rąbkiem prześcieradła.

Ester wsunęła pod łóżko pusty garnek po makaronie. Trudno, nie miała innego wyjścia. Włożyła czarne ubranie, które miała na sobie na pogrzebie mamy: golf i parę spodni z Lindeksu.

Ciotka wolałaby ją zobaczyć w spódnicy, ale nie rozwodziła się na ten temat. Ester była cichsza niż zwykle. Nie tylko z powodu smutku. Targał nią gniew. Ciotka próbowała wyjaśniać:

– Nie chciała, żebyśmy ci mówili. Chciała, żebyś się skupiła na malowaniu, na wystawie, a nie zamartwiała się stanem jej zdrowia. Po prostu zabroniła nam o tym mówić.

Więc nie mówili. Do czasu, kiedy w końcu musieli.

Trwa wernisaż wystawy jej malarstwa. W galerii roi się od pijących *glögg* i jedzących pierniczki. Ester nie rozumie, jak ludzie to robią, że cokolwiek widzą, ale może tutaj nie chodzi o oglądanie obrazów. Dwóch dziennikarzy, każdy z innej gazety, przeprowadza z nią wywiad, fotograf robi zdjęcia.

Gunilla Petrini przedstawia ją różnym ważnym osobistościom. Ester ma na sobie sukienkę i czuje się dość dziwnie. Przybycie ciotki sprawia jej radość.

– To nie do wiary – mówi siostra mamy, rozglądając się z zachwytem po lokalu.

Ale kiedy odkrywa, że *glögg* jest bezalkoholowy, zaczyna się krzywić.

– Rozmawiałaś z mamą? – pyta Ester.

Ledwie dostrzegalna zmiana w wyrazie twarzy; ciotczyne wahanie, a może ucieczka wzrokiem sprawiają, że Ester zaczyna dociekać.

– Co? Czy coś się stało?

Pragnie, by ciotka odpowiedziała: nie, nic.

Ale ona mówi:

– Musimy porozmawiać.

Zaszywają się w kącie galerii, która zdążyła wypełnić się po brzegi. Ludzie całują się w policzki, ściskają sobie dłonie, od czasu do czasu rzucają okiem na obrazy. Zaczyna się robić głośno i gorąco, odbiornik Ester może przyjąć tylko część informacji.

– Zauważyłaś, że różne rzeczy wypadają jej z ręki... Że nie potrafi utrzymać pędzla... Pozwalała ci kłaść grunt... Nie chciała, żeby ci mówić, teraz przed wystawą i w ogóle... Choroba mięśni... Na koniec płuca... Nie może oddychać...

Ester chce zapytać dlaczego. Dlaczego nikt jej nic nie powiedział. Wystawa! Czy naprawdę myśleli, że ona się przejmowała tą cholerną wystawą?

Mama umiera w drugi dzień świąt.

Ester zdążyła się z nią pożegnać. Jak szalone sprzątały z ciotką cały dom w Rensjön, a w przerwach jeździły do szpitala w Kirunie. Ester usiłuje odnaleźć *eatnážan* za sztywną maską, w jaką choroba zamieniła jej twarz. Pod skórą z zanikającymi mięśniami.

Mama mówi, ale z ogromnym wysiłkiem. Czasami trudno zrozumieć jej bełkot. Chce się dowiedzieć, jak było na wernisażu.

– Oni przecież nic nie rozumieją! – oburza się ciotka.

Wystawa miała kilka recenzji. Nieszczerólnie przychylnych. Pod tytułem *Młodość, młodość, młodość* jeden z krytyków napisał, że owszem, jak na swój wiek, Ester jest bardzo sprawna, ale nie ma nic do powiedzenia. Jej niewielkie pejzaże nie poruszają w nim żadnej struny.

Pozostałe omówienia są utrzymane w podobnym tonie. Ester Kallis to jeszcze dziecko. Jaki jest sens takiej wystawy? Któraś z recenzentek kwestionuje decyzję właściciela galerii i Gunilli Petrini. Podkreśla, że Ester nie jest młodą genialną artystką, za jaką mecenas chcieliby ją uważać, i że to – niestety – właśnie ona drogo zapłaci za ich chęć znalezienia się w centrum uwagi.

Gunilla dzwoni do Ester tego samego dnia, w którym ukazuje się pierwszy artykuł.

– Nie przejmuj się – pociesza. – Nobilituje cię już sam fakt, że napisano recenzję. Wielu artystów nawet tym nie może się pochwalić. Porozmawiamy przy lepszej okazji. Teraz zajmij się mamą. Pozdrów ją, proszę, ode mnie.

– A co powiesz na to? – pyta ciotka. – Napisali, że Ester Kallis „dorastała wśród Samów”. Że niby co? Że jest jak Mowgli, którego wychowały wilki, ale który nie został wilkiem, bo to różne rasy?

Mama spogląda na Ester obcą twarzą bez wyrazu, z wysiłkiem znajduje słowa.

– To dobrze – mówi wyjątkowo wyraźnie – że nie nosisz samskiego nazwiska, że nie wyglądasz jak Samka. Rozumiesz? Gdyby pojęli, że jesteś Samką, nie mieliby odwagi tak się po tobie przejechać. Twoje obrazy byłyby...

– ...całkiem dobre, jak na lapońską dziewczuchę – uzupełnia ciotka.

Mama chce jednak wyjaśnić trochę dokładniej:

– Byłyby wyrazem naszej egzotycznej kultury, ale nie do końca sztuką. Nigdy nie oceniano by cię na tych samych zasadach. Może na początku dostaje się lekkie fory. Trochę darmowego zainteresowania. Ale później trudno zejść dalej...

– ...niż do Luleå – dodaje ciotka, przekopując torebkę w poszukiwaniu papierosów; musi wyjść na balkon i zapalić.

– A może sądzą, że nie potrafią ocenić naszej sztuki? Może dlatego raczej kiepscy artyści dostają takie same oceny jak najlepsi? To z pewnością nie jest złe dla tych średnio uzdolnionych, ale ty...

– ...powinnaś konkurować z najlepszymi – dopowiada ciotka.

– Czuję się jak zamknięta w klatce – kontynuuje mama. – Wszyscy uważali, że moje prace mogą być interesujące tylko dla turystów albo dla innych Samów.

Przygląda się Ester. Z jej oczu nie można nic wyczytać.

– Masz w sobie tak dużo z naszej babci.

– Wiem – potwierdza ciotka. – Wykapana áhkku. Zawsze to powtarzałam.

Ester słyszy, jak stojąca za nią ciotka zaczyna płakać.

– Wiele razy... w domu... w Rensjön – mówi mama. – Pamiętam, jak cię obserwowałam. Twój sposób poruszania się. Twój stosunek do zwierząt. Myślałam: Boże drogi, cała babunia! Szkoda, że nigdy jej nie spotkałaś.

Ester nie wie, co ma powiedzieć. W jej najwcześniejszych wspomnieniach po kuchni krzątały się zawsze dwie kobiety. Ta druga nie była ciotką, tego jest pewna. Ciotka nie nosi czerwonego czepca z koronkami, nie ma też zapinanej z przodu kwiecistej sukienki z fartuchem.

Potem mama umiera. Nie, nie bezpośrednio po tej rozmowie, jakiś tydzień później. Tato i Antte zabierają ją do domu. Jako zmarła należy tylko do nich. Jest mamą Anttego i żoną ojca. Ester nie uczestniczy w podziale majątku. Ciotka też nie.

Pod koniec stypy dorośli wszczynają awanturę. Przez kuchenne drzwi w domu parafialnym Ester słyszy bardzo wyraźnie.

– Dom jest za duży dla mnie i Anttego – mówi ojciec. – Poza tym do czego mi potrzebne atelier?

Mówi, że chce wszystko sprzedać. Renifery też. Ma kolegę, który prowadzi ośrodek domków kempingowych pod Narvikiem. Ojciec i Antte mogą zostać współwłaścicielami i zacząć tam pracować.

– A co z Ester? – pyta opryskliwie ciotka. – Gdzie ma się podziać?

– Ma swoje zajęcie – broni się tato. – Będzie chodziła do szkoły plastycznej. Czego ode mnie oczekujesz? Przecież nie przeprowadzę się z nią do Sztokholmu. I nie zostawię tego wszystkiego tylko ze względu na nią. Nie byłem od niej wiele starszy, kiedy musiałem stanąć na własnych nogach.

Wieczorem, już w domu, przed telewizorem, ojciec bierze portfel opasany gumką, wyciąga z niego dwadzieścia pięćsetkoronowych banknotów, zwija je w rulonik, obwiązuje recepturką i wręcza Ester.

– Rozejrzyj się po pracowni, może jest tam coś, co chciałabyś ze sobą wziąć – mówi.

– No chyba, kurwa, żartujesz! – wykrzykuje ciotka i wstaje tak gwałtownie, że filiżanki przesuwiają się z brzdękiem po podstawkach. – Połowa tego wszystkiego

należała do niej. Dziesięć tysięcy! Uważasz, że to zgodne z prawem?

Ojciec odpowiada milczeniem.

Ciotka wybiega do kuchni i odkręca krany na ful, żeby pozmywać. Przez szum wody i szcęk naczyń słyszą, jak zanosi się płaczem.

Pobladła twarz Anttego przybiera niebieskawy odcień w blasku ekranu. Ester zerka na brata, próbuje się trzymać, nie chce wiedzieć. Ale w końcu unosi się w górę, płynie przez poświatę telewizora jak przez niebieską wodę. Spod sufitu patrzy na tatę i Anttego. Telewizor jest ten sam, ale pokój zupełnie inny. Inne są też meble.

To niewielkie mieszkanie. Ojciec i syn siedzą rozparci na kanapie, leniwie przerzucają kanały. Antte jest kilka lat starszy i kilkanaście kilogramów cięższy. Wokół ust ojca maluje się zgorzknienie. Miał nadzieję, że spotka nową kobietę. Myślał, że pracując pod Narvikiem, zwiększy swoje szanse.

Nie wyjdzie mu z kobietą, myśli Ester. Zresztą z domkami kempingowymi też nie.

Kiedy Ester wraca na ziemię, stoi w kuchni. Ciotka przestała płakać i pali pod okapem. Rozprawia o niepewnej przyszłości Ester, o złości na ojca i o swoim nowym mężczyźnie.

– Jan Åke chce, żebym pojechała z nim do Hiszpanii. Zimą grywa tam w golfa. Mogę go zapytać, czy się zgodzi, żebyś z nami zamieszkała, zanim zaczniesz szkołę. Mieszkanie nie jest duże, ale jakoś się pomieścimy.

– Nie musisz pytać – mówi Ester.

Ciotka oddycha z ulgą. Najprawdopodobniej miłość między nią a Janem Åkem nie przewiduje obecności nastoletnich dzieci.

– Jesteś pewna? Mogę zapytać.

Ester przekonuje ją, że to niepotrzebne. Jeszcze przez chwilę ciotka nie daje za wygraną, więc Ester zaczyna kłamać i opowiada o koleżankach i kolegach w Sztokholmie; z pewnością nie zabraknie jej towarzystwa.

W końcu ciotka się poddaje.

– Zadzwoń – obiecuje.

Wpatrzona w zimową ciemność, wydmuchuje dym z papierosa.

– Ostatni raz w tym domu – mówi. – Trudno to pojąć. Byłaś w atelier? Sprawdziłaś, co chcesz wziąć i tak dalej?

Ester kręci głową. Na drugi dzień odkrywa, że jej torba jest wypełniona mnóstwem farb, pędzli i papieru. I gliną, ciężką jak ołów.

Rozstają się na dworcu. Ciotka ma już bilet, chce spędzić sylwestra z tym facetem, jakżeż mu na imię? Ester zdążyła zapomnieć.

Wtaszcza potwornie ciężką torbę do pokoju na Jungfrugatan. Mieszkanie jest ciche i puste. Fachowcy mają wolne również między dniami wolnymi od pracy. Do rozpoczęcia szkoły zostały trzy tygodnie. Ester nie zna tu nikogo. Z nikim się nie spotka.

Siada na krześle. Jeszcze nie płakała po mamie. Ale nie ma pewności, czy to najbardziej odpowiednia chwila. Teraz gdy jest zupełnie sama. Po prostu nie ma odwagi.

Siedzi więc w ciemności. Nie wie, jak długo.

Nie teraz, mówi do siebie. Kiedy indziej. Może jutro. Jutro jest ostatni dzień roku.

Tak mija tydzień. Czasami Ester budzi się, kiedy za oknem jest jasno. Czasami – kiedy jest ciemno. Czasem wstaje i nastawia wodę na herbatę. Czeka, wpatrzona w garnek. Zdarza się, że nie ma siły ściągnąć go z płyty, obserwuje wygotowującą się wodę. A później zaczyna wszystko od początku.

Któregoś ranka budzi się z zawrotami głowy. Dociera do niej, że dawno nic nie jadła.

Schodzi na dół i idzie do 7-Eleven. To bardzo nieprzyjemne uczucie – ponownie znaleźć się wśród ludzi. Ester ma wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Ale nie ma innego wyjścia. Na zewnątrz szaruga. Pnie drzew czarne od wilgoci. Mokry żwir na chodniku. Rozmokłe psie kupy i śmieci. Niebo gęste i niskie. Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś tam w górze świeci słońce. Że wierzchnia warstwa chmur

przypomina śnieżny krajobraz na przedwiośniu.

W sklepiku uderza ją zapach świeżego pieczywa i kielbasek z rozna. Żołądek ściska się tak gwałtownie, że Ester syczy z bólu. Znów czuje zawrót głowy, chwytą się odruchowo krawędzi półki, ale ta zakończona jest luźną listwą z nazwami i cenami towarów, więc Ester upada na podłogę z kawałkiem plastiku w ręce.

Mężczyzna stojący przy ladzie chłodniczej odstawia pospiesznie koszyk i w dwóch susach znajduje się przy dziewczynie.

– Nic ci się nie stało, złotko? – pyta.

Jest starszy od mamy i taty, ale nie stary. Ma zatroskane oczy i niebieską czapkę z pomponem. Przez moment trzyma ją w objęciach, pomagając jej stanąć na nogi.

– Usiądź tutaj. Chcesz coś do jedzenia?

Ester potakuje, mężczyzna raz-dwa podaje jej kubek kawy i ciepłą drożdżówkę.

– Ojoj – śmieje się, gdy widzi, jak dziewczyna pochłania bułkę i pije łąpczywie, parząc usta.

Ester uświadamia sobie, że chyba powinna zapłacić, ale nie jest pewna, czy ma przy sobie pieniądze. Jak mogła wyjść z domu, nie myśląc o tym? Przeszukuje kieszenie i odkrywa banknoty od ojca. Dwadzieścia pięćsetek związanych gumką.

Wyciąga przed siebie zwitek.

– Jezusieńku! – wykrzykuje mężczyzna. – Kawę i drożdżówkę ci funduję, a tych banknotów używaj pojedynczo, dobrze? Wyciąga jeden z nich z rulonika i wkłada Ester do ręki. Pozostałe pieniądze chowa jej do kieszeni i ostrożnie zaszuwa zamek, jak gdyby była małym dzieckiem. Później spogląda na zegarek.

– Dasz sobie radę?

Ester jeszcze raz kiwa głową. Mężczyzna zostawia ją samą, a ona wraca do mieszkania na Jungfrugatan z kawą i piętnastoma drożdżówkami.

Na drugi dzień idzie do sklepiku o tej samej porze i kupuje bułeczki. Ale mężczyzny tam nie ma. Następnego dnia też nie. Ani kolejnego. Przez cztery dni Ester powraca z nadzieją do 7-Eleven; później przestaje.

Nie przestaje jednak przesypiać dni. Ciężko jej na jawie. Myśli o mamie. O tym, że ona, Ester, do nikogo ani do niczego nie należy. Zastanawia się, czy opróżnili już dom w Rensjön.

Ciotka tylko raz dzwoni na jej komórkę.

– I jak?

– Okej – mówi Ester. – A co u ciebie?

Jeszcze zanim słyszy odpowiedź, wie, że ciotka korzysta z okazji, kiedy Jan Åke gra w golfa. Wtedy pozwala sobie na płacz.

Czy to nie dziwne?, myśli Ester. My wszyscy, którzy ją oplakujemy. Jak to się stało, że jesteśmy tak osamotnieni w żałobie?

– W porządku – odpowiada ciotka. – A Lars Tomas oczywiście nie dzwonił?

Nie, tato nie dzwonił. Ciekawe, czy rozmawiają ze sobą, ojciec i syn. Nie. Tato uczył Anttego hasłami: „Trzeba patrzeć w przyszłość” i „Musimy sobie jakoś radzić”.

Pewnego ranka, w drodze do kuchni, Ester wpada w przedpokoju na jednego z pracowników firmy remontowej. Mężczyzna ma na sobie niebieskie spodnie robocze i solidną, ocieplaną kurtkę.

– Oj! – mówi. – Ale mnie wystraszyłaś! Przyszedłem tylko po parę rzeczy. Widziałaś, ile spadło śniegu?

Ester spogląda na niego, zdziwiona. Śniegu?

– No, napadało chyba z metr. Wyjrzyj przez okno, to zobaczysz. Mieliśmy dzisiaj tu robić, ale nikt nie dotarł, miasto jest sparaliżowane...

Ester podchodzi do okna. To przecież inny świat!

Biało. Musiało sypać całą noc. Jeszcze dłużej. A ona nic nie zauważyła. Samochody wyglądają jak małe puchowe pagórki. Na ulicy głęboki śnieg. Na latarniach ciepłe zimowe czapy.

Ester wytacza się w tę biel. Jakaś kobieta, przedzierając się przez zasy, ciągnie dziecko na sankach. Mężczyzna w eleganckim czarnym płaszczu jedzie na nartach

środkiem drogi. Ester się uśmiecha, widząc, jak narciarz zręcznie sobie radzi, trzymając w jednej dłoni zarówno kijek, jak i aktówkę. On odpowiada jej uśmiechem. Uśmiechają się wszyscy napotkani ludzie. Kręcą głowami: nie do wiary, jak dużo napadało! Przyjmują to wszystko ze spokojem. Cisza i spokój panują w całym mieście. Po nieprzejezdnych ulicach nie poruszają się żadne pojazdy.

W koronach drzew ćwierkają wróble i sikorki. Teraz gdy zamarły samochody, słychać je wyraźnie. Wcześniej wydawało się, że żyją tu tylko kawki, gołębie, sroki i wrony.

To prawdziwy, świeży śnieg, który w języku Samów nazywa się *vahca*. Sypki, zimny, puchowy do samego dna. Bez wodnistej mazi pod spodem.

Po godzinie Ester wraca do domu. Z głową pełną śnieżnych obrazów. Z żalobą, która cofnęła się o krok.

Potrzebuje płótna. Ogromnego. I mnóstwa białej farby.

Między jadalnią a słuźbówką mężczyźni z ekipy remontowej wyburzyli ścianę. Leży teraz na podłodze, niemal w jednym kawałku. Ester nie spuszcza z niej oczu. To stara ściana, a takie budowano na bazie rozciągniętego płótna.

W przedpokoju leży kilka worków gipsu, to wie na pewno.

Nagle wzbiera w niej chęć tworzenia. Z maniakalną pasją oddaje się działaniu: szuka plastikowego wiadra i wciąga do jadalni jeden worek. Jest potwornie ciężki, Ester czuje pot spływający po plecach.

Przesiewa gips między palcami i miesza całą ręką, ramię ma białe aż do łokcia.

Ciało trawi gorączka, ale głowę wypełnia lodowaty śnieg. Śnieg. I wiatr hulający w górach. Światło jest szarawe, ubogie w barwy. Może gdzieś na samym skraju, w prawym dolnym rogu widać kilka rozcapierzonych gałęzi brzozy. Na środku, w legowisku śpi samica renifera z cielęciem. Przez noc przysypał je śnieg. Świeży i głęboki, znakomicie izoluje od zimna.

Ester ostrożnie wylewa gips na leżącą ścianę. Rozprowadza go rękami. Pracuje w kilku etapach, płótno jest ogromne. Kiedy gips zaczyna wiązać, nabiera konsystencji kremu. Wtedy można w nim rysować. Ester rzeźbi palcami w tężejącej masie, dodaje

trochę śmieci i budowlanego pyłu, by podkreślić strukturę poroża; z porwanych strzępów tapet formuje brzożowe gałęzie na pierwszym planie.

Przez kilka dni oddaje się bez reszty pracy nad obrazem. Do stwardniałego gipsu potrzebny jej podkład. Przeszukuje mieszkanie. W sypialni znajduje resztki białej farby, którą malarze zagruntowali sufit. Farba jest doskonała. Ester może nakładać pigment, nie ryzykując, że gips popęka. Wyciąga farby mamy i maluje warstwami; te pierwsze są cienkie, niemal przezroczyste; dużo terpentyny i minimalne ilości pigmentu z tubki. Ani odrobiny oleju, tu nic nie może się świecić. Dominują mat, chłód, niebieskość. Cień w legowisku ściele się plamami żółci, brązu i umbry. Tam pod śniegiem matce z dzieckiem jest dobrze, to musi być widoczne.

Później Ester nakłada coraz grubsze warstwy farby, używa coraz mniej terpentyny. Teraz musi poczekać, aż to wszystko wyschnie. Zasypia w ubraniu, a kiedy wstaje, natychmiast zaczyna malować. Można by pomyśleć, że obraz ją budzi, kiedy jest gotów do przyjęcia nowych warstw farby. Ester obchodzi go dookoła, pogryzając jakieś resztki znalezione w spiżarni. Pije herbatę. Czuje, że nie może wyjść na dwór. Za oknem pogoda bowiem zmieniła się; zima złagodniała i stopniał wszystek śnieg. Ester nie chce tego widzieć. Ciągle żyje w krainie śniegu. W swoim ogromnym białym obrazie.

Pewnego dnia budzi ją nie tyle obraz, ile kurator Petrini.

Rozpoczął się semestr wiosenny. Dyrektorka szkoły plastycznej zadzwoniła do Gunilli z pytaniem o jej podopieczną. Gunilla telefonowała do ciotki. Ciotka również dzwoniła do Ester, i też bez powodzenia, ponieważ dziewczynie wyładowała się komórka. Kobiety zaczęły się niepokoić. Pani Petrini skontaktowała się z przyjaciółmi, u których Ester wynajmuje pokój. Od przyjaciół dostała nazwisko i telefon szefa ekipy remontowej, który otworzył jej mieszkanie. Mężczyzna stoi w drzwiach, podczas gdy kobieta z ulgą opada na krawędź łóżka Ester.

Boże jedyny, tak bardzo się martwili. Myśleli, że coś jej się stało.

Ester ciągle leży w pościeli. Nie podnosi się na widok kurator. Razem z tą kobietą powraca rzeczywistość. A Ester nie chce do niej wracać. Nie ma siły stanąć na nogach

i znów oplakiwać mamy.

– Myślałam, że byłaś u rodziny – mówi pani Petrini. – Co tu robiłaś?

– Malowałam.

Wypowiadając to słowo, Ester wie, że już nigdy nic nie stworzy. Że to jej ostatni obraz.

Gunilla chce go zobaczyć. Idą we troje do jadalni.

Ester spogląda na płótno i z ulgą stwierdza, że zdążyła na czas. Nawet jeżeli o tym nie wiedziała, obraz jest gotowy.

Pani Petrini najpierw nie odzywa się ani słowem. Obchodzi dookoła samicę renifera z cięciem pod kołderką śniegu. Po chwili obraca się twarzą do Ester. Jej spojrzenie jest badawcze, zdziwione, zadziwiające.

– Portret twój i twojej mamy – mówi.

Ester nie jest w stanie odpowiedzieć. Wystrzega się patrzenia na obraz.

– Ładny – komentuje mężczyzna z wycuciem. – Może trochę duży... – dodaje, spoglądając z powątpiewaniem na otwór drzwi, a potem okna. Zatraskany, kręci głową.

– Muszę go stąd wydostać – mówi Gunilla głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Wydostanę go w całości. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyburzymy ściany.

A co będzie ze mną?, zastanawia się Ester.

Świadomość, że już nigdy nic nie namaluje, zapada w nią niczym ciężka kotwica.

Koniec z malowaniem. Koniec ze szkołą.

ANNA MARIA MELLA i Sven Erik siedzieli w hotelu Vanadis. Pokój był urządzony tradycyjnie; podłogę przykrywała wykładzina dywanowa, a łóżko – kwiecista narzuta z syntetycznej tkaniny.

– Jutro porozmawiamy z rodzicami Inny Watrang – powiedziała Anna Maria. – I jeszcze raz spróbujemy z jej bratem. Ciekawe, co tak naprawdę wydarzyło się w Abisko. To wszystko jest takie dziwne. Zastanawiam się na przykład, dlaczego Inna

miała superelegancką bieliznę pod zwykłym dressem do biegania?

Inna Wattrang przekopuje walizkę. Jest 14 marca. Wczoraj wieczorem rozmawiała przez telefon z Maurim, ale teraz nie ma siły o tym myśleć.

Zostały jej jeszcze dwie godziny i pięć minut życia.

Znajdę sobie inną pracę, postanawia.

Myśli o Diddim. Musi się nim zająć. Porozmawia z Ulriką.

Przestaną udawać, że nic nie widzę, obiecuje sobie.

Zafunduję sobie miesięczny odwyk, zacznę w przyszłym tygodniu. Wezmę się za trenowanie. Spakowała kilka ciuchów do biegania, ale teraz odkrywa, że zapomniała o sportowej bieliznie. Nie szkodzi. Pobiega w tej, którą ma na sobie, najwyżej ją później przepierze.

Jeszcze tylko adidas.

Biegnie wzdłuż śladu skutera na zamrzniętym jeziorze. Ludzie powychodzili ze swoich ark i łowią ryby spod lodu. Albo siedzą na saniach wymoszczonych skórą renifera, z twarzą zwróconą ku słońcu. Mocno przygrzewa. Inna czuje się spocona, ale silna. Opada z niej rozczarowanie Maurim.

Jak tu pięknie, myśli. Doprawdy, życie istnieje również poza Kallis Mining.

Szczyty po drugiej stronie Torneträsk toną w różu popołudniowego słońca. W przepaściach i na zboczach jarów leżą niebieskie cienie. Tu i ówdzie wierzchołki gór są otoczone przez strzępy obłoków wyglądające jak zabawne wełniane czapeczki.

Będzie dobrze, myśli.

Kiedy wraca, słońce wisi znacznie niżej. Można niemal ulec złudzeniu, że w jego potężnej kuli zrobiła się dziura i cała świetlista zawartość spływa po niebie ku horyzontowi. Inna jest pod tak wielkim wrażeniem, że początkowo nie dostrzega męczyzny stojącego przed domem. Zauważa go dopiero wtedy, gdy sama się tam zatrzymuje.

Wyrósł jak spod ziemi. W jasnym, lekkim płaszczu.

– *Excuse me* – mówi i wyjaśnia, że ma problem z samochodem, tam dalej na drodze, nie chce zapalić, a komórka nie działa, bo nie ma zasięgu.

Czy mógłby pożyczyć od niej telefon?

Inna wie, że mężczyzna kłamie. Widać to po nim. Tak jak widać, że jest niebezpieczny.

Zdradzają go ogorzała twarz i zdecydowanie za cienkie ubranie. I ten grymas mający udawać uśmiech. Oczy pozbawione wyrazu. Sposób, w jaki – nie przestając mówić – zbliża się do niej.

Inna nie zdąży nic zrobić. Mężczyzna widzi klucz w jej ręce. Już jest przy niej. Nawet nie dokończył zdania. Wszystko dzieje się tak szybko.

Nazywa się Morgan Douglas. W paszporcie, który trzyma w wewnętrznej kieszeni, widnieje nazwisko: John McNamara.

W nocy z 13 na 14 marca obudził go telefon. Brzęczyk komórki, pstryknięcie włącznika lampki nocnej, charakterystyczny odgłos karaluchów uciekających przed światłem, leżąca obok dziewczyna, która wymamrotała coś niezrozumiałego, zakryła oczy ręką i ponownie zapadła w sen, w końcu znajomy głos w słuchawce.

Kobieta wita się uprzejmie i przeprasza, że dzwoni o tak nieodpowiedniej porze. Szybko przechodzi do rzeczy.

– Jest pilna robota. W północnej Szwecji.

Morgan Douglas stara się nie okazywać, jak cholernie się cieszy, odpowiada na pytania powoli i spokojnie, nie chce sprawiać wrażenia desperata. Ostatnimi czasy cienko prządł; wprawdzie trafiły mu się nieduże fuchy – inkasowanie długów i tym podobne – ale takimi zamówieniami mógł się zajmować byle czarnuch, nie było z tego szmału. A teraz będzie. Jakiś czas znów pożyje w dostatku, przeniesie się z tej dziury w inne miejsce.

– Wypłata, jak zawsze: na pańskie konto, po wykonaniu zlecenia. Mapa, informacja, fotografie i zaliczka na podróż w wysokości pięciu tysięcy euro będą

na pana czekać na lotnisku Schiphol, w Coffee House. Proszę pytać o Joannę i pozdrowić od...

– Nie – przerywa jej. – Chcę mieć to wszystko na lotnisku w Kinszasie. Skąd mam wiedzieć, że to nie podstęp?

Kobieta milknie. I dobrze. Niech sobie nawet myśli, że rozmawia z facetem cierpiącym na paranoję. Prawda jest taka, że nie stać go na bilet z Kinszasy do Amsterdamu, ale nie zamierza się do tego przyznawać.

– Nie ma problemu, sir – odpowiada kobieta po sekundzie namysłu. – Załatwimy to zgodnie z pańskim życzeniem.

Kończy pozdrowieniami od majora. To mu się podoba. Kobieta odnosi się do niego z szacunkiem. Ci ludzie pojmują, co to znaczy być komandosem w armii brytyjskiej. Ale istnieje mnóstwo takich, którzy gównem rozumieją. Którzy nigdy nic nie przeżyli.

Morgan Douglas ubiera się i goli twarz. Lustro w łazience zarasta różami starości, wkrótce trudno będzie się w nim przejrzeć. Przy akompaniamencie wyjących rur kran wypływa z siebie wodę, początkowo zupełnie brązową. Któregoś ranka, gdy Morgan wszedł tutaj, żeby się wysikać, przywitał go szczur. Zwierzę odwróciło się ospale, spojrzało na niego i dopiero po chwili zgięło kolana, by niespiesznie zniknąć pod wanną.

Gotowy, wraca do sypialni i budzi dziewczynę.

– *You have to leave* – mówi.

Ona siada na skraju łóżka, ocieężała od snu; rzuca jej ubrania, które szybko zgarnął z podłogi. Ubierając się, kobieta prosi:

– *My little brother... He must go to doctor. Sick. Very sick.*

Oczywiście kłamie, ale on tego nie komentuje. Wciska jej dwa dolary.

– *You have a little something for me, yes?* – pyta dziewczyna, patrząc pożądliwie na krzesło, na którym poprzedniego dnia leżała jego szklana fajka.

Ale on okręcił ją już ściereczką i schował za pazuchę. Wszystkie potrzebne rzeczy

musi ukryć w kieszeniach płaszcz i pod ubraniem. Nie może wziąć ze sobą walizki, bo chłopak w recepcji zacznie się upominać o pieniądze i zrobi mu cholerną awanturę – oskarży go o próbę wymigania się od zapłaty, czyli właśnie o to, co Morgan planuje zrobić. To syfiasty przybytek; przez wszystkie tygodnie, które tu spędził, ani razu nie posprząтали pokoju. Mogą sobie pomarzyć, że ureguluje rachunek.

– Nie, nic dla ciebie nie mam – mówi, wypychając ją za drzwi.

Psyka na nią, gdy schodzą po schodach. Za kontuarem śpi na siedząco młody portier. Prawdopodobnie w dzień ma jakąś inną fuchę. Nocny stróż zniknął. Pewnie też gdzieś drzemie.

Brzęcząca jarzeniówka migocze zimnym światłem.

– *I stay here* – szepcze dziewczyna. – *Until tomorrow. It's not safe on the streets, you know.*

Wskazuje ręką fotel w żalonym foyer. Jest tak zniszczony, że spod tapicerki wystają sprężyny.

Morgan Douglas wzrusza ramionami. Jeśli chłopak w recepcji obudzi się wcześniej niż ona, odbierze jej pieniądze. Ale to przecież nie jego problem.

Bierze taksówkę na lotnisko. Dwie godziny później w poczekalni pojawia się człowiek wyglądający na urzędnika ambasady. Nie ma tu dużo ludzi. Mężczyzna w garniturze podchodzi do niego zdecydowanym krokiem i pyta, czy nie mają wspólnego znajomego.

Morgan Douglas odpowiada zgodnie z umową, nieznajomy wręcza mu kopertę A4, momentalnie obraca się na pięcie i kieruje ku wyjściu.

Morgan otwiera kopertę. Znajduje w niej niezbędne informacje i zaliczkę w dolarach, nie w euro. To dobrze. Do odlotu zostało półtorej godziny. A przed nim długa podróż.

Zdąży kupić trochę towaru. Po prostu żeby się odprężyć w czasie lotu. I żeby mieć wystarczająco dużo sił na potem. Z pewnością będzie na nogach trzy doby z rządu. Potrzebuje tego ze względu na robotę.

Ponownie wsiada do taksówki i każe się zawieźć na przedmieścia. Kiedy dociera

do diler, jest jeszcze ciemno. Zanim diler zdąży powiedzieć: „na krechę nie dostaniesz”, Douglas przez szparę w drzwiach wciska kilka nowiutkich banknotów dolarowych.

Gdy nadchodzi ranek i powietrze marszczy się jak gorące szkło, Morgan siedzi w samolocie do Amsterdamu. *Speed balling*. Zero halunów. Tylko błoga szczęśliwość. Jest mu tak zajebiście.

W Amsterdamie kupuje dwie butelki smirnoffa; wypija jedną w samolocie do Sztokholmu. Kiedy wszyscy wstają, on też podnosi się z fotela.

Później jest gdzie indziej. Mnóstwo osób przechodzi obok niego w jedną i drugą stronę. Ktoś łapie go za ramię.

– Mr John McNamara? Mr John McNamara?

To stewardesa.

– *Boarding time, sir. The plane to Kiruna is ready for take-off.*

Półtorej godziny później stoi w toalecie i opłukuje kark zimną wodą. Musi wziąć się w garść. Czuje się chujowo. Okej, jest na lotnisku w Kirunie. Wynajmuje samochód i mówi do siebie: „E10 na północ”. Załatwi to, kurwa, jak najszybciej. Przydałoby się coś na poprawienie formy, na wyjście z dołu.

Morgan Douglas patrzy na Innę Wattrang. Zimno mu w nogi. Czekał na nią całą wieczność. Zaczyna się denerwować. Ubzdurał sobie, że kiedy będzie musiał wracać, samochód nie zapali. Ale w końcu przyszła. Wygląda jak na zdjęciu. Trochę ponad metr siedemdziesiąt. Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt kilogramów. To żaden problem. W ręce trzyma klucz.

Mężczyzna mówi i gestykułuje, by odwrócić jej uwagę od swoich szybkich, długich kroków.

Dopada jej w kilku susach. Staje za nią, zaciska lewe ramię wokół jej szyi. Unosi kobietę w górę, wystarczająco wysoko, żeby – zmuszona bólem – stanęła na palcach.

Ona zaś ma wrażenie, że jeśli straci kontakt z ziemią, to skręci kark, dlatego drecze tyłem za mężczyzną w kierunku drzwi, przewieszona w pół przez jego biodro. Uświadamia sobie, że nawet nie wchodzi w drogę jego stopom. Nie zauważyła, kiedy odebrał jej klucz. Wolną ręką nieznajomy otwiera drzwi.

Przemyka jej przez głowę, że ona przeszkadza mu równie niewiele jak kobiecie torebka. To nie żaden szalaniec, myśli. To nie gwałcieciel.

To profesjonalista.

Mężczyzna rozgląda się po przedpokoju; kiedy rusza w kierunku kuchni, ciągle z kobietą w żelaznym uścisku, na moment traci równowagę. Śnieg pod podeszwami butów zamienił się w śliski lód. Nie upada jednak, sadza Innę na krzesło i staje za nią. Ona czuje coraz silniejszy ucisk ramienia mężczyzny. Słyszy odgłos taśmy odrywanej z rolki.

Wszystko dzieje się niesamowicie szybko. Nieznajomy mocuje jej dłonie do oparcia, a stopy do nóg krzesła. Nie odcina taśmy, przeciąga ją od jednej kończyny do drugiej, pęta wszystkie jednym długim kawałkiem, a kiedy kończy, rzuca rolkę na podłogę.

Staje przed Inną, która zaczyna mówić:

– *Please... Do you want money? I have...*

Nie zdąży powiedzieć nic więcej. Mężczyzna uderza ją w nos. Jakby odkręcił kran. Krew spływa ciepłą strugą po twarzy i do gardła. Inna przełyka raz za razem.

– Odpowiadasz tylko wtedy, gdy pytam! Poza tym morda w kubeł. Kapujesz? A jak nie potrafisz, to zakleję ci usta i będziesz musiała oddychać przez krwawiący nos.

Inna kiwa głową i połyka kolejną porcję krwi. Serce wali jej między uszami.

Morgan Douglas rozgląda się dokoła. Zabiłby ją od razu, gdyby nie to, że najpierw musi się dowiedzieć, czy nie powiedziała komuś o... no, jakżeż on się nazywa, to jakieś niemieckie nazwisko, ma zapisane w kopercie.

Trzeba ją zmusić, żeby zaczęła mówić. Kobiety łatwo zastraszyć, pokazując im zdjęcia ich dzieci, ale w kopercie nie było takich fotografii. To nic, jakoś sobie

poradzi. Nie powinno mu to zająć wiele czasu.

Przegląda kuchenne szuflady w poszukiwaniu noża, lecz żadnego nie znajduje.

Wychodzi do przedpokoju. Na niewielkiej komodzie stoi lampa. Mężczyzna wyciąga wtyczkę z gniazdka i odrywa sznur. Przy okazji sprawdza, o co ma zapytać. O Gerharta Sneyersa. I o Ugandę.

Przeciąga krzesło z kobietą bliżej kontaktu elektrycznego. Czując na sobie jej wytrzeszczone oczy, rozdzwaja zębami kabel, ściąga plastikową osłonkę, rozdziela dwa miedziane druty i jednym z nich owija jej kostkę.

Ma na sobie półbuty. Kiedy się pochyła, obnaża na moment fragment nagiej skóry. Pod podniesioną nogawką Inna dostrzega charakterystyczne ślady przy stawie skokowym.

– Słuchaj, w torebce mam koks, rewela – mówi szybko.

Mężczyzna zastyga w bezruchu.

– Gdzie ona jest? – pyta.

– W przedpokoju.

Zabiera ze sobą torebkę do łazienki, z przyzwyczajenia. Stał w setkach toalet i brał każdy możliwy towar. Kiedy mieszkał w rodzinnym Londynie, zastraszał małe laski. Podawał się za policjanta w cywilu, przypierał je do muru, kiedy wychodziły od dilerów, odbierał im dragi, zadawał standardowe pytania: „Widziałaś jakąś broń?”, „Ilu ich tam jest?”, udawał dobrego i pozwalał im odejść, zawsze żegnając się z troską: „Dlaczego niszczysz sobie życie? Szukaj pomocy!”. Później kierował kroki do najbliższej toalety i grzał.

Rozkopywa torebkę Prady jak mrówkojad kopiec termitów. Wkłada do kieszeni telefon komórkowy Inny. To też długoletni nawyk: zabiera wszystko, co łatwo sprzedać. Oddycha z ulgą, gdy znajduje trzy papierowe zawiniątka. Serce podskakuje mu z radości. Czysty biały śnieg. Usypuje dwie ścieżki na kieszonkowym lusterku kobiety i wciąga wszystko; nie ma co zostawiać na później. Po dwóch sekundach

odzyskuje formę.

Kiedy stoi przed lustrem, czuje, jak ogarnia go spokój i jak wyostrza się jego umysł.

Ponownie w kuchni. Kobieta próbuje uwolnić ręce. To oczywiście niemożliwe. Co ona sobie myśli? Że ma do czynienia z amatorem? Mężczyzna wciska wtyczkę do kontaktu. Ale właśnie wtedy, gdy ma zapytać Innę, czy zdradziła komuś, co wie o Sneyersie, ponownie traci równowagę. Śnieg z butów zdążył stopnieć. Mokra podłoga jest strasznie śliska.

Kiedy Morgan wyrzyna solidnie tyłkiem o podłogę, przez głowę przelatuje mu myśl o wodzie i kablu. RzUCA się jak ryba, by stanąć na nogi, ogarnięty lękiem, że umrze, porażony prądem.

Inna Wattrang wybucha śmiechem. Niewykluczone, że tak naprawdę płacze, ale wydobywające się z niej dźwięki brzmią jak histeryczny śmiech. Nie może się opanować. Po policzkach płyną jej łzy.

Kiedy mężczyzna się przewraca, jak gdyby ktoś wyrwał mu dywan spod nóg, wygląda naprawdę komicznie. I to jego niezdarne pełzanie, zanim uda mu się podnieść. Prawdziwy gag rodem z niemego kina! Bezcenny! Inna się śmieje. Wpada w histerię i czuje, że jej z nią dobrze. Przełamuje strach i wkracza w szaleństwo. Prosto w obłąkańczy śmiech.

A on się boi. Dlatego ogarnia go wściekłość. Wstaje z podłogi z poczuciem, że wyszedł na idiotę. W głowie nieustannie mu dźwięczy jej rechot. I kołacze tylko jedna myśl: uciszyć tę wariatkę! Podnosi kabel i przykłada kobiecie do szyi. Jej ciało staje się elementem obwodu elektrycznego. Śmiech ustaje natychmiast, głowa rzuca się gwałtownie do przodu, palce rozwierają, a on – jakby sparaliżowany – nie wypuszcza kabla z ręki, pragnie tylko ciszy. Po chwili przerywa obwód, ale głowa Inny ciągle podryguje. Dłonie zamykają się i otwierają, zamykają i otwierają. Nagle kobieta dostaje torsji; wymiociny plamą jej bluzę.

– Przestań! – krzyczy Douglas, uświadamiając sobie, że nie zdążył zapytać o Sneyersa.

Krzesło się wywraca. Mężczyzna w porę uskakuje. Oczy stają jej w ślup, szczęki nie przestają się poruszać; dopiero po kilku sekundach dociera do niego, że Inna miażdży sobie zębami język.

– Przestań! – powtarza i kopie leżącą w brzuch.

Ale ona nie przestaje, więc Douglas postanawia to jak najszybciej zakończyć. W raporcie poda, że kobieta nic nikomu nie zdradziła.

W salonie. Przy kominku. Właśnie tam mignął mu wcześniej stojak z żelaznym rożnem. Biegnie po niego. Kiedy wraca, kobieta ciągle leży na podłodze, przymocowana do krzesła, i nieustannie rzuca się w konwulsjach. Morgan Douglas przebija jej serce rożnem.

Inna Watrang umiera na miejscu. Mimo to jej mięśnie ciągle drgają.

Mężczyzna rozgląda się wokół, ogarnięty mętным poczuciem, że to wszystko nie wyszło najlepiej. Zgodnie z instrukcją jej śmierć miała sprawiać wrażenie zupełnie przypadkowej. Nic nie mogło wzbudzać podejrzeń, że знаła sprawcę. Nie powinna zostać znaleziona w domu.

Niefortunny zbieg okoliczności to jeszcze nie katastrofa. W kuchni trochę narozrabiał, ale reszta domu jest nienaruszona. Zaraz tu posprząta. Patrzy na zegarek. Zostało mu sporo czasu. Wkrótce się ściemni. Wygląda przez okno. Jego wzrok pada na przebiegającego psa. Widział tu kilka takich, spuszczonech z uwięzi. Jeśli zostawi kobietę na dworze, zwierzę zaraz ją wytropi. A wtedy może się zdarzyć, że policja zacznie deptać mu po piętach, zanim samolot oderwie się od ziemi. Z pewnością znajdzie jakieś inne wyjście... W dole, na jeziorze, roi się od tych śmiesznych domków na płozach. Może ukryć ją w którymś z nich, gdy zrobi się ciemno. Kiedy ją znajdą, on będzie już daleko stąd.

W końcu kobieta przestaje się ruszać.

Morgan dopiero teraz odkrywa, gdzie są noże. Wiszą przy piecu, przymocowane do listwy magnetycznej. Bierze jeden z nich, by uwolnić zwłoki z taśmy.

Po zapadnięciu zmroku Morgan Douglas zanosi Innę do pierwszej z brzegu arki na lodzie. Ani przemarsz koleinami pozostawionymi przez skutery, ani włamanie się do domku nie nastęrczają mu trudności. Kładzie kobietę na pryczy. W kieszeni ma latarkę znaną w kuchennej szafce. Przykrywa ciało kołdrami. W wąskim strumieniu światła dostrzega czerwone plamy na lewym ramieniu swojego trenca. Ściąga go w pośpiechu i kiedy odkrywa, że pod klapą w podłodze jest przerębel, przebija cienką błonę świeżego lodu i wciska płaszcz w otwór. Zawiniątko wkrótce odpłynie z prądem.

Kiedy wraca do ośrodka wypoczynkowego, zaczyna sprzątać. Pogwizduje, zmywając w kuchni linoleum. Do plastikowej torby, którą później zabiera do samochodu, wrzuca komputer Inny, zwiniętą w kulkę taśmę, ścierkę do podłogi i rożen.

W drodze między Abisko a Kiruną zatrzymuje się na poboczu. Wysiada z samochodu. Dopada go mroźny, porywisty wiatr. Mężczyzna robi krok przed siebie. Momentalnie zapada się w zaspę, niemal do pasa. Wyrzuca do lasu torbę z komputerem i innymi rzeczami. Przykryje ją śnieg. Prawdopodobnie nikt jej nigdy nie znajdzie.

Wyrzuca również telefon, który schował do kieszeni nie wiadomo po co.

Później pozostaje mu tylko wydostać się z rowu, co nie jest takie proste. Przedziera się przez śnieg; w końcu udaje mu się też z niego otrzepać.

Robota wykonana. Co za kurewsko lodowaty kraj!

POŻEGNAWSZY SIĘ Z ALFEM Björnfoćem, Rebeka wróćła jeszcze na chwilę do pracy. Kiedy w końcu przekroczyła próg domu, już w sieni została zaatakowana przez Bokserkę, która ostrzymi pazurami wczepiła się w luksusowe rajstopy marki Wolford. O wpół do dziesiąćej Rebeka, ubrana w dżinsy i starą koszulę, zadzwoniła do Anny Marii.

– Obudziłam cię?

– Nie, absolutnie – zapewniła policjantka. – Leżę sobie w hotelu, w czystutkiej pościeli, i nie mogę się doczekać jutrzejszego śniadania.

– Nie rozumiem, co kobiety widzą w hotelowych śniadaniach. Jajecznica, tanie parówki i ciasto francuskie. O co tu chodzi?

– Wprowadź się do nas na kilka dni, zamieszkać z moim facetem i dziećmi, to od razu zrozumiesz, o co chodzi. Coś się stało?

Anna Maria usiadła na łóżku i zapaliła lampkę nocną. Rebeka zrelacjonowała jej rozmowę ze Svenem Israelssonem. Opowiedziała, jak Quebec Invest pozbyła się udziałów w Northern Explore AB. Wyjaśniła, że środki uwalniane z sieci spółek powiązanych Kallisa najprawdopodobniej finansują działania militarne w Ugandzie.

– Możesz to udowodnić? – zapytała komisarz Mella.

– Jeszcze nie. Ale na dziewięćdziesiąt dziewięć jestem pewna, że mam rację.

– Dobrze. A czy jest coś, co uzasadniałoby zatrzymanie lub rewizję w domu? Albo coś, czym mogłabym im pomachać przed nosem, żeby w końcu wpuścili mnie do Regli? Byłam tam dzisiaj ze Svenem Erikiem i pocałowaliśmy kłamkę. Powiedzieli nam, że Diddi Wattrang jest w Kanadzie. Ale myślę, że siedzi w domu. Chcę go zapytać o tę rozmowę telefoniczną na dzień przed śmiercią jego siostry.

– Diddi Wattrang jest podejrzany o przestępstwo wykorzystania informacji poufnej. Możesz poprosić Alfa o nakaz zatrzymania, to on prowadzi postępowanie przygotowawcze.

Anna Maria wyskoczyła z łóżka i z telefonem wciśniętym między bark a ucho zaczęła wciągać dzinsy.

– Żebyś wiedziała, że poproszę – powiedziała. – I, kurde, zaraz tam pojedę!

– Tylko spokojnie – Rebeka próbowała ostudzić jej zapał.

– A niby dlaczego? – warknęła policjantka. – Teraz mnie porządnie wkurwili!

Gdy tylko Rebeka się rozłączyła, telefon od razu zadzwęczał. Dzwoniła Maria Taube.

– Cześć! – odpowiedziała Rebeka. – Dojechaliście już do Riksgränsen?

– Jasne! Rany boskie, nie słyszysz, co tu się dzieje? Może nie jesteśmy najlepsi w slalomie, ale wiemy, co robić w barze!

– Takie buty! Czyli Måns jest w swoim żywiole?

– Chyba tak. Usadawił się najbliżej barmana, a Malin Norell wisi mu na szyi. Myślę, że nie powinien narzekać.

Rebeka poczuła, jak wokół jej serca zaciska się zimna pięść.

Z wysiłkiem zachowała radosny ton. Radosny i normalny. Radosny i lekki. Mający świadczyć jedynie o życzliwym zainteresowaniu.

– Malin Norell? A kto to jest?

– Specjalistka od spółek. Przyszła do nas od Winge go półtora roku temu. Trochę starsza od nas, trzydzieści siedem, osiem, jakoś tak. Rozwiedziona. Sześćioletnia córka. Myślę, że coś tam z Månsem kombinowali, kiedy zaczęła u nas pracować, ale nie jestem pewna... Przyjedziesz jutro?

– Jutro? Nie... Mam teraz urwanie głowy w pracy i... Nie czuję się zbyt dobrze... Chyba bierze mnie jakieś przeziębienie.

Przeklinała w duchu. Dwa kłamstwa to zawsze o jedno za dużo. Kiedy trzeba się z czegoś wykręcić, wystarczy jedna wymówka.

– Szkoda! – powiedziała Maria. – Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Rebeka skinęła głową. Musi zakończyć tę rozmowę. Teraz.

– No to na razie – wydusiała.

– Co z tobą? – zaniepokoiła się Maria. – Stało się coś?

– Nie. Wszystko w porządku... Tylko...

Urwała w połowie. Zabolą ją gardło. Nagle jakaś gula stanęła na drodze słowom.

– Porozmawiamy innym razem – szepnęła. – Zadzwoń.

– Nie, poczekaj! Rebeka!

Ale Rebeka zdążyła się rozłączyć. Stała przed lustrem w łazience. Spojrzała na bliźnię biegnącą między nosem a górną wargą.

– A co ty myślałaś? – powiedziała do siebie. – Co ty sobie, kuźwa, wyobrażałaś?

Måns Wenngren siedział w barze hotelu Riksgränsen. Malin Norell siedziała obok. Przed chwilą zaśmiała się z tego, co właśnie powiedział, i jej dłoń spoczęła na moment na jego kolanie. Krótki sygnał. Jeśli on zechce, ona będzie jego.

A on naprawdę pragnął zechcieć. Malin była ładna, inteligentna i zabawna. Kiedy zaczęła u nich pracować, nie kryła, że jest nim zainteresowana. Dał się jej usidlić, pozwolił, żeby go wybrała. Jakiś czas byli razem. Spędzili sylwestra w Barcelonie.

Tylko że on cały czas myślał o Rebecce. Wiedział, że wypisano ją ze szpitala. Dzwonił, gdy tam leżała, ale nie chciała z nim rozmawiać. Kiedy był z Malin, myślał, że to nawet dobrze. Rebeka to kobieta zbyt skomplikowana, zbyt przygnębiona, po prostu niemożliwa.

Ale cały czas o niej myślał. Kiedy pojechał na sylwestra do Barcelony, zadzwonił do niej z hotelu. Wykorzystał okazję, gdy Malin wyszła na chwilę z pokoju.

Malin była fantastyczna. Kiedy się rozstali, ani nie płakała, ani nie robiła mu scen. Znalazł kilka wymówek, a ona zostawiła go w spokoju.

Ale była na każde jego zawołanie. Jej dłoń na jego udzie.

Tylko że jutro miała przyjechać Rebeka.

W zasadzie biuro planowało wycieczkę do Åre. Måns postawił jednak na swoim i pojechali do Riksgränsen.

Cały czas o niej myślał. Nic na to nie mógł poradzić.

– **POMÓŻ MI!** – zawołał Diddi do opiekunki.

Siedział przy stole i patrzył bezradnie, jak dziewczyna zbiera stłuczoną butelkę po syropie, wrzuca do kosza odłamki szkła i wyciera podłogę papierowym ręcznikiem.

Uświadomił sobie, że w jej oczach jest tylko starym prykiem. Jak miał ją przekonać, że się myli?

– Może powinien pan wrócić do sypialni i jeszcze trochę pospać? –

zapropomowała.

Pokręcił głową. Pokręcił, bo znów usłyszał w niej dźwięki. Nie zmyślone, nie wytwory fantazji, tylko wspomnienia autentycznych głosów. Jego własny: jazgotliwy i podniecony. Zdyszany i urażony. Ale również miękki, choć zdecydowany głos afrykańskiej kobiety. Ugandyjskiej minister gospodarki.

Nienawidził Mauriego. Nienawidził tego zadowolonego z siebie kurdupła. Wiedział, że Kallis zabił Innę. Od razu to pojął. Ale co mógł zrobić? Nie potrafił tego udowodnić. Nawet jeśliby chciał ujawnić jego przestępczość gospodarczą, to nie mógł, bo sam był w nią uwikłany. Już Mauri się o to zatroszczył. A Diddi musiał przecież pamiętać o swojej rodzinie.

Miał związane ręce. Właśnie to uczucie uwięzienia zdominowało go po śmierci Inny. Żałoba – niewątpliwie. Ale jeszcze bardziej panika spowodowana brakiem swobody działania. MS „Estonia” idzie na dno. Wszystkie przejścia zablokowane, świat się przechyla, do środka gwałtownie wlewa się woda.

Balował trzy doby. Biegał od baru do baru, odwiedzał kolejnych znajomych, przemieszczał się z jednej imprezy na drugą. Świadomość deptała mu po piętach. Świadomość, że Inna nie żyje.

Teraz przypominał sobie coraz więcej zdarzeń z tych dni.

„Nie potrafię się zemścić”, powiedział do umarłej Inny. Nawet jeżeli wymyślił tysiąc sposobów na udrczenie i uśmiercenie Mauriego, doskonale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie wprowadzi tych planów w życie. „Jestem zwykłym nieudacznikiem”, przyznał się siostrze.

Nagle uprzytomnił sobie jakiś szczegół. Pomógł mu w tym głos ugandyjskiej minister gospodarki.

Chciał dopiec Mauriemu. W końcu zrobił coś zupełnie szalonego. I bardzo niebezpiecznego.

Zadzwoił do niej. To musiało być wczoraj. A może przedwczoraj?

Nietrudno było do niej dotrzeć. Nazwa firmy Kallis Mining otwierała wiele drzwi. W trakcie rozmowy Diddi ujawnił, że Mauri potajemnie finansuje zbrojenia Kadagi.

Minister mu nie uwierzyła.

– To jakieś absurdałne oskarżenia – powiedziała. – Darzymy Kallis Mining największym zaufaniem. Mamy dobre stosunki z inwestorami w naszym kraju.

Pamiętał, że zaczął mówić krzyklywym tonem. Oburzony, że kobieta nie daje mu wiary. Tak bardzo mu zależało, by potraktowała go poważnie, że zaczął trajkotać jak przekupka. Nagle wypłynęło z niego wszystko, co wiedział.

– Chcą doprowadzić do zamachu stanu. Albo zamordować prezydenta Museveniego. Zbierają środki i odkładają na tajne konto. Stamtąd wypłacane są pieniądze. Wiem to z pewnego źródła. *He killed my sister*. Jest zdolny do wszystkiego.

– Zamach stanu? Jacy oni? To przecież bzdury!

– Nie znam wszystkich. Ale na pewno Gerhart Sneyers! On, Kallis i paru innych. Planują spotkanie. Będą dyskutować o problemach w północnej Ugandzie.

– Kto jeszcze oprócz Sneyersa? Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo! Gdzie niby ma się odbyć to spotkanie? W jakim kraju? W jakim mieście? Pan to wszystko zmyśla, żeby oczernić Kallis Mining. Jak pan śmie żądać, bym potraktowała pana poważnie? No, więc kiedy? Kiedy miałoby się odbyć to rzekome spotkanie?

Diddi Wattrang uciskał palcami zamknięte powieki. Opiekunka do dziecka ujęła go ostrożnie za ramię.

– Pomóc panu wejść na górę?

Wyrwał się z uchwytu, zniecierpliwiony.

Boże drogi, pomyślał. Naprawdę jej zdradziłem, że spotkanie odbędzie się tutaj? Dzisiaj wieczorem? Co ja jej naopowiadałem?

Ugandyjska minister gospodarki Florence Kwesiga, prezydent Museveni i generał Joseph Muinde odbywają błyskawicznie zwołaną naradę.

Kobieta zreferowała właśnie rozmowę z Diddim Wattrangiem. Teraz z delikatnego

porcelanowego dzbanka nalewa herbatę z ogromną ilością mleka i cukru. Prezydent podnosi rękę w geście odmowy. Generał prosi o dolewkę. Panią minister bawi widok kruchej, małej filiżanki w jego potężnych rękach. Nie udało mu się przełożyć palca przez porcelanowe ucho; trzyma filiżankę na rozpostartej dłoni.

– Jakie wrażenie sprawiał Wattrang? – pyta prezydent.

– Osoby zdesperowanej i zagubionej.

– Szalonej?

– Nie, on nie jest szaleńcem.

– Potwierdzają się dwie rzeczy – odzywa się generał Muinde. – Po pierwsze, siostra pana Wattranga faktycznie została zamordowana. Pisała o tym szwedzka prasa. Po drugie, samolot Gerharta Sneyersa dostał na jutro zezwolenie na lądowanie na Schiphol i na Arlandzie.

– Została niecała doba – podsumowuje pani Kwesiga. – Co możemy zrobić?

– Zrobimy to, co absolutnie niezbędne – odpowiada prezydent. – Nie wiemy, kto oprócz Kallisa i Sneyersa bierze w tym udział. To może być nasza jedyna szansa. Żeby się bronić, czasami trzeba prowadzić wojnę na obcym terytorium. Jeżeli czegoś się nauczyliśmy od Izraelczyków, to właśnie tego. Albo od Amerykanów.

– Ich obowiązują przecież inne reguły – mówi pani minister.

– Nie tym razem.

– Dałam panu Wattrangowi do zrozumienia, że mu nie wierzę – pani Kwesiga zwraca się do generała. – Zaczęłam się nawet śmiać. Czułam, że nie traktuję go poważnie. Niemożliwe więc, żeby oczekiwał z naszej strony jakiegoś działania. Pomyślałam, że gdyby zmienił zdanie i powiedział komuś o naszej rozmowie, organizatorzy spotkania nie będą musieli zmieniać planów, kiedy się dowiedzą, że nie potraktowałam tego ostrzeżenia na serio.

– Postąpiła pani bardzo słusznie – chwali ją generał. – Brawo!

Odkłada ostrożnie filiżankę.

– Niespełna dwadzieścia cztery godziny – dodaje. – Nie mamy dużo czasu.

To będzie pięcioosobowa grupa. Nie moi ludzie. Gdyby zdarzyły się jakieś komplikacje, tak będzie najlepiej. Mamy broń w kopenhaskiej ambasadzie. Komandosi polecą więc do Danii i pojedą do Szwecji samochodem. Przekroczenie tej granicy nie wiąże się z żadnym ryzykiem.

Podnosi się z krzesła z lekkim ukłonem.

– Mam trochę spraw do załatwienia, więc jeśli państwo wybaczą...

Salutuje. Prezydent kiwa głową, zamyślony.

Generał Muinde opuszcza gabinet.

Didi pojawia się na przyjęciu w Regli w trakcie deseru. Nagle po prostu staje w drzwiach jadalni. Krawat wisi wokół szyi jak luźna szmata, koszula wystaje ze spodni, marynarka spoczywa na palcu wskazującym; niewykłuczone, że Diddi zamierzał ją włożyć, ale zapomniał, i teraz ciągnie ją za sobą jak zraniony ogon. Towarzystwo cichnie, wpatrzone w przybysza.

– Przepraszam, *excuse me* – mówi. – Proszę mi wybaczyć...

Mauri podnosi się od stołu. Jest wściekły, lecz opanowany.

– Wyjdź stąd natychmiast – mówi po szwedzku wyjątkowo życzliwym tonem.

Didi stoi w drzwiach niczym małe dziecko, które – zbudzone sennym koszmarem – przeszkadza rodzicom w kolacji. Wywołuje wręcz wzruszenie, kiedy elegancką angielszczyzną prosi o chwilę rozmowy z żoną.

Tym samym miękkim głosem dodaje po szwedzku:

– W przeciwnym razie urządzę ci tu niezłą scenę, Mauri. Padnie też imię Inny, rozumiesz?

Lekkim skinieniem głowy Mauri zachęca Ulrikę, by spełniła prośbę męża. Ulrika przeprosza i odchodzi od stołu. Ebba posyła jej szybkie, współczujące spojrzenie.

– *Domestic problems* – wyjaśnia gościom gospodarz przepaszającym tonem.

Mężczyźni się uśmiechają. Wszędzie te same kłopoty.

– Pozwól mi chociaż włożyć inne buty – skarży się Ulrika, kiedy Diddi prowadzi ją

przez podwórze.

Czuje, jak wilgoć przesiąka przez jej błyszczące sandaalki od Jimmy'ego Choo.

Zaczyna płakać. Nie przejmuje się tym, że słyszy ją Mikael Wiik, siedzący na werandzie przed domem. Diddi ciągnie ją za sobą, jak najdalej od podwórza, jak najdalej od świateł latarni.

Ulrika płacze, przekonana, że Diddi niszczy im życie. Ale nic nie mówi. To nie ma sensu, już dawno przestała cokolwiek mówić. Mauri wyrzuci go z firmy. A wtedy nie będą mieli za co żyć ani gdzie mieszkać.

Muszę od niego odejść, myśli. I zanosi się jeszcze większym płaczem. Bo przecież ciągle go kocha. Tylko że tak dłużej się nie da, to niemożliwe! Co mu nagle strzeliło do głowy?

– Musimy stąd uciekać – oznajmia Diddi, kiedy już zdążyli oddalić się trochę od głównego budynku.

– Proszę cię – zaczyna błagalnie Ulrika, próbując zebrać siły. – Porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Teraz wróć do gości, dokończę deser i...

– Nie! Ty nic nie rozumiesz! – Diddi podnosi głos i ujmuje ją za przeguby dłoni. – Nie chcę, żebyśmy się stąd wyprowadzili. Chodzi mi o to, że musimy stąd uciec. Teraz, już!

Ulrika nieraz miała do czynienia z jego paranooidalnym lękiem, lecz tym razem czuje się naprawdę przerażona.

– W tej chwili nie mogę ci nic wyjaśnić – Diddi przekonuje tak rozpaczliwie, że Ulrika znów zaczyna płakać.

Jej życie miało wszelkie znamiona perfekcji. Ulrika kocha Regłę. Kocha ich piękny dom. Zaprzyjaźniła się z Ebbą. Poznała dzięki niej wielu sympatycznych ludzi, poświęcają się wspólnie fajnym zajęciom. To Ulrika doprowadziła Diddiego Wattranga do ołtarza, Bóg jeden wie, ile kobiet przed nią podejmowało takie próby. Czuła się jak zdobywczyni olimpijskiego złota.

A on z tego wszystkiego rezygnuje, niszczy ich szczęście.

Teraz mamrocze coś z twarzą w jej włosach. Trzyma ją mocno w ramionach.

– Proszę cię, proszę cię – mówi. – Zaufaj mi. Musimy stąd uciec. Wynajmiemy pokój w hotelu. Jutro możesz mnie zapytać dlaczego.

Rozgląda się. Wokół cisza i ciemność. Ale trawi go niepokój.

– Musisz zacząć się leczyć – szlocha Ulrika.

Didi obiecuje jej, że zgłosi się do lekarza, ale pod warunkiem że ona teraz z nim pójdzie. Szybko. Najpierw po syna, później po samochód, i tyle ich widzieli.

Ulrika nie ma siły protestować. Poddaje się jego woli. W najlepszym razie jutro będzie mogła z nim porozmawiać. Jeśli chodzi o nią, kolacja i tak jest już stracona. Może to nawet lepiej, przynajmniej uniknie wymownych spojrzeń Mauriego, których z pewnością by jej nie szczędził, gdyby wróciła, mamrocząc przeprosiny.

Dziesięć minut później siedzą w nowym hummerze, Ulrika za kierownicą. Mały książę śpi obok w foteliku dla dzieci. Do głównej bramy dojeżdża się w ciągu dwóch minut; kiedy Ulrika naciska guzik pilota, jej skrzydła się nie otwierają.

– Znowu się coś zacięło – mówi i zatrzymuje samochód kilka metrów od żelaznej kraty.

Didi wysiada i rusza w kierunku furtki. Idzie w świetle reflektorów, widać wyraźnie jego plecy. Nagle pada bezwładnie.

Ulrika wzdycha ciężko w duchu. Ma tego serdecznie dość! Ma serdecznie dość jego pijaństwa, hajów, kaców i przeróżnych lęków. Jego skruchy, nieporadności, biegunek i zaparc. Jego seksualnej nadpobudliwości i impotencji. Ma dość tego, że się wywraca i nie może wstać. Znudzilo jej się zdzieranie z niego ubrań i butów. Ma po dziurki w nosie jego okresów maniakalnej bezsenności.

Czeka, aż Diddi w końcu stanie na nogi. Ale on ciągle leży. Wtedy ogarnia ją nieziemską złość. Do kurwy nędzy! Nachodzi ją chęć, by przejechać po nim samochodem. Tam i z powrotem, kilka razy.

Po chwili wysiada z auta. Targana wyrzutami sumienia z powodu szalonych myśli,

zwraca się do męża wyjątkowo czule.

– Halo, kochanie! Co się dzieje?

Diddi nie odpowiada. Ulrika zaczyna się niepokoić. Podchodzi jeszcze bliżej.

– Diddi, Diddi, co ci jest?

Pochyla się, kładzie rękę między jego łopatkami, potrząsa nim delikatnie. Czuje coś mokrego.

Nie rozumie. Nie zdąży zrozumieć.

Jakiś dźwięk. Dźwięk albo coś innego sprawia, że Ulrika podnosi i odwraca głowę. Dostrzega sylwetkę na tle reflektora. Umrze, nie zdążywszy podnieść ręki, by osłonić oczy przed oślepiającym światłem.

Mężczyzna, który ją zastrzelił, szepcze do mikrofonu w słuchawce zausznej:

– *Male and female out. Car. Engine running.*

Kieruje światło latarki do wnętrza.

– *There's an infant in the car.*

Po drugiej stronie odpowiada dowódca akcji:

– *Mission as before: everybody. Shut the engine and advance.*

Ulrika leży martwa na zwirowej drodze. Nie będzie musiała tego doświadczyć.

A na piętrze, w ciemności, przy oknie, siedzi Ester i myśli:

Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Teraz!

REBEKA LEŻY w śniegu przed domem w Kurravaarze. Ma na sobie starą roboczą kurtkę po babci. Nie zapięła jej; wdzierający się do środka chłód przynosi duszy ulgę. Niebo jest czarne i gwiazdzone. Księżyc nad nią – chorobliwie żółty. Jak nabrzmiała twarz z ospowatą cerą. Rebeka przeczytała gdzieś, że księżycowy pył cuchnie, śmierdzi starym prochem.

Jak można darzyć kogoś takim uczuciem?, myśli.

Jak można chcieć umrzeć, dlatego że ten ktoś tego uczucia nie odwzajemnia? Jest

przecież tylko człowiekiem.

Wiesz – zwraca się do swojego boga – nie mam zamiaru się uzalać, ale jeszcze chwila i odechce mi się żyć. Strasznie trudno chodzić po świecie ze świadomością, że nikt cię nie kocha. W najgorszym razie zostało mi sześćdziesiąt lat życia. Co się ze mną stanie, jeśli przez następne sześćdziesiąt lat będę tak samotna, jak teraz?

Mam pewne osiągnięcia, widziałeś przecież, że się staram. Pracuję. Codziennie rano wstaję z łóżka. Na śniadanie jem ulubioną owsiankę z brzosznicą. Ale nie wiem, jak długo jeszcze tak wytrzymam.

Wtem słyszy stąpanie łap po śniegu. Po chwili dostrzega Bellę, która najpierw obiega ją dokoła, później – przydeptyjąc jej boleśnie przepoń – na skos, a na koniec trąca szybko nosem.

Potem szczeka zapamiętale. Zdaje panu raport z kontroli.

Rebeka próbuje wstać, ale Sivving zdążył ją już zobaczyć i przyspiesza kroku.

Bella nie czeka. Przecina radośnie starą łąkę, wznosząc tumany świeżego śniegu.

– Rebeka! – krzyczy starzec, nie potrafiąc ukryć niepokoju. – Co ty robisz?

Otwiera usta, żeby skłamać. Zbyć sąsiada żartem o patrzeniu w gwiazdy. Ale nie może wydobyć z siebie słowa.

Twarz nie ma siły udawać. Ciało nie podejmuje próby ukrycia bólu. Rebeka tylko potrząsa głową.

Sivving chce, żeby wszystko było jak dawniej, po prostu dobrze. To rozumiałe, że się o nią niepokoi. Z kim ma teraz rozmawiać, po śmierci żony?

Chce, żeby Rebeka była radosna, szczęśliwa, żeby się jej darzyło. Ale ona woli nie widzieć w nim tego pragnienia.

Nie mam siły być szczęśliwa, chciałaby mu powiedzieć. Przecież ledwie starcza mi sił na bycie nieszczęśliwą. Utrzymać się na nogach – oto mój wielki projekt!

Za chwilę sąsiad poprosi ją, żeby poszła z nim na spacer. Albo wypła u niego kawę. Zaproponuje to za kilka sekund. Będzie musiała odmówić, bo nie ma innego wyjścia. A wtedy on zwiesi głowę, niepocieszony.

– Muszę jechać do Lombolo – odzywa się w końcu. – Jeszcze dzisiaj powinnam się tam spotkać z pewną kobietą i wręczyć jej pozew.

Kłamstwo jest tak kiepskie i tak wierutne, że Rebeka doświadcza pozacielesności. Obok niej staje jakaś inna Rebeka Martinsson i pyta: Co ty, kurwa, wygadujesz?

Ale Sivving daje się nabrać. Przecież na dobrą sprawę nie ma pojęcia, czym ona się zajmuje w pracy.

– Aha – mówi tylko.

– Sivving, wiesz, mam w domu kotkę. Zaopiekujesz się nią, prawda?

– No, ale co ty? Wyjeżdżasz na dłużej?

I woła za Rebeką, która już stoi przy samochodzie:

– Nie założysz innej kurtki?

Rebeka wyjeżdża na szosę prowadzącą do Kiruny. Odnotowuje, że nie zastanawia się nad kierunkiem podróży. Ponieważ już wie. Pojedzie do Riksgränsen.

– A cóż to znowu? – pyta Anna Maria Mella.

Sven Erik Stålhacke siedzi na miejscu pasażera i wpatruje się w pierwszą bramę do posiadłości Regla. W świetle reflektorów passata widzi wyraźnie hummera stojącego przodem do nich po przeciwnej stronie ogrodzenia.

– To te osiłki z ochrony czy co? – zastanawia się głośno.

Anna Maria zatrzymuje się przed bramą, włącza bieg jałowy i wysiada z samochodu, nie gasząc silnika.

– Halo! – woła.

Po chwili ma obok siebie kolegę.

– Jezus! – krzyczy nagle. – Jezus Maria!

Dwa ciała twarzą ku ziemi. Komisarz Mella szuka broni za pazuchą.

– Co tu się, kurwa, stało?

Błyskawicznie opuszcza krąg światła.

– Na bok! – rozkazuje koledze. – Wyłącz silnik!

– Nie! – protestuje Sven Erik. – Wskakuj do środka, odjedziemy kawałek i zadzwonimy po posiłki.

– Okej, jedź. Ja się trochę rozejrzę.

Zewnętrzna brama blokuje tylko drogę prowadzącą do majątku. Osadzone w murze wewnętrzne wrota są czterysta metrów dalej. Anna Maria obchodzi metalowy słup, ale dopóki wszystko jest skąpane w świetle reflektorów passata, nie zbliża się do ciał.

– Cofnij – mówi do Svena Erika. – Chcę się tylko trochę rozejrzeć.

– Wsiadaj do samochodu! Musimy zadzwonić po posiłki.

Zaczynają się kłócić. Nagle warczą i burczą na siebie jak stare małżeństwo.

– Mówię, że chcę się porozglądać, więc odjedź stąd albo wyłącz ten cholerny silnik!

– Nie możemy działać wbrew regulaminowi. Wsiadaj natychmiast do samochodu! – mówi Sven Erik rozkazującym tonem.

Zero profesjonalizmu. Uświadomią to sobie później. Że można ich było powystrzelać jak kaczkę. Za każdym razem, gdy rozmowa zejdzie na kuriozalne zachowania w trudnych sytuacjach, będą wracali myślami do Regli.

W końcu Anna Maria wchodzi prosto w snop światła. Z SIG-sauerem w jednej ręce, drugą próbuje wyczuć puls ludzi, którzy leżą na ziemi. Nie czuje nic.

Na ugiętych kolanach podbiega do hummera i zagląda do środka. Fotelik dziecięcy. Dziecko. Martwe dziecko. Z przestrzeloną twarzą.

Sven Erik widzi, jak Anna Maria wspiera się ręką o szybę. Jej twarz przybiera barwę popiołu. W spojrzeniu koleżanki jest tyle niemej rozpacz, że ściska mu się serce.

Co?, pyta.

Dopiero po chwili dociera do niego, że nie wydobył z siebie dźwięku.

Anna Maria pochyła się aż do ziemi. Sztywnieje w jakimś bolesnym skurczu. I

patrzy na kolegę ze skargą w oczach. Jak gdyby to była jego wina.

Sekundę później znika. Niczym lis wybiega ze snopu światła reflektorów, nawet nie wiadomo, w którą stronę. Na dworze panuje nieprzejrzana ciemność. Księżyc ginie w gęstych chmurach.

Sven Erik rzuca się do samochodu i wyłącza silnik. Nagle wszystko tonie w ciszy i czerni.

Tylko gdzieś nieopodal słychać oddalające się kroki.

– Anna Maria, do kurwy nędzy! – woła półgłosem Stålnacke, nie mając odwagi krzyknąć głośniej.

Już ma za nią biec, ale nagle się opamiętuje.

Musi zadzwonić po posiłki. Do diabła z Mellą! Rozmawia dwie minuty. W nieustannym strachu, że ktoś go usłyszy. Że przestrzeli mu głowę. Cały czas w kucki przy samochodzie. Nasłuchuje. Próbuje dojrzeć coś w mroku. Odbezpiecza broń.

Po skończonej rozmowie podąża śladem koleżanki. Usiłuje zajrzeć do środka hummera, chce zobaczyć, co wywołało u niej tak silną reakcję, ale wokół panują egipskie ciemności. Nic nie widać.

Biegnie cicho przez trawę, wzdłuż, ale obok alei. Gdyby nie sapał jak miech kowalski, może coś by usłyszał. Strach sprawia, że zaczyna czuć mdłości. Ale czy, kurde, ma jakiś wybór? Gdzież ona, do cholery, się podziała?!

Ester widzi kogoś w lustrze. Dziewczynę podobną do siebie. Zgodnie z dzisiejszym stanem wiedzy, nie ma w nas nic stałego. Człowiek jest mieszaniną wibrujących nici. Tak jak mieszaniną wibrujących nici jest powietrze, którym oddycha. To wręcz dziwne, że na co dzień nie przenikamy przez mury i siebie nawzajem, że nie łączymy się w jedno z innymi.

Ona poświęciła siebie. Nie może powiedzieć dlaczego, ponieważ tego nie da się ogarnąć rozumem. W każdym kroku była zawarta część umowy. Zamieszkała na poddaszu u Mauriego. Poddawała swoje ciało morderczemu treningowi.

Naszpikowała się węglowodanami. Teraz głowa musi podążyć za stopami, nie na odwrót.

Na razie stopy zbiegają do piwnicy, dając odpocząć głowie.

Jednocześnie pięciu mężczyzn przypuszcza szturm na Regłę. Mają na sobie czarne ubrania. Kierujący akcją to ten, którego Ester nazywa w myślach wilkiem. Wszyscy, oprócz strzelca wyborowego, uzbrojeni są w niewielkie pistolety maszynowe.

Snajper kładzie się na trawie i bierze na muszkę Mikaela Wiika. W zasadzie nie musi leżeć, jego cel bowiem zamarł w bezruchu.

Szef ochrony stoi na schodach głównego budynku, wsłuchany w odgłosy z drogi. Diddi i Ulrika przed chwilą stąd odjechali. Najprawdopodobniej po niezłej kłótni z Maurim. Cholernie niewłaściwy moment na burdy, no, ale przecież Diddi ostatnio jest kompletnie nieobliczalny.

Mikael słyszał, jak samochód zatrzymuje się przed zewnętrzną bramą. Jak później gaśnie silnik. Zastanawia się, dlaczego nie jadą dalej. Pewnie siedzą w tym swoim hummerze, zajęci awanturą stulecia.

Mam tu swoją robotę, myśli. Ich kłótnie mnie nie obchodzą.

Nie mieszam się w ich sprawy. I nie jestem w nic zamieszany. W śmierć Inny też nie. Podałem Mauriemu numer telefonu. Cokolwiek później się stało, mnie to nie dotyczy.

Obejrzał dokładnie ciało Inny w kiruńskiej kostnicy. Śmiertelna rana była wyjątkowo duża.

To nie mógł być profesjonalista, wmawia sobie. Umarła z zupełnie innego powodu. Mauri Kallis na pewno nie miał z tym nic wspólnego.

Mikael bierze głęboki wdech. W czarnych smugach nocnego powietrza czuć wiosnę. Powiewy wiatru są ciepłe i pachną zielenią. Wkrótce kupi sobie łódź. W lecie wypłynie ze swoją kobietą na wody archipelagu.

Później przestaje myśleć. Kiedy pada przed siebie i uderza twarzą o kamienne schody, już nie żyje.

Snajper zmienia pozycję. Przebiega na drugą stronę domu. Patrzy w wielkie okna

jadalni. Rejestruje rozkład pomieszczenia. Tylko jeden ochroniarz pod ścianą. Pozostali goście to *sitting ducks*. Zdaje raport z sytuacji do mikrofonu w słuchawce zausznej.

Ester Kallis przekręca w rozdzielni główny wyłącznik prądu. Kilkoma sprawnymi ruchami wykręca bezpieczniki wszystkich trzech faz. Ich gniazda wrzuca pod półkę obok. Słyszy, jak przez chwilę toczą się po podłodze. Zapada kompletna ciemność.

Dziewczyna nabiera powietrza. Niepotrzebne jej oczy. Stopy znają drogę na pamięć. Podążają tylko czarną ścieżką.

I kiedy tak biegną wzdłuż niej, Ester przenosi się w inną rzeczywistość. Można by ją nazwać wspomnieniem, gdyby nie to, że wszystko dzieje się teraz. Ponownie. W tej chwili dzieje się równie intensywnie, jak wtedy.

Jest późna wiosna. Tu i ówdzie leżą jeszcze ostatnie płyty śniegu. Ester i *eatnážan* stoją u zbrocza góry. Nad nimi nieustanny krzyk ptaków. Słońce grzejące w plecy. Rozpięły swetry.

Patrzą na górski potok. Wezbrany topniejącym śniegiem, ma teraz kilka metrów szerokości i bardzo szybki nurt. Samica renifera zanurza się w nim i przepływa na drugą stronę. Stojąc na przeciwnym brzegu, zaczyna nawoływać swoje cielę. Wabi je tak długo, aż młode wreszcie zdobywa się na odwagę. Ale potok jest zbyt wartki, a cielę zbyt słabe, by podolać przeprawie. Widać wyraźnie, jak znosi je prąd. Samica ponownie wskakuje do wody, błyskawicznie dogania dryfującego cielaka, opływa go i – napierając nań ciałem – chroni przed kipiela. Płyną tak bok przy boku, pogrążeni w rwącym nurcie. Samica wyciąga z wysiłkiem szyję, cała jest jakby wołaniem o pomoc. Kiedy docierają do brzegu, asekuje młode, wdrapujące się mozolnie na ląd. W końcu oboje stoją po drugiej stronie.

Ester i mama patrzą na zwierzęta, oniemiałe z zachwytu. Zachłyśnięte odwagą samicy i jej głębokim macierzyńskim uczuciem. Ale również ufnością cielęcia, które najwyraźniej obawiało się przeprawy, a mimo to wskoczyło do wody. Wracając do pasterskiej chatki, milczą.

Ester podąża za mamą. Próbuje wydłużyć krok, chce stąpać dokładnie po śladach jej stóp.

Mauri Kallis pyta gości, czego sobie życzą do kawy. Gerhart Sneyers prosi o podwójny koniak, podobnie jak Heinrich Koch i Paul Lasker. Viktor Innitzer woli kieliszek calvadosu, a generał Stieff – szklaneczkę single malt.

Mauri prosi żonę, by została przy stole, proponując jednocześnie, że sam obsłuży gości.

– To ja może w tym czasie wymienię świece – odpowiada Ebba i wynosi kandelabr do kuchni, odrobinę poirytowana, ponieważ wynajęty personel nie zauważył, że stare prawie się wypaliły.

W jadalni stoi ochroniarz pracujący dla Gerharta Sneyersa. Mijając go, Mauri uświadamia sobie, jak dyskretnie ów mężczyzna wykonuje swoje zadanie. Przez całą kolację był jakby niewidoczny; Mauri w ogóle o nim nie myślał.

Tym bardziej komicznie wygląda teraz, kiedy – zdzierając ze ściany szesnastowieczny gobelin – pada jak długi na podłogę. Patrząc na to, Mauri zdąży sobie przypomnieć chłopca, który zemdlał w szkolnym orszaku świętej Łucji; on chodził wtedy do trzeciej klasy. W tym samym momencie dociera do jego świadomości odgłos tłuczonego szkła. A potem dwóch mężczyzn w drzwiach i śmieszne, pstrykające dźwięki wystrzeliwanych pocisków.

Gasną wszystkie lampy. W ciemności słychać zwierzęcy wrzask zranionego Paula Laskera. I jeszcze czyjś, który po chwili cichnie jak nożem uciął. Deszcz kul ustaje; sekundę później zapala się kieszonkowa latarka. Strumień światła przeszukuje jadalnię w pogoni za krzyżącymi, czółgającymi się ludźmi, którzy próbują uciec.

Generał Helmut Stieff podnosi broń zabitego ochroniarza i celuje w źródło światła. Ktoś przewraca się na podłogę, latarka gaśnie.

Ponownie zapada totalna ciemność. Mauri uzmysławia sobie, że leży. Kiedy usiłuje się podnieść, nie może. Cała ręka jest mokra, koszula też.

Postrzelił mnie w brzuch, myśli. Ale po chwili odkrywa, że jest tylko skąpany w

whisky. Mrok wyostrza każdy dźwięk. Z kuchni dochodzą krzyki przerażonych kobiet i to charakterystyczne pstrykanie. Znów cisza. Mauri przypomina sobie o Ebbie. Musi się stąd wydostać. W głowie kołocze mu tylko jedna myśl: jak najszybciej stąd uciec!

Słyszy napastników, którzy włączają i wyłączają kontakty w holu, ale na próżno. Regła tonie w ciemnościach.

Paul Lasker nieustannie krzyczy. Pod stołem zderza się dwóch innych gości. Powrót mężczyzn w czerni to kwestia sekund.

Mauri ma przestrzelone biodro. Ale może przemieszczać się za pomocą rąk. Jadalnia i salon leżą w amfiladzie, a ponieważ drewniany barek jest utrzymany w stylu pieca kaflowego w sąsiednim pomieszczeniu, Mauri wie, że znajduje się niedaleko drzwi do salonu. Przeciąga ciało przez próg, tutaj mieli z gośćmi wypić kawę i coś mocniejszego. Po kolejnych dwóch metrach czuje się totalnie wyczerpany.

Wtedy ktoś ostrożnie kładzie dłoń na jego plecach. Ester szepcze mu do ucha:

– Nic nie mów, jeśli ci życie mile.

W jadalni generał ciągle stawia opór, strzelając na oślep w kierunku holu. Po drugiej stronie otwartych drzwi jeden z napastników trzyma latarkę, a drugi robi użytek z broni. Paul Lasker milknie. Generał oddaje pojedyncze strzały, ale już oszczędniej. Nie zostało mu dużo pocisków. Wkrótce mężczyźni w czerni będą mogli wejść do środka i dokończyć dzieła.

Ester sadza Mauriego na twardej osiemnastowiecznej sofie. W protokole z postępowania przygotowawczego znajdują się później zarówno wzmianka o meblu poplamionym jego krwią, jak i spekulacje na temat prawdopodobnego przebiegu zdarzeń. Ester przysiadła przed Maurim i stosując chwyt strażacki, zarzuca go sobie na barki.

Na trzy wstaje, mówi w duchu. Raz, dwa...

Nie jest ciężki. Pokoje ciągną się amfiladą: salon, biblioteka i jeszcze jedno, nie urządzone pomieszczenie, pełne rupieci. Można wyjść z niego prosto do ogrodu. Ester otwiera drzwi i sady długimi krokami przez ciemność.

Zna drogę. Wielokrotnie biegła z zawiązanymi oczami przez lasek prowadzący

do starego pomostu. Ranila twarz o drzewa, ale nauczyła się tej czarnej ścieżki na pamięć. Byle tylko udało jej się pokonać podwórze, później trawnik i w końcu dotrzeć do skraju lasu.

Dowódca grupy oświetla latarką mężczyzn leżących na podłodze. Snop światła ślizga się po twarzach. Generał Stief nie żyje. Podobnie jak Paul Lasker.

Heinrich Koch wpólsiedzi, oparty o ścianę. Coraz słabiej zaciska na piersi szponiastą dłoń; biel koszuli barwi się na czerwono. Ze strachem patrzy na mężczyznę o zamaskowanej twarzy z niewielką latarką w lewej ręce. Oddycha szybko, urywanie.

Dowódca wyciąga pistolet i zabija go strzałem między oczy. Jest pewien, że dwóch pozostałych przy życiu powinno być teraz bardziej skorych do rozmowy. Notuje, że Viktor Innitzer wydaje okrzyk przerażenia.

Innitzer nie jest ranny, przynajmniej tak wygląda. Siedzi pod ścianą, przyciskając ręce do piersi.

Gerhart Sneyers leży pod stołem.

Dowódca daje znak jednemu ze swoich ludzi. Ten wyciąga Sneyersa za nogi i przysuwa do stóp szefa. Holender leży na boku z lekko ugiętymi kolanami. Dłonie wciska między uda. Występujący na czoło pot spływa strużkami po twarzy. Ciałem wstrząsają dreszcze.

– Pańskie nazwisko? – pyta dowódca po angielsku. Po chwili przechodzi na niemiecki.

– *Ihr Name?* Kim są ci pozostali?

– *Rot op* – odpowiada Sneyers; kiedy otwiera usta, wylewa się z nich krew.

Dowódca dobija go jednym strzałem. Zaraz potem odwraca się do Innitzera.

– *Please, don't kill me* – błaga siedzący.

– *Who are you?* I kim byli ci pozostali?

Viktor Innitzer przedstawia najpierw siebie, a później resztę. Wymienia nazwiska w takiej kolejności, w jakiej latarka oświetla twarze zmarłych. Dowódca trzyma przed sobą miniaturowy magnetofon, Innitzer mówi do mikrofonu tak wyraźnie, jak tylko

potrafi, nieustannie rzucając na mężczyznę lękliwe spojrzenia.

– Czy brakuje jakiegoś uczestnika spotkania? – pyta dowódca.

– Nie wiem... Nie wiem. Jeśli tylko przestanie mi pan świecić latarką w oczy, to...

Kallis! Nie ma Mauriego Kallisa!

– Tylko jego?

– Tak.

– No, więc gdzie on jest?

– Przed chwilą tu stał!

Mężczyzna wskazuje w ciemność, w kierunku barku.

Dowódca oświetla drewniany mebel oraz drzwi obok. Przykłada pistolet do głowy zbędnego już Innitzera. Naciska spust. Przywołuje jednego ze swoich ludzi i wbiega do salonu.

Przeszukują systematycznie pomieszczenie, przyświecając sobie latarkami. Ich ruchy przywodzą na myśl wyuczony taniec; zwróceni do siebie plecami, obracają się wkoło i suną do przodu. Strumienie światła przecinają ciemność.

Przydałoby się lepsze oświetlenie, zwłaszcza jeśli Kallis zdążył wyjść na zewnątrz. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że jest ranny.

– Podjedź tu hummerem – mówi dowódca do mikrofonu w słuchawce. – To w końcu wóz terenowy.

Przed chwilą Anna Maria zobaczyła w hummerze martwego syna Diddiego Wattranga. Teraz biegnie w kierunku Regli. Choć tak na dobrą sprawę nie biegnie, bo przeszkadza jej w tym totalna ciemność. Posuwa się szybko naprzód, podnosząc wysoko nogi; nie chce się potknąć i wywrócić z odbezpieczoną bronią w ręce.

Co tu się wydarzyło?

Oświetlenie na zewnątrz jest wyłączone. Budynki posiadłości toną w gęstym mroku.

Wtem dostrzega migotanie latarki. Ktoś zbliża się do niej w błyskawicznym tempie, oświetlając sobie drogę. Anna Maria zawraca gwałtownie i rzuca się do rowu. Zrywa

z siebie kurtkę z mnóstwem odblaskowych detali i zostawia ją na ziemi, podszewką na wierzch. Przykuca. Nie zdąży odbiec dalej, wtedy z pewnością zostałaaby zauważona. Zmiętoszona zeszłoroczna trawa nie daje żadnego schronienia, na szczęście są tu jeszcze lekkie zarośla, trochę gałęzi. Jeśli tylko nie padnie na nią strumień światła, powinno się udać.

Woda stojąca w rowie ma kilkanaście centymetrów głębokości, komisarz Mella czuje, jak przemakają jej buty i dżinsy. Wolną ręką wyciąga trochę błota i rozmazuje na twarzy, chce być jak najmniej widoczna. Musi patrzeć w górę, w każdej chwili gotowa do strzału, gdyby zbliżająca się osoba ją dostrzegła. Trzyma pistolet obiema rękami. Zamiera w bezruchu. Serce jej wali jak dzwon kościelny.

Postać przebiega dwa metry obok. Nie zauważył jej. Bo to jest mężczyzna. Anna Maria widzi przez moment jego szerokie barki. Cichnie odgłos ciężkich butów na żwirowej drodze.

Wróg czy przyjaciel? Komisarz Mella nie ma pojęcia. Któryś z ochroniarzy Kallisa? Czy to on przed chwilą zabił Diddiego Wattranga i jego rodzinę?

Tego nie wie. Ale wie, że mężczyzna biegnie w kierunku bramy, w kierunku samochodu z martwym dzieckiem. W kierunku Svena Erika!

Anna Maria prostuje nogi i wyskakuje na drogę; kolana i stopy ma kompletnie przemoczone, kurtka zostaje w rowie.

Trzymając się pobocza, podąża za mężczyzną. Jeżeli on wyceluje w Svena Erika, to... To ona wpakuje mu kulkę w plecy.

Nieznajomy dopada hummera. Wsiada do środka, zapala silnik. Włączają się światła i nagle cała okolica sprawia wrażenie skąpanej w zimnym blasku. Boże drogi, czy to możliwe, żeby z dwóch reflektorów samochodowych powstało aż tyle jasności?

Nigdzie ani śladu Svena Erika.

Mężczyzna wrzuca wsteczny bieg. Wygląda na to, że nie ma czasu na zawracanie; rusza tyłem w kierunku posiadłości. Anna Maria ponownie szuka schronienia w rowie. Leży w nim na brzuchu, kiedy mijają ją hummer. Po chwili przysiadła i patrzy za odjeżdżającym, który – zajęty cofaniem – nie może przecież spoglądać w jej

stronę. Szatan nie kierowca! Cofa w wariackim pędzie i cały czas idealnie środkiem alei. Anna Maria nie może wyjść z podziwu.

Po chwili dociera do niej, że mężczyzna siedzi obok maleńkiego dziecka, któremu przestrelono głowę. Odrażająca i potworna myśl. Co to za ludzie?

– Svenie Eriku! – woła cicho. – Svenie Eriku!

Ale nikt nie odpowiada.

Sven Erik właśnie zadzwonił po posiłki.

Teraz posuwa się do przodu wzdłuż pobocza, porośniętego trawą. Ciemność oczywiście utrudnia zadanie, ale komisarz Stålnacke wiele lat spędził w lesie na zbieraniu jagód. Nieraz poruszał się w terenie czarnym jak smoła. A teraz przynajmniej nie musi dźwigać na plecach kosza pełnego brusznicy.

Niejako automatycznie przestawia się na prędkie, choć lekko kaczkowaty chód na ugiętych nogach. Bardziej czuje, niż widzi, po jednej stronie – drogę, a po drugiej – sędziwe lipy.

Kiedy nadbiega mężczyzna z latarką, Sven Erik nie chowa się w błotnistym rowie, tylko przywiera nieruchomo do najbliższego drzewa.

Nie wiedząc o tym, oboje policjantów spotyka się tutaj, każde po swojej stronie alei. Anna Maria biegnie za mężczyzną z latarką. Sven Erik zaś – w przeciwnym kierunku, ku Regli. Dzieli ich zaledwie cztery metry, ale obydwójce słyszą tylko własne kroki i własny oddech.

Ester jest w ogrodzie. Mauri spoczywa na jej ramionach niczym nosidło; dziewczyna trzyma rękę i nogi brata w mocnym uchwycie. Kiedy okrąży północne skrzydło budynku, w oknach salonu dostrzega błysk latarek. Nie uciekła im daleko. Ale teraz chroni ją ciemność. Musi poruszać się jak najciszej. Przecina podwórze, unika zwirowych alejek.

Ma przed sobą niewielki sad. Później gęstwinę drzew w drodze do starego

pomostu. Siedemset metrów w trudnym terenie z solidnym obciążeniem w postaci ludzkiego ciała. Gdy dotrze do lasu, będzie mogła zwolnić tempo.

Kiedy prawie jest już w sadzie, dostrzega hummera wjeżdżającego na podwórze. Samochód wygląda jak czerwonoooki zwierz; dopiero po chwili Ester zrozumie, że to tylne światła. Pojazd cofa w zawrotnym tempie.

Nagle dziewczyna znajduje się w świetle reflektorów. Z obrazem sękatych jabłoni przed oczami robi kilka kolejnych szybkich, choć ciężkich kroków. Próbuje się wymknąć. Byle do przodu! W stronę lasu. I tylko czarną ścieżką...

Kierowca informuje kolegów, że w zasięgu wzroku ma dwoje uciekających. Ścigając ich, trąci grządki i trawniki. Nagle hamuje gwałtownie. Ogród opada stromo kamiennym tarasem; z takim obniżeniem terenu nie poradzi sobie nawet hummer.

Mężczyzna cofa jakiś metr, zmienia kierunek, znów podjeżdża do przodu. Używając samochodu jako jupitera, przeszukuje systematycznie najbliższą okolicę. Ponagla towarzyszy. Dwóch oznajmia, że są w drodze. Dwóch pozostałych przeszukuje kolejne budynki. Właśnie zastrzelili opiekunkę do dziecka, która – gdy zgasł telewizor – zapaliła świecę w salonie i bez większego entuzjazmu przeglądała regał z książkami w poszukiwaniu czegoś do czytania.

Annie Marii zapiera dech. Hummer przejechał przez ogród i zatrzymał się na skraju sadu. W świetle reflektorów policjantka dostrzega osobę, która z jakimś człowiekiem na ramionach posuwa się w kierunku lasu. Widzi ich tylko przez sekundę, po chwili znów rozplývają się w ciemności. Samochód porusza się z miejsca na miejsce, wygląda na to, że kierowca szuka uciekających, włączył długie światła. Nagle przy pojeździe pojawiają się dwie postaci ubrane na czarno i przez chwilę wpatrują się intensywnie w ścianę lasu.

Anna Maria przykuca, próbuje uspokoić oddech. Od samochodu dzieli ją zaledwie dwadzieścia metrów.

Nie słyszą mnie, bo warkot motoru zagłusza inne dźwięki, przechodzi jej przez

głowę.

Teraz wszystko dzieje się jednocześnie: biegnąca osoba znów staje się widoczna i jeden z mężczyzn przy samochodzie wypuszcza za nią krótką serię. Drugi składa się do strzału, nie zdąży jednak zrobić użytku z karabinu, bo ruchomy cel znów zniknie w mroku. Hummer się cofa, zmienia pozycję; mija kilka sekund.

Mężczyzna z pistoletem maszynowym przesadza taras niczym pantera i rzuca się w pogoń za nieszczęśnikami, którzy próbują uciec. Snajper stoi przy samochodzie. W każdej chwili gotowy do strzału.

W trupim świetle reflektorów widać tylko pnie drzew i rozcapierzone, bezlistne gałęzie. Komisarz Mella nie ma czasu na myślenie ani podejmowanie decyzji. Ale gdzieś w środku doskonale wie, że jeśli teraz nic nie robi, to uciekający przez las za chwilę zginą. A w samochodzie, który morderczym światłem świdruje przestrzeń jak jakiś robot, w tym samochodzie leży martwe dziecko!

Kiedy Anna Maria z odbezpieczoną bronią rusza w kierunku pojazdu, kieruje ją desperacka wściekłość. Stopy grzęzną w ziemi. Jak we śnie, gdy człowiek biegnie coraz rozpaczliwiej i nie może dobiec do celu.

Ale teraz dobiega. W rzeczywistości nie trwa to dłużej niż parę sekund.

Ciągle jeszcze jej nie odkryli; ich uwagę skupia zupełnie co innego. Policjantka strzela w plecy snajpera. Ten pada jak długi. Dwa szybkie kroki i strzał w głowę kierowcy, przez boczną szybę.

Silnik staje, ale z reflektorów nieustannie sączy się ostre światło. Annie Marii nawet nie przechodzi przez myśl, że napastników może być więcej. Nie czuje strachu, kiedy – skąpana w jasności – zbiega z tarasu w kierunku gęstwiny drzew. Gdy wbiega między drzewa. W pogoni za mężczyzną, który z pistoletem maszynowym poluje na nieszczęśnika dźwigającego kogoś na plecach.

Komisarz Mella ma jeszcze siedem pocisków. To wszystko.

Sven Erik czai się w mroku, kiedy hummer wjeżdża tyłem na teren posiadłości. Patrzy, jak pojazd zatrzymuje się gwałtownie, jak cofa, znów rusza do przodu, i tak w kółko.

Nie widzi osoby przedzierającej się z trudem wśród jabłoni z innym człowiekiem na ramionach, ale widzi mężczyznę, który do czegoś strzela, a po chwili rzuca się w pogoń przez kamienny taras. Widzi snajpera stojącego w pełnej gotowości obok samochodu. Spogląda na zegarek, ciekaw, jak długo jeszcze przyjdzie im czekać na posiłki.

Nagle niemal przestaje nadążać za rozwojem wypadków. Najpierw odgłos strzału, snajper się przewraca, sekundę później ktoś zabija kierowcę. Dopiero gdy Anna Maria w świetle reflektorów zaczyna biec w kierunku sadu, Sven Erik pojmuje, co się stało.

Podnosi się gwałtownie, ale nie ma odwagi jej zawołać.

Boże jedyny, przecież widać ją jak na dłoni! Ta kobieta jest szalona! Komisarz Stålnacke czuje, jak kipi w nim złość. Ale w trakcie erupcji jego gniewu snajper podnosi się z ziemi. Teraz policjanta zalewa fala strachu. Jak to? Przecież Mella go zabiła! Dopiero po chwili uświadamia sobie, że mężczyzna z pewnością ma kamizelkę kuloodporną.

A Mella biegnie sobie w pełnym świetle jak żywy cel!

Sven Erik nie ma chwili do stracenia. Jak na swój wiek i tuszę, porusza się szybko i bezgłośnie. Kiedy snajper celuje do Anny Marii, jej kolega staje i podnosi broń. Nie zdąży podbiec bliżej.

Może się uda, myśli.

Trzyma pistolet obiema rękami, wciąga powietrze w płuca, czuje, jak drży ze strachu, wysiłku i zdenerwowania. Naciskając spust, wstrzymuje oddech.

Jeden z pocisków wystrzelonych z pistoletu maszynowego trafia Ester w ramię. Dziewczyna czuje pchnięcie i jakby oparzenie. Kula omija kość i większe żyły. Wirując w tkankach, rozrywa kilka pomniejszych naczyń krwionośnych, które automatycznie się obkurczają. Trochę potrwa, zanim nastąpi poważny krwotok. Pocisk przeszywa ramię, lecz nie na wylot. Zatrzymuje się po drugiej stronie, pod skórą. Tworzy tylko lekkie zgrubienie.

Jak mówi przysłowie: małych ran i biednych przyjaciół nie należy lekceważyć. Ester wykrwawi się na śmierć. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze jakiś czas poniesie brata.

Nazywam się Ester Kallis. To nie jest moje przeznaczenie. To mój wybór. Dźwigam Mauriego na plecach i wkrótce dotrzemy do lasu. Zostało nam tylko czterysta metrów.

Mauri nic nie mówi, ale nie martwi mnie to. Wiem, że przeżyje. Niosę go. Niosę małego chłopca, którego zobaczyłam, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Dwuletniego malucha, który przywarł do pleców dorosłego mężczyzny leżącego na naszej matce. Jego blade, drobne plecki w ciemności. Właśnie to dziecko niosę.

Ból w ramieniu jest kłujący i czerwony. Przedzieramy się przez ciemność zabarwioną *caput mortuum* i czerwienią alizarynową. Ale nie myślę o ramieniu. Kiedy nogi niosą nas znajomą ścieżką, malują obrazy w głowie.

Rysuję Rensjön.

Szkicuję ołówkiem mamę. Siedzi przed domem i wyprawia skórę. Ściąga włosie ze skóry, która moczyła się w wodzie tak długo, aż zgniły mieszki włosowe.

Mama w kuchni: z rękami w balii i myślami gdzieś hen, daleko.

Rysuję Mustę, która jak zawsze śmiało przecina stado reniferów niczym nożem, wciska się między ich nogi, podgryza guzdrały.

Rysuję siebie. Po południu: w końcu wysiadam ze szkolnej taksówki, wiatr szczypie mnie w policzki, gdy biegnę do domu. W lecie: siedzę nad wodą i zajęta szkicowaniem, nie zwracam uwagi na komary; dopiero w domu dociera do mnie, jak bardzo mnie pokąsały, płaczę więc i rozdrapuję bąble, a mama robi mi okłady z kwaśnej wody.

Ukazują mi się również obrazy, na których jest Mauri. Nic dziwnego, przecież ciągle czuję jego ciało przy swoim.

Siedzi w biurze w innym kraju. Ze strachu przed mężczyznami, którzy teraz nas ścigają, i przed tymi, którzy nasłali na niego tych mężczyzn, Mauri przez resztę życia musi się ukrywać.

Jego postarzałe dłonie są pokryte plamkami. Na zewnątrz ostre słońce. Żadnej klimatyzacji, tylko zwykły wiatrak. Na podwórku kilka kur grzebie w czerwonym pyłe. Wychudzony kot przemyka przez suchy trawnik.

Widzę młodą kobietę. Jej skóra jest czarna i miękka. Kiedy Mauri budzi się po nocach, kobieta głębokim głosem śpiewa mu psalmy. To go uspokaja. Czasami w języku swego szczepu nuci dziecięce kołysanki. Ona i Mauri mają dziecko.

Córkę.

Tę dziewczynkę też niosę. Jest taka mała. Jeszcze nie wie, że nie dotykając drzwi, nie można ich ani otworzyć, ani zamknąć.

Widzę komendę policji gdzieś w Szwecji. Widzę stos skoroszytów. Zebrano w nich całą wiedzę na temat morderstwa Inny Watrang i wszystkich martwych osób w Regli. Nikt nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Nigdy nie znajdą sprawcy. Widzę kobietę w okularach. Od emerytury dzieli ją zaledwie kilkanaście miesięcy. Właśnie o tym pozostałym roku myśli, ładując na wózek akta dochodzeniowe. Za chwilę zawiezie je do archiwum.

Wkrótce będziemy przy starym pomoście.

Muszę się na sekundę zatrzymać, poczerniało mi w głowie.

Biegnę, chociaż nagle mi się wydaje, że za moment stracę równowagę.

Krwawię obficie z rany. Ręka robi się lepka, ciepła, nieprzyjemna.

Jest mi coraz ciężiej. Nogi się zapadają. Marznę i boję się, że upadnę. Jakbym błąła przez śnieg.

Jeszcze krok, myślę. Właśnie tak dopingowała mnie mama w górach, kiedy zaczynałam narzekać, że umieram ze zmęczenia. „Świetnie, Ester! Jeszcze krok”.

Śnieg jest taki głęboki. Jeszcze krok, Ester. Jeszcze tylko krok.

Ebba Kallis sama się sobie dziwi. W kuchni jest uchylone okno, widocznie wynajętemu kucharzowi zrobiło się gorąco. Kiedy zapada ciemność i słychać strzały, żona Mauriego nie traci czasu na namysły. Przekłada nogi przez parapet i wyskakuje.

Ze środka dochodzą spanikowane głosy. Po chwili milkną.

Ale wtedy ona leży już w trawie pod oknem. Biegnie w stronę muru okalającego Regłę. Podąża wzdłuż niego do brzegu jeziora. Później, na oślep, do starego pomostu. Nie idzie jej to łatwo na wysokich obcasach. Marznie w cienkiej sukience. Ale nie płacze. Przypomina sobie o synach nocujących u jej rodziców i rusza dalej.

Dociera do skraju pomostu. Wsiada do łodzi i po omacku przeszukuje schowek. Jeżeli uda jej się znaleźć latarkę, poszuka kluczyków od silnika. W przeciwnym razie będzie musiała wiosłować. Kiedy w końcu wyczuwa pod ręką latarkę, słyszy kroki zbliżające się do pomostu. Są tuż-tuż.

Słyszy też głos, który wypowiada jakieś słowa, jakby: „Ebba”, a może: „Ebba, on...”. Albo jeszcze co innego.

– Ester? – pyta ostrożnie, wstając.

Wpatruje się w ciemność, ale nic nie widzi.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, myśli: raz kozie śmierć, i zapala latarkę.

Ester. Z Maurim na ramionach. Zdaje się nie reagować na światło. Nagle po prostu upada na ziemię.

Ebba wdrapuje się na pomost. Oświetla latarką nieprzytomne rodzeństwo.

– Mój Boże – mówi. – Co ja mam z wami zrobić?

Ester łapie ją za rąbek jedwabnej sukienki.

– Uciekaj – szepcze.

Ebba dostrzega błysk latarki między drzewami.

Teraz toczy się gra o życie.

Kobieta chwytą Mauriego za poły marynarki i ciągnie przez pomost. Łup, łup, łup – uderzają w deski obcasy jego butów.

Po chwili spycha go do łodzi. Bezwładne ciało nie spada bezgłośnie, w uszach Ebby rozlega się potężny grzmot. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie uderzył twarzą o dno. Znów błysk obcej latarki. O Ester nie ma co myśleć. Ebba odwiązuje cumę i wskakuje do wody. Brodzi w niej, popychając przed sobą kódkę. W końcu ta zaczyna

dryfować. Mimo że Ebba jest wysportowana, z trudem wdrapuje się do środka.

Wyjmuje wiosła. Wkłada je w dulki. Boże, jak to wszystko słychać! Cały czas myśli: zaraz nas zastrzelą. Zaczyna wiosłować. Coraz dalej od brzegu. Ebba ma dobrą kondycję i nie traci głowy. Doskonale wie, dokąd zawieźć męża. Nie jest głupia i pojmuje, że wszystko musi się odbyć bez udziału policji i szpitala. Przynajmniej dopóki Mauri sam nie zdecyduje, co dalej.

Mężczyzna z latarką, biegnący w stronę pomostu, nigdy do niego nie dociera. W słuchawce słyszy rozkaz odwrotu. Akcja zostaje przerwana. Zastrzelono dwóch członków grupy, pozostałych trzech opuszcza Regłę. Zdążą stamtąd odjechać, nim przybędzie policja.

Sypie śnieg. Ester brodzi w głębokich zaspach. Wycieńczona, niebawem zupełnie opadnie z sił. Ale nagle wśród śnieżnej zamieci dostrzega jakąś postać. Ktoś wychodzi jej na spotkanie, przystaje na moment.

Ester krzyczy: *Eatnážan! Eatnážan!*, lecz słowa, pochłonięte przez wiatr, znikają bez śladu.

Osuwa się na ziemię. Kiedy tak leży, już po krótkiej chwili przykryta cienką warstwą śniegu, nagle czuje czyjś oddech.

Renifer. Oswojony renifer trąca ją pyskiem, dmucha jej w twarz.

Tam w oddali stoją mama i jakaś druga kobieta. Ester nie widzi ich dokładnie przez kurzawę śniegu, ale wie, że na nią czekają. I wie, że tą drugą kobietą jest babcia *eatnážan*. Jej *áhku*.

Dziewczyna dźwiga się na nogi, wdrapuje na grzbiet renifera, kładzie w poprzek jak tłumok. Wtem rozlega się znajome szczekanie. To Musta! Suka tańczy radośnie wokół czekających. Nawołuje do drogi. Ester się boi, że odejdą bez niej.

– Biegnij! – prosi renifera. – Biegnij do nich! – mówi, chwytając się gęstej sierści.

Zwierzę rusza przed siebie.

Wkrótce je dogoni.

Nagle Anna Maria zdaje sobie sprawę, że od jakiegoś czasu błąka się po cichym, czarnym lesie. Najpierw biegła, ale to było dawno. Nie ma pojęcia, jak długo wędruje po omacku, w każdym razie jest niemal pewna, że nikogo tu nie znajdzie. Ogarnia ją przeczucie, że już po wszystkim.

Sven Erik, przypomina sobie. Muszę wracać.

Ale zgubiła drogę. Nie wie, gdzie jest. Wsparta o pień drzewa, osuwa się na ziemię. Muszę poczekać, mówi bezgłośnie. Wkrótce zacznie się rozwidniać.

Obraz martwego dziecka znów staje jej przed oczami. Próbuje się od niego uwolnić.

Tak strasznie tęskni za Gustavem! Chciałaby go przytulić, poczuć jego ciepło.

On żyje, pociesza się w duchu. Wszyscy są w domu. Gdyby miała kurtkę, mogłaby zadzwonić do Roberta, telefon leży w wewnętrznej kieszeni; ale kurtka została gdzieś w rowie.

Otocza się ramionami i uciska je dłońmi; próbuje powstrzymać się od płaczu. A gdy tak siedzi, ugniatając ramiona, nagle zapada w sen. Kompletnie wyczerpana.

Kiedy ponownie otwiera oczy, mrok zaczyna się rozpraszać. Komisarz Mella się podnosi i odrętwiała rusza w kierunku Regli.

Na podwórzu stoją trzy samochody policyjne oraz bus należący do jednostki specjalnej. Członkowie grupy zabezpieczyli okolicę i ruszyli w teren.

Anna Maria zbliża się do głównego budynku. We włosach ma gałązki, na twarzy – błoto. Mimo że koledzy kierują broń w jej stronę, czuje tylko i wyłącznie zmęczenie. Posłusznie podnosi ręce do góry, pozwala odebrać sobie pistolet.

– Co ze Svenem Erikiem? Ze Svenem Erikiem Stålnackem? – pyta.

Jeden z policjantów ujmuje ją luźno za ramię. Uścisk w każdej chwili może się wzmocnić, Anna Maria doskonale o tym wie. Gdyby nagle zaczęła rozrabiać.

Kolega wygląda na zakłopotanego. Jest chyba w tym samym wieku, co Sven Erik, tylko trochę wyższy.

– Wyszedł z tego bez szwanku, ale teraz nie wolno pani z nim rozmawiać – mówi. – Niestety.

Komisarz Mella rozumie. Jasne, że rozumie. Zabiła dwie osoby, a Bóg jeden wie, co tu się jeszcze wydarzyło. To oczywiste, że będzie przedmiotem wewnętrznego dochodzenia. Ale teraz musi zobaczyć Svena Erika. Głównie ze względu na siebie. Musi zobaczyć kogoś, kogo lubi. Kogoś, kto lubi ją. Chce tylko, żeby na nią spojrzął, może skinął głową na znak, że wszystko będzie dobrze.

– Nie bądź pan niemożliwy – prosi. – Nie przyjechaliśmy tu na piknik. Chcę tylko na własne oczy zobaczyć, że nic mu nie jest.

Policjant wzdycha i się poddaje. Jak mógłby jej odmówić?

– No, to proszę za mną. Ale niech pani pamięta: żadnej wymiany informacji na temat tego, co się tu wydarzyło.

Sven Erik stoi oparty o samochód policyjny. Na widok koleżanki odwraca głowę.

– Szenie Eriku – zwraca się do niego Anna Maria.

Komisarz Stålnacke wbija w nią wzrok.

Nigdy nie widziała go tak wzburzonego.

– Niech cię szlag trafi razem z twoimi popierdolonymi pomysłami! – krzyczy Sven Erik. – Niech cię szlag, Mella! Powinniśmy byli poczekać na posiłki! Ja...

Zaciska pięści i potrząsa nimi ze złością.

– Składam rezygnację! – mówi.

W momencie gdy jej najbliższy kolega grozi wypowiedzeniem, Anna Maria dostrzega snajpera, leżącego przy hummerze. W świetle latarek widać wyraźnie ranę głowy.

Ale przecież ja strzeliłam mu w plecy, myśli policjantka.

– Aha – odpowiada z roztargnieniem.

Zupełnie nieoczekiwanie Sven Erik siada na masce samochodu i zaczyna płakać. Myśli o Bokserce.

Myśli o Airi Bylund.

Myśli, że gdyby Airi nie odcięła sznura i nie skłoniła lekarza do sfałszowania świadectwa zgonu, wówczas Örjan Bylund zostałby poddany sekcji zwłok, a wtedy zaczęliby dochodzenie w sprawie morderstwa i być może nie doszłoby do tych wypadków. A on nie musiałby nikogo zabijać.

Zastanawia się, czy potrafi sobie z tym wszystkim poradzić i czy będzie mógł pokochać Airi. Teraz nie wie.

Płacze więc z całego serca.

REBEKA MARTINSSON wysiada z samochodu przed hotelem Riksgränsen. Jest zdenerwowana, czuje mrowienie w brzuchu.

To nie ma znaczenia, myśli. Muszę to zrobić. Nie mam nic do stracenia oprócz dumy. A kiedy próbuje sobie tę dumę wyobrazić, widzi pokiereszowaną rzecz, która nie przedstawia żadnej wartości.

Do środka, marsz!, rozkazuje sobie.

W barze chyba nieźle dają czadu, już przy wejściu do hotelu słychać głośną muzykę. Jakiś stary przebój The Police.

Rebeka zatrzymuje się przy recepcji i dzwoni do Marii Taube. Jest szansa, że Maria ma na oku nowego chłopaka i ani na sekundę nie rozstaje się z komórką.

Widocznie ma, bo odpowiada bez zwłoki.

– To ja – mówi Rebeka.

W lekko zdyszczanym głosie łatwo usłyszeć zdenerwowanie, ale to też nie gra teraz żadnej roli.

– Czy mogłabyś odszukać Månsa i poprosić, żeby przyszedł do recepcji?

– Co? – wykrzykuje Maria. – Jesteś w hotelu?

– Tak, jestem. Ale nie chcę się z nikim widzieć, tylko z nim. Możesz go poprosić?

– Okej... – odpowiada Maria z wahaniem, uświadamiając sobie, że coś jej umknęło, że czegoś nie rozumiała.

Mija kilka minut.

Żeby tylko nie zabłądził tu nikt inny, modli się w duchu Rebeka.

Powinna była najpierw pójść do toalety. Chce jej się siku. I pić! Jak ma rozmawiać z językiem przyschniętym do podniebienia?

Zerka w lustro i z przerażeniem odkrywa, że ma na sobie znoszoną roboczą kurtkę po babci. Wygląda jak ktoś, kto – skłócony ze wszystkimi urzędami – mieszka w lesie, uprawia ekologiczne warzywa i dokarmia bezdomne koty.

W przypływie paniki chce wrócić do samochodu i jak najszybciej stąd odjechać, ale zatrzymuje ją dźwięk telefonu.

– Za chwilę do ciebie przyjdzie – oznajmia Maria i od razu się rozłącza.

I Måns przychodzi.

A ona czuje się jak akwarium z węgorzem elektrycznym. Były szef nie rzuca na powitanie beztroskiego: „Serwus, Martinsson!”. Jak gdyby zrozumiał, że to nie żarty. Ładnie wygląda. Jak dawniej. Rzadko widuje się go w dzinsach.

Rebeka zbiera się w sobie, próbuje nie myśleć o zbyt długich włosach, które powinna przyciąć, obciąć, zafarbować. Próbuje zapomnieć o swojej bliźnie. I o tej cholernej kurtce!

– Chodź ze mną – mówi. – Przyjechałam, żeby cię zabrać do siebie do domu.

Może powinna coś jeszcze dodać, jednak nie jest w stanie nic więcej z siebie wydobyć.

Måns się uśmiecha. Ale zaraz poważnieje. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, za jego plecami wyrasta Malin Norell.

– Måns? – pyta, spoglądając to na niego, to na Rebekę. – Co tu się dzieje?

Mężczyzna kręci głową z przeproszającym wyrazem twarzy.

Rebeka nie wie, do kogo jest skierowany ten gest. Do niej czy do stojącej za nim kobiety?

Måns znów się uśmiecha.

– Pójdę tylko po kurtkę – odpowiada.

Ale Rebeka za nic nie pozwoli mu odejść. Ani na sekundę.

– Weź moją – mówi.

Siedzą w samochodzie. Na zewnątrz biała zasłona śniegu. Sypie tak intensywnie, że widoczność jest równa zeru. Rebeka jedzie ostrożnie. Nie mówią dużo. Na dobrą sprawę – wcale. Måns studiuje postrzępione rękawy kurtki, którą ma na sobie. To chyba najbrzydsza kurtka, jaką widział w życiu.

Później patrzy na Rebeke. Ona jest naprawdę inna niż wszyscy. Kompletnie szalona. Kiedy to sobie uświadamia, parska śmiechem. Nie może się powstrzymać.

Rebeka mu wtóruje. Zaśmiewa się do łez.

O wiele później, z głową na jego ramieniu, wybucha płaczem. Zupełnie nieoczekiwanie. Måns najpierw próbuje żartować:

– Jak dobrze, co?

Rebeka uśmiecha się przez moment, ale po chwili znów zaczyna szlochać.

Måns obejmuje ją mocno. Trzyma w ramionach, głaszcze po włosach, całuje bliznę nad ustami.

– W porządku – zapewnia. – Niech się to wszystko wyleje.

Rebeka wypłakuje się do woli. Måns ma tyle dobrych chęci. Zaopiekuje się nią, zabierze do Sztokholmu, zatrudni w swoim biurze. Znów będzie dobrze.

Rebeka budzi się w nocy. Patrzy na mężczyznę, który śpi obok z otwartymi ustami.

Mam go tu i teraz, myśli. Postaram się nie trzymać go przy sobie tak mocno, by zaczął myśleć o ucieczce. Postaram się tylko cieszyć.

Że jest tu teraz.

PODZIĘKOWANIA AUTORKI

Połowa planowanej serii za mną. To dziwne uczucie. Patrę na dwie pierwsze książki, patrę na wydruk trzeciej, i mam wrażenie, że napisał je ktoś inny. Jak zwykle wszystko jest bujną. Niektóre osoby istnieją naprawdę, ale to, co o nich napisałam, jest wysrane z palca.

Wiele osób mi pomogło i niektórym chciałabym podziękować. Ordynatorowi Lennartowi Edströmowi, który odsłonił przede mną między innymi tajniki choroby Rebeki. Ordynatorom Peterowi Löwenhielmowi i Janowi Linbergowi, którzy pomogli mi przy opisach obrażeń ciał moich zmarłych. Docent Marie Allen, z którą miałam przyjemność rozmawiać o śladach krwi i pojedynczych włosach. Prokurator Cecilii Bergman, przewodnikowi psa Peterowi Holmströmowi oraz artystkom: Anicie Pondze, Marii Montner i Camilli Jülig. Wszyscy dzielili się ze mną swoją wiedzą. Jednocześnie chciałabym podkreślić, że rodzina Ester nie jest rodziną Anity Pongi.

Wszystkie błędy są moje, jak zwykle.

Dziękuję również: mojej redaktorce Rachel Åkerstedt, bezlitosnej i cudownej. Wszystkim wspinałym pracownikom wydawnictwa; każda wizyta u Was napawa mnie radością. Fantastycznej agencji Bonnier Group Agency, która sprzedaje moje książki za granicą. Elisabeth Ohlson Wallin i Johnowi Eyre'owi za okładkę oryginalnego wydania.

Dziękuję mamie, Evie Jensen, Lenie Andersson i Thomasowi Karlsénowi Anderssonowi za to, że czytaliście, skakaliście z radości i nie żalowaliście pochwał. Bardzo ich potrzebowałam. Wytrzymałiście ze mną. Dziękuję tacie i Monie, którzy przecztyli całość i sprawdzili fakty związane z Kiruną.

A na koniec: dziękuję Tobie, Per. Powieść jest nareszcie gotowa. Teraz przyjdę i Cię zjem!

Przypisy

- [1] Lagen om psykiatrisk tvångsvård – Ustawa o przymusowym leczeniu psychiatrycznym (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Hälso-och sjukvårdslagen – Ustawa o służbie zdrowia.
- [3] W języku szwedzkim „c” na początku wyrazu wymawia się najczęściej jako „s”.
- [4] Luossavaara-Kiirunavaara Aktiebolag – szwedzki państwowy koncern zajmujący się wydobywaniem i przetwórstwem rud żelaza.
- [5] Fińskie sanki – rodzaj dwuśladowej hulajnoty na płozach; zimną powszechny środek lokomocji w północnej Szwecji i Finlandii.
- [6] Göran Persson – szwedzki polityk, w latach 1996–2006 premier Szwecji z ramienia partii socjaldemokratycznej.
- [7] Ingvar Kamrad (ur. 1926) – szwedzki przemysłowiec, założyciel firmy IKEA, jeden z najbogatszych ludzi na świecie.
- [8] Szwedzcy studenci przez sześć lat mają prawo do pożyczki państwowej, która umożliwia im samodzielne utrzymanie. Zwrotowi podlegają mniej więcej dwie trzecie pożyczonej sumy, reszta to bezzwrotny zasiłek studencki.
- [9] Jan Stenbeck (1942–2002) – przemysłowiec i biznesmen, jeden z najbogatszych Szwedów; w swojej działalności punkt ciężkości przeniósł z odziedziczonej po ojcu grupy przedsiębiorstw w przemyśle papierniczym i metalurgicznym na inwestycje w mediach i telekomunikacji.
- [10] SIDA (Swedish International Development Cooperation Agency) – państwowy

urząd podporządkowany Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, zajmujący się pomocą krajom rozwijającym się. Szwecja przeznacza około jednego procenta produktu narodowego brutto na wspieranie rozwoju w kilkudziesięciu wybranych krajach Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Połową tej sumy dysponuje SIDA.

[11] Sickan Carlsson (ur. 1915) – znana szwedzka aktorka i piosenkarka.

[12] Särskilda Skyddsgruppen – jedna z dwóch tajnych jednostek specjalnych szwedzkich sił zbrojnych.

[13] Snus – popularna w Szwecji używka sporządzana na bazie tytoniu.

[14] Lag med särskilda bestämmelser om vård av unga – szwedzka ustawa o ochronie małoletnich. Reguluje środki ochrony dzieci, takie jak objęcie opieką i umieszczenie poza ich rodziną wbrew woli biologicznych rodziców.

[15] Mattarahkka – kobiece centrum rękodzieła Samów, położone pięć kilometrów na północny zachód od Kiruny.

[16] Elsa Beskow (1874–1953) – szwedzka autorka i ilustratorka książek dla dzieci.

[17] Statens Kriminaltekniska Laboratorium – Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne.

[18] Suovas (w języku Samów: wędzony) – używane w północnej Szwecji określenie solonego i wędzonego mięsa renifera.

[19] Länsstyrelsen – szwedzki odpowiednik urzędu wojewódzkiego.

[20] Konstfack – największa państwowa uczelnia artystyczna w Szwecji, mieszcząca się w Sztokholmie. Kształci studentów w zakresie sztuk pięknych i wzornictwa przemysłowego.

[21] Tensta i Botkyrka – dzielnice na przedmieściach Sztokholmu, zamieszkane w większości przez imigrantów.

[22] Midsommar – święto przesilenia letniego, najważniejsze po Bożym Narodzeniu doroczne święto w Szwecji. Centralnym punktem obchodów jest taniec wokół *midsommarstång*, słupa ozdobionego gałązkami brzozy i kwiatami. To czas spotkań towarzyskich i rodzinnych oraz hucznego biesiadowania na świeżym powietrzu.

[23] Bäckahästen (szw., dosł. koń z potoku) – w mitologii skandynawskiej duch wodny w postaci białego konia.